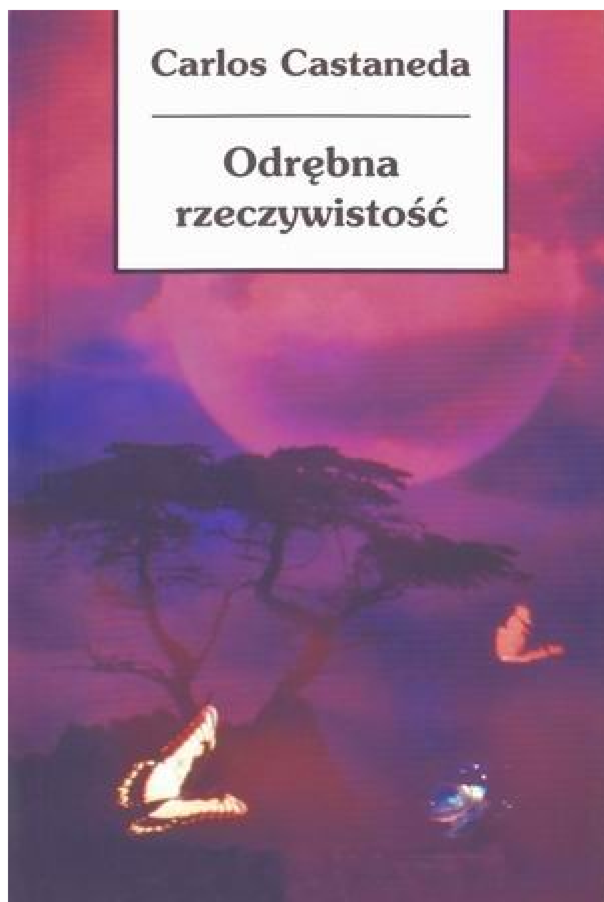
Powrót do spisu KIPPIN
PRZEDRUK

CARLOS CASTANEDA
ODRĘBNA RZECZYWISTOŚĆ
(A Separate Reality / wyd. orygin. 1971)



Inne książki Carlosa Castanedy wydane dotychczas w Polsce:

NAUKI DON JUANA
PODRÓŻ DO IXTLAN
OPOWIEŚCI O MOCY
DRUGI KRĄG MOCY
DAR ORŁA
WEWNĘTRZNY OGIEŃ
POTĘGA MILCZENIA
SZTUKA ŚNIENIA
MAGICZNE KROKI
AKTYWNA STRONA NIESKOŃCZONOŚCI

SPIS TREŚCI:

* * *

Carlos Castaneda zmarł w 1998 roku

Spis Treści / Dalej

WSTĘP

Dziesięć lat temu miałem szczęście poznać Indianina z plemienia Yaqui, z północno-zachodniego Meksyku. Zwracani się do niego don Juan. W języku hiszpańskim don jest tytułem używanym dla okazania szacunku. Poznałem don Juana niezwykłym zbiegiem okoliczności. Siedziałem z moim przyjacielem Billem na dworcu autobusowym w przygranicznym miasteczku w Arizonie. Nie rozmawialiśmy. Było późne popołudnie i letni upał dawał się nam we znaki. Nagle Bill pochylił się w moim kierunku i trącając mnie w ramię, wyszeptał:

– To człowiek, o którym ci mówiłem. Niedbale wskazał głową w stronę wejścia, w którym właśnie ukazał się stary człowiek.

– Co mi o nim mówiłeś? – spytałem.

– To jest ten Indianin, który zna się na pejotlu. Pamiętasz?

Przypomniałem sobie, że kiedyś cały dzień jeździliśmy z Billem, szukając domu ekscentrycznego Indianina z Meksyku, mieszkającego w tamtej okolicy. Nie znaleźliśmy go. Miałem wrażenie, że Indianie, których pytaliśmy o drogę, umyślnie wprowadzali nas w błąd. Bill powiedział, że nasz Indianin jest yerbero, człowiekiem zbierającym i sprzedającym zioła, który dużo wie o halucynogennym kaktusie, pejotlu. Stwierdził również, że dobrze by było, gdybym go poznał. Bill był moim przewodnikiem po południowym Zachodzie, gdzie zbierałem próbki roślin i informacje o ziołach używanych przez Indian z tego rejonu.

Bill wstał i podszedł się przywitać z Indianinem. Był to człowiek średniego wzrostu. Miał białe, krótkie włosy, które zasłaniały mu nieco uszy, podkreślając krągłość jego głowy. Był bardzo ciemny, głębokie zmarszczki na twarzy postarzały go, jednakże jego ciało wyglądało na mocne i sprawne. Obserwowałem go przez chwilę. Poruszał się ze zwinnością, jakiej nie spodziewałbym się po starym człowieku.

Bill dał mi znak, żebym podszedł.

– To miły facet – powiedział do mnie. – Ale nie mogę go zrozumieć. Jego hiszpański jest dziwny, pełno w nim jakichś wiejskich wyrażeń.

Stary człowiek spojrzał na Billa i uśmiechnął się. Bill, znający jedynie kilka słów po hiszpańsku, sklecił absurdalne zdanie w tym języku. Popatrzył na mnie, jakby chciał spytać, czy miało ono jakiś sens, ale nie wiedziałem, co chciał powiedzieć. Potem uśmiechnął się z zakłopotaniem i odszedł. Stary człowiek popatrzył na mnie i zaczął się śmiać. Wyjaśniłem mu, że mój przyjaciel czasami zapomina, że nie mówi po hiszpańsku.

– Myślę, że zapomniał również nas sobie przedstawić – dodałem i podałem mu swoje nazwisko.

– A ja jestem Juan Matus, do usług – odpowiedział.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i na chwilę zapadła cisza. Przerwałem ją, opowiadając mu o swoim przedsięwzięciu. Powiedziałem mu, że szukam informacji o roślinach, a w szczególności o pejotlu. Mówiłem jakby pod przymusem przez dłuższy czas i chociaż nie miałem zielonego pojęcia o pejotlu, powiedziałem, że wiem o nim dość dużo. Pomyślałem, że jeśli pochwalę się wiedzą, Indianin będzie chciał ze mną rozmawiać. On jednak nic nie powiedział, tylko cierpliwie słuchał. Potem powoli pokiwał głową i spojrzał na mnie. Jego oczy zdawały się świecić własnym światłem. Unikałem jego spojrzenia. Poczułem się zakłopotany. Byłem pewien, że wiedział, iż opowiadam mu bzdury.

– Przyjdź kiedyś do mojego domu – powiedział

w końcu, odwracając oczy ode mnie. – Może będziemy mogli porozmawiać bardziej swobodnie.

Nie wiedziałem, co jeszcze mógłbym powiedzieć. Poczułem się nieswojo. Po chwili dołączył do nas Bill. Zauważył moje zażenowanie i nie powiedział ani słowa. Przez chwilę siedzieliśmy w kłopotliwym milczeniu, po czym stary człowiek wstał i pożegnał się. Przyjechał jego autobus.

– Nie poszło zbyt dobrze, co? – zapytał Bill.

– Nie.

– Spytałeś go o rośliny?

– Tak, ale chyba się wygłupiłem.

– Mówiłem ci, że on jest bardzo dziwny. Tutejsi Indianie znają go, ale nigdy o nim nie wspominają, a to coś znaczy.

– Powiedział jednak, że mogę go odwiedzić.

– Zrobił cię w konia. Pewnie, możesz iść do jego domu, ale po co? Nigdy niczego ci nie powie. Jeśli go o coś spytasz, utnie rozmowę, jakbyś był głupkiem gadającym od rzeczy.

Bill tłumaczył przekonywająco, że spotkał już ludzi podobnych do tego Indianina, którzy sprawiali wrażenie posiadających dużą wiedzę. Jego zdaniem, nie są warci zachodu, ponieważ wcześniej czy później te same informacje można otrzymać od kogoś innego, kto nie jest aż tak niedostępny. Powiedział, że nie ma ani czasu, ani cierpliwości do takich starych dziwaków. Niewykluczone, że stary tylko podawał się za znawcę ziół, w rzeczywistości znając je tylko tyle, co każdy przeciętny człowiek.

Bill mówił dalej, ale go nie słuchałem. Moje myśli krążyły wokół Indianina. On wiedział, że blefuję. Zapamiętałem jego oczy, które naprawdę świeciły.

Kilka miesięcy później wróciłem, aby się z nim spotkać, już nie jako student antropologii, zainteresowany ziołami, ale jako osoba powodowana niewytłumaczalną ciekawością. W całym swoim życiu nie spotkałem człowieka o takim wzroku, jakim on na mnie patrzył. Chciałem dowiedzieć się, co było w tym spojrzeniu. To pragnienie stało się prawie moją obsesją. Dużo się nad tym zastanawiałem, a im więcej o tym myślałem, tym bardziej niezwykłe mi się wydawało.

Zaprzyjaźniłem się z don Juanem i przez cały rok wielokrotnie go odwiedzałem. Miał bardzo przekonujący sposób bycia i niesamowite poczucie humoru. Jednak w jego działaniu wyczuwałem przede wszystkim niesłychaną konsekwencję, która wydawała mi się zupełnie niezrozumiała. W jego obecności odczuwałem niezwykły zachwyt i równocześnie doświadczałem dziwnego skrępowania. Sama obecność don Juana zmuszała mnie do całkowitego przewartościowania schematów zachowania. Zostałem tak wychowany – pewnie jak wszyscy – aby uważać człowieka za istotę z natury słabą i omylną. W don Juanie zachwyciło mnie to, że nigdy nie uznawał ludzkiej słabości. Wystarczało przebywać z nim, aby porównanie pomiędzy jego zachowaniem a moim wypadało na moją niekorzyść. Wtedy chyba największe wrażenie zrobiło na mnie jego stwierdzenie dotyczące wrodzonej różnicy między nami. Przed jedną z wizyt czułem się bardzo nieszczęśliwy z powodu całego swojego życia i wielu ciążących mi osobistych konfliktów. Kiedy przyjechałem do don Juana, byłem zdenerwowany i w ponurym nastroju.

Rozmawialiśmy o moim zainteresowaniu wiedzą, ale jak zwykle nasze myśli biegły zupełnie różnymi torami. Ja miałem na myśli wiedzę akademicką, która przekracza doświadczenie, podczas gdy on mówił o bezpośrednim poznaniu świata.

– Czy wiesz cokolwiek o świecie, który cię otacza? – zapytał.

– Wiem mnóstwo rzeczy – powiedziałem.

– Ale czy czujesz ten świat?

– Odczuwam go na tyle, na ile potrafię.

– To nie wystarczy. Musisz odczuwać wszystko, w przeciwnym razie świat traci swój sens.

Przytoczyłem klasyczny argument, że nie muszę próbować zupy, żeby poznać przepis na nią, ani też nie muszę zostać porażony prądem, żeby dowiedzieć się czegoś o elektryczności.

– W twoich ustach brzmi to głupio – powiedział. – Moim zdaniem, trzymasz się swoich argumentów, chociaż nic ci nie dają. Chcesz pozostać nie zmieniony nawet za cenę swojego dobrego samopoczucia.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Mówię o tym, że nie jesteś całością. Nie ma w tobie spokoju.

To stwierdzenie zirytowało mnie. Poczułem się urażony. Pomyślałem sobie, że z pewnością nie ma on prawa do osądzania mojego postępowania ani mojej osobowości.

– Jesteś przytłoczony problemami – powiedział. – Dlaczego?

– Jestem tylko człowiekiem, don Juanie – powiedziałem poirytowany.

Wymówiłem to w taki sam sposób, w jaki zwykł to robić mój ojciec. Zawsze, kiedy mówił, że jest tylko człowiekiem, dawał do zrozumienia, że jest słaby i bezbronny. Jego stwierdzenie, tak jak i moje,

było wypełnione poczuciem ostatecznej rozpaczy.

Don Juan popatrzył na mnie tak samo, jak w dniu naszego pierwszego spotkania.

– Za dużo myślisz o sobie – powiedział i uśmiechnął się. – A to wywołuje u ciebie osobliwe zmęczenie sprawiające, że zamykasz się na otaczający cię świat i trzymasz się swoich argumentów. Dlatego wszystko, co masz, to jedynie kłopoty. Ja też jestem tylko człowiekiem, ale widzę to inaczej niż ty.

– Jak to widzisz?

– Pokonałem swoje kłopoty. Szkoda, że moje życie jest takie krótkie i nie mogę uchwycić wszystkiego, co bym chciał. Ale to nie jest kłopot, po prostu szkoda.

Podobał mi się ton tego stwierdzenia. Nie było w nim ani rozpaczy, ani użalania się nad sobą.

W roku 1961, rok po naszym pierwszym spotkaniu, don Juan wyjawił mi, że posiada tajemną wiedzę o ziołach. Powiedział mi, że jest “brujo". Hiszpańskie słowo brujo można przetłumaczyć jako “czarownik, znachor, uzdrawiacz". Od tego czasu nasza znajomość zmieniła się; stałem się jego uczniem i przez następne cztery lata don Juan usiłował wprowadzić mnie w sekrety czarownictwa. Swoją naukę u niego opisałem w książce pt: Nauki don Juana. Wiedza Indian z plemienia Yaqui.

Rozmawialiśmy po hiszpańsku. Don Juan władał biegle tym językiem i dzięki temu przekazał mi szczegółowe wyjaśnienia skomplikowanych znaczeń swojego systemu wierzeń. Określiłem ten złożony i uporządkowany system wiedzy jako magię, a don Juana nazywałem czarownikiem, ponieważ tak właśnie mówił on o sobie w prywatnych rozmowach. Udzielając poważniejszych wyjaśnień, na określenie magii don Juan używał terminu “wiedza", a czarownika nazywał “człowiekiem wiedzy" lub też “tym, który wie".

Ażeby dowieść swej wiedzy i przekazać mi ją, don Juan używał trzech dobrze znanych roślin psychotropowych: pejotlu, Lophophora williamsii, bielunia, Datura inoxia, oraz jednego z gatunków grzybów należących do rodzaju Psylocebe. Używając każdego z nich z osobna, wprowadzał mnie, swojego ucznia, w osobliwe stany zniekształconego postrzegania lub też odmiennej świadomości, które nazwałem “stanami niezwykłej rzeczywistości". Użyłem słowa “rzeczywistość", ponieważ główną przesłanką systemu wierzeń don Juana jest to, że stany świadomości pojawiające się po zażyciu którejś z trzech wyżej wymienionych roślin nie są halucynacjami, ale konkretnymi, choć niezwykłymi aspektami codziennej rzeczywistości. Don Juan traktował stany niezwykłej rzeczywistości nie Jak gdyby" były prawdziwe, ale Jak" prawdziwe.

Sklasyfikowanie tych roślin jako halucynogennych, a wywoływanych przez nie stanów jako niezwykłej rzeczywistości stanowi oczywiście mój własny wynalazek. Don Juan uważał owe rośliny za przewodników prowadzących człowieka do pewnych bezosobowych sił lub “mocy", a odmienne stany świadomości traktował jako “spotkania" z “mocami", których czarownik musiał doświadczać, aby zdobyć nad nimi kontrolę.

Pejotl określał mianem “Mescalito" i wyjaśniał, że jest to łaskawy nauczyciel i obrońca ludzi. Mescalito uczył “właściwego sposobu życia". Pejotl zażywano przeważnie podczas spotkań czarowników, zwanych mitote, których uczestnicy zbierali się specjalnie w poszukiwaniu właściwego sposobu życia.

Według don Juana, bieluń i grzyby to moce innego rodzaju. Nazywał je “sprzymierzeńcami" i mówił, że można nimi manipulować. W rzeczywistości czarownik czerpał moc z manipulowania sprzymierzeńcem. Don Juan wolał grzyby od bielunia. Utrzymywał, że moc zawarta w grzybach jest jego osobistym sprzymierzeńcem i nazywał ją “dymem" albo “dymkiem".

Receptura don Juana przygotowania grzybów polegała na suszeniu ich na proszek w małej tykwie. Trzymał ją zamkniętą przez rok, a potem mieszał grzybowy proszek z pięcioma innymi wysuszonymi roślinami, wytwarzając w ten sposób mieszankę do palenia w fajce.

Aby stać się człowiekiem wiedzy, trzeba wielokrotnie “spotkać" sprzymierzeńca i dobrze go poznać. Znaczyło to oczywiście, że należało palić halucynogenną mieszankę dość często. Proces “palenia" składał się ze zjadania drobnego proszku z grzybów, który nie palił się i wdychania dymu z pięciu innych roślin wchodzących w skład mieszanki. Don Juan określał głębokie skutki, jakie wywierały grzyby na zdolność postrzegania, jako działanie “sprzymierzeńca usuwającego ciało".

Metoda nauczania don Juana wymagała od ucznia niesamowitego wysiłku. Wymagany stopień zaangażowania był w rzeczywistości tak męczący, że w końcu 1965 roku musiałem się wycofać. Teraz, z perspektywy pięciu lat, które upłynęły od tego czasu, mogę powiedzieć, że wtedy nauki don

Juana zaczęły zagrażać mojemu “wyobrażeniu o świecie". Traciłem pewność, jaką wszyscy mamy, że codzienną rzeczywistość możemy przyjąć za pewnik.

Porzucając naukę, byłem przekonany, że moja decyzja jest ostateczna. Nie chciałem nigdy więcej widzieć don Juana. Jednakże w kwietniu 1968 roku ukazała się moja książka i poczułem się zobowiązany mu ją pokazać. Odwiedziłem go. Nić porozumienia łącząca nauczyciela i ucznia została w tajemniczy sposób odnowiona i mogę powiedzieć, że wtedy rozpocząłem drugi cykl nauki, bardzo różny od pierwszego. Nie bałem się tak bardzo, jak w przeszłości. Nastrój, w jakim odbywały się nauki don Juana, stał się swobodniejszy. Don Juan często śmiał się i sprawiał, że i ja się śmiałem. W ogóle sprawiał wrażenie, jakby starał się umniejszać powagę sytuacji. W decydujących chwilach wygłupiał się, pomagając mi w ten sposób przeżyć doświadczenia, które łatwo mogły się przerodzić w obsesje. Uważał, że aby wytrzymać wstrząs i niezwykłość wiedzy, którą mi przekazywał, potrzebna mi była pogoda ducha i przyjęcie odpowiedzialnej postawy.

– Powodem, dla którego przestraszyłeś się i odszedłeś, było to, że czułeś się taki cholernie ważny – tłumaczył moje wycofanie się. – Poczucie ważności czyni człowieka ociężałym, niezdarnym i próżnym. Aby stać się człowiekiem wiedzy, trzeba być pogodnym i elastycznym.

W drugiej fazie nauki szczególnym celem don Juana było nauczenie mnie “widzenia". W jego systemie wiedzy istnieje semantyczna różnica pomiędzy “widzeniem" a “patrzeniem" jako dwoma różnymi sposobami postrzegania. “Patrzenie" odnosi się do zwykłego sposobu, w jaki jesteśmy przyzwyczajeni postrzegać świat, podczas gdy “widzenie" oznacza bardzo skomplikowany proces, dzięki któremu człowiek wiedzy rzekomo postrzega “istotę" zjawisk.

Aby zawiłości procesu uczenia się były czytelne, wstępne notatki z pracy w terenie zredagowałem w formie streszczenia długich fragmentów zawierających pytania i odpowiedzi. Wierzę, że nie umniejszy to znaczenia nauk don Juana. Moim celem było nadanie notatkom płynności, jaką ma rozmowa, po to by za pomocą reportażu przekazać czytelnikowi dramatyzm i bezpośredniość konkretnej sytuacji w terenie. Każdy rozdział opisuje jedną sesję z don Juanem. Z reguły kończył on je gwałtownie i dlatego dramatyczny ton w zakończeniu poszczególnych rozdziałów nie jest moim literackim wynalazkiem, ale wynika z tradycji ustnego przekazu don Juana. Wydaje się, że było to mnemotechniczne narzędzie, które pomagało mi zapamiętać dramatyzm i wagę każdej lekcji.

Jednakże potrzebne są pewne wyjaśnienia, aby mój reportaż stał się przekonywający, ponieważ jego klarowność zależy od kilku kluczowych pojęć czy też elementów, na które chciałbym położyć nacisk. Wybór zaakcentowanych elementów wynika z mojego zainteresowania naukami społecznymi. Całkiem możliwe, że ktoś inny, mający inne cele i oczekiwania, wyszczególniłby pojęcia zupełnie różne od tych, które ja wybrałem.

Podczas drugiego cyklu nauki don Juan przekonywał mnie, że użycie mieszanki do palenia jest niezbędnym warunkiem wstępnym “widzenia". Dlatego musiałem używać jej tak często, jak tylko się dało.

– Tylko dym może dać ci szybkość, której potrzebujesz, by złapać przebłysk tego ulotnego świata – powiedział.

Za pomocą mieszanki psychotropowej wytworzył u mnie serię stanów odmiennej rzeczywistości. Główną cechą tych stanów była pewnego rodzaju “nieodpowiedniość" w odniesieniu do tego, co wydawał się robić don Juan. To, co postrzegałem w odmiennych stanach świadomości, było niezrozumiałe i niemożliwe do zinterpretowania według zwyczajnego sposobu rozumienia świata. Inaczej mówiąc, nieodpowiedniość pociągała za sobą zakwestionowanie słuszności mojego spojrzenia na świat.

Don Juan używał owej nieodpowiedniości stanów niezwykłej rzeczywistości do wprowadzania serii z góry ustalonych, nowych Jednostek znaczeniowych". Jednostkami znaczeniowymi były wszystkie pojedyncze elementy przynależne wiedzy, której don Juan usiłował mnie nauczyć. Nazwałem je jednostkami znaczeniowymi, ponieważ stanowią one podstawowy zbiór danych zmysłowych i ich interpretacji, na którym budowane są bardziej złożone znaczenia. Jednym z przykładów takiej jednostki jest sposób, w jaki tłumaczy się fizjologiczny efekt mieszanki psychotropowej. Powoduje ona odrętwienie i utratę kontroli motorycznej, którą don Juan tłumaczył jako działanie dymu – będącego w tym przypadku sprzymierzeńcem – mające na celu “usunięcie ciała praktykującego".

Jednostki znaczeniowe pogrupowałem w taki sposób, że każdy blok tworzy, jak to nazwałem, “sensowną interpretację". Oczywiście, musi istnieć nieskończona liczba prawdopodobnych sensownych interpretacji odnoszących się do magii, których powinien nauczyć się czarownik. W życiu codziennym stajemy twarzą w twarz z nieskończoną liczbą sensownych interpretacji odnoszących się

do naszego świata. Prostym przykładem może być niezamierzona interpretacja struktury, którą zwiemy “pokojem". Jest rzeczą oczywistą, że nauczyliśmy się interpretować ją jako pokój. Pokój staje się sensowną interpretacją, ponieważ w momencie, kiedy jej dokonujemy, jesteśmy świadomi, w taki czy inny sposób, wszystkich elementów wchodzących w jej skład. Innymi słowy, system sensownych interpretacji stanowi proces, dzięki któremu praktykujący jest świadomy wszystkich jednostek znaczeniowych koniecznych do przyjmowania założeń, dedukcji, przewidywania itd., dotyczących wszystkich sytuacji związanych z jego działalnością.

Używając słowa “praktykujący", mam na myśli uczestnika, który posiada dostateczną wiedzę na temat wszystkich albo prawie wszystkich jednostek znaczeniowych wchodzących w skład jego własnego konkretnego systemu sensownej interpretacji. Don Juan jest praktykującym, to znaczy czarownikiem znającym wszystkie poziomy swojej magii.

Jako praktykujący próbował udostępnić mi swój system sensownej interpretacji. Dostępność w tym przypadku była równoznaczna z procesem zadomowienia się w obcym dla mnie środowisku, w którym uczyłem się nowych sposobów interpretowania danych percepcji zmysłowej.

Byłem “obcym" – tym, który nie posiadał zdolności inteligentnego i stosownego interpretowania jednostek znaczeniowych właściwych magii.

Zadaniem don Juana jako praktykującego, który udostępnia mi swój system, było zakwestionowanie szczególnego rodzaju pewności, którą posiadam – tak jak i wszyscy – co do tego że nasze “zdroworozsądkowe" widzenie świata jest rozstrzygające. Stosując rośliny psychotropowe i nadając właściwy kierunek kontaktom pomiędzy odmiennym systemem a mną, udało mu się wykazać, że moje spojrzenie na świat nie może być rozstrzygające, ponieważ jest tylko interpretacją.

Dla Indian nieuchwytne zjawisko, które określamy mianem magii, prawdopodobnie już tysiące lat temu było i jest nadal poważną, autentyczną praktyką, porównywalną z naszą nauką. Nasze trudności z jej zrozumieniem wynikają bez wątpienia z odmienności jednostek znaczeniowych, na których się opiera.

Don Juan powiedział mi kiedyś, że człowiek wiedzy ma swoje szczególne upodobania. Poprosiłem go o wyjaśnienie tego stwierdzenia.

– Ja mam szczególne upodobanie do widzenia – odpowiedział.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Lubię widzieć – rzekł – ponieważ tylko dzięki widzeniu człowiek wiedzy może wiedzieć.

– Jakiego rodzaju rzeczy widzisz?

– Wszystko.

– Ale ja też wszystko widzę, a nie jestem człowiekiem wiedzy.

– Nie. Ty nie widzisz.

– Myślę, że widzę.

– Mówię ci, że nie.

– Dlaczego tak mówisz, don Juanie?

– Ty tylko patrzysz na powierzchnię rzeczy.

– Chcesz powiedzieć, że każdy człowiek wiedzy w rzeczywistości widzi na wskroś tego, na co patrzy?

– Nie. Nie to miałem na myśli. Powiedziałem, że człowiek wiedzy ma swoje upodobania. Ja na przykład lubię widzieć i wiedzieć, inni robią inne rzeczy.

– Na przykład jakie?

– Weźmy Sacatecę, on jest człowiekiem wiedzy i ma zamiłowanie do tańczenia. Tak więc on tańczy i wie.

– Czy upodobanie człowieka wiedzy jest czymś, co pozwala mu wiedzieć?

– Tak, zgadza się.

– Ale w jaki sposób taniec pomaga Sacatece wiedzieć?

– Można powiedzieć, że Sacateca tańczy z wszystkim, co ma.

– Czy on tańczy tak jak ja? Tak, jak się zwykle tańczy?

– Powiedzmy, że on tańczy tak, jak ja widzę, ale nie tak, jak ty tańczysz.

– Czy on także widzi tak jak ty?

– Tak, ale on również tańczy.

– Jak Sacateca tańczy?

– Trudno to wyjaśnić. To specyficzny sposób tańczenia, który wykorzystuje, kiedy chce wiedzieć. Mogę na ten temat powiedzieć tylko to, że dopóki nie zrozumiesz metod człowieka, który wie, dopóty niemożliwe jest rozmawianie o tańczeniu czy widzeniu.

– Czy widziałeś jak on tańczy?

– Tak. Lecz nie każdy, kto patrzy na jego taniec, widzi, że jest to szczególny sposób zdobywania wiedzy.

Znałem Sacatecę, a przynajmniej wiedziałem, kim był. Spotkaliśmy się i kiedyś postawiłem mu piwo. Był bardzo uprzejmy i powiedział mi, żebym wpadł do niego, kiedy tylko będę miał na to ochotę. Nęciła mnie myśl odwiedzenia go, ale nie powiedziałem o tym don Juanowi.

14 maja 1962 roku, po południu, pojechałem do domu Sacateki. Opowiedział mi, jak do niego dojechać i nie miałem problemów z odnalezieniem właściwej drogi. Otoczony płotem dom znajdował się na rogu. Brama była zamknięta. Obszedłem ogrodzenie, patrząc, czy nie da się wślizgnąć do środka. Dom wydawał się opuszczony.

– Don Elias! – krzyknąłem.

Kurczaki przestraszyły się i rozbiegły po podwórzu, gdacząc zawzięcie. Mały pies podszedł do ogrodzenia. Myślałem, że będzie na mnie szczekał, on jednak tylko usiadł i przyglądał mi się. Zawołałem jeszcze raz, a kurczaki znowu się rozgdakały.

Z domu wyszła stara kobieta. Poprosiłem ją, żeby zawołała don Eliasa.

– Nie ma go – powiedziała.

– A gdzie go mogę znaleźć?

– Jest na polu.

– Gdzie na polu?

– Nie wiem. Proszę przyjść późnym popołudniem. Będzie koło piątej.

– Czy pani jest żoną don Eliasa?

– Tak, jestem jego żoną – powiedziała i uśmiechnęła się.

Próbowałem wypytać ją o Sacatecę, ale wykręciła się, że nie mówi dobrze po hiszpańsku. Wsiadłem więc do samochodu i odjechałem.

Wróciłem do jego domu około szóstej. Podjechałem pod bramę i zawołałem go po imieniu. Tym razem Sacateca był w domu. Włączyłem magnetofon, który w brązowym skórzanym futerale przewieszonym przez moje ramię wyglądał jak aparat fotograficzny. Sacateca sprawiał wrażenie, jakby mnie poznał.

– A, to ty – powiedział, uśmiechając się. – Jak się ma Juan?

– W porządku. A jak pan się miewa, don Elias?

Nie odpowiedział. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Na zewnątrz był bardzo spokojny, ale wyczułem jego skrępowanie.

– Czy Juan przysłał cię tu po coś?

– Nie. Sam przyszedłem.

– A po cóż to?

Jego pytanie zdradzało szczere zaskoczenie.

– Po prostu chciałem z panem porozmawiać – powiedziałem, mając nadzieję, że zabrzmi to zdawkowo. – Don Juan opowiadał mi o panu zdumiewające rzeczy, zaciekawiło mnie to i po prostu chciałem zadać panu kilka pytań.

Sacateca stał naprzeciwko mnie. Jego ciało było szczupłe i muskularne. Miał na sobie spodnie i koszulę w kolorze khaki. Jego oczy pozostawały na wpół przymknięte. Sprawiał wrażenie śpiącego albo może pijanego. Usta ze zwisającą dolną wargą miał lekko otwarte. Zauważyłem, że głęboko oddycha, prawie charczy. Przyszło mi do głowy, że niewątpliwie jest pijany do nieprzytomności. Nie miało to jednak sensu, ponieważ kilka minut wcześniej, kiedy przyszedłem do jego domu, był bardzo uważny i świadomy mojej obecności.

– O czym chcesz rozmawiać? – zapytał w końcu.

Głos miał zmęczony, słowa wypowiadał powoli i przeciągle. Poczułem się zakłopotany, jakby jego zmęczenie było zaraźliwe i wciągało mnie.

– O niczym konkretnym – odpowiedziałem. – Chciałem tylko pogadać z panem po przyjacielsku. Kiedyś zaprosił mnie pan do siebie.

– Tak, rzeczywiście, ale teraz to już nie to samo.

– Dlaczego nie to samo?

– Czyż nie rozmawiasz z Juanem?

– Tak, rozmawiam.

– Więc po co chcesz rozmawiać ze mną?

– Pomyślałem, że może mógłbym zadać panu kilka pytań.

– Spytaj Juana. Czy on cię nie uczy?

– Owszem, ale właśnie o to samo, co jego, chciałbym zapytać pana. Chciałbym poznać pana opinię o tym, czego on mnie uczy. W ten sposób będę wiedział, co robić.

– Dlaczego chcesz to robić? Nie ufasz Juanowi?

– Ufam.

– Więc dlaczego nie poprosisz jego, żeby ci powiedział to, co chcesz wiedzieć?

– Pytam go, a on mi odpowiada. Ale jeśli również pan opowiedziałby mi o tym, czego uczy mnie don Juan, może zrozumiałbym lepiej.

– Juan może ci wszystko powiedzieć. On sam może to zrobić. Czy ty tego nie rozumiesz?

– Rozumiem, ale ja chciałbym porozmawiać z ludźmi takimi jak pan, don Elias. Niecodziennie spotyka się człowieka wiedzy.

– Juan jest człowiekiem wiedzy.

– Wiem o tym.

– Więc po co rozmawiasz ze mną?

– Powiedziałem już, że przyszedłem, żeby się z panem zaprzyjaźnić.

– Nie, to nieprawda. Tym razem chodzi ci o coś innego.

Chciałem się wytłumaczyć, ale mogłem z siebie wydusić jedynie bezsensowne mamrotanie. Sacateca nic nie powiedział. Zdawał się uważnie słuchać. Znowu miał na pół przymknięte oczy, ale czułem, że wpatruje się we mnie. Prawie niedostrzegalnie skinął głową. Potem uniósł powieki i zobaczyłem jego oczy. Patrzył gdzieś obok mnie. Niedbale, czubkiem prawej stopy, uderzył w ziemię tuż za lewą piętą. Nogi lekko ugiął, a ręce luźno zwiesił po bokach. Potem podniósł prawe ramię. Otwartą dłoń skierował prostopadle do ziemi, rozłożone palce wskazywały na mnie. Lewą ręką potrząsnął kilka razy, po czym uniósł ją na wysokość mojej twarzy. Trzymał ją tak przez chwilę, po czym powiedział do mnie kilka słów. Jego głos był bardzo wyraźny, ale słowa wypowiadał przeciągle.

Po chwili opuścił rękę, która bezwładnie zwisła mu wzdłuż ciała i tak zastygł w bezruchu, przyjmując dziwną pozycję. Stał na palcach lewej nogi. Prawą stopę skrzyżował od tyłu z lewą. Czubkiem prawej rytmicznie i łagodnie uderzał w ziemię.

Czułem niczym nie usprawiedliwione zdenerwowanie i niepokój. Moje myśli były rozproszone i nonsensowne. Nie miały związku ze sobą i nic wspólnego z tym, co się aktualnie działo. Zauważyłem ten przykry stan i próbowałem skierować myśli z powrotem ku obecnej sytuacji. Jednak mimo wielkiego wysiłku nie byłem w stanie tego zrobić. Wyglądało to tak, jakby jakaś siła powstrzymywała mnie od skoncentrowania uwagi na odpowiednich myślach.

Sacateca nie odezwał się już więcej, a ja nie wiedziałem, co jeszcze mógłbym powiedzieć czy też zrobić. Automatycznie odwróciłem się i odszedłem.

Później poczułem się zobligowany do zrelacjonowania swojego spotkania z Sacateca don Juanowi. Don Juan wybuchnął śmiechem.

– Co się wtedy stało? – zapytałem.

– Sacateca zatańczył! – powiedział don Juan. – Widział cię, a potem zatańczył.

– Co on mi zrobił? Było mi zimno i miałem zawroty głowy.

– Najwidoczniej nie spodobałeś mu się, więc powstrzymał cię, rzucając na ciebie zaklęcie.

– Jak mógł to zrobić? – wykrzyknąłem z niedowierzaniem.

– Bardzo prosto, powstrzymał cię swoją wolą.

– Co powiedziałeś?

– Powstrzymał cię swoją wolą!

To wyjaśnienie mi nie wystarczyło. Stwierdzenie don Juana brzmiało w moich uszach jak bełkot. Próbowałem drążyć temat, ale on nie umiał wyjaśnić tego zdarzenia w satysfakcjonujący mnie sposób.

Oczywiście, to albo jakieś inne wydarzenie mające miejsce w odmiennym systemie sensownej interpretacji można wyjaśnić czy też zrozumieć jedynie w kategoriach jednostek znaczeniowych właściwych dla tego systemu. Niniejsza praca jest więc reportażem i powinna być czytana jak reportaż. Zarejestrowany przeze mnie system jest dla mnie niezrozumiały, dlatego też byłoby błędem i arogancją udawać, że jest to coś więcej niż sprawozdanie. Mając to na względzie, zastosowałem metodę fenomenologiczną i starałem się traktować magię jedynie jako zjawisko, które zostało mi przedstawione. Jako obserwator zarejestrowałem to, co obserwowałem, a w momencie rejestrowania starałem się powstrzymać od wydawania wszelkich osądów.

1

2 kwietnia 1968

Don Juan przyglądał mi się przez chwilę. Chociaż od naszego ostatniego spotkania upłynęły ponad dwa lata, nie sprawiał wrażenia zaskoczonego moim widokiem. Położył mi rękę na ramieniu, uśmiechnął się łagodnie i powiedział, że wyglądam nieco inaczej, bo utyłem i sflaczałem.

Przywiozłem mu egzemplarz mojej książki. Bez żadnego wstępu wyjąłem go z walizki i wręczyłem mu.

– To książka o tobie, don Juanie – powiedziałem.

Wziął ją i przerzucił strony, jakby były talią kart.

Podobał mu się zielony kolor na obwolucie i wielkość książki. Dotknął okładki dłonią, obrócił książkę kilka razy, po czym oddał mija.

Poczułem przypływ wielkiej durny.

– Chciałbym, żebyś ją zatrzymał – powiedziałem. Potrząsnął głową, śmiejąc się cicho.

– Lepiej nie – powiedział. – Wiesz, co robimy z papierem w Meksyku – dodał z szerokim uśmiechem.

Zaśmiałem się. Pomyślałem, że jego subtelna ironia jest piękna.

Siedzieliśmy na ławce w parku w małym, górskim miasteczku środkowego Meksyku. Nie znalazłem sposobu, żeby wcześniej poinformować go, że chcę go odwiedzić, byłem jednak pewny, że go znajdę i tak też się stało. Byłem w miasteczku tylko chwilę, kiedy don Juan właśnie zszedł z gór. Spotkałem go na rynku, przy straganie jednego z jego przyjaciół.

Don Juan ujął rzecz praktycznie, stwierdzając, że przyjechałem w samą porę, żeby zabrać go z powrotem do Sonory. Usiedliśmy w parku, czekając na jego przyjaciela, Indianina z plemienia Mazateków, z którym mieszkał.

Czekaliśmy około trzech godzin. Rozmawialiśmy o różnych nieistotnych sprawach, a pod koniec dnia, tuż przed nadejściem owego przyjaciela, opowiedziałem mu o kilku wydarzeniach, których byłem świadkiem przed kilkoma dniami.

Kiedy jechałem na spotkanie z nim, na obrzeżach jednego z miast zepsuł mi się samochód. Musiałem zostać w mieście przez trzy dni, podczas których samochód był w naprawie. Naprzeciwko sklepu motoryzacyjnego znajdował się motel, ale obrzeża miast zawsze działają na mnie przygnębiająco, więc zatrzymałem się w nowoczesnym ośmiopiętrowym hotelu w centrum miasta.

Boy hotelowy poinformował mnie, że w hotelu znajduje się restauracja. Kiedy zszedłem do niej, żeby coś zjeść, odkryłem, że kilka stolików stoi na chodniku. Usytuowana była w dość przyjemnym miejscu, na rogu ulicy, pod niskimi ceglanymi łukami o nowoczesnych liniach. Na zewnątrz panował chłód i były wolne stoliki, wolałem jednak usiąść w dusznym wnętrzu. Wchodząc zauważyłem, że grupka czyścibutów siedziała na krawężniku naprzeciw restauracji. Byłem pewien, że nagabywaliby mnie, gdybym usiadł przy stoliku na zewnątrz.

Z miejsca, przy którym usiadłem, mogłem przez szybę obserwować chłopców. Trzej młodzi mężczyźni w drogich garniturach zajęli stolik, a chłopcy otoczyli ich, chcąc wyczyścić im buty. Mężczyźni odmówili. Zaskoczyło mnie, że chłopcy nie nalegali, ale wrócili na swoje miejsce na krawężniku. Po chwili, gdy mężczyźni wstali i wyszli, chłopcy podbiegli do ich stolika i zaczęli zjadać resztki. W kilka sekund wyczyścili talerze. To samo stało się z resztkami na innych stolikach.

Zauważyłem, że dzieci były bardzo porządne. Kiedy wylały wodę, wycierały ją swoimi szmatkami do czyszczenia butów. Przyjrzałem się również dokładności towarzyszącej ich padlinożernym zwyczajom. Zjadali nawet kostki lodu pozostawione w szklankach z wodą i kawałki cytryny z herbaty, razem ze skórką. Nie zostawiali niczego.

Podczas pobytu w hotelu dowiedziałem się, że chłopcy mieli umowę z właścicielem restauracji. Wolno im było czekać w nadziei na zarobienie jakichś pieniędzy czyszczeniem gościom butów, a także zjadać resztki pod warunkiem, że nie napastowali nikogo i niczego nie rozbijali. Chłopców było

jedenastu, w wieku od pięciu do dwunastu lat, jednakże najstarszego grupa trzymała na dystans. Umyślnie wykluczali go z towarzystwa, ubliżając mu piosenkami o tym, że ma już włosy łonowe i jest za stary, żeby przebywać wśród nich.

Trzy dni przyglądania się chłopcom, którzy jak sępy rzucali się na najnędzniejsze z resztek, przygnębiły mnie. Wyjechałem z miasta z przeświadczeniem, że nie ma żadnej nadziei dla tych dzieci, których światem była codzienna walka o okruchy.

– Czy żałujesz ich? – wykrzyknął don Juan pytającym tonem.

– Oczywiście – odpowiedziałem.

– Dlaczego?

– Ponieważ interesuje mnie dobro moich współbraci. Te dzieci i ich świat są brzydkie i tandetne.

– Czekaj! Czekaj! Jak możesz mówić, że ich świat jest brzydki i tandetny? – powiedział don Juan, przedrzeźniając moje stwierdzenie. – Sądzisz, że tobie wiedzie się lepiej?

Przytaknąłem, a on wtedy spytał mnie, dlaczego tak uważam. Odparłem mu, że w porównaniu ze światem tych dzieci mój świat jest nieskończenie bardziej różnorodny, bogatszy w doświadczenia i możliwości osiągnięcia osobistej satysfakcji i rozwoju. Śmiech don Juana był przyjacielski i szczery. Powiedział, że nie wiem, co mówię i nie mam pojęcia o bogactwie i możliwościach istniejących w świecie tych dzieci.

Pomyślałem, że don Juan po prostu upiera się przy swoim punkcie widzenia tylko po to, żeby mnie rozzłościć. Byłem szczerze przekonany, że te dzieci nie miały najmniejszej szansy na rozwój intelektualny.

Wykłócałem się o mój punkt widzenia jeszcze przez chwilę, po czym don Juan spytał mnie wprost:

– Czyż nie powiedziałeś mi kiedyś, że twoim zdaniem największym osiągnięciem człowieka jest zostanie człowiekiem wiedzy?

Przytaknąłem, po czym powtórzyłem, że według mnie stanie się człowiekiem wiedzy jest jednym z największych osiągnięć intelektualnych.

– Czy uważasz, że twój bardzo bogaty świat pomoże ci kiedykolwiek stać się człowiekiem wiedzy? – nieco sarkastycznie spytał don Juan.

Nie odpowiedziałem, więc powtórzył pytanie, formułując je nieco inaczej, jak ja to zwykle robię, kiedy myślę, że nie rozumie, o co mi chodzi.

– Inaczej mówiąc – powiedział, uśmiechając się szeroko, oczywiście świadomy, że rozpoznałem jego wybieg – czy twoja wolność i możliwości pomagają ci stać się człowiekiem wiedzy?

– Nie! – powiedziałem stanowczo.

– Więc dlaczego jest ci przykro z powodu tych dzieci? – zapytał poważnie. – Każde z nich może zostać człowiekiem wiedzy. Wszyscy ludzie wiedzy, których znam, byli takimi dziećmi jak te, które widziałeś, wyjadającymi resztki i liżącymi stoły.

Usłyszawszy argument don Juana, poczułem się nieswojo. Nie dlatego czułem żal, że te upośledzone dzieci nie miały dość jedzenia, ale dlatego, że według mnie ich świat je skazał na intelektualny niedorozwój. Jednakże zdaniem don Juana każde z nich mogło osiągnąć to, co uważałem za esencję ludzkich dokonań intelektualnych, ten cel, jakim jest bycie człowiekiem wiedzy. Powód, dla którego im współczułem, był bezsensowny. Don Juan przygwoździł mnie dokładnie.

– Być może masz rację – powiedziałem. – Ale w jaki sposób można uniknąć pragnienia, naturalnego pragnienia niesienia pomocy współbraciom?

– A myślisz, że jak można im pomóc?

– Przynosząc im ulgę w cierpieniu. Przynajmniej można próbować ich zmienić. Ty sam to robisz, czyż nie?

– Nie, nie robię. Nie wiem, co mógłbym zmienić i dlaczego miałbym to robić?

– A co ze mną, don Juanie? Czy nie uczyłeś mnie po to, żebym mógł się zmienić?

– Nie. Nie próbuję cię zmieniać. Być może pewnego dnia zostaniesz człowiekiem wiedzy – nie ma sposobu, żeby się o tym przekonać – ale to cię nie zmieni. Pewnego dnia być może będziesz w stanie widzieć ludzi inaczej, a wtedy zdasz sobie sprawę, że nie ma sposobu, żeby cokolwiek w nich zmienić.

– Jaki jest ten inny sposób widzenia ludzi, don Juanie?

– Kiedy widzisz, ludzie wyglądają inaczej. Dymek pomoże ci zobaczyć ludzi jako świetliste włókna.

– Świetliste włókna?

– Tak. Włókna, takie jak biała nić pajęcza. Bardzo delikatne nici, które krążą od głowy do pępka. Dlatego też człowiek wygląda jak jajko złożone z krążących włókien. A jego ręce i nogi są jak świetliste szczecinki, wystrzeliwujące we wszystkich kierunkach.

– Czy wszyscy wyglądają w ten sposób?

– Wszyscy. Poza tym każdy człowiek utrzymuje kontakt ze światem zewnętrznym nie poprzez ręce, ale poprzez wiązkę długich włókien, wystrzeliwujących ze środka brzucha. Te włókna łączą człowieka z jego otoczeniem, utrzymują go w równowadze, dają mu stabilność. Tak więc, co być może sam będziesz widział pewnego dnia, człowiek jest świetlistym jajem, niezależnie od tego, czy jest żebrakiem, czy królem i nie sposobu, żeby cokolwiek w nim zmienić. Bo co by można zmienić w świetlistym jaju? Co?

2

Moja wizyta u don Juana rozpoczęła nowy cykl naszych spotkań. Bez kłopotu znowu, starym zwyczajem cieszyłem się jego zdolnościami aktorskimi, poczuciem humoru i cierpliwością, jaką miał do mnie. Wyraźnie czułem, że muszę częściej go odwiedzać. Kiedy nie spotykałem się z don Juanem, doznawałem poczucia wielkiej straty, a poza tym chciałem z nim przedyskutować coś szczególnego.

Po ukończeniu książki o jego naukach przejrzałem notatki, których nie wykorzystałem. Odrzuciłem sporo danych, ponieważ kładłem nacisk na stany niezwykłej rzeczywistości. Przeglądając je ponownie, doszedłem do wniosku, że wprawny czarownik mógł wprowadzić ucznia w najbardziej wyjątkowe stany percepcji za pomocą "manipulacji społecznymi kodami". Moja teoria dotycząca natury owych manipulacji opierała się na założeniu, że do wprowadzenia w pewne stany percepcji potrzebny był przywódca. Jako specyficzny przykład doświadczalny wybrałem spotkania czarowników przy pejotlu. Założyłem, że podczas tych spotkań czarownicy dochodzili do porozumienia co do natury rzeczywistości bez wymiany słów czy znaków, ale przy użyciu bardzo skomplikowanego kodu. Skonstruowałem rozbudowany system wyjaśniający kod i związane z nim reguły. Odwiedziłem don Juana, by zasięgnąć jego rady i opinii o mojej pracy.

21 maja 1968

Podczas podróży do don Juana nie wydarzyło się nic niezwykłego. Temperatura na pustyni wynosiła prawie czterdzieści stopni, było raczej nieprzyjemnie. Upał zelżał późnym popołudniem, a kiedy wczesnym wieczorem dotarłem do jego domu, wiał lekki wietrzyk. Nie byłem bardzo zmęczony, usiedliśmy więc w jego pokoju i zaczęliśmy rozmawiać. Czułem się rozluźniony i odprężony i tak minęło nam kilka godzin. Nie była to rozmowa, którą chciałbym zapisać. Nie zamierzałem poruszać ważkich tematów ani dochodzić do znaczących wniosków. Rozmawialiśmy o pogodzie, zbiorach, o jego wnuku, o Indianach Yaqui i rządzie meksykańskim. Powiedziałem don Juanowi, że bardzo lubię wspaniałe uczucie towarzyszące rozmowie w ciemności. Odparł, że to stwierdzenie jest zgodne z moją naturą gaduły. Lubię pogawędkę w ciemności, ponieważ rozmawianie to jedyna rzecz, jaką potrafię robić o tej porze dnia. Zaprotestowałem mówiąc, że podoba mi się coś więcej niż samo rozmawianie. Rozkoszuję się kojącym ciepłem otaczającej nas ciemności. Zapytał mnie, co robię w domu, kiedy jest ciemno. Odpowiedziałem, że zawsze włączam światło albo spaceruję po oświetlonych ulicach, aż do czasu, kiedy idę spać.

– Och! – powiedział z niedowierzaniem. – Myślałem, że już nauczyłeś się używać ciemności.

– A do czego można jej używać? – zapytałem.

Odparł, że ciemność, którą nazwał "ciemnością dnia", jest najlepszą porą do "widzenia". Podkreślił słowo "widzieć" szczególną modulacją głosu. Chciałem wiedzieć, co chciał przez to powiedzieć, ale stwierdził, że jest zbyt późno na zagłębianie się w temat.

22 maja 1968

Kiedy tylko się obudziłem, bez żadnego wstępu powiedziałem don Juanowi, że skonstruowałem system objaśniający to, co działo się podczas spotkań z pejotlem – mitote. Sięgnąłem po notatki i przeczytałem mu wszystko, co wymyśliłem. Słuchał cierpliwie, podczas gdy ja usiłowałem wyjaśnić swój system.

Powiedziałem, że uważani, iż konieczny jest ukryty przywódca, który doprowadza uczestników do porozumienia. Podkreśliłem, że ludzie uczestniczący w mitote pragną doświadczyć obecności Mescalito i nauczyć się od niego właściwego sposobu życia. Ludzie ci nigdy nie zamieniają ze sobą ani słowa, a nawet nie wykonują żadnego gestu, jednakże zgadzają się co do obecności Mescalito i specyficznej lekcji, którą im daje. Przynajmniej to właśnie było ich celem podczas mitote, w których uczestniczyłem. Przyznawali, że Mescalito objawiał im się indywidualnie i udzielał im lekcji. W oparciu o własne doświadczenie zauważyłem, że sposoby indywidualnych wizyt Mescalito i jego kolejne lekcje są uderzająco jednorodne, aczkolwiek ich przesłanie różni się w zależności od osoby. Nie potrafiłem wytłumaczyć owej spójności inaczej niż istnieniem subtelnego i złożonego systemu znaków.

Przeczytanie i wyjaśnienie don Juanowi skonstruowanego przeze mnie systemu zajęło mi prawie dwie godziny. Zakończyłem przemowę, błagając go, aby opowiedział mi własnymi słowami, na czym dokładnie polegało osiąganie porozumienia.

Kiedy skończyłem, zmarszczył brwi. Pomyślałem, że moje wyjaśnienia muszą stanowić dla niego wyzwanie. Zdawał się pogrążony w głębokich rozmyślaniach. Po dłuższym milczeniu spytałem go, co sądzi o mojej teorii.

Pytanie to sprawiło, że jego niezadowolona mina zamieniła się najpierw w uśmiech, a potem w gromki rechot. Spróbowałem również się roześmiać i spytałem nerwowo, co go tak rozbawiło.

– Jesteś szurnięty! – wykrzyknął. – Po co ktoś miałby zawracać sobie głowę szyfrowaniem podczas tak ważnego wydarzenia jak mitote? Czy ty myślisz, że ktoś mógłby kpić sobie z Mescalito?

Przez chwilę myślałem, że się wykręca, bo nie odpowiadał na moje pytanie.

– Dlaczego ktoś miałby szyfrować? – spytał z uporem don Juan. – Byłeś na mitote. Powinieneś wiedzieć, że nikt nie mówił ci, co masz odczuwać ani co masz robić, nikt z wyjątkiem samego Mescalito.

Upierałem się jednak, że takie wytłumaczenie jest nie do przyjęcia i jeszcze raz błagałem go, żeby mi powiedział, w jaki sposób dochodzi się do porozumienia.

– Wiem, dlaczego przyszedłeś – powiedział don Juan tajemniczym tonem. – Nie mogę ci pomóc w twoich staraniach, ponieważ nie ma żadnego systemu tajemnych znaków.

– Ale w jaki sposób ci wszyscy ludzie są zgodni co do obecności Mescalito?

– Zgadzają się, ponieważ widzą – powiedział don Juan dramatycznie, po czym dodał mimochodem: – Czemu nie pójdziesz na jeszcze jedno mitote, aby samemu widzieć?

Poczułem, że znalazłem się w pułapce. Nie powiedziałem nic, ale odłożyłem notatki. Don Juan nie nalegał.

Chwilę później poprosił, żebym go podwiózł do domu jednego z przyjaciół. Spędziliśmy tam większość dnia. W trakcie rozmowy przyjaciel don Juana, John, spytał mnie, co stało się z moim zainteresowaniem pejotlem. John dostarczył gałki pejotlu do mojego pierwszego doświadczenia, które miało miejsce prawie osiem lat temu. Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. Don Juan przyszedł mi z pomocą i poinformował Johna, że idzie mi całkiem nieźle. W drodze powrotnej do domu don Juana poczułem, że muszę skomentować pytanie Johna. Powiedziałem między innymi, że nie mam zamiaru uczyć się niczego więcej o pejotlu, ponieważ wymaga to tego rodzaju odwagi, której nie posiadam. Kiedy mówiłem, że z tym kończę, to nie żartowałem. Don Juan uśmiechnął się i nic nie powiedział. Gadałem przez cały czas, aż dotarliśmy do domu.

Usiedliśmy przed drzwiami. Dzień był ciepły i pogodny, ale wiatr wiał na tyle mocno, że to późne popołudnie stało się całkiem przyjemne.

– Dlaczego tak się upierasz? – powiedział nagle don Juan. – Od ilu lat powtarzasz, że nie chcesz się więcej uczyć?

– Od trzech.

– Dlaczego w tym przypadku jesteś taki porywczy?

– Czuję, że cię zdradzam, don Juanie. Wydaje mi się, że właśnie dlatego zawsze o tym mówię.

– Nie zdradzasz mnie.

– Zawiodłem cię. Uciekłem. Czuję, że jestem pokonany.

– Robisz, co możesz. Poza tym, jeszcze nie jesteś pokonany. To, czego cię muszę nauczyć, jest bardzo trudne. Dla mnie było to może nawet trudniejsze niż dla ciebie.

– Ale ty wytrwałeś, don Juanie. Mój przypadek jest inny. Ja zrezygnowałem i przyjechałem się z tobą zobaczyć nie dlatego, że pragnę się uczyć, ale dlatego, że chciałem cię prosić o wyjaśnienia potrzebne do mojej pracy.

Don Juan przyglądał mi się przez chwilę, po czym spojrzał w dal.

– Powinieneś pozwolić, aby dym poprowadził cię jeszcze raz – powiedział dobitnie.

– Nie, don Juanie, nie mogę więcej używać twojego dymu. Myślę, że się wyczerpałem.

– Nawet nie zacząłeś.

– Za bardzo się boję.

– Więc się boisz. Strach to nic nowego. Nie myśl o swoim strachu. Pomyśl o cudach widzenia!

– Bardzo chciałbym móc myśleć o tych cudach, ale nie mogę. Kiedy myślę o twoim dymie, czuję jakby ciemność, która mnie ogarnia. Tak jakby nie było już ludzi na ziemi, nikogo, do kogo można by się zwrócić. Twój dym ukazał mi ostateczną samotność, don Juanie.

– To nieprawda. Weź mnie na przykład. Dym jest moim sprzymierzeńcem, ja nie czuję takiej samotności.

– Lecz ty jesteś inny, pokonałeś swój strach. Don Juan poklepał mnie delikatnie po ramieniu.

– Ty się nie boisz – powiedział łagodnie. W jego głosie brzmiało dziwne oskarżenie.

– Czy kłamię, mówiąc o swoim strachu, don Juanie?

– Nie obchodzą mnie kłamstwa – powiedział surowo. – Interesuję się czym innym. To nie z powodu strachu nie chcesz się uczyć. Chodzi o coś innego.

Gwałtownie nalegałem, żeby powiedział mi, co to jest. Błagałem go, ale nic nie powiedział. Pokiwał tylko głową, jakby nie mógł uwierzyć, że nie wiem.

Powiedziałem mu, że być może to inercja powstrzymywała mnie od uczenia się. Chciał poznać znaczenie słowa “inercja". Przeczytałem mu ze słownika: “Tendencja materii do pozostawania w spoczynku, kiedy znajduje się ona w spoczynku lub też do poruszania się w jednym kierunku, gdy znajduje się ona w ruchu, aż do momentu zadziałania siły zewnętrznej".

– “Aż do momentu zadziałania siły zewnętrznej" – powtórzył. – To chyba najlepsze słowo, jakie znalazłeś. Powiedziałem ci już, że tylko wariat podjąłby się zadania zostania człowiekiem wiedzy z własnej woli. Człowieka zdrowego na umyśle trzeba oszukać, aby go do tego namówić.

– Jestem pewien, że wielu ludzi z chęcią podjęłoby się tego zadania – powiedziałem.

– Tak, ale tacy się nie liczą. Zazwyczaj są oni szurnięci. Są jak tykwy, które z zewnątrz wyglądają dobrze, ale gdybyś tylko je nacisnął, gdybyś tylko napełnił je wodą, zaraz zaczęłyby przeciekać. Już raz, podstępem, zmusiłem cię do nauki, w taki sam sposób, w jaki zmusił mnie mój dobroczyńca. Inaczej nie nauczyłbyś się tyle, ile się nauczyłeś. Być może nadszedł czas, żeby cię podejść po raz drugi.

Podstęp, o którym mówił, był jednym z najważniejszych punktów mojej nauki. Miało to miejsce kilka lat temu, ale w moim umyśle pozostawało tak żywe, jakby właśnie dopiero co się wydarzyło. Stosując mistrzowską manipulację, don Juan zmusił mnie kiedyś do bezpośredniej i przerażającej konfrontacji z kobietą, o której mówiono, że jest czarownicą. To starcie wywołało jej niezwykłą złość. Don Juan wykorzystał mój strach przed nią jako motywację do kontynuacji nauki. Powiedział mi, że muszę nauczyć się więcej czarów, aby ochronić się przed jej magicznymi atakami. Końcowe rezultaty tego podstępu były tak przekonywające, że poczułem, że jeśli chcę utrzymać się przy życiu, nie mam innego wyjścia niż nauczyć się tyle, ile tylko możliwe.

– Jeśli masz zamiar znowu postraszyć mnie tą kobietą, to po prostu więcej już nie wrócę – powiedziałem. Śmiech don Juana był niezwykle radosny.

– Nie martw się – rzekł uspokajająco. – Sztuczki ze strachem już na ciebie nie podziałają. Już się nie boisz. Lecz jeśli zajdzie taka konieczność, można cię będzie podejść wszędzie, gdziekolwiek byś nie był, wcale nie musisz być tutaj.

Położył się z dłońmi złożonymi pod głową i zasnął. Pracowałem nad notatkami do czasu, kiedy się przebudził kilka godzin później. Było prawie ciemno. Kiedy zauważył, że piszę, usiadł prosto, uśmiechnął się i spytał, czy pisząc, pozbyłem się problemu.

23 maja 1968

Rozmawialiśmy o Oaxaca. Powiedziałem don Juanowi, że kiedyś przyjechałem do miasta w dniu targowym, w którym to mnóstwo Indian z całego regionu zjeżdża się, aby sprzedawać jedzenie i różnego rodzaju błyskotki. Szczególnie zainteresował mnie mężczyzna sprzedający lecznicze rośliny. Miał drewniany kramik, w którym trzymał sporo małych słoików wypełnionych suchymi pokruszonymi roślinami. Stał na środku ulicy, trzymając w ręku słoik, i wykrzykiwał bardzo dziwną piosenkę:

Mam tutaj leki na pchły, muchy, komary i wszy.
Także dla świń, koni, kóz i krów.
Mam leki na wszystkie ludzkie choroby.
Na świnkę, odrę, reumatyzm i podagrę.
Przynoszę, co potrzeba na serce, wątrobę, żołądek i lędźwie.
Chodźcie tutaj, panie i panowie.

Mam tutaj leki na pchły, muchy, komary i wszy.

Słuchałem go przez dłuższy czas. Jego piosenka składała się z długiej listy ludzkich chorób, na które, jak twierdził, miał lekarstwa. Nadawał jej rytm, robiąc przerwę po każdych czterech elementach.

Don Juan powiedział, że on również sprzedawał zioła na rynku w Oaxaca, kiedy był młody. Przyznał się, że ciągle pamięta swoją reklamową piosenkę i wykrzyczał ją dla mnie. Mikstury przygotowywał jego przyjaciel Vicente.

– Te mikstury były naprawdę dobre – powiedział don Juan.– Mój przyjaciel Vicente robił doskonałe wyciągi z roślin.

Powiedziałem don Juanowi, że kiedyś, podczas jednej z moich wypraw do Meksyku, poznałem jego przyjaciela Vicente. Don Juan sprawiał wrażenie zaskoczonego i chciał dowiedzieć się czegoś więcej o tym spotkaniu.

Jechałem wtedy przez Durango i przypomniałem sobie, jak don Juan powiedział mi kiedyś, że powinienem odwiedzić jego przyjaciela, który tam mieszka. Szukałem go, odnalazłem i rozmawiałem z nim przez chwilę. Zanim odjechałem, dał mi worek z jakimiś roślinami i szereg wskazówek, jak posadzić jedną z nich.

Zatrzymałem się na drodze do Aguas Calientes. Upewniłem się, że w pobliżu nie ma nikogo. Przez jakieś dziesięć minut obserwowałem drogę i okolicę. W zasięgu wzroku nie było ani domów, ani też bydła pasącego się wzdłuż drogi. Stanąłem na szczycie małego wzgórza, skąd roztaczał się widok na drogę przede mną i za mną. W obu kierunkach w zasięgu mojego wzroku była ona pusta. Zaczekałem chwilę, żeby zorientować się w terenie i przypomnieć sobie wskazówki don Vicente. Wziąłem jedną z roślin, wszedłem na pole kaktusów po wschodniej stronie drogi i posadziłem ją, tak jak pouczył mnie don Vicente. Miałem ze sobą butelkę wody mineralnej, którą chciałem spryskać roślinę. Próbowałem ją otworzyć, uderzając o kapsel małym, żelaznym prętem, który posłużył mi do kopania, ale butelka eksplodowała, a odłamek szkła rozciął mi górną wargę aż do krwi.

Wróciłem do samochodu po następną butelkę wody mineralnej. Kiedy wyciągałem ją z bagażnika, zatrzymał się przy mnie mężczyzna kierujący volkswagenem combi i zapytał, czy nie potrzebuję pomocy. Usłyszawszy, że wszystko jest w porządku, odjechał. Poszedłem podlać roślinę. Kiedy wracałem i byłem może sto stóp od samochodu, usłyszałem jakieś głosy. Pośpiesznie zszedłem ze zbocza na szosę. Przy samochodzie zobaczyłem trzech Meksykanów, dwóch mężczyzn i jedną kobietę. Jeden z mężczyzn siedział na przednim zderzaku. Miał koło czterdziestki, był średniego wzrostu, miał czarne, kręcone włosy. Na plecach niósł tobołek, ubrany był w stare spodnie i wytartą różowawą koszulę. Na nogach miał za duże rozsznurowane buty, które sprawiały wrażenie niewygodnych. Był bardzo spocony.

Drugi mężczyzna stał jakieś dwadzieścia stóp od samochodu. Był drobnokościsty i niższy niż pierwszy. Miał proste, zaczesane do tyłu włosy. Trzymał mały pakunek i wyglądał na starszego, może koło pięćdziesiątki. Jego ubranie prezentowało się lepiej. Miał na sobie ciemnoniebieską kurtkę, jasnoniebieskie spodnie i czarne buty. W ogóle nie był spocony. Zdawał się trzymać na uboczu, jakby wykazując brak zainteresowania.

Kobieta również mogła mieć czterdziestkę. Była gruba i miała ciemną cerę. Nosiła czarne capri, biały sweter i czarne, szpiczaste buty. Nie miała pakunku, ale trzymała przenośne radio tranzystorowe. Wyglądała na bardzo zmęczoną, jej twarz pokrywały krople potu.

Kiedy podszedłem do nich, młodszy mężczyzna i kobieta zagadnęli mnie. Chcieli, żeby ich podwieźć. Powiedziałem, że nie mam miejsca w samochodzie. Pokazałem im, że tylne siedzenie załadowane jest do pełna i powtórzyłem, że naprawdę nie ma wolnego miejsca. Mężczyzna zasugerował, że gdybym jechał wolno, mogliby usadowić się na tylnym zderzaku albo położyć się na przednim błotniku. Pomyślałem, że ten pomysł jest absurdalny, lecz ich prośba była tak natarczywa, że zrobiło mi się smutno i poczułem się zakłopotany. Dałem im więc trochę pieniędzy na autobus.

Młodszy mężczyzna wziął banknoty i podziękował mi, ale starszy pogardliwie odwrócił się do mnie plecami.

– Chcę jechać – powiedział. – Nie interesują mnie pieniądze. Czy nie możesz dać nam trochę jedzenia albo wody? – zapytał mnie.

Nie miałem niczego, co mógłbym im dać. Stali tak, patrząc na mnie, a po chwili zaczęli się oddalać.

Wsiadłem do samochodu i spróbowałem zapalić silnik. Upał był bardzo duży, a silnik chyba zalany. Młodszy mężczyzna, usłyszawszy tłukący się starter, zatrzymał się, wrócił i stanął za samochodem,

przygotowany do pchania. Poczułem niewiarygodny strach. Z trudem łapałem powietrze. Silnik w końcu zapalił i szybko się stamtąd zmyłem.

Kiedy skończyłem opowiadać tę historię, don Juan zamyślił się na chwilę.

– Dlaczego nie opowiedziałeś mi o tym wcześniej? – zapytał, nie patrząc na mnie.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Wzruszyłem ramionami i odparłem, że nigdy nie wydawało mi się to ważne.

– To jest cholernie ważne! – powiedział don Juan. – Vicente to czarownik pierwszej klasy. Dał ci coś do zasadzenia, bo miał swoje powody. Jeśli spotkałeś troje ludzi, którzy zjawili się jakby wyskoczyli spod ziemi zaraz po tym, jak posadziłeś roślinę, to także miało swoją przyczynę. Tylko taki głupiec, jak ty mógł zlekceważyć ten wypadek i uznać go za nieważny.

Don Juan chciał dokładnie wiedzieć, co wydarzyło się podczas mojej wizyty u don Vicente.

Powiedziałem mu, że jadąc przez miasto, mijałem rynek. Przyszło mi wtedy do głowy, żeby poszukać don Vicente. Wszedłem na rynek i skierowałem się do części zielarskiej. Stały tam w rządku trzy stragany, ale należały do trzech grubych kobiet. Przeszedłem wzdłuż nich, za rogiem znalazłem jeszcze jeden. Stał przy nim szczupły, drobny człowiek o białych włosach. W chwili, gdy go ujrzałem, sprzedawał jakiejś kobiecie klatkę na ptaki.

Poczekałem, aż został sam, po czym spytałem go, czy zna Vicente Medrano. Popatrzył na mnie, nic nie mówiąc.

– Czego chcesz od tego Vicente Medrano? – zapytał w końcu.

Powiedziałem, że przyszedłem go odwiedzić w imieniu jednego z jego przyjaciół, don Juana. Stary człowiek przyglądał mi się przez chwilę w milczeniu, po czym przedstawił się jako Vicente Medrano, pozostający do moich usług. Poprosił, żebym usiadł. Sprawiał wrażenie zadowolonego, był odprężony i szczerze przyjazny. Opowiedziałem mu o mojej przyjaźni z don Juanem. Poczułem, jak w jednej chwili powstaje między nami nić sympatii. Okazało się, że zna don Juana od czasu, gdy mieli po dwadzieścia lat. Don Vicente nie szczędził pochwał don Juanowi. Pod koniec powiedział wzruszonym głosem:

– Juan jest prawdziwym człowiekiem wiedzy. Ja sam zajmuję się mocami roślin raczej krótko. Zawsze interesowały mnie ich właściwości uzdrawiające; zbierałem nawet książki botaniczne, które dopiero co sprzedałem.

Przez chwilę nic nie mówił; kilka razy podrapał się po brodzie. Sprawiał wrażenie, jakby szukał właściwego słowa.

– Można powiedzieć, że ja jestem tylko człowiekiem żałosnej wiedzy – powiedział. – Nie to co Juan, mój indiański brat.

Znowu na chwilę zapadła cisza. Jego oczy lśniły, patrzył na ziemię po mojej lewej stronie.

Potem zwrócił się do mnie i wyszeptał:

– O jakże wysoko wzlatuje mój indiański brat!

Don Vicente wstał. Wyglądało na to, że nasza rozmowa dobiegła końca.

Gdyby ktoś inny powiedział coś o indiańskim bracie, uznałbym to za tani frazes. Jednakże ton don Vicente był tak szczery, a jego oczy tak jasne, że oczarował mnie obraz jego indiańskiego brata wysoko wzlatującego. Wierzyłem, że jest tak, jak mówi.

– Żałosna wiedza, a niech to! – wykrzyknął don Juan po wysłuchaniu całej historii. – Vicente jest brujo. Dlaczego poszedłeś go odwiedzić?

Przypomniałem mu, że sam prosił mnie, abym odwiedził don Vicente.

– Ależ to absurd! – wykrzyknął dramatycznie. – Powiedziałem ci, że pewnego dnia, kiedy nauczysz się widzieć, powinieneś złożyć wizytę mojemu przyjacielowi Vicente. Tak właśnie powiedziałem. Ale ty oczywiście nie słuchałeś.

Upierałem się, że w żadnym przypadku poznanie don Vicente nie mogło przynieść mi szkody, jego maniery i uprzejmość oczarowały mnie.

Don Juan pokręcił głową i na wpół żartobliwym tonem wyraził swój podziw dla mojego, jak to nazwał, zaskakującego szczęścia. Stwierdził, że odwiedzić don Vicente było tym samym, co wejść do

jaskini lwa, uzbroiwszy się jedynie w gałązkę. Don Juan był wstrząśnięty, ja jednak nie mogłem zrozumieć przyczyny jego troski. Don Vicente był pięknym człowiekiem. Zdawał się taki kruchy, jego nieziemskie oczy nadawały mu eterycznego wyglądu. Zapytałem don Juana, jak tak piękna osoba może być niebezpieczna.

– Jesteś cholernym głupcem – powiedział i przez chwilę patrzył nieruchomo. – On sam nie zrobi ci krzywdy, ale wiedza jest mocą, a kiedy człowiek wkroczy na jej ścieżkę, nie jest już odpowiedzialny za to, co może stać się tym, którzy wchodzą z nim w kontakt. Powinieneś go odwiedzić dopiero wtedy, kiedy twoja wiedza będzie wystarczająca, żebyś mógł się obronić. Nie przed nim, ale przed mocą, jaką ujarzmił, mocą, która – nawiasem mówiąc – nie należy ani do niego, ani do nikogo innego. Usłyszawszy, że jesteś moim przyjacielem, Vicente przyjął, że wiesz jak się ochronić i zrobił ci prezent. Najwidoczniej cię polubił i jego prezent musiał być wspaniały, a ty go wyrzuciłeś. Jaka szkoda!

24 maja 1968

Cały dzień męczyłem don Juana, żeby opowiedział mi o podarunku don Vicente. Na wszelkie sposoby starałem się mu wytłumaczyć, że musi uwzględnić różnice między nami. Powiedziałem, że to, co jest oczywiste dla niego, dla mnie może być całkowicie niezrozumiałe.

– Ile dał ci roślin? – zapytał w końcu.

Powiedziałem, że cztery, ale w rzeczywistości nie mogłem sobie przypomnieć. Poza tym don Juan chciał wiedzieć dokładnie, co się stało od chwili pożegnania z don Vicente i do momentu zatrzymania się przy drodze. Lecz tego również nie byłem w stanie sobie przypomnieć.

– Ważna jest ilość roślin, jak również kolejność wydarzeń – powiedział. – Jak mogę ci powiedzieć, co dostałeś, jeśli nie pamiętasz, co się wtedy stało?

Bezskutecznie usiłowałem przypomnieć sobie kolejność wydarzeń.

– Gdybyś przypomniał sobie wszystko, co się wtedy wydarzyło – rzekł – mógłbym ci przynajmniej powiedzieć, w jaki sposób pozbyłeś się podarunku.

Don Juan zdawał się zaniepokojony. Ponaglał mnie niecierpliwie, żebym przypomniał sobie, co się stało, ale miałem lukę w pamięci.

– Jak myślisz, co zrobiłem źle, don Juanie? – powiedziałem, żeby podtrzymać rozmowę.

– Wszystko.

– Przecież wypełniłem instrukcje don Vicente co do joty.

– I co z tego? Czy nie rozumiesz, że postępowanie zgodne z jego instrukcjami było bez znaczenia?

– Dlaczego?

– Ponieważ te instrukcje były przeznaczone dla kogoś, kto widzi, a nie dla idioty, który uszedł z życiem tylko dzięki szczęściu. Poszedłeś na spotkanie z don Vicente bez przygotowania. Polubił cię i dał ci prezent. A ten prezent mógł cię kosztować życie.

– Ale dlaczego dał mi coś tak poważnego? Jeśli jest czarownikiem, powinien wiedzieć, że niczego nie wiem.

– Nie. Nie mógł tego widzieć. Wyglądasz tak, jakbyś wiedział, ale w rzeczywistości nie wiesz zbyt wiele.

Powiedziałem, że jestem do głębi przekonany, że nigdy nie przedstawiałem się niezgodnie z prawdą, a przynajmniej nie celowo.

– Nie to miałem na myśli – rzekł. – Gdybyś się wymądrzał, Vicente zauważyłby to. To coś gorszego niż zmyślanie. Kiedy cię widzę, wyglądasz tak, jakbyś dużo wiedział, a przecież zdaję sobie sprawę, że tak nie jest.

– A wydaje się, że co znam, don Juanie?

– Oczywiście sekrety mocy, wiedzę brujo. Tak więc, kiedy Vicente widział cię, dał ci prezent, a ty postąpiłeś z nim tak, jak pies postępuje z jedzeniem, kiedy ma pełny brzuch. Sika na jedzenie, gdy już nie może jeść, żeby inne psy też tego nie zjadły. Ty zrobiłeś to samo z prezentem. Teraz nigdy się nie dowiemy, co się naprawdę wydarzyło. Straciłeś bardzo dużo. Wielka szkoda!

Przez jakiś czas nic nie mówił, potem wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– Narzekanie nie ma sensu – powiedział – a jednak trudno tego nie robić. Dary mocy zdarzają się tak rzadko w życiu człowieka. Są niezwykłe i bezcenne. Weź na przykład mnie: nikt nigdy nie zrobił mi takiego prezentu. Niewielu ludzi go dostało. Zmarnowanie czegoś tak wyjątkowego to wstyd.

– Rozumiem, co masz na myśli, don Juanie – powiedziałem. – Czy mogę coś zrobić, żeby uratować ten prezent?

– Uratować prezent, uratować prezent – powtórzył kilka razy i roześmiał się. – To brzmi ładnie – powiedział. – Podoba mi się. Niestety, nie można nic zrobić, żeby ocalić twój prezent.

25 maja 1968

Don Juan spędził prawie cały dzień na pokazywaniu mi, w jaki sposób robi się pułapki na małe zwierzęta. Przycinaliśmy i czyściliśmy gałęzie przez cały ranek. Miałem wiele pytań. Musiałem mówić do don Juana w trakcie pracy, a on zażartował, że z nas dwóch tylko ja potrafię równocześnie poruszać rękami i ustami.

W końcu usiedliśmy, żeby odpocząć. Wyrzuciłem z siebie pytanie:

– Jak to jest widzieć, don Juanie?

– Żeby to wiedzieć, musisz nauczyć się widzieć. Nie mogę ci powiedzieć.

– Czy to jest sekret, którego nie powinienem poznać?

– Nie. Po prostu nie potrafię tego opisać.

– Dlaczego?

– Nie miałoby to dla ciebie sensu.

– Spróbuj, don Juanie. Może jednak będzie to miało dla mnie jakiś sens.

– Nie. Musisz sam to zrobić. Kiedy się nauczysz, będziesz każdą rzecz na świecie widział inaczej.

– Więc ty, don Juanie, nie widzisz już świata w zwykły sposób?

– Widzę go na dwa sposoby. Kiedy chcę patrzeć na świat, widzę go tak, jak ty. A kiedy chcę go widzieć, patrzę na niego w znany mi sposób i postrzegam go inaczej.

– Czy rzeczy wyglądają dokładnie tak samo za każdym razem, kiedy je widzisz?

– Rzeczy się nie zmieniają. Tylko twój sposób widzenia się zmienia, to wszystko.

– Chciałem, don Juanie, zapytać cię, czy kiedy widzisz, dajmy na to, jedno i to samo drzewo, czy ono pozostaje takie samo za każdym razem, kiedy je widzisz?

– Nie. Zmienia się, ale równocześnie pozostaje takie samo.

– Ale jeśli to samo drzewo zmienia się za każdym razem, kiedy je widzisz, to twoje widzenie może być po prostu iluzją.

Don Juan zaśmiał się i przez jakiś czas nie odpowiadał. Rozmyślał. W końcu powiedział:

– Za każdym razem, gdy ty patrzysz na rzeczy, nie widzisz ich. Patrzysz tylko na nie, chyba wyłącznie po to, żeby się upewnić, że jednak coś istnieje. Ponieważ nie interesuje cię widzenie, rzeczy wyglądają dla ciebie mniej więcej tak samo za każdym razem, kiedy na nie patrzysz. Jeśli jednak umiesz widzieć, dana rzecz nigdy nie jest taka sama za każdym razem, kiedy ją widzisz, a równocześnie jednak pozostaje taka sama. Powiedziałem ci na przykład, że człowiek wygląda jak jajo. Zawsze, kiedy widzę konkretnego człowieka, widzę jajo, ale nie jest to to samo jajo.

– Ale w takim razie nie będziesz w stanie niczego rozpoznać, jeśli nic nie jest takie samo. Jakie są więc pożytki z nauki widzenia?

– Możesz odróżniać rzeczy. Widzisz je takimi, jakimi są naprawdę.

– Czy ja nie widzę rzeczy takimi, jakimi są naprawdę?

– Nie. Twoje oczy potrafią jedynie patrzeć. Weź na przykład ludzi, których spotkałeś, tę trójkę Meksykanów. Opisałeś ich ze szczegółami, nawet powiedziałeś mi, jak byli ubrani. To jedynie upewniło mnie, że wcale ich nie widziałeś. Gdybyś potrafił widzieć, wiedziałbyś od razu, że oni nie byli ludźmi.

– Nie byli ludźmi? No to czym byli?

– Nie byli ludźmi, to wszystko.

– Ale to niemożliwe. Oni byli tacy, jak ty i ja.

– Nie, nie byli. Jestem tego pewien.

Zapytałem go, czy byli upiorami, duchami, czy też może duszami zmarłych ludzi. Odpowiedział, że nie wie, co to są upiory, duchy i dusze zmarłych.

Przetłumaczyłem mu z Webster's New World Dictionary definicję słowa upiór: “Rzekomo uwolniony z ciała duch zmarłego człowieka, wyobrażany jako blade, niewyraźne widmo". Następnie przeczytałem definicję ducha: “Nadprzyrodzona istota, szczególnie taka (...) jak upiór, zamieszkująca pewne regiony, posiadająca określony (dobry lub zły) charakter".

Don Juan powiedział, że można by je nazwać duchami, chociaż definicja, którą przeczytałem, nie całkiem do nich pasowała.

– Czy oni są jakiegoś rodzaju strażnikami? – zapytałem.

– Nie. Oni niczego nie pilnują.

– Czy są nadzorcami? Czy sprawują nad nami nadzór?

– Są siłami – ani dobrymi, ani złymi, po prostu siłami, które brujo uczy się ujarzmiać.

– Czy są sprzymierzeńcami, don Juanie?

– Tak, są sprzymierzeńcami człowieka wiedzy.

Po raz pierwszy w całej naszej ośmioletniej znajomości don Juan był bliski zdefiniowania “sprzymierzeńca".

Prosiłem go o to chyba setki razy. Zazwyczaj ignorował moje pytanie, mówiąc, że wiem, czym jest sprzymierzeniec i że głupio powtarzać to, co już wiem. Bezpośrednie określenie natury sprzymierzeńca było nowością, poczułem się więc zobowiązany do zgłębiania tematu.

– Powiedziałeś mi, że sprzymierzeńcy są w roślinach – zacząłem – w bieluniu i w grzybach.

– Nigdy ci tego nie mówiłem – zaprzeczył z przekonaniem. – Ty zawsze pochopnie wyciągasz wnioski.

– Ale ja to zapisałem w notatkach, don Juanie.

– Możesz sobie pisać, co ci się tylko podoba, ale nie wmawiaj mi, że ja tak powiedziałem.

Przypomniałem mu, że na początku powiedział mi, iż sprzymierzeńcem jego dobroczyńcy był bieluń, a jego własnym – dymek. I że później wyjaśnił to, mówiąc, że sprzymierzeniec jest w każdej roślinie.

– Nie. To nie tak – powiedział, marszcząc brwi. – Mój sprzymierzeniec jest w dymku, ale to nie znaczy, że jest w mieszance do palenia, w grzybach albo też w mojej fajce. Muszę połączyć je wszystkie razem, żeby zaprowadziły mnie do sprzymierzeńca. Tego sprzymierzeńca nazywam dymkiem z powodów osobistych.

Don Juan powiedział, że troje spotkanych przeze mnie ludzi, których on nazwał “tymi, którzy nie są ludźmi" – los que no son genie – było w rzeczywistości sprzymierzeńcami don Vicente.

Przypomniałem mu, że twierdził, iż różnica pomiędzy sprzymierzeńcem a Mescalito polega na tym, iż sprzymierzeniec jest niewidoczny, podczas gdy każdy mógł z łatwością zobaczyć Mescalito.

Rozpoczęliśmy długą dyskusję. Don Juan powiedział, że sprzymierzeniec jest niewidoczny, ponieważ może przyjąć dowolną formę. Kiedy zauważyłem, że to samo mówił o Mescalito, zakończył rozmowę stwierdzeniem, że “widzenie", o którym mówił, nie jest zwykłym “patrzeniem na rzeczy", a chaos w mojej głowie wynika z upierania się przy gadaniu.

Kilka godzin później don Juan wrócił do tematu sprzymierzeńców. Wyczułem, że moje pytania zdenerwowały go, więc nie upierałem się więcej. Właśnie pokazywał mi, jak się robi pułapkę na króliki. Musiałem trzymać długi patyk i tak go zgiąć, żeby można było związać jego końce sznurkiem. Patyk był raczej cienki, mimo to zgięcie go wymagało użycia sporej siły. Głowa i ramiona drżały mi z wysiłku, a kiedy don Juan wreszcie zawiązał sznurek, byłem prawie zupełnie wyczerpany.

Usiedliśmy i zaczęliśmy rozmawiać. Powiedział, że najwyraźniej niczego nie zrozumiem, jeśli o tym nie porozmawiam. Stwierdził, że nie ma nic przeciwko moim pytaniom i opowie mi o sprzymierzeńcach.

– Sprzymierzeńca nie ma w dymie – rzekł. – Dym zabiera cię do miejsca, w którym on przebywa, a

kiedy stajesz się jednością ze sprzymierzeńcem, nie musisz już więcej palić. Od tego momentu możesz wzywać sprzymierzeńca do woli i nakłaniać go do robienia wszystkiego, czego zapragniesz. Sprzymierzeńcy nie są ani dobrzy, ani źli, a czarownicy używają ich do każdego celu, jaki uważają za stosowny. Lubię dymek jako sprzymierzeńca, ponieważ nie wymaga wiele ode mnie. Jest wierny i porządny.

– Jak ty widzisz sprzymierzeńca, don Juanie? Na przykład tych troje ludzi, których spotkałem: wydawali mi się zwykłymi ludźmi. Jak wyglądaliby dla ciebie?

– Tak jak zwykli ludzie.

– Wobec tego, jak można ich odróżnić od prawdziwych ludzi?

– Kiedy widzisz prawdziwych ludzi wyglądają jak świetliste jaja. Nie-ludzie zawsze wyglądają jak ludzie. To miałem na myśli mówiąc, że nie możesz widzieć sprzymierzeńca. Sprzymierzeńcy przybierają różne formy. Wyglądają jak psy, kojoty, ptaki, nawet jak dmuchawce, albo cokolwiek innego. Jedyną różnicą jest to, że kiedy ich widzisz, wyglądają dokładnie jak to, co właśnie udają. Kiedy widzisz, wszystko ma swój specyficzny sposób bycia. Tak samo jak ludzie, którzy wyglądaj ą jak jaj a, inne rzeczy podobne są do czegoś innego. Natomiast sprzymierzeńców zobaczyć można jedynie w takiej formie, którą przybrali. Ta forma wystarczy, aby oszukać oczy, nasze oczy. Ani pies, ani wrona, nigdy nie dadzą się zwieść.

– Dlaczego mieliby nas oszukiwać?

– Myślę, że wszyscy jesteśmy błaznami. Oszukujemy samych siebie. Sprzymierzeńcy po prostu przyjmują zewnętrzny wygląd tego, co jest dookoła, a my bierzemy ich za coś, czym nie są. To nie ich wina, że nauczyliśmy swoje oczy patrzeć tylko na rzeczy.

– Ich funkcja jest dla mnie niejasna, don Juanie. Co sprzymierzeńcy robią na świecie?

– To tak, jakbyś mnie spytał, co ludzie robią na świecie. Naprawdę nie wiem. Jesteśmy tutaj, to wszystko. A sprzymierzeńcy są tu tak samo jak i my, może byli tu nawet przed nami.

– Co masz na myśli, mówiąc “przed nami", don Juanie?

– My, ludzie, nie zawsze tu byliśmy.

– Mówisz tu, w tym kraju, czy tu, w tym świecie? W tym momencie rozpoczęła się kolejna dyskusja.

Don Juan powiedział, że dla niego istnieje tylko ten świat, miejsce, gdzie stawia swoją stopę. Zapytałem go, skąd wie, że nie od zawsze jesteśmy na tym świecie.

– To bardzo proste – stwierdził. – My, ludzie, wiemy o świecie bardzo mało. Kój ot wie znacznie więcej niż my. Prawie nigdy nie daje się oszukać pozorom tego świata.

– Więc dlaczego możemy go łapać i zabijać? – zapytałem. – Jeśli nie zwodzą go pozory świata, to dlaczego umiera tak łatwo?

Don Juan przyglądał mi się tak długo, że poczułem się zakłopotany.

– Możemy złapać kojota w potrzask, możemy go otruć albo zastrzelić – powiedział. – Jakkolwiek byśmy tego nie zrobili, kój ot zawsze będzie dla nas łatwą zdobyczą, ponieważ ludzkie machinacje są mu obce. Gdyby jednakże kojot przeżył, możesz być pewien, że już nigdy byśmy go nie złapali. Dobry myśliwy wie o tym, dlatego nigdy nie ustawia pułapki dwa razy w tym samym miejscu, ponieważ kiedy kojot umiera w pułapce, inne kojoty widzą jego śmierć unoszącą się nad tym miejscem. Będą wtedy unikać pułapki, a nawet całego otaczającego ją terenu. My zaś nigdy nie widzimy śmierci, która zatrzymała się w miejscu, gdzie umarł jeden z naszych współbraci. Możemy podejrzewać, że tam jest, ale nigdy jej nie widzimy.

– Czy kojot widzi sprzymierzeńca?

– Z pewnością.

– Jak sprzymierzeniec wygląda w oczach kojota?

– Musiałbym być kojotem, żeby to wiedzieć. Mogę ci jednak powiedzieć, że w oczach wrony wygląda on jak szpiczasty kapelusz. Okrągły i szeroki na dole, zakończony długim szpicem. Niektóre z nich świecą, ale większość jest matowa i zdaje się bardzo ciężka. Przypominają ociekający wodą kawałek tkaniny. Przyjmują różne kształty.

– Jak wyglądają, kiedy ty ich widzisz, don Juanie?

– Powiedziałem ci już, że wyglądają jak to, co właśnie udają. Przybierają dowolny kształt i rozmiar, jaki im pasuje. Mogą mieć kształt kamienia albo góry.

– Czy oni mówią, śmieją się albo wydają jakieś dźwięki?

– W towarzystwie ludzi zachowują się jak ludzie. Wśród zwierząt – jak zwierzęta. Zwierzęta zazwyczaj się ich boją, jeśli jednak są przyzwyczajone do ich widoku, zostawiają ich w spokoju. My postępujemy podobnie. Pośród nas jest mnóstwo sprzymierzeńców, jednak ich nie niepokoimy. Ponieważ nasze oczy mogą tylko na nich patrzeć, nie zauważamy ich.

– Chcesz powiedzieć, że niektórzy ludzie, których spotykam na ulicy, nie są prawdziwymi ludźmi? – zapytałem prawdziwie zaskoczony tym, co usłyszałem.

– Niektórzy z nich nie są – powiedział stanowczo.

Jego stwierdzenie brzmiało niedorzecznie, nie mogłem jednak wyobrazić sobie don Juana mówiącego coś takiego tylko po to, żeby wywrzeć na mnie wrażenie. Powiedziałem mu, że brzmi to jak opowieść science-fiction o istotach z innej planety. Odrzekł, że nie obchodzi go, jak to brzmi, ale niektórzy ludzie na ulicach nie są ludźmi.

– Dlaczego uważasz, że każda osoba w tłumie jest istotą ludzką? – zapytał z najwyższą powagą.

Naprawdę nie potrafiłem wytłumaczyć dlaczego, poza tym że przyzwyczaiłem się w to wierzyć. Był to z mojej strony akt czystej wiary.

Wyjaśniał dalej, mówiąc, że bardzo lubi obserwować ruchliwe miejsca, gdzie znajduje się dużo ludzi. Czasem widział tłum ludzi wyglądających jak jaja, a w masie jajopodobnych istot zauważał jedną wyglądającą dokładnie jak człowiek.

– To bardzo zabawne – powiedział, śmiejąc się – a przynajmniej zabawne dla mnie. Lubię przesiadywać w parkach i na dworcach autobusowych i obserwować. Czasem od razu zauważam sprzymierzeńca; kiedy indziej widzę tylko prawdziwych ludzi. Raz zobaczyłem dwóch sprzymierzeńców siedzących obok siebie w autobusie. Tylko ten jeden raz w życiu widziałem dwóch jednocześnie.

– Czy to, że zobaczyłeś ich dwóch, miało dla ciebie szczególne znaczenie?

– Z pewnością. Wszystko, co oni robią, ma znaczenie. Z ich działań brujo może czasem czerpać moc. Nawet jeśli brujo nie ma własnego sprzymierzeńca, jeśli tylko potrafi widzieć, może czerpać moc, obserwując działania sprzymierzeńców. Mój dobroczyńca nauczył mnie tego i przez wszystkie lata, aż do czasu, kiedy zdobyłem własnego sprzymierzeńca, szukałem ich pośród tłumu. Za każdym razem, kiedy widziałem jakiegoś, uczyłem się od niego. Ty spotkałeś trzech naraz. Zmarnowałeś naprawdę wspaniałą lekcję.

Nie odezwał się, dopóki nie skończyliśmy składać pułapki na króliki. Potem odwrócił się do mnie i powiedział nagle, tak jakby sobie właśnie o tym przypomniał, że jeszcze jedną ważną rzeczą dotyczącą sprzymierzeńców jest spotkanie naraz dwóch sprzymierzeńców tego samego rodzaju. Tych dwóch, których on widział, było mężczyznami, więc jeśli ja spotkałem dwóch mężczyzn i kobietę, łatwo można się domyślić, że przeżyłem coś jeszcze bardziej niezwykłego.

Zapytałem, czy sprzymierzeńcy przyjmują postać dzieci, a jeśli tak, to czy te dzieci są tej samej, czy też różnej płci. Czy sprzymierzeńcy przyjmują postać ludzi różnych ras, czy mogą być rodziną złożoną z mężczyzny, kobiety i dziecka, a w końcu, czy widział kiedyś sprzymierzeńca prowadzącego samochód albo autobus.

Don Juan nic nie odpowiedział. Uśmiechnął się i pozwolił mi mówić. Po moim ostatnim pytaniu wybuchnął śmiechem i stwierdził, że zadaję nie przemyślane pytania, bo znacznie odpowiedniejsze byłoby, czy widział kiedykolwiek sprzymierzeńca na motorze.

– Nie chcesz przecież pominąć motocykli, prawda? – powiedział z figlarnym błyskiem w oku.

Pomyślałem sobie, że nabija się z moich pytań, lecz było to zabawne i niefrasobliwe, więc śmiałem się razem z nim.

Potem wyjaśnił, że sprzymierzeńcy nie mogą oddziaływać na nic bezpośrednio, potrafią jednak wpływać na człowieka w sposób pośredni. Don Juan powiedział, że wejście w kontakt ze sprzymierzeńcem jest niebezpieczne, gdyż może on wyciągnąć na wierzch najgorszą stronę natury człowieka. Nauka jest długa i żmudna, ponieważ żeby wytrzymać wstrząs takiego spotkania, trzeba zredukować do minimum wszystko to, co w życiu jest niepotrzebne. Don Juan powiedział, że kiedy jego dobroczyńca po raz pierwszy wszedł w kontakt ze sprzymierzeńcem, poparzył się i był tak

podrapany, jakby poturbowała go puma. W przypadku don Juana sprzymierzeniec popchnął go na stos palącego się drewna. Don Juan oparzył się wtedy lekko w kolano i w łopatkę, ale blizny zniknęły, kiedy stał się jednością ze sprzymierzeńcem.

3

10 czerwca 1968 roku wyruszyłem z don Juanem w długą podróż, aby wziąć udział w mitote. Czekałem na tę okazję wiele miesięcy. Nie byłem jednak całkiem pewny, czy rzeczywiście chcę tam pojechać. Bałem się, że na tym spotkaniu będę musiał spożyć pejotl i to właśnie – jak sądziłem – było powodem mojego wahania. Wcale nie miałem zamiaru tego robić. Kilkakrotnie poinformowałem o tym don Juana. Z początku śmiał się cierpliwie, aż w końcu zdecydowanie oświadczył, że nie chce więcej słyszeć o moim strachu.

Jeśli chodzi o mnie, mitote było idealnym miejscem do przeprowadzenia weryfikacji skonstruowanej przeze mnie teorii. Właściwie nigdy do końca nie zrezygnowałem z idei, że dla zapewnienia porozumienia pomiędzy uczestnikami spotkania konieczny jest ukryty przywódca. Czułem jakoś, że don Juan miał swoje powody, żeby odrzucić mój pomysł. Uważał, że wytłumaczenie tego, co działo się podczas mitote, było skuteczniejsze w kategoriach “widzenia". Uznałem, że moje zainteresowanie znalezieniem odpowiedniego wyjaśnienia opartego na mojej własnej terminologii pozostawało w sprzeczności z tym, czego oczekiwał ode mnie don Juan. Dlatego też musiał powstrzymać moje racjonalizowanie, tak jak zwykł to robić ze wszystkim, co nie pasowało do jego systemu.

Tuż przed wyjazdem don Juan złagodził mój strach przed koniecznością zażycia pejotlu, mówiąc, że wezmę udział w spotkaniu jedynie jako obserwator. Poczułem się uratowany. Byłem prawie pewien, że uda mi się odkryć tajemną procedurę, dzięki której uczestnicy spotkania dochodzili do porozumienia.

Kiedy wyjeżdżaliśmy, było późne popołudnie. Słońce znajdowało się prawie na linii horyzontu. Czułem jego ciepło na szyi i żałowałem, że nie mam żaluzji na tylnej szybie samochodu. Ze szczytu wzgórza roztaczał się widok na rozległą dolinę. Droga wyglądała jak czarna wstęga rozłożona na ziemi, to wspinająca się w górę, to znów zstępująca po niezliczonych wzgórzach. Przez chwilę, zanim zaczęliśmy zjeżdżać w dół, śledziłem ją wzrokiem. Schodziła na południe, aż zniknęła za pasmem odległych, niskich gór. Don Juan nic nie mówił, patrzył prosto przed siebie. Przez dłuższy czas nie zamieniliśmy ani słowa. W samochodzie było nieznośnie gorąco. Otworzyłem wszystkie okna, ale ponieważ dzień był bardzo gorący, nic to nie dało. Czułem się rozdrażniony i niespokojny. Zacząłem narzekać na upał.

Don Juan zmarszczył brwi i spojrzał na mnie kpiącym wzrokiem.

– O tej porze roku w całym Meksyku jest gorąco – powiedział. – Nic nie można na to poradzić.

Nie spojrzałem na niego, wiedziałem jednak, że mi się przygląda. Samochód nabrał prędkości, zjeżdżając ze wzgórza. Kątem oka spostrzegłem znak drogowy, Vado – spadek terenu. Kiedy wreszcie zauważyłem ten spadek, jechałem już dość szybko i chociaż zwolniłem, poczuliśmy wstrząs i podskoczyliśmy na siedzeniach. Znacznie zmniejszyłem prędkość. Jechaliśmy przez tereny, na których zwierzęta domowe pasły się swobodnie przy drodze i gdzie widok przejechanych przez samochody koni czy krów nie należał do rzadkości. W pewnym momencie musiałem się zatrzymać i pozwolić kilku koniom przejść przez szosę. Moje zdenerwowanie i niepokój wzrastały. Powiedziałem don Juanowi, że to z powodu upału, którego nie znoszę od dziecka, ponieważ jako dziecko każdego lata czułem, jakbym się dusił i z trudem oddychałem.

– Już nie jesteś dzieckiem – rzekł.

– Lecz upał ciągle mnie dusi.

– Kiedy ja byłem dzieckiem, zwykle dusił mnie głód – powiedział łagodnie. – Wielki głód był jedyną rzeczą, jaką wtedy znałem. Zwykle tak puchłem, że nie mogłem oddychać. Ale to było w czasach dzieciństwa. Teraz ani się nie duszę, ani się nie nadymam jak ropucha, kiedy jestem głodny.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Poczułem, że stawiam się na pozycji, której nie zdołam utrzymać i że wkrótce będę musiał bronić czegoś, na czym mi wcale nie zależy. Upał nie był aż tak straszny. Tym, co mnie niepokoiło, była perspektywa jazdy samochodem ponad tysiąc mil do miejsca naszego przeznaczenia. Złościłem się na samą myśl, że będę musiał nieźle się wysilać.

– Zatrzymajmy się i zjedzmy coś – powiedziałem. – Może upał zelżeje, kiedy słońce zajdzie.

Don Juan popatrzył na mnie z uśmiechem i powiedział, że na naszej drodze jeszcze długo nie

napotkamy żadnego czystego miasta, a o ile mnie zna, moja taktyka polega na unikaniu spożywania posiłków w przydrożnych budkach.

– Czy już nie boisz się biegunki? – zapytał. Mimo poważnego i zaciekawionego wyrazu jego twarzy, wyczułem w jego głosie sarkazm.

– Sądząc po twoim sposobie postępowania – powiedział – można by pomyśleć, że biegunka czyha na ciebie, czekając tylko, aż wysiądziesz z samochodu, aby na ciebie skoczyć. Jesteś w okropnym położeniu – jeśli unikniesz gorąca, dopadnie cię biegunka.

Ton głosu don Juana był tak poważny, że zacząłem się śmiać. Potem jechaliśmy dłuższą chwilę, nic nie mówiąc. Kiedy dotarliśmy do parkingu dla ciężarówek o nazwie Los Vidrios – Szkło – było już dość ciemno.

Don Juan krzyknął z samochodu:

– Co macie dzisiaj do jedzenia?

– Wieprzowinę! – odkrzyknęła kobieta z wnętrza.

– Mam nadzieję, że – dla twojego dobra – ta świnia została przejechana dzisiaj – powiedział do mnie don Juan śmiejąc się.

Wysiedliśmy z samochodu. Drogę z obu stron otaczały pasma niskich gór, które wyglądały jakby powstały z lawy zastygłej po gigantycznym wybuchu wulkanicznym. W ciemnościach czarne, postrzępione szczyty na tle nieba przypominały wielkie, przerażające ściany szklanych odłamków.

Podczas posiłku powiedziałem don Juanowi, że wiem, dlaczego to miejsce nazwano Szkłem. Niewątpliwie było to spowodowane przypominającym szklane odłamki kształtem gór.

Don Juan powiedział przekonywającym tonem, że miejsce to nazwano Los Vidrios, ponieważ przewróciła się tu ciężarówka wypełniona szkłem i przez całe lata w pobliżu drogi leżało mnóstwo jego odłamków.

Poczułem, że żartuje i spytałem go, czy jest to prawdziwy powód.

– Czemu nie spytasz kogoś z tutejszych ludzi? – odparł.

Zapytałem mężczyznę siedzącego przy sąsiednim stoliku. Powiedział przepraszającym tonem, że niestety nie wie. Poszedłem do kuchni i spytałem pracujące tam kobiety, czy wiedzą coś na ten temat, ale one też nie udzieliły mi odpowiedzi. Miejsce to po prostu nazywało się Szkło.

– Wydaje mi się, że mam rację – powiedział cicho don Juan. – Meksykanie nie mają daru zauważania otaczających ich rzeczy. Jestem pewien, że nie widzą szklanych gór, ale z pewnością potrafią zostawić po sobie górę szklanych odłamków, które leżą latami.

Pomysł ten obu nam wydał się śmieszny, więc zaśmialiśmy się.

Kiedy skończyliśmy jeść, don Juan spytał mnie, jak się czuję. Powiedziałem mu, że dobrze, ale w rzeczywistości miałem lekkie mdłości. Don Juan przyjrzał mi się uważnie i zauważył moje złe samopoczucie.

– Jeśli zdecydowałeś się przyjechać do Meksyku, powinieneś porzucić wszystkie swoje małostkowe lęki – powiedział bardzo surowo. – Twoja decyzja, żeby tu przyjechać, powinna je pokonać. Przyjechałeś, bo chciałeś przyjechać. To jest droga wojownika. Powtarzałem ci wiele razy, że najbardziej efektywnym sposobem życia jest życie wojownika. Martw się i zastanawiaj, zanim podejmiesz jakąś decyzję, ale kiedy już to zrobisz, trwaj przy niej wolny od obaw i myśli. Zawsze jeszcze milion innych decyzji przed tobą. Tak wygląda ścieżka wojownika.

– Wydaje mi się, don Juanie, że przynajmniej czasami tak postępuję, chociaż trudno jest ciągle o tym pamiętać.

– Kiedy rzeczy stają się niejasne, wojownik myśli o swojej śmierci.

– To jest jeszcze trudniejsze. Dla większości ludzi śmierć jest mglista i odległa. Nigdy o niej nie myślimy.

– Dlaczego?

– A dlaczego powinniśmy?

– To bardzo proste – powiedział. – Dlatego, że myśl o śmierci jest jedyną rzeczą, która hartuje naszego ducha.

Kiedy opuszczaliśmy Los Vidrios, było już tak ciemno, że postrzępione sylwetki gór zlały się z ciemnością nieba. Jechaliśmy w ciszy ponad godzinę. Byłem zmęczony. Nie miałem ochoty na rozmowę, jakby nie było już o czym rozmawiać. Ruch na drodze był minimalny. Minęło nas kilka samochodów jadących z przeciwka. Zdawało się, że jesteśmy jedynymi ludźmi jadącymi szosą na południe. Wydało mi się to dziwne i zerknąłem we wsteczne lusterko, żeby sprawdzić, czy jadą za nami jakieś samochody, ale nie było żadnych.

Po chwili przestałem wypatrywać samochodów i znowu zacząłem zastanawiać się nad celem naszej podróży. Wtedy zauważyłem, że światła reflektorów samochodu ostro kontrastują z otaczającą nas ciemnością. Jeszcze raz spojrzałem w lusterko. Najpierw zobaczyłem jasną łunę, a potem dwa świetliste punkty, które jakby wynurzyły się spod ziemi. Były to światła samochodu znajdującego się na odległym wzgórzu za nami. Przez chwilę były widoczne, po czym zniknęły w ciemności, jakby zostały zmiecione. Po chwili pojawiły się na innym wzgórzu i znowu zniknęły. Śledziłem ich pojawianie się i znikanie w lusterku. W pewnej chwili wydało mi się, że samochód nas dogania. Z pewnością się zbliżał. Światła stawały się coraz jaśniejsze. Celowo nacisnąłem pedał gazu. Poczułem się nieswojo. Don Juan zauważył mój niepokój albo może spostrzegł, że przyśpieszyłem. Najpierw spojrzał na mnie, po czym obrócił się i popatrzył na odległe światła.

Spytał, czy wszystko w porządku. Powiedziałem, że przez długie godziny nie widziałem za nami żadnych samochodów, a teraz nagle zauważyłem światła samochodu, który zdawał się nas doganiać.

Don Juan zachichotał i spytał mnie, czy według mnie to naprawdę jest samochód. Kiedy przytaknąłem, powiedział, że moje zachowanie zdradziło mu, iż czuję, że to, co znajduje się za nami, jest czymś więcej niż zwykłym samochodem. Upierałem się, że może to być tylko inny samochód albo może ciężarówka.

– Co innego mogłoby to być? – zapytałem głośno.

Aluzje don Juana doprowadziły mnie do rozpaczy.

Obrócił się i spojrzał prosto na mnie, potem powoli pokiwał głową, jakby układając sobie to, co chciał powiedzieć.

– To są światła na głowie śmierci – powiedział łagodnie. – Śmierć wkłada je jak kapelusz, po czym rusza galopem. To są światła galopującej śmierci, doganiającej nas, zbliżającej się coraz bardziej.

Dreszcz przebiegł mi po plecach. Po chwili znowu spojrzałem w lusterko, ale świateł już w nim nie było.

Powiedziałem don Juanowi, że samochód pewnie się zatrzymał albo zjechał z drogi. Nie obejrzał się, tylko przeciągnął i ziewnął.

– Nie – rzekł. – Śmierć nigdy się nie zatrzymuje. Czasem tylko wyłącza światła, to wszystko.

Przybyliśmy do północno-wschodniego Meksyku 13 czerwca. Przed drzwiami małej lepianki stały dwie stare, niezwykle podobne do siebie Indianki wyglądające na siostry i cztery dziewczyny. Za domem znajdowała się chałupa i rozpadająca się stajnia, z której został jedynie kawałek dachu i jedna ściana. Kobiety niewątpliwie czekały na nas. Musiały zauważyć mój samochód po tumanach kurzu, jakie wzniecał na piaszczystej drodze, na którą zjechaliśmy z szosy kilka mil wcześniej. Dom stał w głębokiej dolinie, a widziana sprzed jego drzwi szosa wyglądała jak długa wstęga rozłożona wysoko na zboczach zielonych gór.

Don Juan wysiadł z samochodu i przez chwilę rozmawiał ze staruszkami. Wskazały na kilka drewnianych stołków stojących przed domem. Don Juan dał mi znak, żebym podszedł i usiadł. Jedna z kobiet usiadła z nami, reszta weszła do domu. Dwie dziewczyny pozostały, przyglądając mi się ciekawie. Kiedy im pomachałem, zachichotały i wbiegły do środka. Po kilku minutach podeszło do nas dwóch młodych mężczyzn, którzy powitali don Juana. Nie odezwali się ani nawet nie spojrzeli na mnie. Zamienili kilka słów z don Juanem, który po chwili wstał i wszyscy, także kobiety, poszliśmy do innego domu, oddalonego o jakieś pół mili.

Dołączyliśmy tam do innej grupy. Don Juan wszedł do środka, ale mnie kazał zostać przy drzwiach. Zajrzałem do domu i zobaczyłem starego Indianina, mniej więcej w wieku don Juana, siedzącego na drewnianym stołku.

Nie było jeszcze całkiem ciemno. Grupa młodych Indian, mężczyzn i kobiet, stała w ciszy dookoła starej ciężarówki zaparkowanej przed domem. Zagadnąłem ich po hiszpańsku, ale rozmyślnie unikali odpowiedzi. Kobiety chichotały za każdym razem, kiedy coś mówiłem, a mężczyźni uśmiechali się grzecznie i odwracali oczy. Sprawiali wrażenie, jakby mnie nie rozumieli, jednakże byłem pewien, że

wszyscy mówią po hiszpańsku, ponieważ słyszałem, jak między sobą rozmawiali w tym języku.

Po chwili don Juan i drugi stary człowiek wyszli przed dom, wsiedli do ciężarówki i usadowili się obok kierowcy. Dla pozostałych stało się to sygnałem do załadowania się na platformę samochodu. Nie było tam żadnej poręczy, więc kiedy ciężarówka ruszyła, wszyscy chwyciliśmy się długiej liny przyczepionej do haków przy podwoziu.

Ciężarówka jechała wolno po polnej drodze. W pewnym momencie zatrzymała się na bardzo stromym zboczu. Wszyscy zeskoczyliśmy z samochodu i szliśmy za nim. Po chwili dwóch młodych mężczyzn wskoczyło z powrotem na platformę i przysiadło na krawędzi, nie trzymając się liny. Kobiety śmiały się i zachęcały ich do utrzymania się w tej niebezpiecznej pozycji. Don Juan i starzec, którego nazywano don Silvio, szli razem, nie zwracając uwagi na popisy młodych mężczyzn. Kiedy droga znowu się wyrównała, wszyscy z powrotem wsiedliśmy na ciężarówkę.

Jechaliśmy około godziny. Podłoga ciężarówki była wyjątkowo twarda i niewygodna do siedzenia, wstałem więc i jechałem, trzymając się dachu kabiny. Wytrzymałem w tej pozycji do momentu, kiedy zatrzymaliśmy się przed grupą chałup. Było tam sporo ludzi. Kiedy dojechaliśmy, zrobiło się już bardzo ciemno i w przyćmionym, żółtawym świetle lampy naftowej wiszącej nad otwartymi drzwiami jednej z chat zauważyłem tylko kilku z nich.

Wysiedliśmy z ciężarówki i ludzie rozeszli się po domach. Don Juan znowu polecił mi zostać na zewnątrz. Oparłem się o przedni zderzak samochodu, a po kilku minutach dołączyło do mnie trzech młodych mężczyzn. Jednego z nich poznałem cztery lata wcześniej podczas poprzedniego mitote. Przywitał się ze mną, chwytając mnie za przedramiona.

– Dobrze wyglądasz – wyszeptał do mnie po hiszpańsku.

Staliśmy cicho przy ciężarówce. Była ciepła, wietrzna noc. Dało się słyszeć łagodny szum pobliskiego strumyka. Mój przyjaciel spytał mnie szeptem, czy mam papierosy. Podałem mu paczkę. Ich żar oświetlił zegarek. Była dziewiąta.

W chwilę potem wyłoniła się grupa ludzi z wnętrza domu. Z tej grupy oddalili się trzej młodzieńcy. Don Juan podszedł do mnie i powiedział, że wytłumaczył wszystkim moją obecność. Zostałem zaproszony do wzięcia udziału w mitote i podawania podczas niego wody. Powiedział, że zaraz wychodzimy.

Grupa złożona z dziesięciu kobiet i jedenastu mężczyzn wyruszyła z domu. Mężczyzna idący na czele wyglądał na krzepkiego, miał około czterdziestu pięciu lat. Nazywano go Mocho, które to przezwisko oznacza “przycięty". Poruszał się żwawo, pewnym krokiem. Niósł lampę naftową, którą kołysał z boku na bok. Z początku myślałem, że poruszał nią zupełnie przypadkowo, ale potem zauważyłem, że machał latarnią, żeby wskazać na jakąś przeszkodę albo trudny kawałek drogi. Szliśmy ponad godzinę. Kobiety gawędziły, śmiejąc się łagodnie od czasu do czasu. Don Juan wraz z drugim starszym mężczyzną szli na czele pochodu. Ja zaś na samym końcu grupy. Patrzyłem uważnie na drogę, usiłując dostrzec, po czym stąpam.

Cztery lata upłynęły, od kiedy z don Juanem byliśmy nocą w górach. Od tamtej pory moja sprawność fizyczna bardzo spadła. Ciągle potykałem się i niechcący kopałem małe kamienie. Kolana nie miały ani trochę sprężystości. Kiedy wpadałem na jakąś górkę, wydawało mi się, że droga podnosi się pode mną, a gdy napotykałem dołek – jakby się zapadała. Szedłem najgłośniej ze wszystkich, co wbrew mojej woli uczyniło ze mnie błazna. Za każdym razem, kiedy potykałem się, ktoś mówił “Uuu", z czego wszyscy się śmiali. W pewnej chwili kopnięty przeze mnie kamień uderzył w kostkę jedną z kobiet, która ku radości wszystkich powiedziała głośno:

– Dajcie świecę temu nieszczęsnemu chłopcu!

Jednakże ostateczne upokorzenie nastąpiło dopiero wtedy, kiedy potknąłem się tak, że musiałem uchwycić się osoby idącej przede mną. Mężczyzna pod moim ciężarem prawie stracił równowagę, przy czym wydał z siebie wrzask niewspółmierny do sytuacji. Wszyscy śmiali się tak bardzo, że cała grupa musiała się na chwilę zatrzymać.

W pewnej chwili prowadzący mężczyzna wykonał nagły ruch latarnią, unosząc ją w górę i w dół. Był to chyba znak, że dotarliśmy do celu. Po prawej stronie, niedaleko mnie, majaczyła ciemna sylwetka niskiego domu. Wszyscy rozeszli się w różnych kierunkach. Odszukałem don Juana. Trudno było go znaleźć w ciemnościach. Przez jakiś czas potykałem się hałaśliwie, zanim zauważyłem, że siedział na skale.

Jeszcze raz przypomniał mi o moim obowiązku podawania wody ludziom biorącym udział w mitote.

Nauczył mnie tej procedury kilka lat temu. Pamiętałem każdy szczegół jego instrukcji, ale don Juan nalegał, żebym odświeżył sobie pamięć i jeszcze raz pokazał mi, jak się to robi.

Potem poszliśmy za dom, gdzie zebrali się wszyscy uczestnicy mitote. Rozpalono ogień. W odległości około piętnastu stóp od ognia znajdował się uprzątnięty teren pokryty słomianymi matami. Mocho, nasz przewodnik, pierwszy usiadł na macie. Zauważyłem, że brakuje mu czubka lewego ucha, co zapewne było powodem nadania mu takiego przezwiska. Don Silvio usiadł po jego prawej, a don Juan po lewej stronie. Mocho siedział twarzą do ognia. Jakiś młody mężczyzna podszedł do niego i położył przed nim płaski koszyk z gałkami pejotlu, po czym usiadł między Mocho a don Silvio. Inny młody człowiek przyniósł dwa małe koszyki i położył je obok pejotlu i usiadł pomiędzy Mocho a don Juanem. Następnie dwóch innych młodych mężczyzn usiadło przy don Silvio i don Juanie, zamykając koło złożone z siedmiu osób. Kobiety pozostały w domu. Dwóch młodzieńców miało za zadanie pilnować, żeby ogień płonął całą noc, a jeden nastolatek i ja dbaliśmy o wodę, którą w trakcie całonocnego rytuału miało dostawać siedmiu uczestników. Usiadłem z chłopcem na skale. Naczynia z wodą stały naprzeciw ogniska, w równej odległości od kręgu uczestników.

Macho – będący szefem – zaśpiewał swoją pieśń pejotlu. Miał zamknięte oczy, jego ciało huśtało się w górę i w dół. Była to bardzo długa pieśń. Nie rozumiałem języka. Potem wszyscy, jeden po drugim, śpiewali swoje pieśni pejotlu. Nie wyglądało na to, żeby przestrzegali jakiegoś ustalonego porządku. Śpiewali wyraźnie tylko wtedy, kiedy mieli na to ochotę. Następnie Mocho podniósł koszyk z gałkami pejotlu, wziął dwie z nich i położył koszyk z powrotem w środku kręgu. Następnie to samo zrobił don Silvio, a po nim don Juan. Czterej młodzi mężczyźni, którzy zdawali się osobną grupą, brali kolejno, w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, po dwa kawałki pejotlu.

Każdy z siedmiu uczestników śpiewał i zjadał po dwie gałki pejotlu cztery razy z rzędu. Potem wszyscy sięgnęli do dwóch następnych koszyków wypełnionych suszonymi owocami i mięsem.

Powtarzali ten cykl kilka razy w ciągu nocy, jednakże nie mogłem dostrzec żadnego ukrytego porządku łączącego ich indywidualne ruchy. Nie rozmawiali ze sobą, zdawali się raczej wsłuchani w siebie. Nie zauważyłem, żeby któryś z nich chociaż raz zwrócił uwagę na to, co robi reszta.

Przed świtem wstali, a młody chłopak i ja podaliśmy im wodę. Potem poszedłem się przejść, żeby zorientować się w terenie. Dom był jednoizbową, niską lepianką krytą słomą. Otaczająca go sceneria była dość przygnębiająca. Chałupa stała na pagórkowatej równinie pokrytej zróżnicowaną roślinnością. Rosły na niej obok siebie krzaki i kaktusy, ale nie było żadnych drzew. Nie miałem odwagi zapuszczać się dalej.

Rano kobiety odeszły. Mężczyźni poruszali się cicho w pobliżu domu. Koło południa wszyscy usiedliśmy w takim samym porządku jak poprzedniej nocy. Podawaliśmy sobie koszyk z kawałkami suszonego mięsa wielkości gałek pejotlu. Kilku mężczyzn śpiewało swoje pejot-lowe pieśni. Po jakiejś godzinie wszyscy wstali i rozeszli się w różnych kierunkach.

Kobiety zostawiły garnek kukurydzianki dla tych, którzy zajmowali się ogniem i wodą. Zjadłem trochę, po czym przespałem większą część popołudnia.

Po zapadnięciu ciemności młody mężczyzna zajmujący się ogniem rozpalił nowe ognisko. Rozpoczął się następny cykl zażywania pejotlu. Przebiegał mniej więcej w taki sam sposób, jak poprzedniej nocy, i również skończył się o świcie.

W nocy bardzo się starałem, żeby zaobserwować i zanotować każdy ruch wykonywany przez wszystkich siedmiu uczestników. Miałem nadzieję odkryć choćby najmniejszy ślad dającego się wykryć systemu, werbalnej lub niewerbalnej komunikacji. Żadna z ich czynności nie zdradzała jednak ukrytego systemu.

Wczesnym wieczorem wznowiono cykl zażywania pejotlu. Przed nastaniem dnia wiedziałem już, że nie udało mi się odnaleźć kodów wskazujących na istnienie ukrytego przywódcy, odkryć jakiejkolwiek formy tajemnego porozumiewania się pomiędzy uczestnikami ani też uchwycić najmniejszego śladu systemu. Przez resztę dnia siedziałem sam, usiłując uporządkować notatki.

Kiedy czwartej nocy mężczyźni zebrali się znowu, w jakiś sposób wiedziałem, że jest to ostatnie spotkanie. Nikt mi o tym nie wspomniał, byłem jednak przekonany, że następnego dnia rozejdą się. Znowu siedziałem przy wodzie, a wszyscy pozostali zajęli swoje, ustalone wcześniej miejsca.

Zachowanie siedmiu mężczyzn w kręgu było powtórzeniem tego, co widziałem podczas trzech poprzednich nocy. Znowu byłem zaabsorbowany ich ruchami. Chciałem odnotować wszystko, co robili, każdy ruch, każdy dźwięk, każdy gest.

W pewnym momencie usłyszałem jakieś brzęczenie w uchu. Był to rodzaj zwykłego dzwonienia w uchu, więc nie zwróciłem na nie szczególnej uwagi. Dźwięk stawał się coraz głośniejszy, ciągle jednak mieścił się w zakresie moich zwyczajnych odczuć cielesnych. Pamiętam, że dzieliłem uwagę pomiędzy obserwowanie ludzi i słuchanie dzwonienia. W pewnej chwili twarze mężczyzn stały się jaśniejsze, tak jakby włączono światło. Lecz nie wyglądało to jak oświetlenie elektryczne, latarnia czy odbicie ognia na ich twarzach. Było to raczej światło opalizujące, różowa świetlistość, bardzo delikatna, widoczna jednak z miejsca, gdzie siedziałem. Brzęczenie narastało. Spojrzałem na siedzącego ze mną nastolatka, ale ten spał.

Różowa świetlistość stawała się coraz bardziej zauważalna. Popatrzyłem na don Juana, miał zamknięte oczy, tak samo jak don Silvio i Mocho. Nie widziałem oczu czterech młodszych mężczyzn, ponieważ dwóch z nich pochylało się do przodu, a dwu pozostałych siedziało plecami do mnie.

Obserwowanie wciągnęło mnie jeszcze bardziej. Nie zdawałem sobie jednak do końca sprawy z tego, że rzeczywiście słyszę dzwonienie i widzę różowawą poświatę unoszącą się nad mężczyznami. Po chwili uświadomiłem sobie, że subtelne różowe światło i dzwonienie są bardzo jednostajne. Na moment uległem całkowitemu oszołomieniu, po czym przyszła mi do głowy myśl nie mająca nic wspólnego ze sceną, której byłem świadkiem, ani z celem mojej tutaj obecności. Przypomniałem sobie coś, co powiedziała mi matka, kiedy byłem dzieckiem. Myśl była rozpraszająca i zupełnie nie na miejscu. Próbowałem ja odrzucić i znowu zająć się pilną obserwacją, ale nie mogłem tego zrobić. Myśl pojawiła się znowu, była silniejsza, bardziej wymagająca. Potem wyraźnie usłyszałem głos wołającej mnie matki. Usłyszałem szuranie jej pantofli, a potem jej śmiech. Odwróciłem się, szukając jej. Pomyślałem, że jakieś halucynacje czy złudzenia przeniosły mnie w czasie i że zaraz ją zobaczę, ale ujrzałem jedynie śpiącego obok mnie chłopca. Jego widok wstrząsnął mną. Doświadczyłem krótkiej chwili spokoju i trzeźwości.

Znowu spojrzałem na grupkę mężczyzn. Zupełnie nie zmienili pozycji. Jednakże świetlistość zniknęła, zniknęło też dzwonienie w uszach. Poczułem się uwolniony, pomyślałem, że halucynacje głosu mojej matki minęły. Jej głos był taki żywy i wyraźny. Po głowie chodziła mi myśl, że na chwilę prawie dałem się złapać głosowi w pułapkę. Kątem oka spostrzegłem, że don Juan patrzył na mnie, ale to nie miało znaczenia. Wspomnienie głosu wołającej mnie matki było hipnotyzujące. Usilnie próbowałem myśleć o czymś innym. A potem znowu tak wyraźnie usłyszałem jej głos, jakby stała za mną. Wołała mnie po imieniu. Odwróciłem się szybko, ale zobaczyłem tylko ciemną sylwetkę chałupy i znajdujących się za nią krzaków.

Dźwięk mojego imienia sprawił mi niesłychany ból. Bezwiednie jęknąłem. Zrobiło mi się zimno, poczułem się samotny i zacząłem płakać. Potrzebowałem natychmiast kogoś, kto by się mną zajął. Odwróciłem głowę, szukając don Juana. Patrzył na mnie. Nie chciałem go widzieć, więc zamknąłem oczy. A potem zobaczyłem matkę. Jej obraz był inny niż zwykle, kiedy o niej myślałem. Widziałem ją wyraźnie, stojącą przede mną. Byłem zrozpaczony. Drżałem i chciałem uciec. Wizja matki była zbyt niepokojąca, zbyt odległa od tego, czego oczekiwałem po tym pejotlowym spotkaniu. Najwyraźniej nie istniał sposób na świadome uniknięcie jej. Może gdybym otworzył oczy, gdybym naprawdę chciał, żeby wizja zniknęła, ale zamiast to zrobić, analizowałem każdy jej szczegół. To moje badanie było czymś więcej niż zwykłym patrzeniem na nią. Analizowałem ją i oszacowywałem jakby pod przymusem. Ogarnęło mnie bardzo szczególne uczucie, jakby opanowywała mnie jakaś siła zewnętrzna i nagle poczułem przerażające brzemię miłości mojej matki. Kiedy usłyszałem swoje imię, poczułem się rozdarty. Wspomnienie matki wypełniło mnie bólem i smutkiem. Jednak przyglądając się jej, doszedłem do wniosku, że nigdy jej nie lubiłem. Było to szokujące spostrzeżenie. Zasypała mnie lawina myśli i obrazów. Wtedy wizja matki znikła. Nie była już ważna. Nie interesowało mnie już nawet to, co robią Indianie. Zapomniałem także o mitote. Pochłonął mnie ciąg niesamowitych myśli, niesamowitych, ponieważ były czymś więcej niż zwykłymi myślami. Tworzyły kompletne jednostki uczuciowe – emocjonalne pewniki, bezsporne dowody prawdziwej natury mojego związku z matką.

W pewnej chwili owe niezwykłe myśli przestały mnie nachodzić. Zauważyłem, że straciły płynność i właściwość tworzenia kompletnych jednostek uczuciowych. Zacząłem myśleć o innych rzeczach. Mój umysł przeskakiwał z tematu na temat. Pomyślałem o członkach mojej najbliższej rodziny, ale nie towarzyszyły tym myślom żadne obrazy. Potem spojrzałem na don Juana. Stał, reszta mężczyzn również wstała, wszyscy szli po wodę.

Przesunąłem się w bok i trąciłem łokciem śpiącego chłopca.

Ledwie don Juan wsiadł do samochodu, zrelacjonowałem mu przebieg swojej zdumiewającej wizji. Śmiał się radośnie i powiedział, że wizja jest znakiem, omenem, równie ważnym, jak moje pierwsze spotkanie z Mescalito. Przypomniałem sobie, że don Juan zinterpretował moje reakcje po pierwszym

zażyciu pejotlu jako bardzo ważny omen. Właśnie z tego powodu zdecydował, że nauczy mnie swojej wiedzy.

Powiedział, że podczas ostatniej nocy mitote Mescalito krążył dookoła mnie tak jawnie, że wszyscy musieli odwrócić się w moim kierunku. Dlatego właśnie don Juan patrzył na mnie, kiedy na niego spojrzałem.

Chciałem usłyszeć jego interpretację mojej wizji, ale nie chciał o tym mówić. Powiedział, że czegokolwiek doświadczyłem, było bez znaczenia w porównaniu z omenem.

Don Juan bez przerwy mówił o świetle Mescalito unoszącym się nade mną i o tym, że każdy je widział.

– To naprawdę było coś – powiedział. – Nie mógłbyś chyba prosić o lepszy omen.

Nasze myśli niewątpliwie biegły zupełnie różnymi torami. On był pochłonięty znaczeniem wydarzeń, które tłumaczył jako omen, ja natomiast obsesyjnie rozważałem szczegóły swojej wizji.

– Nie obchodzą mnie omeny – powiedziałem. – Chcę wiedzieć, co mi się przytrafiło.

Zmarszczył brwi, jakby był zaniepokojony i przez chwilę siedział sztywno, nic nie mówiąc. Potem popatrzył na mnie. Ton jego głosu był bardzo stanowczy. Powiedział, że ważne jest jedynie to, że Mescalito obszedł się ze mną bardzo łagodnie, objął mnie swoim światłem i udzielił mi lekcji, nie wymagając ode mnie niczego poza tym, żebym tam po prostu był.

4

4 września 1968 roku pojechałem do Sonory odwiedzić don Juana. Spełniając jego prośbę, z którą zwrócił się do mnie podczas mojej poprzedniej wizyty, zatrzymałem się po drodze w Hermosillo, żeby kupić mu tutejszą tequilę, zwaną bacanora. Jego prośba wydała mi się wtedy bardzo dziwna, ponieważ wiedziałem, że nie lubi pić, jednakże kupiłem cztery butelki i wsadziłem je do pudełka razem z innymi rzeczami, które dla niego wiozłem.

– No proszę, przywiozłeś cztery butelki! – powiedział, śmiejąc się, kiedy otworzył pudełko. – Prosiłem cię o jedną. Pewnie myślałeś, że ta bacanora. ma być dla mnie, ale to dla mojego wnuka Lucia i to ty mu ją dasz jako prezent od siebie.

Poznałem wnuka don Juana dwa lata wcześniej, miał wtedy dwadzieścia osiem lat. Był bardzo wysoki, mierzył ponad sześć stóp. Jak na swoje możliwości finansowe i w porównaniu z członkami swojej grupy, ubierał się zawsze dobrze i ekstrawagancko. Podczas gdy większość Yaqui nosi bluzy khaki i levisy, słomiane kapelusze i domowej roboty sandały zwane guaraches, ubraniem Lucia była droga skórzana kurtka, ozdobiona kryzą turkusowych paciorków, teksański kapelusz kowbojski i para ręcznie zdobionych botów z monogramem.

Lucio bardzo ucieszył się z alkoholu i natychmiast zabrał butelki do domu, niechybnie po to, żeby je schować. Don Juan rzucił zdawkowo, że nie powinno się robić zapasów z alkoholu i pić w samotności. Lucio odpowiedział, że nie ma zamiaru ich gromadzić, tylko odkłada je na wieczór, kiedy przyjdą zaproszeni przyjaciele, aby napić się razem z nim.

Tego samego wieczoru, około siódmej, wróciliśmy do domu Lucia. Zrobiło się już ciemno. Zauważyłem niewyraźne sylwetki dwóch ludzi stojących pod niewysokim drzewem. Był to Lucio i jeden z jego przyjaciół. Czekali na mnie, wskazując drogę do domu latarnią.

Dom Lucia, licha budowla z gliny i plecionki, miał dwie izby z klepiskiem. Miał może ze dwadzieścia stóp długości i wspierał się na dość cienkich belkach z drzewa mesquite. Jak wszystkie domy Indian Yaqui, posiadał płaski, kryty słomą dach i szeroką na dziewięć stóp ramadę – swego rodzaju zasłonę, zakrywającą całą przednią część domu. Dach ramady nigdy nie jest słomiany, robi się go z luźno ułożonych gałęzi, które dają wystarczająco dużo cienia i jednocześnie pozwalają na swobodny przepływ chłodnego powietrza.

Wchodząc do domu, włączyłem magnetofon, który miałem w walizeczce. Lucio przedstawił mnie swoim przyjaciołom. Łącznie z don Juanem w domu było ośmiu mężczyzn. Siedzieli niedbale wokół centrum izby pod jasnym światłem benzynowej lampy zawieszonej na belce. Don Juan usadowił się na skrzyni. Usiadłem twarzą do niego na końcu ławy zrobionej z grubej drewnianej belki przybitej gwoździami do dwóch kloców wkopanych w podłogę.

Don Juan położył kapelusz na podłodze obok siebie. Światło benzynowej latarni nadało jego krótkim, białym włosom większego blasku. Przyjrzałem się jego twarzy. Światło podkreślające głębokie zmarszczki na jego szyi i czole sprawiło też, że wyglądał starzej.

Spojrzałem na pozostałych; w zielonkawobiałym świetle benzynowej latarni wszyscy wyglądali na starych i zmęczonych.

Lucio zwrócił się do wszystkich po hiszpańsku, mówiąc, że wypijemy butelkę bacanory, którą przywiozłem dla niego z Hermosillo. Poszedł do drugiej izby, przyniósł butelkę, odkorkował ją i podał mi razem z małym blaszanym kubkiem. Wlałem odrobinę alkoholu do naczynia i wypiłem. Bacanora była bardziej aromatyczna i gęstsza niż zwykła tequila, była również mocniejsza. Zakaszlałem. Podałem butelkę dalej i każdy nalał sobie małego drinka, z wyjątkiem don Juana, który po prostu wziął butelkę i postawił ją przed Luciem znajdującym się na końcu kolejki.

Wszyscy żywo skomentowali bogaty smak zawartości tej butelki i zgodzili się, że napój musi pochodzić z wysokich gór Chihuahua.

Butelka poszła w obieg po raz drugi. Mężczyźni cmoknęli wargami, powtórzyli pochwały i zaczęli żywą dyskusję o widocznych różnicach pomiędzy tequilą robioną w rejonie Guadalajary a produkowaną na dużej wysokości w Chihuahua.

Podczas drugiej kolejki don Juan znowu nie pił, ja nalałem sobie jedynie kropelkę, ale reszta

towarzystwa wypełniała naczynia po brzegi. Butelka zrobiła jeszcze jedną rundę i została opróżniona.

– Przynieś resztę butelek, Lucio – powiedział don Juan.

Lucio zdawał się wahać, a don Juan od niechcenia wyjaśnił pozostałym, że przywiozłem Luciowi cztery butelki.

Benigno, młody mężczyzna w wieku Lucia, popatrzył na walizkę, którą niepozornie postawiłem za sobą i spytał, czy jestem akwizytorem tequili. Don Juan odpowiedział, że nie i że przyjechałem do Sonory, żeby go odwiedzić.

– Uczę Carlosa o Mescalito – powiedział don Juan.

Wszyscy popatrzyli na mnie i uśmiechnęli się grzecznie. Drwal Bajea, mały, szczupły mężczyzna o ostrych rysach, przypatrywał mi się uważnie przez chwilę, po czym powiedział, że miejscowy sklepikarz uważa mnie za szpiega amerykańskiej kompanii, która planuje roboty górnicze na terenach Yaqui. Wszyscy zareagowali oburzeniem na takie podejrzenia. Poza tym nie lubili sprzedawcy, który był Meksykaninem, czyli Yori, jak mówią Yaqui.

Lucio poszedł do drugiego pomieszczenia i wrócił z następną butelką bacanory. Otworzył ją, nalał sobie dużego drinka i podał butelkę dalej. Rozmowa przeszła na temat prawdopodobieństwa przybycia amerykańskiej kompanii do Sonory i przypuszczalnych tego skutków dla Yaqui. Butelka wróciła do Lucia. Podniósł ją, żeby zobaczyć, ile zostało.

– Powiedz mu, żeby się nie martwił – szepnął do mnie don Juan. – Powiedz, że przywieziesz mu więcej, kiedy przyjedziesz następnym razem.

Pochyliłem się w stronę Lucia i zapewniłem go, że następnym razem przywiozę mu przynajmniej pół tuzina butelek.

W jednej chwili temat rozmowy jakby się rozpłynął.

Don Juan odwrócił się do mnie i powiedział głośno:

– Dlaczego nie opowiesz chłopakom o swoich spotkaniach z Mescalito? Myślę, że będzie to bardziej interesujące niż głupia gadka o tym, co się stanie, jeśli amerykańska firma przyjedzie do Sonory.

– Dziadku, czy Mescalito to pejotl? – zapytał ciekawie Lucio.

– Niektórzy ludzie tak go nazywają – powiedział oschle don Juan. – Ja wolę zwać go Mescalito.

– Ta przeklęta rzecz powoduje szaleństwo – powiedział Genaro, wysoki, krzepki mężczyzna w średnim wieku.

– Myślę, że głupotą jest mówienie, że Mescalito powoduje szaleństwo – powiedział łagodnie don Juan. – Gdyby tak było, Carlos, zamiast być tu i rozmawiać z tobą, siedziałby teraz w kaftanie bezpieczeństwa. Zażywał pejotl i popatrz na niego, ma się całkiem dobrze.

Bajea uśmiechnął się i odpowiedział nieśmiało:

– A któż to może wiedzieć? Wszyscy roześmiali się.

– Wobec tego popatrz na mnie – powiedział don Juan. – Znam Mescalito prawie całe swoje życie i nigdy mnie nie skrzywdził.

Mężczyźni nie śmiali się, ale było oczywiste, że nie biorą poważnie tego, co mówi.

– Z drugiej strony – ciągnął don Juan – to prawda, że Mescalito doprowadza ludzi do szaleństwa, tak jak powiedziałeś, ale dzieje się tak tylko wtedy, kiedy przychodzą do niego, nie wiedząc, co czynią.

Esquere, stary człowiek, mniej więcej w wieku don Juana, zachichotał cicho, kręcąc głową.

– Co masz na myśli, mówiąc “wiedzą", Juanie? – zapytał. – Ostatnim razem, kiedy cię spotkałem, mówiłeś to samo.

– Ludzie naprawdę tracą zmysły po zażyciu pejotlu – ciągnął Genaro. – Widziałem, jak Indianie z plemienia Huichol jedli go. Zachowywali się, jakby mieli wściekliznę. Toczyli pianę z ust, rzygali i sikali wszędzie dookoła. Można dostać epilepsji od zażywania tej przeklętej rzeczy. Powiedział mi to kiedyś pan Salas, inżynier rządowy. A epilepsja jest na całe życie, wiecie?

– To gorsze niż być zwierzęciem – dodał poważnie Bajea.

– Widziałeś w tych Huicholach tylko to, co chciałeś zobaczyć – powiedział don Juan. – Z

pewnością nigdy nie zadałeś sobie trudu dowiedzenia się od nich, jak to jest poznać Mescalito. O ile wiem, Mescalito jeszcze nigdy nie uczynił nikogo epileptykiem. Ten inżynier rządowy to Yori, a wątpię, żeby jakiś Yori coś o tym wiedział. Chyba nie sądzisz, że te tysiące ludzi, którzy znają Mescalito, są szaleni, prawda?

– Oni muszą być szaleni albo prawie szaleni, żeby robić coś takiego – odrzekł Genaro.

– Ale gdyby cały ten tłum ludzi był szalony, kto by za nich pracował? Jak mogliby przetrwać? – zapytał don Juan.

– Macario, który pochodzi z “drugiej strony" – z USA – powiedział mi, że każdy, kto zażywa pejotl, zostaje naznaczony na całe życie – powiedział Esquere.

– Jeśli Macario tak mówi, to kłamie – rzekł don Juan. – Jestem pewien, że nie wie, o czym mówi.

– On rzeczywiście opowiada całą masę kłamstw – powiedział Benigno.

– Kto to jest Macario? – zapytałem.

– To mieszkający tu Indianin Yaqui – powiedział Lucio. – Mówi, że pochodzi z Arizony i że podczas wojny był w Europie. Opowiada rozmaite historie.

– Mówi, że był pułkownikiem! – powiedział Benigno.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, rozmowa zeszła na chwilę na niewiarygodne opowieści Macario, ale don Juan znowu wrócił do tematu Mescalito.

– Jeśli wszyscy wiecie, że Macario jest kłamcą, jak możecie wierzyć w to, co mówi o Mescalito?

– Czy masz na myśli pejotl, dziadku? – zapytał Lucio, jakby naprawdę usiłował coś z tego zrozumieć.

– Tak, do cholery!

Ton don Juana był ostry i gwałtowny. Lucio cofnął się mimowolnie i przez chwilę czułem, że wszyscy się przestraszyli. Potem don Juan uśmiechnął się szeroko i ciągnął łagodnie:

– Czy nie widzicie, że Macario nie wie, o czym mówi? Czy nie rozumiecie, że aby mówić o Mescalito, trzeba coś o nim wiedzieć?

– Znowu zaczynasz – powiedział Esquere. – A czymże do diabła jest ta wiedza? Jesteś gorszy niż Macario. On przynajmniej mówi to, co myśli, niezależnie od tego, czy wie coś o tym, czy nie. Od lat słyszę, jak mówisz, że musimy wiedzieć. Co musimy wiedzieć?

– Don Juan mówi, że w pejotlu jest duch – powiedział Benigno.

– Widziałem pejotl w polu, ale nigdy nie widziałem duchów ani niczego takiego – dodał Bajea.

– Możliwe, że Mescalito jest jak duch – wyjaśnił don Juan. – Czymkolwiek jednak jest, nie dowiesz się, dopóki sam tego nie doświadczysz. Esquere narzeka, że mówię o tym od lat. To prawda. Ale to nie moja wina, że wy tego nie rozumiecie. Bajea mówi, że ten, kto zażywa poejotl, staje się jak zwierzę. Ja widzę to nieco inaczej. Według mnie ci, którzy uważają, że są ponad zwierzętami, żyją gorzej niż zwierzęta. Popatrz na mojego wnuka. Pracuje bezustannie. Powiedziałbym, że żyje po to, żeby pracować jak muł. A jego jedyną nie-zwierzęcą czynnością jest upijanie się.

Wszyscy śmiali się. Victor, bardzo młody człowiek, który chyba jeszcze nie osiągnął dojrzałości, śmiał się głosem wyższym niż pozostali.

Eligio, młody rolnik, jak dotąd nie powiedział ani słowa. Siedział na podłodze, po mojej prawej stronie, oparty plecami o worki z jakimiś nawozami sztucznymi, które składowano w domu, żeby chronić je przed deszczem. Eligio był jednym z przyjaciół Lucia z czasów dzieciństwa. Wyglądał na mocnego i chociaż niższy niż Lucio, był bardziej krępy i lepiej zbudowany. Eligio zdawał się interesować słowami don Juana. Bajea chciał dorzucić jeszcze jakiś komentarz, ale Eligio przerwał mu.

– W jaki sposób pejotl może to wszystko zmienić? – zapytał. – Mnie się zdaje, że człowiek rodzi się po to, żeby całe życie pracować, tak jak to robią muły.

– Mescalito zmienia wszystko – powiedział don Juan – ale ciągle wszyscy musimy pracować jak muły. Powiedziałem, że w Mescalito jest duch, ponieważ jest w nim coś na kształt ducha, który wywołuje zmiany w ludziach. Ducha, którego możemy zobaczyć i dotknąć, ducha, który nas odmienia,

czasami nawet wbrew naszej woli.

– Pejotl miesza ci w głowie – powiedział Genaro – a potem, oczywiście, wierzysz, że się zmieniłeś. Prawda?

– Jak on nas może zmienić? – nalegał dalej Eligio.

– Uczy nas właściwego sposobu życia – powiedział don Juan. – Wspomaga i ochrania tych, którzy go znają. Wasze życie, koledzy, nie jest wcale życiem. Nie znacie szczęścia wynikającego z robienia rzeczy w przemyślany sposób. Nie macie opiekuna!

– Co chcesz przez to powiedzieć? – powiedział Genaro oburzonym tonem. – Z pewnością mamy. Nasz Pan Jezus Chrystus i nasza Matka Dziewica, i mała Dziewica z Guadelupy. Czyż oni nie są naszymi opiekunami?

– Niezła kupa opiekunów! – powiedział kpiąco don Juan. – Czy oni uczą was lepszego sposobu życia?

– To dlatego, że ludzie ich nie słuchają – zaprotestował Genaro – i są posłuszni tylko diabłu.

– Gdyby oni byli prawdziwymi opiekunami, zmusiliby was do słuchania – powiedział don Juan. – Kiedy Mescalito stanie się waszym opiekunem, dacie mu posłuch, czy wam się to podoba, czy nie, ponieważ gdy go zobaczycie, będziecie musieli z uwagą wysłuchać tego, co mówi. On sprawi, że potraktujecie go z szacunkiem. Nie tak, bracia, jak przyzwyczailiście się traktować swoich opiekunów.

– Co masz na myśli, Juanie? – zapytał Esquere.

– Mam na myśli to, że dla was zwrócenie się do waszych opiekunów oznacza, że jeden musi grać na skrzypkach, drugi, tancerz, ma ubrać maskę, spodnie, wziąć grzechotki i tańczyć, podczas gdy reszta pije. Ty, Benigno, byłeś kiedyś tancerzem, opowiedz nam o tym.

– Rzuciłem to po trzech latach – powiedział Benigno. – To ciężka praca.

– Spytajcie Lucia – powiedział ironicznie Esquere. – On zrezygnował po tygodniu!

Wszyscy z wyjątkiem don Juana śmiali się. Lucio uśmiechnął się, zakłopotany, po czym łyknął dwa wielkie hausty bacanory.

– To nie jest ciężkie, to jest głupie – powiedział don Juan. – Zapytajcie Valencia, tancerza, czy lubi tańczyć. Wcale nie! Przyzwyczaił się do tego, to wszystko. Przez lata obserwowałem jego taniec, a za każdym razem widzę te same, źle wykonywane ruchy. On nie jest dumny ze swojej sztuki, z wyjątkiem chwil, kiedy o niej opowiada. Nie kocha jej, dlatego też rok za rokiem powtarza te same ruchy. To, co było złe w jego tańcu na początku, umocniło się. On już tego nie dostrzega.

– Nauczono go tak tańczyć – powiedział Eligio. – Ja też byłem tancerzem w miasteczku Torim. Wiem, że trzeba tańczyć, tak jak cię uczą.

– Tak czy siak, Valencio nie jest najlepszym tancerzem – powiedział Esquere. – Ale są inni. Co powiecie o Sacatece?

– Sacateca jest człowiekiem wiedzy, nie należy do tej samej klasy, co wy, bracia – powiedział surowo don Juan. – On tańczy, ponieważ ma do tego naturalny pociąg. Chciałem powiedzieć, że was wszystkich, którzy nie jesteście tancerzami, nie cieszy taniec. Być może, jeśli dobrze zatańczylibyście, któremuś sprawiłoby to pewną przyjemność. Niewielu z was wie cokolwiek o tańcu, dlatego też wasza radość jest gówno warta. Właśnie z tego powodu, koledzy, wszyscy jesteście pijakami. Popatrzcie teraz na mojego wnuka!

– Skończ z tym, dziadku – zaprotestował Lucio.

– Nie jest ani głupi, ani leniwy – ciągnął don Juan – ale cóż on innego robi oprócz picia?

– Kupuje skórzane kurtki! – zauważył Genaro, na co wszyscy ryknęli śmiechem. Lucio łyknął bacanory.

– A w jaki sposób pejotl może to zmienić? – zapytał Eligio.

– Gdyby Lucio poszukał opiekuna – powiedział don Juan – jego życie zmieniłoby się. Nie wiem dokładnie w jaki sposób, ale jestem pewien, że byłoby inne.

– Chcesz powiedzieć, że przestałby pić? – nalegał Eligio.

– Możliwe, że tak. On potrzebuje czegoś więcej niż tequili, żeby życie przyniosło mu satysfakcję. A to coś, czymkolwiek by to nie było, jest w stanie ofiarować opiekun.

– Wobec tego pejotl musi być bardzo smaczny – stwierdził Eligio.

– Tego nie powiedziałem – odparł don Juan.

– Jak u diabła możesz się tym cieszyć, jeśli nie ma dobrego smaku? – zapytał Eligio.

– On sprawia, że bardziej cieszysz się życiem – powiedział don Juan.

– Ale jeśli nie jest smaczny, jak może sprawić, że będziemy bardziej cieszyć się życiem? – nalegał Eligio. – To nie ma sensu.

– Oczywiście, że ma – powiedział Genaro z przekonaniem. – Pejotl robi z ciebie wariata, więc naturalnie wydaje ci się, że świetnie się bawisz, niezależnie od tego, co robisz.

Znowu wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– To ma sens – ciągnął nie zniechęcony don Juan – jeśli pomyślisz, jak mało wiemy i jak wiele pozostaje do zrozumienia. To alkohol robi z ludzi wariatów, rozmazuje obrazy. Mescalito natomiast wyostrza wszystko. Sprawia, że widzisz wyraźnie. Wręcz doskonale!

Lucio i Benigno spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się tak, jakby słyszeli tę historię już wcześniej. Genaro i Esquere byli bardziej niecierpliwi i zaczęli rozmawiać. Śmiech Victora górował nad wszystkimi głosami. Jedynym zainteresowanym był Eligio.

– W jaki sposób pejotl może to wszystko zrobić? – zapytał.

– Po pierwsze – wyjaśnił don Juan – powinieneś chcieć go poznać i wydaje mi się, że na początku jest to najważniejsza rzecz. Potem musisz mu zostać ofiarowany i musisz spotkać się z nim wiele razy, zanim będziesz mógł powiedzieć, że go znasz.

– A co się dzieje potem? – zapytał Eligio. Genaro przerwał:

– Srasz na dachu z dupą na ziemi. Całe audytorium ryknęło śmiechem.

– To, co się dzieje potem, zależy tylko od ciebie – ciągnął don Juan, nie tracąc panowania nad sobą. – Musisz przyjść do niego bez lęku, a on, krok po kroku, nauczy cię, jak lepiej żyć.

Tu nastąpiła długa przerwa. Mężczyźni wydawali się zmęczeni. Butelka stała pusta. Lucio z widoczną niechęcią otworzył następną.

– Czy pejotl jest również strażnikiem Carlosa? – zapytał żartobliwie Eligio.

– Tego nie wiem – powiedział don Juan. – Carlos brał go trzy razy, więc poproś go, niech ci opowie o tym.

Wszyscy z zaciekawieniem odwrócili się w moją stronę, a Eligio spytał:

– Naprawdę zażywałeś pejotl?

– Tak. Zażywałem.

Wydawało się, że don Juan wygrał rundę ze swoimi słuchaczami. Byli albo ciekawi opowieści o moich doświadczeniach, albo zbyt grzeczni, żeby zaśmiać mi się w twarz.

– Czy nie zranił cię w usta? – zapytał Lucio.

– Owszem. Miał też okropny smak.

– Więc po co go brałeś? – zapytał Benigno.

Zacząłem im dokładnie wyjaśniać, że dla człowieka Zachodu wiedza don Juana o pejotlu jest jedną z najbardziej fascynujących rzeczy. Stwierdziłem, że wszystko, co don Juan powiedział na ten temat, jest prawdą i że każdy sam może się o tym przekonać.

Zauważyłem, że wszyscy uśmiechali się, jakby maskując swoje lekceważenie. Poczułem się zakłopotany. Byłem świadomy swojej niezdarności w przekazywaniu tego, co miałem na myśli. Mówiłem jeszcze przez chwilę, ale straciłem impet i powtarzałem tylko to, co już wcześniej powiedział don Juan.

Don Juan przyszedł mi z pomocą i zapytał uspokajającym tonem:

– Nie szukałeś opiekuna, kiedy pierwszy raz przyszedłeś do Mescalito, prawda?

Powiedziałem im, że nie wiedziałem, iż Mescalito może być opiekunem. Popychała mnie do niego ciekawość i silne pragnienie poznania go.

Don Juan stwierdził, że moje intencje były bez zarzutu i z tego powodu Mescalito wywarł na mnie dobroczynny wpływ.

– Ale sprawił, że zarzygałeś i obsikałeś wszystko dookoła, no nie? – nalegał Genaro.

Powiedziałem mu, że rzeczywiście tak na mnie podziałał. Powstrzymywali śmiech. Poczułem, że ich pogarda do mnie jeszcze bardziej wzrosła. Nie wyglądali na zainteresowanych, z wyjątkiem Eligio, który wpatrywał się we mnie.

– Co widziałeś? – zapytał.

Don Juan zachęcił mnie do zrelacjonowania im wszystkich, albo prawie wszystkich istotnych szczegółów mojego doświadczenia. Opisałem im więc kolejność i formę tego, co zobaczyłem. Kiedy skończyłem, Lucio skomentował:

– Jeśli pejotl jest taki dziwny, cieszę się, że nigdy go nie zażywałem.

– Jest dokładnie tak, jak mówiłem – powiedział Genaro do Bajea. – Ta rzecz robi z ciebie wariata.

– Ale Carlos nie jest teraz wariatem. Jak to wytłumaczysz? – don Juan zapytał Genaro.

– A skąd ja mogę wiedzieć, że nie jest? – odparował Genaro. Wszyscy, łącznie z don Juanem, wybuchnęli śmiechem.

– Bałeś się? – zapytał Benigno.

– Zdecydowanie tak.

– Dlaczego więc to zrobiłeś? – zapytał Eligio.

– On powiedział, że chciał wiedzieć – odrzekł za mnie Lucio. – Wydaje mi się, że Carlos staje się taki jak mój dziadek. Obaj mówią, że chcą wiedzieć, ale nikt nie wie, co oni, do cholery, chcą wiedzieć.

– Wyjaśnienie tej wiedzy jest niemożliwe – powiedział don Juan do Eligio – ponieważ dla każdego człowieka jest ona inna. Jedyną rzeczą wspólną nam wszystkim jest to, że Mescalito wyjawia swoje sekrety w zaufaniu każdemu człowiekowi. Wiedząc, jak czuje się Genaro, nie polecałbym mu spotkania z Mescalito. Jednakże, wbrew moim słowom czy jego uczuciom, mogłoby okazać się, że Mescalito ma na niego dobroczynny wpływ. Ale tego tylko on może się dowiedzieć i to jest właśnie wiedza, o której mówiłem.

Don Juan wstał.

– Czas iść do domu – powiedział. – Lucio jest pijany, a Victor śpi.

Dwa dni później, 6 września, Lucio, Benigno i Eligio przyszli do domu, w którym się zatrzymałem, żeby wybrać się ze mną na polowanie. Przez chwilę nic nie mówili, a ja robiłem notatki. Potem Benigno roześmiał się uprzejmie w zapowiedzi, że zaraz powie coś ważnego.

Po chwili kłopotliwego milczenia zaśmiał się znowu i powiedział:

– Lucio powiedział, że zażyłby pejotl.

– Naprawdę? – zapytałem.

– Tak, nie miałbym nic przeciwko temu. Benigno ryknął śmiechem.

– Lucio mówi, że zażyje pejotl, jeśli mu kupisz motocykl.

Lucio i Benigno spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem. – Ile kosztuje motocykl w Stanach? – zapytał Lucio.

– Można by go chyba kupić za jakieś sto dolarów – powiedziałem.

– To nie jest tam zbyt dużo, prawda? Mógłbyś z łatwością mu go kupić, prawda? – zapytał Benigno.

– Cóż, pozwól mi najpierw spytać twego dziadka – powiedziałem do Lucia.

– Nie, nie – zaprotestował. – Nawet mu o tym nie wspominaj. On wszystko zepsuje. To dziwak. A poza tym jest za stary, umysłowo ograniczony i sam nie wie, co robi.

– Kiedyś był prawdziwym czarownikiem – dodał Benigno. – Rzeczywiście prawdziwym. Moi krewni mówią, że był najlepszy. Ale przeszedł na pejotl i stał się nikim. A teraz jest już za stary.

– I ciągle powtarza te same gówniane historyjki o pejotlu – powiedział Lucio.

– Ten pejotl to prawdziwe gówno – stwierdził Benigno. – Wiesz, raz spróbowaliśmy go. Lucio dostał cały worek od dziadka. Pewnej nocy, idąc do miasta, żuliśmy go. Sukinsyn! Poharatał mi usta na strzępy. Smakował szatańsko!

– Połknęliście to? – zapytałem.

– Wypluliśmy – powiedział Lucio – i wyrzuciliśmy ten cały pieprzony worek.

Obaj uznali to zdarzenie za bardzo śmieszne. Przez cały czas Eligio nie powiedział ani słowa. Jak zwykle trzymał się na uboczu. Nawet się nie śmiał.

– A ty, Eligio, chciałbyś spróbować? – zapytałem.

– Nie. Ja nie. Nawet za motocykl. Stwierdzenie to niesamowicie rozbawiło Lucia i Benigno, którzy znowu zarechotali.

– Mimo to – ciągnął Eligio – muszę przyznać, że don Juan intryguje mnie.

– Mój dziadek jest zbyt stary, żeby coś wiedzieć – powiedział Lucio z przekonaniem.

– Taak – powtórzył Benigno – jest za stary. Pomyślałem, że opinia tych dwóch młodych ludzi o don Juanie jest dziecinna i nieuzasadniona. Poczułem się w obowiązku obronić go. Powiedziałem im więc, że moim zdaniem don Juan jest – tak samo jak w przeszłości – wielkim czarownikiem, może nawet największym. Czuję, że coś w nim jest, coś niezwykłego. Przypomniałem im, że ma ponad siedemdziesiąt lat, a jest bardziej żywotny i silniejszy od nas wszystkich razem wziętych. Podpuściłem ich, żeby sprawdzili moje słowa, próbując podkraść się do don Juana.

– Nie da się podkraść do dziadka – rzekł Lucio z dumą. – On jest brujo.

Przypomniałem im, jak przed chwilą mówili, że don Juan jest za stary, a jego umysł zbyt ograniczony, żeby wiedzieć, co się dookoła niego dzieje. Przyznałem się, że za każdym razem podziwiam jego czujność.

– Nikt nie może zakraść się do brujo, nawet jeśli jest już stary – po wiedział autorytatywnie Benigno. – Można na niego jednak napaść, kiedy śpi. To właśnie przytrafiło się mężczyźnie o imieniu Cevicas. Ludzie mieli dość jego czarnej magii i zabili go.

Poprosiłem ich, aby opowiedzieli mi szczegółowo o tym zdarzeniu. Wykręcili się jednak, mówiąc, że miało to miejsce przed ich urodzeniem albo w czasach, kiedy byli jeszcze bardzo młodzi. Eligio dodał, że ludzie w skrytości uważali Cevicasa za głupca, ponieważ prawdziwego czarownika nikt nie może zranić. Próbowałem wypytać ich o zdanie na temat czarowników. Ten temat raczej ich nie interesował; poza tym chcieli szybko wyruszyć na polowanie i postrzelać sobie z dwudziestkidwójki, którą przywiozłem.

Udając się w kierunku gęstego chaparralu, milczeliśmy, aż idący na czele Eligio odwrócił się i powiedział do mnie:

– Może to my jesteśmy nienormalni, a don Juan ma rację. Popatrz, jak my żyjemy. Lucio i Benigno zaprotestowali. Usiłowałem pośredniczyć między nimi. Zgodziłem się z Eligio. Ja sam czuję, że z moim życiem jest coś nie tak. Benigno stwierdził, że nie powinienem narzekać na swoje życie, ponieważ mam pieniądze i samochód. Odparowałem, że ja z kolei mogę uznać, że to im jest lepiej, ponieważ każdy z nich posiada własny kawałek ziemi. Zgodnie odpowiedzieli, że właścicielem ich ziemi jest bank federalny. Ale ja też nie jestem właścicielem swojego samochodu, tylko bank w Kalifornii, a moje życie wcale nie jest lepsze, tylko inne. Tak rozmawiając, doszliśmy do gęstych zarośli.

Nie spotkaliśmy ani jeleni, ani dzikich świń, ale upolowaliśmy trzy króliki. W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się przy domu Lucia, który ogłosił, że jego żona przygotuje duszonego królika. Benigno poszedł do sklepu po butelkę tequili i wodę sodową. Wrócił z don Juanem.

– Czy spotkałeś mojego dziadka, jak kupował piwo w sklepie? – zapytał Lucio, śmiejąc się.

– Nie zaproszono mnie na to zgromadzenie – powiedział don Juan. – Wpadłem, żeby zapytać Carlosa, czy jedzie do Hermosillo.

Powiedziałem mu, że mam zamiar wyjechać następnego dnia. Kiedy rozmawialiśmy, Benigno rozdał butelki. Eligio podał swoją don Juanowi, a ponieważ w towarzystwie Yaqui odmówienie poczęstunku uchodzi za wyjątkowo niegrzeczne, don Juan wziął ją w milczeniu. Ja dałem swoją Eligio, który musiał ją przyjąć. Z kolei Benigno wręczył butelkę mnie. Niestety, Lucio, który oczywiście był świadkiem tego pokazu dobrych manier Yaqui, zdążył już wypić swoją wodę sodową. Odwrócił się do

Benigno, na którego twarzy malował się wyraz rozrzewnienia i powiedział, śmiejąc się:

– Nieźle cię wykolegowali.

Don Juan powiedział, że nie pije wody sodowej i dał swoją butelkę Benigno. Usiedliśmy cicho pod ramadą.

Eligio sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Bawił się rondem kapelusza.

– Myślałem o tym, co mówiłeś tamtej nocy – powiedział do don Juana. – Jak pejotl może odmienić nasze życie? W jaki sposób?

Don Juan nie odpowiedział. Wpatrywał się w Eligia przez chwilę, po czym zaczął śpiewać w języku Yaqui. Właściwie nie była to pieśń, ale krótka recytacja. Na dłuższą chwilę zapadło milczenie. Poprosiłem don Juana, aby przetłumaczył mi słowa Yaqui.

– To było tylko dla Yaqui – powiedział rzeczowo. Poczułem zniechęcenie. Byłem pewien, że przekazał im coś bardzo ważnego.

– Eligio jest Indianinem – powiedział mi w końcu don Juan – a jako Indianin nie ma nic. My, Indianie, nie mamy nic. Wszystko, co widzisz dookoła, należy do Yori. Yaqui posiadają tylko swój gniew i to, co ziemia ofiarowuje im za darmo.

Nikt nic nie mówił przez dłuższy czas, po czym don Juan wstał, powiedział do widzenia i odszedł. Patrzyliśmy za nim, aż zniknął za zakrętem drogi. Wszyscy byliśmy podenerwowani. Zdezorientowany Lucio stwierdził, że jego dziadek poszedł, ponieważ nie znosi duszonego królika. Eligio pogrążył się w myślach. Benigno odwrócił się do mnie i powiedział głośno:

– Myślę, że Bóg pokarze ciebie i don Juana za to, co robicie.

Lucio zaczął się śmiać, a Benigno zawtórował mu.

– Robisz sobie jaja, Benigno – powiedział smutno Eligio. – To, co powiedziałeś, jest gówno warte.

15 września 1968

Była sobota, dziewiąta wieczorem. Don Juan siedział naprzeciwko Eligia w środku ramady, w domu Lucia. Położył swój worek z gałkami pejotlu przed sobą i śpiewał, kołysząc się lekko w przód i w tył. Lucio, Benigno i ja siedzieliśmy jakieś pięć czy sześć stóp za Eligiem, oparci plecami o ścianę. Na początku było dość ciemno. Znajdowaliśmy się w domu oświetlonym benzynową lampą, czekając na don Juana. Kiedy przyszedł, zawołał nas do ramady i powiedział, gdzie mamy usiąść. Po chwili moje oczy przywykły do ciemności. Widziałem wszystkich wyraźnie. Zauważyłem, że Eligio jest przerażony. Drżał na całym ciele, mimowolnie szczękał zębami. Opanowały go skurcze, wstrząsające głową i plecami.

Don Juan mówił do niego, żeby się nie bał, zaufał opiekunowi i o niczym innym nie myślał. Niedbałym ruchem wziął gałkę pejotlu, podał ją Eligiowi i kazał mu żuć bardzo powoli. Eligio zaskowyczał jak szczenię i cofnął się. Jego oddech był bardzo szybki i podobny do świstu miechów kowalskich. Zdjął kapelusz i przetarł czoło. Zakrył twarz rękoma. Myślałem, że płacze. Minęła długa, pełna napięcia chwila, zanim się trochę pozbierał. Usiadł prosto i ciągle zakrywając twarz jedną ręką, wziął gałkę pejotlu i zaczął ją żuć.

Poczułem niesamowity niepokój. Do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, że byłem chyba tak samo przerażony jak Eligio. W ustach miałem suchość podobną do wywoływanej przez pejotl. Eligio długo żuł swój kawałek. Moje napięcie wzrastało. Mimowolnie zacząłem jęczeć i pocić się.

Don Juan zaśpiewał głośniej, po czym dał Eligiowi następną gałkę. Kiedy ten ją przeżuł, podał mu suszone owoce i kazał żuć je bardzo powoli.

Eligio kilka razy wstawał i szedł w krzaki. W pewnej chwili poprosił o wodę. Don Juan polecił mu nie pić, tylko przepłukać usta. Eligio przeżuł jeszcze dwie gałki i dostał suszonego mięsa. Dopóki nie skończył dziesiątego kawałka, byłem prawie chory ze strachu.

Nagle Eligio gwałtownie upadł do przodu, uderzając czołem o podłogę. Przetoczył się, układając się na lewym boku i zatrząsł w konwulsjach. Spojrzałem na zegarek. Było dwadzieścia po jedenastej. Eligio rzucał się, trząsł i jęczał na podłodze ponad godzinę.

Don Juan przez cały czas siedział naprzeciwko. Śpiewane przez niego pieśni pejotlu przeszły niemal w mruczenie. Siedzący po mojej prawej stronie Benigno przyglądał się temu nieuważnym wzrokiem. Siedział przy nim Lucio, który przechylił się na bok i chrapał.

Ciało Eligia wygięło się w dziwacznej pozycji. Leżał na prawym boku, z twarzą skierowaną w moją stronę, ręce trzymał między nogami. Nagle wykonał gwałtowny skok, odwrócił się na plecy z lekko zgiętymi nogami. Lewą ręką machał w bok i do góry niezwykle swobodnym i eleganckim ruchem. Prawą ręką robił to samo. Potem obie ręce na zmianę wykonywały powolne, faliste ruchy przypominające ruchy harfiarza. Stopniowo stawały się coraz szybsze. Jego ręce weszły w dostrzegalne wibracje i poruszały się w górę i w dół jak tłoki. Równocześnie obracały się na zewnątrz w nadgarstkach, a palce trzepotały. Był to piękny widok, harmonijny i hipnotyczny. Pomyślałem sobie, że jego kontrola rytmu i mięśni jest niewiarygodna.

Potem Eligio podniósł się powoli jak ktoś, kto opiera się przygniatającej go sile. Jego ciało trzęsło się. Przykucnął, po czym wyprostował się. Ramiona, korpus i głowa drżały, jakby co chwilę przepływał przez nie prąd. Wyglądało to tak, jak gdyby jakaś nie podlegająca jego kontroli siła sadzała go i podnosiła do pozycji stojącej.

Śpiew don Juana stał się bardzo głośny. Lucio i Benigno obudzili się, bez zainteresowania spojrzeli na to, co się działo, po czym znowu zasnęli.

Eligio zdawał się poruszać ciągle w górę. Najwidoczniej się wspinał. Zginał palce i chwytał niewidoczne dla mnie przedmioty. Podciągnął się do góry i zatrzymał, żeby złapać oddech.

Chciałem zobaczyć jego oczy i przysunąłem się bliżej, ale don Juan spojrzał na mnie surowo, więc wróciłem na swoje miejsce.

Nagle Eligio podskoczył. Był to ostatni, wspaniały skok. Najwidoczniej osiągnął swój cel. Sapał i popłakiwał z wyczerpania. Sprawiał wrażenie, jakby trzymał się skalnego występu. Coś go jednak spychało. Krzyknął zdesperowany. Jego uchwyt zelżał i zaczął spadać. Ciało wygięło się w łuk do tyłu, a od głowy do palców u nóg wstrząsały nim konwulsje piękną, skoordynowaną falą. Przeszły przez niego chyba ze sto razy, po czym Eligio opadł na ziemię jak pusty jutowy worek.

Po chwili wyciągnął przed siebie ręce, jakby chciał zasłonić twarz. Leżał na brzuchu, nogi wyciągnął do tyłu i wygiął w łuk kilka cali nad ziemią, nadając ciału wygląd obiektu ślizgającego się albo lecącego z niewiarygodną prędkością. Głowę maksymalnie wygiął do tyłu, a ramionami zasłonił oczy dla ochrony. Niemalże czułem wiatr gwiżdżący wokół niego. Złapałem haust powietrza i wydałem głośny, mimowolny krzyk. Lucio i Benigno przebudzili się i spojrzeli na Eligia zaciekawieni.

– Jeśli obiecasz, że kupisz mi motocykl, to przeżuję zaraz – powiedział głośno Lucio.

Spojrzałem na don Juana. Wykonał głową rozkazujący gest.

– Sukinsyn! – wymamrotał Lucio i wrócił do spania.

Eligio wstał i zaczął chodzić. Zrobił kilka kroków w moim kierunku i zatrzymał się. Na twarzy miał ekstatyczny uśmiech. Spróbował gwizdać. Dźwięk, który wydał, nie był czysty, ale harmonijny. Była to melodia. Składała się z kilku taktów, które ciągle powtarzał. Po chwili gwizd był już głośny, po czym przeszedł w wyraźną melodię. Eligio mamrotał niezrozumiałe wyrazy, które chyba miały być słowami do tej melodii. Powtarzał je godzinami. Powstała prosta pieśń, powtarzająca się, monotonna, jednakże dziwnie piękna.

Eligio zdawał się patrzyć na coś, kiedy śpiewał. W pewnej chwili podszedł do mnie bardzo blisko. W półmroku zobaczyłem jego oczy. Były szkliste i nieruchome. Uśmiechnął się i zachichotał. To szedł, to siadał, stękając i wzdychając na przemian.

Nagle coś go z tyłu popchnęło. Wygiął się w łuk, jakby pod naporem jakiejś bezpośrednio działającej siły. W jednej chwili zaczął balansować na czubkach palców, a jego ciało ułożyło się prawie w okrąg, kiedy rękami dotknął ziemi. Znowu upadł, łagodnie, na plecy. Wyciągnął się na całą długość, dziwnie sztywniejąc.

Przez chwilę piszczał i jęczał, po czym zaczął chrapać. Don Juan przykrył go jutowymi workami. Była piąta trzydzieści pięć rano.

Lucio i Benigno zasnęli ramię w ramię, oparci plecami o ścianę. Don Juan i ja długo siedzieliśmy w milczeniu. Don Juan wyglądał na zmęczonego. Przerwałem milczenie i spytałem go o Eligia. Powiedział, że jego spotkanie z Mescalito było wyjątkowo udane; Mescalito nauczył go pieśni podczas pierwszego spotkania, co jest naprawdę niezwykłe.

Zapytałem, dlaczego nie pozwolił Luciowi zażyć pejotlu w zamian za motocykl. Odparł, że Mescalito zabiłby Lucia, gdyby ten przyszedł do niego pod takim warunkiem. Don Juan przyznał, że wszystko starannie przygotował, żeby przekonać wnuka. Traktował moją przyjaźń z Luciem jako

centralny punkt swojej strategii. Powiedział, że zawsze troszczył się o Lucia. Kiedyś mieszkali razem i bardzo się do siebie zbliżyli. Kiedy Lucio miał siedem lat, poważnie zachorował i syn don Juana, oddany katolik, złożył ślubowanie Dziewicy z Guadelupy, że jeśli Lucio przeżyje, to dołączy do świętego stowarzyszenia tancerzy. Lucio wyzdrowiał i został zmuszony do wypełnienia ślubu. Wytrzymał tydzień, a potem postanowił złamać ślubowanie. Spodziewał się, że na skutek tego umrze i przez cały dzień oczekiwał nadejścia śmierci. Wszyscy śmiali się z chłopaka i nigdy nie zapomniano o tym wydarzeniu.

Przez dłuższy czas don Juan nic nie mówił. Był pogrążony w myślach.

– Mój plan był przygotowany dla Lucia – powiedział. – A zamiast niego znalazłem Eligia. Wiedziałem, że jest to bezcelowe, ale kiedy się kogoś lubi, powinno się tak działać, jakby można było go zmienić. Jako mały chłopiec Lucio miał dużo odwagi, ale potem, z biegiem czasu, stracił ją.

– Czy możesz go zaczarować, don Juanie?

– Zaczarować go? Po co?

– Po to, żeby się zmienił i odzyskał swoją odwagę.

– Nie da się zaczarować kogoś, żeby zdobył odwagę. Odwaga jest czymś osobistym. Czaruje się po to, żeby uczynić ludzi nieszkodliwymi, chorymi albo głupimi. Nie można zamienić kogoś czarami w wojownika. Żeby zostać wojownikiem, trzeba być tak kryształowo czystym jak Eligio. Oto odważny człowiek!

Eligio chrapał spokojnie pod workami. Był już dzień. Niebo zrobiło się nieskazitelnie niebieskie. W zasięgu wzroku nie było żadnych chmur.

– Oddałbym wszystko – powiedziałem – żeby dowiedzieć się czegoś o podróży Eligia. Czy masz coś przeciwko temu, żebym go o to spytał?

– W żadnym wypadku nie wolno ci tego robić!

– Dlaczego nie? Ja przecież opowiadam ci swoje doświadczenia.

– To co innego. Ty nie potrafisz zachować rzeczy dla siebie. Eligio jest Indianinem. Jego podróż to wszystko, co ma. Chciałbym, żeby to był Lucio.

– Czy nie jesteś w stanie nic zrobić, don Juanie?

– Nie. Niestety, nie ma sposobu, żeby dorobić kości meduzie. To był tylko mój kaprys.

Wzeszło słońce. Jego światło podrażniło moje zmęczone oczy.

– Powtarzałeś mi wielokrotnie, don Juanie, że czarownikowi nie wolno mieć kaprysów. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że ty możesz mieć jakieś kaprysy.

Don Juan spojrzał na mnie uważnie. Wstał, rzucił okiem najpierw na Eligia, a potem na Lucia. Wsadził kapelusz na głowę, klepiąc go po wierzchu.

– Można we właściwy sposób obstawać przy swoim, nawet jeśli wiemy, że to jest bezskuteczne – powiedział, uśmiechając się. – Ale najpierw musimy wiedzieć, że nasze działania są bezskuteczne, a następnie, mimo to, zachowywać się tak, jakbyśmy tego nie wiedzieli. To jest właśnie kontrolowany kaprys czarownika.

5

3 października 1968 roku przyjechałem do domu don Juana tylko po to, żeby spytać go o wydarzenia towarzyszące inicjacji Eligia. Kiedy czytałem notatki opisujące to, co się wtedy działo, pojawił się w moim umyśle prawie nie kończący się ciąg pytań. Jako zwolennik bardzo dokładnych wyjaśnień, zawczasu przygotowałem sobie listę pytań, starannie dobierając najwłaściwsze słowa.

Zacząłem od następującego pytania:

– Czy ja tamtej nocy widziałem, don Juanie?

– Prawie.

– Czy ty widziałeś, że ja widzę ruchy Eligia?

– Tak. Widziałem, że Mescalito pozwolił ci widzieć część lekcji Eligia. Gdyby się tak nie stało, patrzyłbyś po prostu na siedzącego albo może na leżącego mężczyznę. Podczas ostatniego mitote nie zauważyłeś, żeby mężczyźni coś robili, prawda?

Na ostatnim mitote nie zaobserwowałem, żeby któryś z mężczyzn wykonywał jakieś niezwykłe ruchy. Powiedziałem mu, że mogę z przekonaniem stwierdzić, iż odnotowałem jedynie to, że niektórzy uczestnicy mitote wstawali i szli w krzaki częściej od innych.

– Ale prawie widziałeś całą lekcję Eligia – ciągnął don Juan. – Pomyśl o tym. Czy teraz rozumiesz, jak wspaniałomyślny jest dla ciebie Mescalito? Z tego co wiem, nigdy nie był on dla nikogo aż tak dobry. Absolutnie dla nikogo. Jednak ty nie masz żadnego szacunku dla jego wielkoduszności. Jak możesz tak bezceremonialnie odwracać się od niego? Albo lepiej powinienem zapytać, czy w ten sposób okazujesz mu swoją wdzięczność?

Poczułem, że don Juan znowu zapędził mnie w ślepy zaułek. Nie umiałem odpowiedzieć na jego pytanie. Zawsze uważałem, że porzuciłem naukę u niego, żeby ratować swoje życie, jednakże nie miałem pojęcia, przed czyni je miałem ratować ani po co. Teraz chciałem szybko zmienić temat rozmowy i dlatego zrezygnowałem z zadawania wcześniej przygotowanych pytań, oprócz jednego najważniejszego.

– Ciekawy jestem, czy mógłbyś mi powiedzieć coś więcej o twoim kontrolowanym kaprysie? – zapytałem.

– A co chcesz o nim wiedzieć?

– Proszę, powiedz mi, don Juanie, czym dokładnie jest kontrolowany kaprys?

Don Juan zaśmiał się głośno i plasnął dłonią o udo.

– To jest kontrolowany kaprys! – powiedział, śmiejąc się, po czym znowu uderzył się ręką w udo.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Bardzo się cieszę, że w końcu, po tylu latach, pytasz o mój kontrolowany kaprys. Ale gdybyś nigdy nie zapytał, wcale by mnie to nie obeszło. Jednak chciałem poczuć się szczęśliwy i dlatego powiedziałem ci, że zależy mi na twoim pytaniu, tak jakbym przywiązywał do tego wielką wagę. To jest właśnie kontrolowany kaprys!

Obaj zaśmialiśmy się głośno. Uścisnąłem go. Wyjaśnienie don Juana zachwyciło mnie, chociaż właściwie go nie zrozumiałem.

Siedzieliśmy jak zwykle przed drzwiami domu. Był późny ranek. Przed don Juanem leżała kupka nasion, z których wybierał śmieci. Zaoferowałem mu pomoc, ale odmówił. Powiedział, że nasiona są podarkiem od jednego z jego przyjaciół ze środkowego Meksyku, a ja nie mam dość mocy, żeby ich dotknąć.

– Wobec kogo posługujesz się kontrolowanym kaprysem, don Juanie? – zapytałem po chwili milczenia. Zachichotał.

– Wobec wszystkich! – wykrzyknął, śmiejąc się.

– W takim razie, kiedy decydujesz się to zrobić?

– Za każdym razem, kiedy coś robię.

Poczułem, że w tym momencie muszę to podsumować i spytałem go, czy kontrolowany kaprys oznacza, że jego działania nigdy nie są szczere, a są tylko grą aktora.

– Moje działania są szczere – rzekł – ale są tylko grą aktora.

– Wobec tego wszystko, co robisz, musi być kontrolowanym kaprysem – powiedziałem, naprawdę zaskoczony.

– Tak, wszystko – odparł.

– Nie może jednak być prawdą – zaprotestowałem – że każde twoje działanie jest kontrolowanym kaprysem.

– Dlaczego nie? – odpowiedział z tajemniczym spojrzeniem.

– Bo wtedy nic nie miałoby dla ciebie znaczenia i naprawdę na nikim ani na niczym by ci nie zależało. Weź mnie na przykład. Chcesz powiedzieć, że jest ci wszystko jedno, czy zostanę człowiekiem wiedzy, czy też nie, czy jestem żywy, czy martwy i co robię?

– To prawda! Jest mi wszystko jedno. Ty jesteś jak Lucio albo każdy inny w moim życiu, jesteś moim kontrolowanym kaprysem.

Poczułem szczególnego rodzaju pustkę. Oczywiście, nie było żadnego powodu, dla którego don Juanowi miałoby na mnie zależeć. Z drugiej strony, byłem prawie pewien, że miał do mnie bardzo osobisty stosunek. Wydawało mi się, że nie może być inaczej, skoro zawsze, w każdej chwili, którą z nim spędziłem, poświęcał mi całą swoją uwagę. Przyszło mi do głowy, że don Juan mówi tak dlatego, ponieważ jest na mnie zły. W końcu przecież porzuciłem jego nauki.

– Mam wrażenie, że nie mówimy o tym samym – stwierdziłem. – Nie powinienem był dawać siebie za przykład. Chciałem powiedzieć, że musi być coś na świecie, na czym ci zależy, coś, co nie jest kontrolowanym kaprysem. Nie sądzę, żeby było możliwe życie, jeśli na niczym ci tak naprawdę nie zależy.

– To się odnosi do ciebie – powiedział. – Rzeczy mają znaczenie dla ciebie. Zapytałeś mnie o mój kontrolowany kaprys i powiedziałem ci, że wszystko, co robię i co odnosi się do mnie i moich współbraci jest kaprysem, ponieważ nic nie ma dla mnie znaczenia.

– Chodzi mi o to, że jeśli nic nie ma dla ciebie znaczenia, to jak możesz żyć?

Zaśmiał się, a po chwili przerwy, kiedy to zdawał się zastanawiać, czy odpowiedzieć mi, czy nie, wstał i poszedł za dom. Udałem się za nim.

– Zaczekaj, don Juanie, zaczekaj! – zawołałem. – Naprawdę chcę wiedzieć. Musisz mi, wyjaśnić, o co ci chodzi.

– Może tego się nie da wyjaśnić – rzekł. – Niektóre rzeczy w twoim życiu mają dla ciebie znaczenie, ponieważ są twoim zdaniem ważne. Z pewnością twoje działania są dla ciebie ważne, ale dla mnie żadna rzecz już nie jest ważna, ani moje poczynania, ani też poczynania innych ludzi. Mimo to żyję, ponieważ mam swoją wolę. A ponieważ w ciągu życia zahartowałem ją, teraz jest nieugięta i właściwie wykorzystywana. Stało mi się zupełnie obojętne to, że nic nie ma dla mnie znaczenia. Moja wola kontroluje kaprys mojego życia.

Przykucnął i przesunął palcami po jakichś ziołach, które rozłożył do suszenia na słońcu, na dużym kawałku jutowego worka.

Byłem oszołomiony. Nigdy bym nie przypuszczał, że otrzymam taką odpowiedź. Po długim milczeniu wymyśliłem dobry argument. Powiedziałem mu, że moim zdaniem niektóre działania moich współbraci są najwyższej wagi. Wojna atomowa stanowi zdecydowanie najważniejszy przykład takich działań. Dla mnie zniszczenie życia na ziemi jest wyjątkowo potworną zbrodnią.

– Wierzysz w to, ponieważ myślisz. Myślisz o życiu – rzekł don Juan z błyskiem w oku. – Nie widzisz.

– Czy uważałbym inaczej, gdybym widział? – zapytałem.

– Kiedy człowiek nauczy się widzieć, zostaje w świecie sam, jedynie ze swoim kaprysem – powiedział tajemniczo don Juan.

Zamilkł na chwilę i spojrzał na mnie, jakby chciał ocenić, jakie wrażenie wywarły na mnie jego

słowa.

– Twoje postępowanie, jak również postępowanie twoich współbraci wydają ci się ważne, ponieważ nauczyłeś się myśleć, że są one ważne.

Wypowiedział słowo “nauczyłeś się" tak szczególnym tonem, że poczułem się zmuszony zapytać go, co chciał przez to powiedzieć.

Przerwał układanie roślin i spojrzał na mnie.

– Uczymy się myśleć o wszystkim – powiedział – a potem ćwiczymy oczy, aby widziały rzeczy tak, jak o nich myślimy. Patrzymy na siebie, z góry przyjmując, że jesteśmy ważni. No więc musimy czuć się ważni! Wszakże kiedy człowiek nauczy się widzieć, zdaje sobie sprawę, że nie może już dłużej myśleć o rzeczach, na które patrzy. A kiedy nie może myśleć o rzeczach, na które patrzy, wszystko staje się nieważne.

Don Juan musiał zauważyć moje zakłopotanie, bo powtórzył swoje stwierdzenie trzy razy, jakby chciał mi pomóc je zrozumieć. Z początku to, co mówił, brzmiało w moich uszach jak bełkot, ale kiedy to przemyślałem, z jego słów wyłonił się skomplikowany opis pewnego aspektu percepcji.

Usiłowałem wymyślić jakieś dobre pytanie, które skłoniłoby go do dalszych wyjaśnień, ale nic mi nie przychodziło do głowy. Nagle poczułem się zmęczony i nie mogłem jasno sformułować myśli.

Don Juan chyba zauważył moje zmęczenie i poklepał mnie łagodnie.

– Oczyść te rośliny – powiedział – a potem połam je i powkładaj ostrożnie do słoika.

Wręczył mi duży słoik po kawie, po czym odszedł.

Wrócił do domu po godzinie, późnym popołudniem. Skończyłem z roślinami i zostało mi jeszcze mnóstwo czasu na pisanie notatek. Chciałem od razu zadać mu kilka pytań, ale nie miał nastroju do udzielania odpowiedzi. Powiedział, że jest głodny i najpierw musi przygotować sobie jedzenie. Rozpalił ogień w glinianym piecu i postawił na nim garnek z rosołem na kościach. Zajrzał do torby z zakupami, którą przywiozłem, wyjął z niej kilka jarzyn, pokroił je na małe kawałeczki i wrzucił do garnka. Potem położył się na swojej macie, zrzucił sandały i powiedział, abym usiadł bliżej pieca, tak żebym mógł dokładać do ognia.

Zrobiło się już prawie całkiem ciemno. Z miejsca, gdzie siedziałem, widać było zachodnią stronę nieba. Wielkie kłębowisko chmur zabarwiło się żółcią na brzegach, a w środku pozostawało prawie czarne.

Chciałem właśnie skomentować piękno chmur, ale don Juan odezwał się pierwszy.

– Puszyste brzegi i gęsty środek – powiedział, wskazując na chmury.

Jego stwierdzenie było tak trafne, że aż podskoczyłem.

– Właśnie miałem powiedzieć ci o chmurach – zauważyłem.

– Wobec tego ubiegłem cię – rzekł i roześmiał się jak dziecko.

Zapytałem go, czy jest w odpowiednim nastroju, żeby odpowiedzieć na kilka pytań.

– Co chcesz wiedzieć? – odparł.

– To, co powiedziałeś mi po południu o kontrolowanym kaprysie, bardzo mnie poruszyło – stwierdziłem. – Naprawdę nie mogę zrozumieć, co miałeś na myśli.

– Oczywiście, że nie możesz tego zrozumieć – powiedział. – Próbujesz o tym myśleć, a to, co powiedziałem, nie pasuje do twoich myśli.

– Usiłuję o tym myśleć – powiedziałem – ponieważ jest to jedyny sposób, w jaki mogę coś zrozumieć. Czy na przykład, don Juanie, chcesz powiedzieć, że kiedy człowiek nauczy się widzieć, wszystko w świecie staje się bezwartościowe?

– Nie powiedziałem bezwartościowe. Powiedziałem nieważne. Wszystko jest równe sobie i dlatego nieważne. Na przykład, nie mogę w żaden sposób powiedzieć, że to, co ja robię, jest ważniejsze od tego, co ty robisz, albo że jedna rzecz jest bardziej istotna od drugiej. Dlatego też wszystkie rzeczy są sobie równe, a jako równe są nieważne.

Zapytałem go, czy jego stwierdzenie oznacza, że to, co nazywa “widzeniem", jest w rzeczywistości lepsze od zwykłego “patrzenia na rzeczy". Odpowiedział, że oczy człowieka mogą wykonywać obie funkcje, ale żadna z nich nie jest lepsza. Uczenie oczu jedynie patrzenia jest jednak, jego zdaniem,

niepotrzebną stratą.

– Na przykład musimy patrzeć swoimi oczami, żeby się śmiać – powiedział – ponieważ tylko wtedy, kiedy patrzymy, możemy uchwycić zabawną stronę świata. Z drugiej strony, kiedy nasze oczy widzą, wszystko staje się do tego stopnia jednakowe, że nic już nie jest śmieszne.

– Chcesz powiedzieć, don Juanie, że człowiek, który widzi, nigdy się nie śmieje? Przez chwilę nie odpowiadał.

– Bardzo możliwe, że są tacy ludzie wiedzy, którzy nigdy się nie śmieją – powiedział. – Jednakże ja nie znam nikogo takiego. Ci, o których wiem, że widzą, potrafią także patrzeć, więc się śmieją.

– Czy człowiek wiedzy może również płakać?

– Myślę, że tak. Nasze oczy patrzą, więc możemy śmiać się, płakać, cieszyć się, być smutni albo szczęśliwi. Ja osobiście nie lubię być smutny, więc kiedy tylko jestem świadkiem czegoś, co zwykle mnie smuci, po prostu przestawiam oczy i widzę zamiast patrzeć. Za to kiedy spotykam coś śmiesznego, patrzę i śmieję się.

– Wtedy jednak, don Juanie, twój śmiech jest prawdziwy, nie jest kontrolowanym kaprysem.

Don Juan wpatrywał się we mnie przez chwilę.

– Rozmawiam z tobą, bo mnie rozśmieszasz – powiedział. – Przypominasz mi takie pustynne szczury o puszystych ogonach. Można je złapać, kiedy wsadzają ogon do dziury, próbując odstraszyć inne szczury i ukraść ich jedzenie. Dałeś się złapać na swoje własne pytania. Uważaj! Czasami te szczury wyrywają sobie ogony, chcąc się uwolnić.

To porównanie rozbawiło mnie, roześmiałem się. Don Juan pokazał mi kiedyś kilka małych gryzoni o puszystych ogonach, które wyglądały jak tłuste wiewiórki; obraz jednego z tych pucołowatych szczurów tracących swój ogon był smutny i równocześnie chorobliwie śmieszny.

– Mój śmiech, jak wszystko inne, co robię, jest rzeczywisty – rzekł – ale jest to również kontrolowany kaprys, ponieważ nie ma z niego żadnego pożytku, niczego nie zmienia. Wciąż jednak tak postępuję.

– Lecz z tego, co zrozumiałem, don Juanie, wynika, że twój śmiech nie jest bezużyteczny. On cię uszczęśliwia.

– Nie! Jestem szczęśliwy, ponieważ wybieram patrzenie na rzeczy, które mnie uszczęśliwiają, a wtedy moje oczy dostrzegają ich zabawną stronę, więc się śmieję. Powtarzam ci to niezliczoną ilość razy. Żeby robić to, co dla ciebie najlepsze, swoją ścieżkę musisz wybierać zawsze sercem. Zapewne tak samo można się zawsze śmiać.

Zinterpretowałem to, co powiedział, w ten sposób, że płacz jest gorszy od śmiechu albo działa na nas co najmniej osłabiająco. Don Juan zaoponował mówiąc, że nie ma tu istotnej różnicy, bo zarówno śmiech, jak i płacz są nieważne. Jednakże on woli śmiech, ponieważ śmiech lepiej służy jego ciału niż płacz.

Zauważyłem wtedy, że jeśli istnieją preferencje, to nie ma równości. Jeśli woli śmiech od płaczu, to ten pierwszy jest zdecydowanie ważniejszy.

Don Juan uparcie twierdził, że jego preferencje wcale nie oznaczają, że śmiech i płacz nie są sobie równe. Ja zaś utrzymywałem, że nasz spór można doprowadzić do logicznego wniosku, że jeśli rzeczy są do tego stopnia równe, to dlaczego by nie wybrać śmierci?

– Wielu ludzi wiedzy właśnie tak robi – powiedział. – Pewnego dnia mogą po prostu zniknąć. Niektórzy ludzie sądzą, że wpadli w zasadzkę i zostaną skazani na śmierć za swoje czyny. Wybierają śmierć, ponieważ nie ma to dla nich znaczenia. Ja zaś wybrałem życie i śmiech, nie dlatego, że to jest ważne, ale dlatego, że taki wybór jest zgodny z moją wrodzoną skłonnością. Mówię, że wybrałem, ponieważ widzę. Lecz to nie znaczy, że wybrałem życie; to moja wola sprawia, że żyję, mimo że widzę. Nie rozumiesz mnie, ponieważ masz nawyk myślenia, kiedy patrzysz i myślenia, kiedy myślisz.

Jego stwierdzenie bardzo mnie zaintrygowało. Poprosiłem go, aby wyjaśnił, co chciał powiedzieć.

Powtarzał to samo kilka razy, jakby dając sobie czas na ułożenie innego sformułowania, po czym powiedział, że przez myślenie rozumie nasze stałe wyobrażenie o wszystkim w świecie. Widzenie usuwa ten nawyk, a ja, dopóki nie nauczę się widzieć, nie będę mógł naprawdę zrozumieć, o co mu chodzi.

– Jeśli jednak nic nie ma znaczenia, don Juanie, to dlaczego miałoby być ważne, żebym nauczył

się widzieć?

– Powiedziałem ci kiedyś, że naszym ludzkim przeznaczeniem jest uczenie się, na dobre i na złe – rzekł. – Nauczyłem się widzieć i mówię ci, że tak naprawdę nic się nie liczy. Teraz twoja kolej, może pewnego dnia będziesz widział i sam przekonasz się, czy rzeczy mają załączenie, czy też nie. Dla mnie nic nie ma znaczenia, ale może dla ciebie wszystko będzie miało. Powinieneś już wiedzieć, że człowiek wiedzy żyje działając, a nie myśląc o działaniu, ani też myśląc, co pomyśli, kiedy skończy działać. Człowiek wiedzy swoją ścieżkę wybiera sercem i podąża nią. Potem patrzy, cieszy się i śmieje, a jeszcze później widzi i wie. Wie, że jego życie skończy się za szybko. Wie, że tak jak każdy zmierza donikąd. Wie, ponieważ widzi, że nic nie jest ważniejsze od innych rzeczy. Inaczej mówiąc, człowiek wiedzy nie ma ani honoru, ani godności, ani rodziny, ani imienia, ani kraju, ma tylko życie, którym żyje. W takiej sytuacji jego jedynym związkiem ze współbraćmi staje się kontrolowany kaprys. Człowiek wiedzy zatem stara się, poci i sapie, a kiedy się na niego spojrzy, wygląda jak każdy zwyczajny człowiek, z tym jednak wyjątkiem, że kontroluje kaprys swego życia. Nie ma rzeczy ważniejszej od innych, dlatego człowiek wiedzy wybiera jakąś czynność i wykonuje ją tak, jakby miała dla niego znaczenie. Jego kontrolowany kaprys sprawia, iż mówi, że to, co robi, ma dla niego znaczenie i zachowuje się tak, jakby naprawdę miało. Lecz on wie, że nie ma, więc kiedy zakończy swoje działanie, odpoczywa w spokoju – niezależnie od tego, czyjego czyny są dobre, czy złe, czy coś mu się udało, czy też nie, w żadnym wypadku nic to go nie obchodzi.

Z drugiej jednak strony, człowiek wiedzy może wybrać całkowitą bierność i nigdy nie podejmować żadnych działań, zachowywać się w taki sposób, jakby zależało mu na byciu pasywnym. Wtedy również będzie autentyczny, ponieważ w ten sposób przejawia się jego kontrolowany kaprys.

Słysząc to, podjąłem się bardzo zawiłego wyjaśnienia don Juanowi, że jestem ciekawy, co motywuje człowieka wiedzy do działania w dany sposób, choć wie on, iż nic nie ma znaczenia.

Zachichotał cicho, zanim mi odpowiedział.

– Ty myślisz o swoich działaniach – powiedział. – Dlatego musisz wierzyć, że twoje czyny są na tyle ważne, na ile sądzisz, że są ważne, podczas gdy w rzeczywistości nic, co robimy, nie jest ważne. Nic! Lecz skoro – jak powiedziałeś – nic się naprawdę nie liczy, jak mogę dalej żyć? Łatwiej byłoby umrzeć. Tak właśnie mówisz i wierzysz w to, ponieważ myślisz o życiu tak samo, jak teraz myślisz o tym, czym jest widzenie. Chciałbyś, abym ci je opisał, po to żebyś mógł o nim myśleć, tak jak o wszystkim innym. W przypadku widzenia myślenie jednakże zupełnie nie wchodzi w grę, więc nie mogę ci powiedzieć, jak to jest widzieć. Teraz chcesz, żebym ci podał przyczyny mojego kontrolowanego kaprysu, ale mogę ci tylko powiedzieć, że jest to bardzo zbliżone do widzenia, jest to coś, o czym nie da się myśleć.

Ziewnął. Położył się na plecach, wyciągnął ramiona i nogi. Jego kości zatrzeszczały.

– Zbyt długo cię tu nie było – rzekł. – Za dużo myślisz.

Wstał i wszedł w gęste krzewy chaparralu, które rosły przy domu. Dołożyłem do ognia. Miałem zamiar zapalić lampę naftową, ale półmrok był bardzo uspokajający. Ogień z paleniska dawał światło wystarczające do pisania i spowijał wszystko dokoła czerwonawą poświatą. Odłożyłem notatki na ziemię i położyłem się. Byłem zmęczony. Z całej mojej rozmowy z don Juanem zapamiętałem jedynie przykry fakt, że mu na mnie nie zależało. Bardzo mnie to poruszyło. Ufałem mu przez tyle lat. Gdybym nie zaufał mu całkowicie, perspektywa zgłębienia jego wiedzy wypełniłaby mnie paraliżującym strachem. Moje zaufanie do niego opierało się na przekonaniu, że jemu osobiście na mnie zależało. W rzeczywistości zawsze się go bałem, ale kontrolowałem swój strach, ponieważ miałem do niego zaufanie. Kiedy usunął tę podstawę, nie miałem się na czym oprzeć i poczułem się bezradny.

Opanował mnie bardzo dziwny niepokój. Poczułem niezwykłe podniecenie i zacząłem chodzić w tę i z powrotem przed paleniskiem. Don Juan długo nie wracał. Czekałem na niego niecierpliwie.

Przyszedł chwilę później. Usiadł znowu przed ogniem, a ja wyrzuciłem z siebie swoje lęki. Powiedziałem mu, że martwię się, ponieważ nie potrafię zmienić kierunku, tkwiąc w samym środku strumienia. Wyjaśniłem mu, że oprócz zaufania, jakie miałem do niego, nauczyłem się również szanować go i uważać jego sposób życia za dużo bardziej racjonalny od mojego, a przynamniej za bardziej funkcjonalny. Jego słowa wywołały we mnie okropny konflikt, ponieważ z ich powodu muszę zmienić swoje uczucia. Żeby zilustrować, o co mi chodzi, opowiedziałem don Juanowi historię człowieka pochodzącego z mojego kręgu kulturowego, bardzo bogatego, konserwatywnego prawnika, żyjącego w przekonaniu, że stoi na straży prawdy. We wczesnych latach trzydziestych, tuż przed wprowadzeniem w życie polityki Nowego Ładu, zaangażował się całym sercem w rozgrywki polityczne. Był całkowicie pewien, że nadchodząca zmiana przyniesie szkody krajowi. Z powodu

oddania, jakie miał dla tradycji i ponieważ był przekonany co do swoich racji, poprzysiągł zwalczać to, co uważał za polityczne zło. Jednakże fala tamtych czasów była zbyt silna i pokonała go. Walczył przeciwko niej dziesięć lat na arenie politycznej i w życiu osobistym. Potem druga wojna światowa bez reszty pogrzebała jego wysiłki. Jego polityczny i ideologiczny upadek skończył się wielkim rozgoryczeniem. Dobrowolnie udał się na wygnanie i spędził tam dwadzieścia pięć lat. Kiedy go poznałem, miał osiemdziesiąt cztery lata i właśnie wrócił do swojego rodzinnego miasta, żeby zakończyć życie w domu starców. Nie mogłem uwierzyć, że dożył tak późnego wieku, biorąc pod uwagę to, że zmarnował życie na zgorzkniałym użalaniu się nad sobą. Na swój sposób polubił moje towarzystwo i dużo za sobą rozmawialiśmy.

Kiedy widziałem go po raz ostatni, zakończył rozmowę stwierdzeniem:

– Miałem dość czasu, żeby spojrzeć wstecz i zastanowić się nad swoim życiem. Problemy moich czasów są dzisiaj jedynie historią i to nawet niezbyt ciekawą. Być może zmarnowałem życie w pogoni za czymś, co nigdy nie istniało. Ostatnio odnoszę wrażenie, że to, w co wierzyłem, było śmieszne, niewarte uwagi. Myślę, że mam tego świadomość, jednakże nie mogę odzyskać czterdziestu lat, które straciłem.

Powiedziałem don Juanowi, że moja wewnętrzna walka zrodziła się z wątpliwości, które zasiały we mnie jego słowa o kontrolowanym kaprysie.

– Jeśli nic tak naprawdę nie ma znaczenia – powiedziałem – to stając się człowiekiem wiedzy, można z konieczności znaleźć się w takiej pustce jak mój przyjaciel.

– To nie jest tak – powiedział ostro don Juan. – Twój przyjaciel jest samotny, ponieważ umrze, nie widząc. Po prostu się zestarzał i niechybnie teraz bardziej użala się nad sobą niż dotychczas. Czuje, że zaprzepaścił czterdzieści lat, ponieważ gonił za zwycięstwami, a znajdował jedynie porażki. Nigdy się nie dowie, że być zwycięzcą i być pokonanym oznacza to samo.

Tak więc teraz boisz się mnie, ponieważ powiedziałem ci, że niczym nie różnisz się od reszty. Zachowujesz się jak dziecko. Naszym ludzkim przeznaczeniem jest uczenie się. Do wiedzy podchodzi się tak, jak idzie się na wojnę. Powtarzałem ci to wiele razy. Do wiedzy i do wojny podchodzi się ze strachem, z szacunkiem, ze świadomością, że idzie się na wojnę i mając do siebie absolutne zaufanie. Zaufaj sobie, a nie mnie.

Boisz się więc pustki życia twojego przyjaciela. Lecz w życiu człowieka wiedzy nie ma żadnej pustki. Mówię ci. Wszystko jest wypełnione, aż po brzegi.

Don Juan wstał i wyciągnął ramiona, jakby wyczuwając rzeczy w powietrzu.

– Wszystko jest wypełnione po brzegi – powtórzył – i wszystko jest jednakie. Nie jestem taki, jak twój przyjaciel, który po prostu się zestarzał. Kiedy mówię ci, że nic nie ma znaczenia, nie mam na myśli tego, co on. Dla niego walka nie miała sensu, ponieważ został pokonany. Dla mnie nie ma zwycięstwa, klęski ani pustki. Wszystko jest wypełnione po brzegi i wszystko jest równe wszystkiemu, a moja walka warta była zachodu. Żeby stać się człowiekiem wiedzy, trzeba być wojownikiem, a nie chlipiącym dzieckiem. Trzeba walczyć, nie poddając się, bez narzekania, bez cofania się, aż do momentu, kiedy się będzie widzieć, tylko po to, żeby stwierdzić, że nic nie ma znaczenia.

Don Juan zamieszał w garnku drewnianą łyżką. Jedzenie było gotowe. Zdjął naczynie z ognia i położył je na czworokątnym, glinianym bloku, który zbudował przy ścianie i którego używał jako półki lub stołu. Nogą przysunął dwie nieduże skrzynie służące za krzesła, szczególnie wygodne, jeśli usiadłszy na nich, oparło się plecami o belki wspierające ściany. Dał mi znak, żebym usiadł, po czym nalał zupę do miski. Uśmiechnął się, jego oczy były świetliste, jakby moja obecność naprawdę sprawiała mu przyjemność. Łagodnym ruchem popchnął miskę w moim kierunku. W jego geście było tyle ciepła i dobroci, jakby miało to przywrócić moje zaufanie do don Juana. Poczułem się idiotycznie i chcąc pozbyć się tego uczucia, zacząłem szukać łyżki, ale nie mogłem jej znaleźć. Zupa była za gorąca, żeby pić ją prosto z miski, więc czekając, aż wystygnie, zapytałem don Juana, czy kontrolowany kaprys oznacza, że człowiek wiedzy nie może już nikogo lubić.

Przestał jeść i roześmiał się.

– Za bardzo się przejmujesz lubieniem ludzi i tym, czy sam jesteś lubiany – powiedział. – Człowiek wiedzy lubi, to wszystko. Lubi, co chce i kogo chce, ale używa kontrolowanego kaprysu do tego, żeby sobie tym nie zaprzątać głowy. Jest to dokładne przeciwieństwo tego, co robisz teraz. Lubić ludzi i być przez nich lubianym to nie jedyna rzecz, którą można robić, będąc człowiekiem.

Przyglądał mi się przez chwilę z głową przechyloną lekko na bok.

– Pomyśl o tym – powiedział.

– Jest jeszcze coś, o co chciałem spytać, don Juanie. Powiedziałeś, że aby się śmiać, musimy patrzeć oczami, aleja uważam, że śmiejemy się, ponieważ myślimy. Weź na przykład człowieka niewidomego, on też się śmieje.

– Nie – rzekł. – Niewidomi się nie śmieją. Ich ciałami wstrząsają nieznaczne fale śmiechu. Oni nigdy nie patrzyli na zabawną stronę świata i muszą ją sobie wyobrażać. Ich śmiech nie jest huraganem śmiechu.

Nie rozmawialiśmy więcej. Poczułem się zadowolony i szczęśliwy. Jedliśmy w milczeniu. Potem don Juan zaczął się śmiać. Wkładałem sobie warzywa do ust za pomocą suchej gałązki.

4 października 1968

W pewnym momencie zapytałem don Juana, czy ma coś przeciwko temu, żebyśmy porozmawiali o widzeniu. Przez chwilę zastanawiał się, potem uśmiechnął się i powiedział, że znowu poddaję się swoim przyzwyczajeniom, usiłując rozmawiać, zamiast działać.

– Jeśli chcesz widzieć, musisz pozwolić, aby dym cię poprowadził – powiedział stanowczo. – Nie będę już więcej o tym rozmawiał.

Pomagałem mu w oczyszczaniu suszonych ziół. Pracowaliśmy w milczeniu. Kiedy jestem zmuszony do przebywania w ciszy, szczególnie w towarzystwie don Juana, odczuwam niepokój. W pewnym momencie, porywczo, wręcz jakby pod przymusem, zadałem mu zaczepne pytanie:

– W jaki sposób człowiek wiedzy stosuje kontrolowany kaprys, kiedy ma do czynienia ze śmiercią ukochanej osoby? – zapytałem.

Don Juana zaskoczyło moje pytanie, popatrzył na mnie dziwnym wzrokiem.

– Weźmy na przykład twojego wnuka, Lucia – powiedziałem. – Czy w chwili jego śmierci twoje postępowanie będzie kontrolowanym kaprysem?

– Mój syn Eulalio będzie lepszym przykładem – odpowiedział spokojnie don Juan. – Przygniotła go skała, kiedy pracował przy budowie autostrady panamerykańskiej. Moje postępowanie wobec niego było wtedy kontrolowanym kaprysem. Kiedy przyszedłem na miejsce wybuchu, już prawie nie żył, ale jego organizm był tak silny, że jeszcze ruszał się i kopał. Stanąłem przed nim i powiedziałem chłopakom z drogówki, żeby go nie ruszali. Posłuchali mnie i stali wokół mojego syna, patrząc na jego poszarpane ciało. Ja też tam byłem, ale nie patrzyłem. Przestawiłem oczy, tak żeby widzieć jego osobiste życie, rozpadające się i rozszerzające w niekontrolowany sposób poza swoje granice, jak mgła kryształów, ponieważ życie i śmierć tak właśnie mieszają się ze sobą i rozprzestrzeniają. To właśnie zrobiłem w chwili śmierci mojego syna. To wszystko, co w ogóle można zrobić i to jest właśnie kontrolowany kaprys. Gdybym na niego patrzył, zobaczyłbym jedynie, że nieruchomieje i poczułbym, jak rośnie we mnie płacz, ponieważ już nigdy więcej nie mógłbym zobaczyć jego postaci stąpającej po ziemi. Zamiast tego widziałem jego śmierć i nie było w tym żadnego smutku, żadnego uczucia. Jego śmierć była taka sama jak wszystko inne.

Przez chwilę don Juan nic nie mówił. Wyglądał na smutnego, ale potem uśmiechnął się i klepnął mnie w głowę.

– Można więc powiedzieć, że moim kontrolowanym kaprysem w chwili śmierci kogoś, kogo kocham, jest przestawienie oczu.

Pomyślałem o tych, których kocham i ogarnęła mnie potwornie przygniatająca fala litości nad sobą.

– Szczęściarz z ciebie, don Juanie – powiedziałem. – Możesz przestawić oczy, podczas gdy ja potrafię jedynie patrzeć.

Moje stwierdzenie rozbawiło go, roześmiał się.

– Brawo! – rzekł. – To jest ciężka praca.

Obaj roześmialiśmy się. Po chwili ciszy znowu zacząłem go molestować, chyba tylko po to, żeby rozproszyć własny smutek.

– Jeśli cię dobrze zrozumiałem, don Juanie – powiedziałem – jedyne czyny w życiu człowieka wiedzy, które nie są kontrolowanymi kaprysami, to te, które wykonuje ze sprzymierzeńcem albo z Mescalito. Prawda?

– Prawda – powiedział chichocząc. – Mój sprzymierzeniec i Mescalito nie są równi nam, ludziom.

Mój kontrolowany kaprys odnosi się jedynie do mnie i do tego, co robię w towarzystwie innych ludzi.

– Istnieje jednakże możliwość – powiedziałem – że człowiek wiedzy traktuje spotkania ze sprzymierzeńcem albo z Mescalito jak kontrolowany kaprys, prawda?

Przyglądał mi się przez chwilę.

– Znowu myślisz – rzekł. – Człowiek wiedzy nie myśli, dlatego też nie może rozważać takiej możliwości. Na przykład ja. Mówię, że mój kontrolowany kaprys odnosi się do sytuacji, kiedy jestem w towarzystwie ludzi. Mówię tak, ponieważ widzę ludzi. Jednakże nie widzę wskroś sprzymierzeńca, co sprawia, że jest on dla mnie niepojęty. Jakże więc mogę kontrolować swój kaprys, jeśli nie widzę? W towarzystwie sprzymierzeńca albo Mescalito jestem jedynie człowiekiem, który wie, jak widzieć i który jest zmieszany tym, co widzi. Człowiekiem, który wie, że nigdy nie zrozumie wszystkiego, co go otacza.

Jeśli chodzi o ciebie, to jest mi obojętne, czy zostaniesz człowiekiem wiedzy, czy nie. Ma to jednakże znaczenie dla Mescalito. Niechybnie zależy mu na tym, skoro tyle razy okazywał zainteresowanie twoją osobą. Widzę jego troskę i dostosowuję się do niego, chociaż jego powody są dla mnie niezrozumiałe.

6

5 października 1968 roku, kiedy wsiadaliśmy do mojego samochodu, wybierając się w podróż do środkowego Meksyku, don Juan zatrzymał mnie:

– Mówiłem ci już – powiedział poważnie – że nigdy nie powinno się ujawniać ani imienia czarownika, ani innych szczegółów z nim związanych. Mam nadzieję, że zrozumiałeś, iż nigdy nie powinieneś zdradzać mojego imienia ani też miejsca, w którym znajduje się moje ciało. Teraz proszę cię o to samo w stosunku do mojego przyjaciela, którego będziesz nazywał Genaro. Pojedziemy do jego domu i spędzimy tam trochę czasu.

Zapewniłem don Juana, że nigdy nie nadużyłem jego zaufania.

– Wiem o tym – odparł, nie zmieniając poważnego tonu. – Martwi mnie jednakże twój brak rozwagi.

Zaprotestowałem, a don Juan stwierdził, że chciał przypomnieć mi, że za każdym razem, kiedy postępuje się nierozważnie w sprawach związanych z magią, igra się z bliską i bezsensowną śmiercią, której można uniknąć, będąc rozważnym i świadomym.

– Nie będziemy już dłużej tym się zajmować – powiedział. – Kiedy wyjedziemy z domu, nic nie wspomnimy o Genaro ani nawet o nim nie pomyślimy. Chcę, żebyś teraz uporządkował swoje myśli. Kiedy go poznasz, musisz być czysty i wolny od wątpliwości.

– O jakich wątpliwościach mówisz, don Juanie?

– O wszystkich możliwych wątpliwościach. Kiedy spotkasz Genaro, powinieneś być kryształowo czysty. On będzie cię widział!

Jego dziwne upomnienia przestraszyły mnie. Powiedziałem, że może nie powinienem poznawać jego przyjaciela, tylko zawieść don Juana w pobliże jego domu i zostawić tam.

– Powiedziałem ci to tylko ze względu na środki ostrożności – stwierdził. – Poznałeś już jednego czarownika, Vicente, który omal cię nie zabił. Tym razem uważaj!

Jeszcze dwa dni po przybyciu do środkowego Meksyku, dwa dni zajęło nam dojście z miejsca, gdzie zostawiłem samochód, do domu przyjaciela don Juana, małej chatki usadowionej na zboczu góry. Przyjaciel don Juana stał w drzwiach, jakby nas oczekiwał. Natychmiast go rozpoznałem. Miałem okazję poznać go, kiedy przywiozłem don Juanowi swoją książkę. Wtedy właściwie dobrze mu się nie przyjrzałem, po prostu rzuciłem na niego okiem i miałem wrażenie, że jest w wieku don Juana. Jednakże widząc go stojącego w drzwiach, zauważyłem, że jest zdecydowanie młodszy. Był może nieco po sześćdziesiątce, niższy od don Juana i szczuplejszy, bardzo ciemny i muskularny. Miał gęste, siwiejące, trochę przydługie włosy, zasłaniające mu uszy i czoło. Jego twarz była okrągła i koścista. Znacznie wystający nos nadawał mu wygląd drapieżnego ptaka o małych, ciemnych oczkach.

Najpierw powiedział coś do don Juana, który kiwnął głową potakująco. Przez chwilę rozmawiali. Nie mówili po hiszpańsku, więc nie mogłem ich zrozumieć. Potem don Genaro zwrócił się do mnie:

– Witaj w mojej skromnej, małej chatce – powiedział przepraszająco po hiszpańsku.

Jego słowa były grzecznościową formułką, którą słyszałem wcześniej w wielu wiejskich rejonach Meksyku. Jednakże, mówiąc to, zaśmiał się radośnie bez żadnego powodu, a ja wiedziałem, że właśnie użył kontrolowanego kaprysu. W najmniejszym stopniu nie obchodziło go to, że jego dom jest chałupą. Wtedy bardzo polubiłem don Genaro.

Przez następne dwa dni chodziliśmy w góry zbierać rośliny. Don Juan, don Genaro i ja wyruszaliśmy każdego dnia o świcie. Oni dwaj szli razem w jakąś określoną, ale nie znaną część gór, a mnie zostawiali samego w lesie. Czułem się tam wspaniale. Nie zauważałem upływu czasu, nie bałem się też samotności. Niezwykłe doświadczenie tych dwóch dni polegało na tym, że miałem cudowną okazję skoncentrowania się na delikatnym zadaniu szukania specyficznych roślin, które powierzył mi don Juan.

Wracaliśmy do domu późnym popołudniem i zawsze byłem tak zmęczony, że natychmiast zasypiałem.

Trzeci dzień był jednak inny. Pracowaliśmy we trzech, a don Juan poprosił don Genaro, żeby ten nauczył mnie, jak rozpoznać niektóre rośliny. Wróciliśmy koło południa i zastaliśmy przed domem

dwóch starych mężczyzn, którzy spędzali tam długie godziny, w całkowitym milczeniu, jak w jakimś transie. Nie spali jednak. Obszedłem ich dokoła kilka razy. Don Juan śledził wzrokiem moje ruchy, to samo robił don Genaro.

– Musisz rozmawiać z roślinami, zanim je zerwiesz – powiedział don Juan.

Rzucił to jakby od niechcenia, po czym powtórzył trzy razy, zapewne chcąc zwrócić moją uwagę. Nikt nie powiedział ani słowa, aż don Juan odezwał się ponownie:

– Żeby zobaczyć rośliny, musisz sam do nich mówić – ciągnął. – Powinieneś poznać każdą z nich, wtedy powiedzą ci wszystko, co będziesz chciał o nich wiedzieć.

Było późne popołudnie. Don Juan siedział na płaskiej skale, z twarzą zwróconą w stronę zachodnich gór, a don Genaro na słomianej macie, zwrócony na północ. Don Juan powiedział mi w pierwszym dniu naszego pobytu u don Genaro, że są to ich pozycje i mam usiąść na ziemi w dowolnym miejscu naprzeciw ich obu. Powinienem zwrócić twarz na południowy wschód i rzucać na nich jedynie przelotne spojrzenia.

– Tak, tak to właśnie jest z roślinami, nieprawdaż? – powiedział don Juan i odwrócił się do don Genaro, który mu przytaknął.

Powiedziałem mu, że nie wypełniałem jego instrukcji, ponieważ rozmawianie z roślinami wydaje mi się dość głupie.

– Nie potrafisz zrozumieć, że czarownik nie żartuje – rzekł surowo. – Kiedy czarownik stara się widzieć, próbuje tym samym zdobyć moc.

Don Genaro wpatrywał się we mnie. Robiłem notatki, co wyraźnie go intrygowało. Uśmiechnął się do mnie, potrząsnął głową i powiedział coś do don Juana. Ten zaś wzruszył ramionami. Widok tego, jak piszę, musiał być dla don Genaro cokolwiek dziwny. Natomiast don Juan chyba przyzwyczaił się już do tego, że robię notatki i piszę mówiąc. Przestało go to już dziwić; mówił, nie zwracając uwagi na to, co robię. Jednakże don Genaro ciągle się śmiał. Musiałem przerwać pisanie, żeby nie zakłócać rozmowy.

Don Juan powtórzył dobitnie, że poczynań czarownika nie wolno traktować jak żartów, ponieważ czarownik na każdym zakręcie swojej drogi igra ze śmiercią. Potem zaczął opowiadać don Genaro historię o tym, jak pewnej nocy, podczas jednej z naszych wycieczek, widziałem światła podążającej za mną śmierci. Historia okazała się niewiarygodnie zabawna, bo don Genaro pokładał się na ziemi ze śmiechu.

Don Juan przeprosił mnie i powiedział, że jego przyjaciel ma skłonność do wybuchania śmiechem. Zerknąłem na don Genaro, który, jak sądziłem, ciągle tarzał się po ziemi i zobaczyłem, jak wykonuje rzecz niewiarygodną. Stał na głowie, nie podpierając się rękami, a nogi miał skrzyżowane, jakby siedział. Widok ten był tak absurdalny, że aż podskoczyłem. Kiedy zdałem sobie sprawę, że z punktu widzenia mechaniki ciała dokonuje on czegoś prawie zupełnie niemożliwego, wtedy wrócił do normalnej, siedzącej pozycji. Wyglądało no to, że don Juan wiedział, o co tu chodzi. Cieszył się z przedstawienia don Genaro, rycząc przy tym ze śmiechu.

Don Genaro zauważył moje zakłopotanie; kilka razy zaklaskał w dłonie i znowu zaczął się tarzać po ziemi. Wyraźnie chciał, żebym na niego patrzył. To, co w pierwszej chwili wydało mi się tarzaniem po ziemi, było w rzeczywistości nachylaniem się z pozycji siedzącej i dotykaniem ziemi głową. Najprawdopodobniej przyjmował tę nielogiczną pozycję dzięki sile rozpędu: pochylał się kilka razy, aż inercja doprowadzała jego ciało do pionowej pozycji, tak że przez chwilę siedział na głowie.

Kiedy ich śmiech ucichł, don Juan podjął wątek bardzo surowym tonem. Zmieniłem pozycję ciała, żeby mi było wygodnie i abym mógł skupić całą uwagę na słowach don Juana. Nie śmiał się, jak to zazwyczaj robił, kiedy usiłowałem skupić się na tym, co mówi. Genaro patrzył na mnie, jakby spodziewał się, że znowu zacznę pisać, ale nie robiłem więcej notatek. Słowa don Juana wyrażały naganę za to, że nie rozmawiałem z roślinami podczas ich zbierania, jak mi zawsze polecał. Powiedział, że rośliny, które zabiłem, mogły również zabić mnie. Z pewnością wcześniej czy później sprawią, że zachoruję. Dodał, że jeśli zachoruję na skutek zranienia roślin, nie przyznam się do tego i będę wierzył, że mam jedynie grypę.

Obaj doświadczyli kolejnej chwili wesołości, po czym don Juan znowu spoważniał i powiedział, że jeśli nie będę myślał o swojej śmierci, całe moje życie pozostanie jedynie indywidualnym chaosem. Wyglądał bardzo surowo.

– Cóż innego może mieć człowiek, poza swoim życiem i śmiercią – powiedział do mnie.

Wtedy poczułem, że nie obejdzie się bez notatek, zacząłem więc znowu pisać. Don Genaro patrzył na mnie i uśmiechał się. Potem odchylił głowę nieco do tyłu i rozszerzył nozdrza. Miał z pewnością niewiarygodną kontrolę nad mięśniami nozdrzy, ponieważ powiększył je chyba dwukrotnie.

Najzabawniejsze w jego popisach były nie tyle gesty, co jego własna reakcja na nie. Rozszerzywszy nozdrza, ze śmiechem padł na ziemię i ponownie doprowadził swoje ciało do dziwnej pozycji siedzenia na głowie.

Don Juan śmiał się, aż po policzkach spłynęły mu łzy. Poczułem się nieco zakłopotany i zaśmiałem się nerwowo.

– Genaro nie lubi pisania – wyjaśnił don Juan.

Odłożyłem notatki na bok, ale don Genaro zapewnił mnie, że mogę pisać, bo jemu naprawdę to nie przeszkadza. Pozbierałem je więc i zacząłem pisać. Don Genaro powtórzył te same śmieszne ruchy i obaj mężczyźni ponownie zareagowali śmiechem.

Don Juan popatrzył na mnie, ciągle się śmiejąc i stwierdził, że w ten sposób jego przyjaciel opisuje mnie. Mam skłonność do rozszerzania nozdrzy, kiedy piszę, a don Genaro uważa, że usiłowanie zostania czarownikiem za pomocą pisania notatek jest równie absurdalne jak siedzenie na głowie. Dlatego właśnie wymyślił tę nonsensowną pozycję, w której ciężar siedzącego ciała opiera się na głowie.

– Być może dla ciebie nie jest to zabawne – powiedział don Juan – ale tylko Genaro potrafi usiąść na głowie i tylko ty myślisz o nauczeniu się czarownictwa, używając do tego pisania.

Obaj znowu zanieśli się śmiechem, a don Genaro powtórzył swój nieprawdopodobny wyczyn.

Lubiłem go. W tym, co robił, było dużo wdzięku i bezpośredniości.

– Przyjmij moje przeprosiny, don Genaro – powiedziałem, wskazując na notatnik.

– W porządku – rzekł i znowu zachichotał.

Nie mogłem dalej pisać. Mężczyźni jeszcze długo rozmawiali o tym, jak rośliny mogą faktycznie zabijać i jak czarownicy wykorzystują tę właśnie ich zdolność. Obaj cały czas patrzyli na mnie, jakby spodziewali się, że znowu zacznę pisać.

– Carlos jest jak koń, który nie lubi być siodłany – powiedział don Juan. – Trzeba postępować z nim bardzo powoli. Przestraszyłeś go i teraz nie będzie pisał.

Don Genaro rozszerzył nozdrza i powiedział tonem drwiącej wymówki, marszcząc brwi i krzywiąc usta:

– Ależ Carlito, pisz! Pisz, aż ci kciuk odpadnie.

Don Juan wstał, wyciągnął ramiona i wygiął plecy w łuk. Mimo zaawansowanego wieku jego ciało było mocne i gibkie. Poszedł w krzaki rosnące przy domu; zostałem sam z don Genaro. Popatrzył na mnie tak, aż poczułem się zakłopotany i odwróciłem wzrok.

– Tylko mi nie mów, że nawet na mnie nie spojrzysz! – powiedział rozbawionym tonem.

Rozszerzył nozdrza i sprawił, że zadrżały. Potem wstał i powtórzył ruchy don Juana – wyginając plecy i przeciągając ramiona, ale jego ciało wykrzywiło się w najbardziej absurdalnej pozie. Wykonał zupełnie niemożliwy do opisania gest składający się w dużym stopniu z pantomimy i poczucia humoru. Oczarował mnie. Była to mistrzowska karykatura don Juana.

W tej chwili wrócił don Juan. Zobaczył swoją karykaturę i niewątpliwie zrozumiał jej znaczenie. Usiadł chichocząc.

– Skąd wieje wiatr? – zapytał niedbale don Genaro. Don Juan wskazał głową na zachód.

– Lepiej pójdę za wiatr – powiedział poważnie don Genaro.

Potem odwrócił się i wskazał na mnie palcem.

– A ty nie zwracaj uwagi, jeśli usłyszysz jakiś dziwny dźwięk – powiedział. – Kiedy Genaro sra, góry się trzęsą.

Skoczył w krzaki, a chwilę później usłyszałem bardzo dziwny hałas. Był to głęboki, nieziemski grzmot. Nie wiedziałem, co o tym sądzić. Spojrzałem na don Juana, szukając wskazówki, ale jego

powalił już śmiech.

17 października 1968

Nie pamiętam, co skłoniło don Genaro do opowiedzenia mi o porządku “drugiego świata", jak go nazywał. Powiedział, że mistrz czarownik jest orłem albo raczej może zmienić się w orła. Natomiast zły czarownik to tecolote, sowa. Zły czarownik jest dzieckiem nocy i dla takiego człowieka najbardziej użytecznymi zwierzętami są puma i inne dzikie koty albo nocne ptaki, szczególnie zaś sowa. Brujos liricos, liryczni czarownicy, czyli dyletanci wolą inne zwierzęta, na przykład wronę. Don Juan, który przysłuchiwał się w milczeniu, zaśmiał się. Don Genaro odwrócił się do niego i powiedział:

– To prawda, przecież wiesz o tym, Juanie.

Potem mówił dalej, że mistrz czarownik potrafi zabrać swojego ucznia ze sobą w podróż i naprawdę przejść przez dziesięć poziomów innego świata. Jeśli mistrz jest orłem, może zacząć od najniższego poziomu, a potem przechodzić przez każdy następny świat, aż dojdzie do szczytu. Źli czarownicy i dyletanci mogą – w najlepszym razie – przejść przez pierwsze trzy poziomy.

Don Genaro opisał te kroki następująco:

– Zaczynasz na samym spodzie, a potem twój nauczyciel zabiera cię na lot i wkrótce następuje bum! Przechodzisz przez pierwszy poziom. Potem, niewiele później, znowu bum! Przechodzisz przez drugi. I bum! Przechodzisz przez trzeci...

Don Genaro poprowadził mnie przez dziesięć bum, aż do ostatniego poziomu świata. Kiedy skończył, don Juan popatrzył na mnie i uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Genaro nie ma upodobania do mówienia – powiedział – ale jeśli chciałbyś otrzymać lekcję, nauczy cię on o równowadze rzeczy.

Don Genaro twierdząco kiwnął głową. Wydął usta i przymknął powieki. Pomyślałem, że jego mimika jest wspaniała. Don Genaro wstał, to samo zrobił don Juan.

– W porządku – powiedział don Genaro. – Chodźmy więc. Możemy iść i zaczekać na Nestora i Pablito. Powinni już być. W czwartki przybywają wcześnie.

Obaj wsiedli do mojego samochodu, don Juan z przodu. Nie zapytałem o nic, po prostu zapaliłem silnik. Don Juan poprowadził mnie do miejsca, które, jak powiedział, było domem Nestora. Don Genaro wszedł do domu, a chwilę później wyszedł z Nestorem i Pablito, dwoma młodymi mężczyznami, jego uczniami. Wszyscy wsiedli do samochodu, a don Juan polecił mi jechać drogą prowadzącą do zachodnich gór.

Zostawiliśmy samochód na poboczu bitej drogi i poszliśmy wzdłuż brzegu rzeki, szerokiej na jakieś piętnaście czy dwadzieścia stóp, do wodospadu widocznego z miejsca, gdzie zaparkowałem. Było późne popołudnie. Okolica zrobiła na mnie duże wrażenie. Dokładnie nad nami znajdowała się wielka, ciemna, niebieskawa chmura, wyglądająca jak unoszący się dach. Miała wyraźnie zarysowane brzegi i kształt ogromnego półkola. Na zachodzie, w paśmie wysokich Centralnych Kordylierów, deszcz zdawał się spływać po zboczach. Wyglądał jak biaława zasłona opadająca na zielone szczyty. Na wschodzie znajdowała się długa, głęboka dolina, nad którą świeciło słońce. Kontrast pomiędzy tymi dwoma widokami był wspaniały. Zatrzymaliśmy się u stóp wodospadu. Miał może sto pięćdziesiąt stóp wysokości i huczał bardzo głośno.

Don Genaro zamocował pas wokół swojej talii. Zwisało z niego chyba siedem przedmiotów. Wyglądały jak małe tykwy. Zdjął kapelusz i pozwolił mu zawisnąć na sznurku, który miał na szyi. Na głowę włożył opaskę wyjętą z torby zrobionej z grubej tkaniny wełnianej. Opaska też była z wełny w różnych kolorach, z których wybijała się ostra żółć. Za opaskę wetknął trzy pióra, wyglądające na orle. Zauważyłem, że nie umieścił ich symetrycznie. Jedno pióro wsadził za prawym uchem, drugie nad czołem, a trzecie nad lewą skronią. Potem zdjął sandały, zahaczył czy też przywiązał je do paska spodni i zapiął pas wokół poncho. Pas ten wyglądał jak skórzana plecionka. Nie widziałem, czy zawiązał go, czy też zapiął na sprzączkę. Don Genaro poszedł w kierunku wodospadu.

Don Juan ustawił pewnie okrągły kamień i usiadł na nim. To samo zrobili dwaj młodzi mężczyźni, siadając na kamieniach po jego lewej stronie. Don Juan wskazał mi miejsce koło siebie, po prawej stronie. Kazał mi przynieść kamień i usiąść przy nim.

– Musimy usiąść w jednej linii – powiedział, pokazując mi, że oni trzej siedzieli w rzędzie.

Do tego czasu don Genaro zdążył dojść do stóp wodospadu i zaczai wspinać się ścieżką po jego prawej stronie. Z miejsca, w którym siedzieliśmy, wyglądała ona dosyć stromo. Było tam dużo

krzaków, których używał jako uchwytów. W pewnej chwili zdawało się, że utracił grunt pod nogami i prawie zjechał na dół, jakby ziemia była śliska. Chwilę później stało się to samo. Przyszło mi do głowy, że może don Genaro jest za stary na to, żeby się wspinać. Widziałem, jak kilkakrotnie ślizgał się i potykał, zanim dotarł do miejsca, w którym kończyła się ścieżka.

Kiedy zaczął wspinać się na skały, przeraziłem się. Nie miałem pojęcia, co ma zamiar zrobić.

– Co on robi? – zapytałem szeptem don Juana. Don Juan nie spojrzał na mnie.

– Niewątpliwie się wspina – powiedział.

Don Juan patrzył prosto na don Genaro. Jego spojrzenie było nieruchome. Miał półprzymknięte oczy. Siedział wyprostowany, z rękami opartymi między nogami na brzegu kamienia.

Przechyliłem się nieco, żeby spojrzeć na dwóch młodych ludzi. Don Juan wykonał ręką gest rozkazujący mi powrót do Unii. Zrobiłem to natychmiast. Przelotnie zobaczyłem młodych mężczyzn. Zdawali się tak samo zaabsorbowani, jak don Juan.

Don Juan wykonał kolejny gest ręką i wskazał w kierunku wodospadu.

Popatrzyłem tam. Don Genaro wspiął się już dość wysoko na skalną ścianę. W chwili, kiedy na niego spojrzałem, właśnie usadowił się na występie skalnym i zaczął podchodzić powoli do wielkiego głazu. Rozłożył ramiona, jakby obejmował skałę. Poruszał się wolno w prawo i nagle stracił grunt pod nogami. Zaparło mi dech. Na moment jego ciało zawisło w powietrzu. Byłem pewien, że spadnie, ale tak się nie stało. Prawą ręką chwycił się czegoś i bardzo zręcznie znowu stanął na skale. Zanim ruszył dalej, odwrócił się i spojrzał na nas. Był to tylko rzut oka. Obrót ten jednakże był tak wyreżyserowany, że wprawił mnie w zdumienie. Przypomniałem sobie, że robił to samo – odwracał się i spoglądał na nas – za każdym razem, gdy się poślizgnął. Pomyślałem, że don Genaro musiał czuć się zakłopotany z powodu swojej niezdarności i odwraca się, żeby sprawdzić, czy patrzymy.

Wspiął się jeszcze kawałek w kierunku szczytu, jeszcze raz potknął się i zawisł niebezpiecznie na sterczącym występie skalnym. Tym razem podparł się lewą ręką. Kiedy odzyskał równowagę, odwrócił się i znowu na nas popatrzył. Zanim doszedł do szczytu, pośliznął się jeszcze dwa razy. Z miejsca, w którym siedzieliśmy, szczyt wodospadu wyglądał na jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć stóp szerokości.

Przez chwilę don Genaro stał nieruchomo. Chciałem zapytać don Juana, co Genaro miał zamiar zrobić tam na górze, ale don Juan był tak pochłonięty obserwowaniem go, że nie miałem śmiałości mu przeszkadzać.

Nagle don Genaro skoczył do wody tak niespodziewanie, że poczułem próżnię w dołku. Był to przepiękny, dziwaczny skok. Przez sekundę miałem wrażenie, że widzę serię zachodzących na siebie obrazów, przedstawiających jego ciało wykonujące eliptyczny lot do środka strumienia.

Kiedy moje zdziwienie osłabło, zauważyłem, że don Genaro wylądował na ledwo widocznej skale, na brzegu wodospadu.

Przysiadł tam na bardzo długo. Wydawało się, że walczy z siłą płynącej wody. Dwa razy zawisł nad przepaścią i nie mogłem stwierdzić, czego się trzyma. Odzyskał równowagę i przykucnął na skale. Potem skoczył znowu, jak tygrys. Ledwie mogłem dostrzec następną skałę, na której wylądował. Wyglądała jak mały stożek na samej krawędzi wodospadu.

Pozostał na niej prawie dziesięć minut. Nie poruszał się. Jego bezruch zrobił na mnie takie wrażenie, że zacząłem drżeć. Chciałem wstać i iść. Don Juan zauważył moje zdenerwowanie i kazał mi być cicho.

Bezruch don Genaro wprawił mnie w niewiarygodne i tajemnicze przerażenie. Poczułem, że jeśli zostanie tam chwilę dłużej, nie zdołam się opanować.

Nagle znowu skoczył, tym razem na drugą stronę wodospadu. Wylądował na rękach i nogach, jak kot. Pozostawał przykucnięty przez moment, po czym wstał, spojrzał na drugą stronę, a potem na nas. Potem zamarł w bezruchu. Ręce miał zagięte, jakby trzymał się niewidocznej balustrady.

Jego postawa miała w sobie coś naprawdę pięknego. Ciało wydawało się takie zwinne i kruche. Pomyślałem, że don Genaro, w opasce z piórami i w ciemnym poncho, z bosymi stopami, jest najpiękniejszą ludzką istotą, jaką kiedykolwiek widziałem.

Nagle wyrzucił w górę ramiona, podniósł głowę i rzucił się całym ciałem, wykonując rodzaj bocznego salta w lewo. Głaz, na którym stał, był okrągły, a kiedy don Genaro skoczył, skrył się za nim.

W tym momencie zaczęły spadać wielkie krople deszczu. Don Juan wstał, to samo zrobili pozostali mężczyźni. Ich poruszenie się było tak gwałtowne, że poczułem się zakłopotany. Mistrzowski wyczyn don Genaro wprawił mnie w stan silnej ekscytacji. Uznałem, że don Genaro jest doskonałym artystą i chciałem zaraz się z nim zobaczyć, żeby mu pogratulować.

Wytężyłem wzrok, spojrzałem na drugą stronę wodospadu, żeby sprawdzić, czy nie wyszedł, ale tam go nie było. Bardzo chciałem dowiedzieć się, co się z nim stało. Don Juan nie odpowiadał na moje pytania.

– Lepiej się stąd szybko zbierajmy – powiedział. – To prawdziwa ulewa. Musimy zawieść Nestora i Pablito do domu, a potem ruszyć w powrotną podróż.

– Nie powiedziałem nawet do widzenia don Genaro – uskarżałem się.

– Ale on ci już powiedział do widzenia – odparł szorstko don Juan.

Przyjrzał mi się bacznie, po czym rozchmurzył czoło i uśmiechnął się.

– On również życzył ci wszystkiego najlepszego – rzekł. – Czuł się szczęśliwy, będąc z tobą.

– To znaczy, że nie zaczekamy na niego?

– Nie! – powiedział ostro don Juan. – Pozwólmy mu zostać, gdziekolwiek jest. Może jest orłem lecącym do innego świata, a może umarł tam, na górze. Teraz to nie ma znaczenia.

23 października 1968

Don Juan napomknął, że w najbliższej przyszłości ma zamiar ponownie wybrać się do środkowego Meksyku.

– Chcesz odwiedzić don Genaro? – zapytałem.

– Być może – odpowiedział, nie patrząc na mnie.

– Nic mu nie jest, prawda, don Juanie? To znaczy, wtedy na szczycie wodospadu nic złego mu się nie stało, prawda?

– Nie, jest silny.

Chwilę rozmawialiśmy o planowanej podróży don Juana, po czym powiedziałem, że lubię towarzystwo don Genaro i jego żarty. Zaśmiał się i stwierdził, że naprawdę jest on jak dziecko. Zrobiła się długa przerwa. Próbowałem w myślach znaleźć sposób, który pozwoliłby mi zadać pytanie o lekcję don Genaro. Don Juan popatrzył na mnie i powiedział złośliwym tonem:

– Umierasz z ciekawości, żeby dowiedzieć się czegoś o lekcji don Genaro, prawda?

Zaśmiałem się zakłopotany. Miałem obsesję na punkcie wydarzenia przy wodospadzie. Nieustannie roztrząsałem wszystkie szczegóły, które zapamiętałem. Doszedłem do wniosku, że byłem świadkiem niewiarygodnego popisu sprawności fizycznej. Pomyślałem, że don Genaro jest niewątpliwie niezrównanym mistrzem równowagi; każdy wykonany przez niego ruch był w dużym stopniu zrytualizowany i nie trzeba dodawać, że musiał zawierać ukryte znaczenie symboliczne.

– Tak – powiedziałem. – Przyznaję, że umieram z ciekawości, aby dowiedzieć się, o czym była jego lekcja.

– Pozwól, że coś ci powiem – zaczął don Juan. – Dla ciebie była to strata czasu. Lekcja don Genaro przeznaczona była dla kogoś, kto widzi. Pablito i Nestor uchwycili jej istotę, chociaż nie widzą zbyt dobrze. Ale ty poszedłeś tam popatrzeć. Powiedziałem Genaro, że jesteś bardzo dziwnym ciemniaczkiem i że być może jego lekcja oświeci cię, ale niestety tak się nie stało. To nie ma jednak znaczenia. Widzenie jest bardzo trudne. Nie chciałem, żebyś rozmawiał z Genaro po tym wszystkim, więc musieliśmy wyjechać. Niedobrze. Jednakże byłoby gorzej, gdybyśmy zostali. Genaro bardzo ryzykował, chcąc pokazać ci coś wspaniałego. Niedobrze, że nie widzisz.

– Może, jeśli mi powiesz, don Juanie, o czym była ta lekcja, dojdę do wniosku, że jednak widziałem. Don Juan zwinął się ze śmiechu.

– Twoją najlepszą cechą jest zadawanie pytań – powiedział.

Najwidoczniej znowu chciał ominąć temat. Siedzieliśmy, jak zwykle, przed domem, gdy don Juan nagle wstał i wszedł do środka. Poszedłem za nim nalegając, że opiszę mu to, co widziałem. Wiernie oddałem kolejność wydarzeń, zgodnie z tym, co zapamiętałem. Don Juan śmiał się, kiedy mówiłem. Kiedy skończyłem, potrząsnął głową.

– Widzenie jest bardzo trudne – rzekł. Błagałem go, żeby to wyjaśnił.

– O widzeniu nie ma co rozmawiać – powiedział zdecydowanie.

Wyglądało na to, że nie ma zamiaru powiedzieć nic więcej, dałem więc za wygraną. Wyszedłem z domu, aby załatwić mu sprawunki.

Kiedy wróciłem, było już ciemno. Zjedliśmy i wyszliśmy na ramadę. Jak tylko usiedliśmy, don Juan zaczął mówić o lekcji don Genaro. Nie dał mi czasu na przygotowanie się do tematu. Miałem ze sobą notatki, ale było za ciemno na pisanie i nie chciałem mu przerywać, idąc do domu po lampę naftową.

Powiedział, że don Genaro jako mistrz równowagi potrafi wykonywać skomplikowane i trudne ruchy. Siedzenie na głowie było jednym z nich. Chciał mi tym pokazać, że niemożliwe jest widzenie podczas robienia notatek. Siedzenie na głowie, bez podpierania się rękami, w najlepszym przypadku stanowi dziwaczny wyczyn, który trwa jedynie chwilę. Według don Genaro, pisanie o widzeniu jest tym samym. To niebezpieczny manewr, tak samo dziwny i niepotrzebny, jak siedzenie na głowie.

Don Juan spojrzał na mnie i powiedział bardzo dramatycznym tonem, że kiedy don Genaro szalał, siedząc na głowie, byłem bliski widzenia. Don Genaro zauważył to i powtarzał w kółko swój numer, niestety daremnie, ponieważ ja natychmiast się zagubiłem.

Don Juan powiedział, że don Genaro, poruszony sympatią do mnie, rozpaczliwie próbował później doprowadzić mnie z powrotem na skraj widzenia. Po bardzo dokładnym rozważeniu sprawy postanowił zaprezentować mi pokaz równowagi, przechodząc przez wodospad. Uważał, że wodospad jest jak granica, przed którą stoję i wierzył, że ja również mógłbym ją przekroczyć.

Don Juan zaczął wyjaśniać wyczyn don Genaro. Powiedział, że tak jak to już kiedyś mówił, dla tych, którzy widzą, ludzie wyglądają jak świetliste istoty złożone jakby z włókien światła, które obracając się, sprawiają wrażenie jaja. Najbardziej zadziwiającą częścią tych przypominających jaja istot są długie włókna wychodzące z okolicy pępka. Don Juan powiedział, że te właśnie włókna mają największe znaczenie w życiu człowieka. To one stanowiły tajemnicę równowagi don Genaro, a jego lekcja nie miała nic wspólnego z akrobatycznymi skokami przez wodospad. Jego popis równowagi polegał na umiejętności użycia tych właśnie mackopodobnych włókien.

Don Juan zakończył temat równie nagle, jak go rozpoczął i zaczął mówić o czymś zupełnie innym.

24 października 1968

Przyparłem don Juana do muru mówiąc, że intuicyjnie czuję, że już nigdy nie dostanę lekcji o równowadze i że musi mi wyjaśnić wszystkie istotne szczegóły, których nigdy sam bym nie odkrył. Don Juan przyznał mi rację co do tego, że don Genaro nigdy nie udzieli mi następnej lekcji.

– Co jeszcze chcesz wiedzieć? – zapytał.

– Czym są te mackopodobne włókna, don Juanie?

– Są to macki wychodzące z ciała człowieka, które są widoczne dla każdego widzącego czarownika. Czarownicy postępują z ludźmi zgodnie z tym, jak wyglądają ich macki. Osoby słabe mają bardzo krótkie, prawie niewidoczne włókna, mocni ludzie posiadają macki długie, o żywych kolorach. Na przykład macki Genaro są tak świetliste, że wyglądają jak warstwy. Po mackach można poznać, czy ktoś jest zdrowy, czy chory, zły czy dobry albo zdradziecki. Po mackach można również poznać, czy dana osoba widzi. I tu właśnie pojawia się problem. Kiedy Genaro cię widział, wiedział, tak samo jak mój przyjaciel Vicente, że widzisz. Ja natomiast widzę, że widzisz, ale przecież wiem, że tak nie jest. Zaskakujące! Genaro nie mógł sobie z tym poradzić. Powiedziałem mu, że jesteś wariatem. Myślę, że sam chciał to widzieć i dlatego zabrał cię do wodospadu.

– Jak myślisz, dlaczego sprawiam wrażenie, że widzę?

Don Juan nie odpowiedział. Przez jakiś czas nic nie mówił. Nie chciałem pytać o nic innego. W końcu odezwał się. Powiedział, że wie dlaczego, ale nie wie, jak to wyjaśnić.

– Myślisz, że wszystko na świecie jest łatwe do zrozumienia – stwierdził – ponieważ wszystko, co robisz, jest zwykłą rutyną. Przy wodospadzie, kiedy patrzyłeś na poruszającego się ponad wodą Genaro, byłeś przekonany, że jest on mistrzem akrobacji, ponieważ akrobacje były wszystkim, co mogłeś wymyślić. I zawsze będziesz wierzył, że to właśnie robił. Jednakże Genaro nigdy nie skakał przez ten strumień. Gdyby to zrobił, już by nie żył. Genaro balansował na swoich wspaniałych, świecących włóknach. Wydłużył je tak bardzo, że mógł – ujmijmy to tak – przetoczyć się na nich przez wodospad. Pokazał, jak należy wydłużać macki i jak się na nich precyzyjnie poruszać. Pablito widział prawie wszystkie ruchy Genaro. Natomiast Nestor jedynie te najbardziej oczywiste. Umknęły mu

subtelne szczegóły. Ty jednak nie widziałeś zupełnie nic.

– Być może, gdybyś mi wcześniej powiedział, czego mam szukać...

Don Juan przerwał mi mówiąc, że udzielanie mi instrukcji tylko by przeszkodziło don Genaro. Gdybym wiedział, co się będzie działo, moje macki byłyby podekscytowane i przeszkadzałyby mackom don Genaro.

– Gdybyś widział – powiedział – byłoby dla ciebie oczywiste od pierwszej chwili, od pierwszego kroku Genaro, że on się nie potyka, idąc w górę wodospadu. Rozluźniał swoje macki. Dwukrotnie owinął je dookoła kamieni i przyczepił się do litej skały jak mucha. Kiedy dotarł do szczytu i przygotował się do przekroczenia wody, skupił macki na małym kamieniu na środku wodospadu, a kiedy je tam zamocował, one go pociągnęły. Genaro wcale nie skakał i dlatego mógł wylądować na śliskiej powierzchni małych kamieni, tuż nad wodą. Jego macki pozostawały cały czas szczelnie owinięte wokół tego kamienia, którego właśnie używał.

Nie posiedział zbyt długo na pierwszym kamieniu, ponieważ resztę macek zaczepił na innym, jeszcze niniejszym, w miejscu gdzie prąd wody był najsilniejszy. Macki pociągnęły go raz jeszcze i wylądował na kamieniu. To właśnie było jego największym wyczynem. Powierzchnia kamienia była zbyt mała, żeby mógł się na niej zmieścić człowiek. Prąd wody zmiótłby go w przepaść, gdyby nie to że kilka jego macek było zahaczonych o pierwszy kamień.

Pozostał na drugim kamieniu dość długo, ponieważ musiał uwolnić macki i przenieść je na drugą stronę wodospadu. Kiedy je tam zamocował, mógł zwolnić te zaczepione na pierwszym kamieniu. Na tym polegała cała sztuka. Chyba tylko Genaro mógł zrobić coś takiego. O mały włos nie puścił się albo może tylko nas bujał, nigdy się tego nie dowiemy. Osobiście uważam, że niewiele brakowało, żeby upadł. Wiem to, ponieważ ze-sztywniał i oddał wspaniały strzał przez strumień, podobny do promienia światła. Wydaje mi się, że sam ten promień mógł go przenieść na drugą stronę. Kiedy już się tam dostał, stanąwszy, zaświecił włóknami jak wiązką świateł. Tą jedną rzecz zrobił tylko dla ciebie. Gdybyś był w stanie widzieć, wiedziałbyś o tym. Genaro stał tam, patrząc na ciebie, a wtedy zrozumiał, że nie widziałeś.

7

Don Juana nie było w domu, kiedy przyjechałem do niego w południe 8 listopada 1968 roku. Nie miałem pojęcia, gdzie go szukać, więc po prostu usiadłem i czekałem. Z jakiegoś nie znanego mi powodu wiedziałem, że wkrótce przyjdzie. Chwilę później don Juan wszedł do domu. Skinął mi głową. Przywitaliśmy się. Był zmęczony, położył się na macie i ziewnął kilka razy.

Widzenie stało się moją obsesją. Postanowiłem jeszcze raz spróbować halucynogennej mieszanki do palenia. Podjęcie tej decyzji było dla mnie niezwykle trudne, chciałem więc jeszcze o tym porozmawiać.

– Chcę się nauczyć widzieć, don Juanie – powiedziałem bez ogródek. – Zdecydowanie jednak nie chcę niczego zażywać. Nie chcę palić twojej mieszanki. Czy myślisz, że mam jakieś szansę nauczyć się widzenia bez tego?

Don Juan wstał, przez chwilę wpatrywał się we mnie, po czym znowu się położył.

– Nie! – powiedział. – Będziesz musiał użyć dymu.

– Ale przecież powiedziałeś, że przy don Genaro prawie widziałem.

– Chodziło mi o to, że coś w tobie świeciło tak, jakbyś naprawdę był świadomy poczynań don Genaro, ale tylko patrzyłeś. Zdecydowanie coś w tobie przypomina widzenie, ale nie widzisz. Jesteś przymulony i tylko dym może ci pomóc.

– Dlaczego palenie jest konieczne? Dlaczego nie można po prostu samemu nauczyć się widzenia? Ja naprawdę szczerze tego pragnę. Czy to nie wystarczy?

– Nie, nie wystarczy. Widzenie nie jest takie proste.

Tylko dym może dać ci prędkość konieczną do uchwycenia tego ulotnego świata. Bez tej prędkości będziesz tylko patrzył.

– Co masz na myśli, mówiąc ulotny świat?

– Odkąd widzisz, świat nie jest już taki, jak przedtem myślałeś, że jest. To bardziej ulotny świat, który się porusza i zmienia. Prawdopodobnie można nauczyć się, jak samemu uchwycić ten ulotny świat, ale nie jest to najlepsze wyjście, ponieważ ciało niszczy się od wysiłku. Natomiast używając dymu, nigdy nie cierpi się z wyczerpania. Dym daje ci prędkość niezbędną do uchwycenia ulotnych ruchów świata, a przy tym nie narusza ani ciała, ani jego mocy.

– Dobrze! – powiedziałem dramatycznym tonem. – Nie chcę się dłużej kręcić w kółko. Zapalę.

Don Juan zaśmiał się, widząc moje teatralne popisy.

– Zostaw to – powiedział. – Zawsze czepiasz się niewłaściwych rzeczy. Teraz uważasz, że jeśli pozwolisz, żeby dym cię poprowadził, to będziesz widział. Niestety, do tego trzeba znacznie więcej. Zawsze do wszystkiego trzeba znacznie więcej.

Na chwilę spoważniał.

– Celowo postępowałem z tobą bardzo ostrożnie – powiedział – ponieważ Mescalito pragnie, żebyś zrozumiał moją wiedzę. Wiem jednak, że nie będę miał czasu, żeby nauczyć cię wszystkiego, czego bym chciał. Wystarczy mi czasu jedynie na to, żeby ustawić cię na drodze i ufać, że będziesz szukać tak samo, jak ja to robiłem. Muszę przyznać, że jesteś bardziej leniwy i uparty ode mnie. Masz jednak inne spojrzenie, a kierunku, jaki obierze twoje życie, nie jestem w stanie przewidzieć.

Szczególny ton głosu, coś w jego postawie przywoływało stare uczucie, mieszankę strachu, samotności i oczekiwania.

– Wkrótce dowiemy się, na czym stoisz – stwierdził tajemniczo.

Nie powiedział nic więcej. Po chwili wyszedł z domu. Poszedłem za nim i stanąłem naprzeciw niego, nie wiedząc, czy mam usiąść, czy też rozpakować rzeczy, które dla niego przywiozłem.

– Czy to może być niebezpieczne? – zapytałem tylko po to, żeby coś powiedzieć.

– Wszystko jest niebezpieczne – odrzekł.

Don Juan nie miał ochoty na dalszą rozmowę. Zebrał kilka małych tobołków, które były złożone w rogu i wsadził je do siatki. Nie zaoferowałem mu pomocy wiedząc, że gdyby chciał, żebym mu pomógł, to by mnie poprosił. Potem położył się na słomianej macie. Powiedział mi, żebym się odprężył i odpoczął. Położyłem się na macie i spróbowałem zasnąć, ale nie byłem zmęczony. Poprzedniej nocy zatrzymałem się w motelu i spałem aż do południa wiedząc, że do domu don Juana zostały mi jeszcze tylko jakieś trzy godziny jazdy. On też nie spał. Chociaż miał zamknięte oczy, zauważyłem, że wykonuje prawie niedostrzegalne, rytmiczne ruchy głową. Przyszło mi do głowy, że może sobie podśpiewuje.

– Zjedzmy coś – powiedział nagle don Juan. Jego głos poderwał mnie na nogi. – Będziesz potrzebował energii. Powinieneś być w dobrej formie.

Przygotował zupę, ale nie byłem głodny.

Następnego dnia, 9 listopada, don Juan pozwolił mi zjeść jedynie odrobinę i kazał mi odpoczywać. Przeleżałem cały ranek, ale nie mogłem się odprężyć. Nie miałem pojęcia, o co chodziło don Juanowi, a co gorsza, sam nie wiedziałem, do czego zmierzam.

Była trzecia po południu i siedzieliśmy pod ramadą. Bardzo dokuczał mi głód. Kilkakrotnie sugerowałem, że powinniśmy coś zjeść, ale don Juan się nie zgodził.

– Od trzech lat nie przygotowywałeś swojej mieszanki – powiedział nagle. – Będziesz musiał zapalić moją, więc powiedzmy, że przygotowałem ją dla ciebie. Wystarczy ci niewiele. Napełnię fajkę tylko raz. Wypalisz wszystko, a potem będziesz odpoczywał. Wtedy przyjdzie strażnik świata. Nie będziesz robił nic, poza obserwowaniem go. Przyglądaj się, jak się porusza, obserwuj wszystko, co robi. Twoje życie może zależeć od tego, jak dokładnie wszystkiemu się przyjrzysz.

Don Juan przerwał udzielanie instrukcji tak nagle, że nie wiedziałem, co powiedzieć ani co myśleć. Przez chwilę mamrotałem coś bez związku. Nie byłem w stanie poukładać myśli. W końcu zadałem proste pytanie, pierwsze jakie przyszło mi do głowy:

– Kim jest ten strażnik?

Don Juan uparcie odmawiał podjęcia tematu, ale ja byłem zbyt zdenerwowany, żeby przestać mówić. Desperacko nalegałem, aby opowiedział mi o strażniku.

– Zobaczysz go – powiedział zdawkowo. – On pilnuje tamtego świata.

– Jakiego świata? Świata zmarłych?

– Nie jest to ani świat zmarłych, ani czyjś inny. To po prostu inny świat. Nie ma potrzeby ci o tym opowiadać. Sam spróbuj widzieć.

Po tym stwierdzeniu don Juan wszedł do domu. Poszedłem za nim do jego pokoju.

– Zaczekaj, don Juanie, zaczekaj. Co masz zamiar zrobić?

Nie odpowiedział. Wyciągnął fajkę z zawiniątka i usiadł na macie na środku pokoju, przyglądając mi się z ciekawością. Zdawał się czekać na moje przyzwolenie.

– Jesteś głupcem – rzekł łagodnie. – Ty się nie boisz. Ty tylko mówisz, że się boisz.

Powoli pokręcił głową. Potem wyciągnął małą torebkę z mieszanką do palenia i napełnił fajkę.

– Boję się, don Juanie. Naprawdę się boję.

– Nie, to nie jest strach.

Rozpaczliwie próbowałem zyskać na czasie i rozpocząłem długą przemowę o naturze swoich uczuć. Z całą szczerością utrzymywałem, że się boję, ale don Juan zauważył, że ani nie robię w spodnie, ani nawet serce nie bije mi szybciej niż zazwyczaj.

Przez chwilę zastanowiłem się nad tym, co powiedział don Juan. Mylił się, miałem wiele fizycznych objawów, które zwykle przypisuje Się strachowi i byłem zrozpaczony. Wypełniło mnie poczucie zbliżającego się nieuchronnie przeznaczenia. Dokuczał mi żołądek i z pewnością byłem blady, ręce pociły mi się obficie, a mimo to rzeczywiście wydawało mi, że się nie boję. Nie było we mnie tego uczucia strachu, do którego przyzwyczaiłem się w ciągu życia, który był moją manią. Mówiłem, chodząc tam i z powrotem przed don Juanem. Wciąż siedział na macie, trzymając fajkę i przyglądając mi się z zaciekawieniem. Rozważywszy problem, doszedłem do wniosku, że to, co czuję, nie jest zwykłym lękiem, ale głębokim poczuciem niewygody i nieprzyjemności, pojawiającym się na samą myśl o chaosie wywoływanym zażyciem roślin halucynogennych.

Don Juan wpatrywał się we mnie przez chwilę, po czym spojrzał poza mnie, mrużąc oczy, jakby usiłował wypatrzeć coś z dużej odległości.

Dalej chodziłem przed nim tam i z powrotem, aż do chwili, kiedy w końcu stanowczo kazał mi usiąść i odprężyć się. Przez kilka minut śledziliśmy w milczeniu.

– Nie chcesz stracić swojej klarowności, prawda? – zapytał gwałtownie.

– Masz całkowitą rację, don Juanie – powiedziałem. Zaśmiał się zadowolony.

– Zagraża ci klarowność, drugi wróg człowieka wiedzy. Ty się nie boisz – rzekł uspokajająco – ale teraz nienawidzisz utraty klarowności, a ponieważ jesteś głupcem, nazywasz to strachem.

Zachichotał.

– Przynieś mi kilka węgielków – rozkazał.

Ton jego głosu był łagodny i uspokajający. Automatycznie wstałem, poszedłem na tył domu i wziąłem z ognia kilka małych kawałków palącego się węgla, położyłem je na kamiennej płytce i wróciłem do pokoju.

– Przyjdź tu, na werandę! – zawołał sprzed domu don Juan.

Położył słomianą matę na miejscu, na którym zwykle siadał. Ułożyłem węgielki obok niego, a on dmuchnął na nie, żeby wzniecić ogień. Już miałem usiąść, kiedy don Juan powstrzymał mnie mówiąc, żebym usadowił się na prawym brzegu maty. Potem wsadził kawałek węgielka do fajki i wręczył mi ją. Wziąłem. Zadziwiła mnie milcząca skuteczność, z jaką don Juan mną sterował. Nie przychodziło mi do głowy nic, co mógłbym powiedzieć. Nie miałem żadnych dodatkowych argumentów. Byłem przekonany, że nie bałem się, ale po prostu nie chciałem utracić klarowności.

– Pykaj, pykaj – polecił mi łagodnie. – Tym razem tylko jedna fajka.

Pociągnąłem z fajki i usłyszałem trzask zapalającej się mieszanki. Natychmiast poczułem, jak usta i nos spowija mi zimno. Zaciągnąłem się raz jeszcze, a zimno rozprzestrzeniło się na klatkę piersiową. Kiedy zaciągnąłem się po raz ostatni, poczułem w całym wnętrzu dziwne wrażenie zimnego ciepła.

Don Juan wyjął mi fajkę z ręki i uderzył nią o dłoń, żeby wytrząsnąć resztki. Potem, jak zwykle, zwilżył palec śliną i potarł nim wnętrze fajki.

Ciało mi zesztywniało, ale mogłem się poruszać. Zmieniłem pozycję, żeby mi było wygodniej siedzieć.

– Co się teraz stanie? – zapytałem.

Miałem problemy z mówieniem.

Don Juan bardzo ostrożnie włożył fajkę do futerału i zawinął ją w długi kawałek tkaniny. Potem usiadł prosto, twarzą do mnie. Miałem zawroty głowy, oczy zamykały mi się mimowolnie. Don Juan potrząsnął mną energicznie i zabronił zasypiać. Powiedział, iż wie bardzo dobrze, że jeśli zasnę, to umrę. To mną wstrząsnęło. Przyszło mi do głowy, że don Juan mówi to tylko po to, żebym nie zasnął, ale z drugiej strony – pomyślałem sobie – równie dobrze może mieć rację. Otworzyłem oczy tak szeroko, jak tylko potrafiłem, co rozbawiło don Juana. Kazał mi czekać i mieć przez cały czas otwarte oczy, bo w pewnym momencie zobaczę strażnika innego świata.

W całym ciele czułem denerwujące gorąco. Próbowałem zmienić pozycję, ale już nie mogłem się ruszyć. Chciałem powiedzieć coś do don Juana, ale słowa zdawały się tkwić we mnie tak głęboko, że nie mogłem wydobyć ich na powierzchnię. Potem przewróciłem się na lewy bok i patrzyłem z podłogi prosto w twarz don Juana.

Pochylił się nade mną i szeptem polecił mi nie patrzeć na niego, ale skoncentrować wzrok na punkcie na macie znajdującym się dokładnie naprzeciwko moich oczu. Mam patrzeć jednym, lewym okiem, a wcześniej czy później będę widział strażnika.

Skupiłem wzrok na punkcie, który mi wskazał, ale nic nie widziałem. Jednakże w następnej chwili zauważyłem przelatującego przed moimi oczami komara. Wylądował na macie. Śledziłem jego ruchy. Zbliżył się do mnie i znalazł się tak blisko, że pole mojego postrzegania rozmazało się. I potem, zupełnie nagle, poczułem się tak, jakbym wstał. Było to bardzo zagadkowe uczucie, wymagające przemyślenia, ale nie miałem na to czasu. Czułem się tak, jakbym patrzył prosto przed siebie z perspektywy swojego wzrostu, a to, co zobaczyłem, wstrząsnęło mną do żywego. Nie ma innego sposobu opisania emocjonalnego wstrząsu, którego doznałem. Bezpośrednio przede mną, zupełnie blisko, znajdowało się gigantyczne, potworne zwierzę. Prawdziwe monstrum! Nigdy, nawet w

najdzikszych literackich fantazjach nie spotkałem niczego podobnego. Patrzyłem na nie całkowicie zdezorientowany.

Pierwsze, co zauważyłem, to wielkość tego potwora. Nie wiadomo dlaczego pomyślałem, że musi mieć jakieś sto stóp wysokości. Stał wyprostowany, chociaż nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób to robi. Potem spostrzegłem, że ma skrzydła, dwa krótkie, szerokie skrzydła. W tym momencie uświadomiłem sobie, że usiłuję zbadać to zwierzę, tak jakby jego widok był czymś normalnym, a to oznacza, że patrzyłem na nie. W rzeczywistości jednakże nie mogłem patrzeć na nie tak, jak byłem do tego przyzwyczajony. Zdałem sobie sprawę, że raczej zauważam pewne szczegóły, tak jakby cały obraz stawał się wyraźniejszy po dodaniu kolejnych części. Ciało zwierzęcia pokrywały kępki czarnych włosów. Miało długi, zaśliniony pysk i okrągłe, wyłupiaste oczy, wyglądające jak dwie wielkie, białe piłki.

Nagle potwór zaczął poruszać skrzydłami. Nie było to trzepotanie ptasich skrzydeł, ale jakiś rodzaj drgań, wibracji. Nabrał prędkości i zaczął zataczać przede mną koła. Nie latał, ale raczej ślizgał się z niewiarygodną prędkością i zręcznością, jakieś kilka cali nad ziemią. Przez chwilę byłem pochłonięty obserwowaniem jego ruchów. Pomyślałem, że porusza się nieładnie, jednak prędkość i łatwość, z jaką to robił, były wspaniałe.

Dwa razy zatoczył przede mną koło, jego skrzydła drgały. Coś, co wyciekało z jego paszczy, rozpryskiwało się na wszystkie strony. Potem odwrócił się i ruszył ślizgiem z niewiarygodną prędkością, aż zniknął mi z oczu. Gapiłem się tam, dokąd odleciał, bo nic innego nie miałem do roboty. Doznałem bardzo dziwnego uczucia ciężkości, uczucia, że nie jestem w stanie poukładać myśli w spójną całość. Nie mogłem się ruszyć. Czułem się tak, jakbym był przyklejony do miejsca, w którym się znajdowałem.

Następnie zobaczyłem coś podobnego do chmury znajdującej się w dużej odległości, a chwilę później gigantyczna bestia znowu bardzo szybko krążyła przede mną z wielką prędkością. Jej skrzydła przecinały powietrze coraz bliżej moich oczu, aż w końcu we mnie uderzyły. Poczułem, że rzeczywiście uderzyły w to miejsce, które znajdowało się na ich drodze. Krzyknąłem z całej siły, wyrażając najbardziej dotkliwy ból, jaki dotąd przeżyłem.

Z kolei dotarło do mnie, że siedzę na macie, a don Juan pociera moje czoło. Natarł mi ramiona i nogi liśćmi, po czym zaprowadził mnie do kanału irygacyjnego za domem. Zdjął mi ubranie, zanurzył mnie całego i zaraz wyciągnął. Robił to kilkakrotnie.

Kiedy leżałem na dnie płytkiego kanału irygacyjnego, don Juan od czasu do czasu podnosił moją lewą stopę i delikatnie klepał mnie po podeszwie. Po chwili poczułem łaskotki. Zauważył to i powiedział, że już wszystko w porządku. Ubrałem się i wróciliśmy do domu. Znowu usiadłem na słomianej macie i próbowałem mówić, czułem jednak, że nie mogę się skupić na tym, co chcę powiedzieć, chociaż moje myśli były bardzo jasne. Zdziwiłem się, kiedy zdałem sobie sprawę, ile koncentracji potrzeba, żeby mówić. Zauważyłem również, że aby coś powiedzieć, muszę przestać patrzeć na rzeczy. Miałem wrażenie, że zaplątałem się na bardzo dużej głębokości i kiedy chcę coś powiedzieć, muszę wypływać na powierzchnię jak nurek. Muszę wznosić się, jakby ciągnęły mnie wypowiadane słowa. Dwa razy udało mi się doprowadzić gardło do normalnego stanu. Mogłem wtedy powiedzieć, co tylko chciałem, ale nie zrobiłem tego. Wolałem zostać na poziomie dziwnej ciszy, na którym mogłem jedynie patrzeć. Czułem, że zaczynam wchodzić w to, co don Juan nazywał widzeniem. Czułem się z tego powodu bardzo szczęśliwy.

Później don Juan dał mi trochę zupy, kawałek tortilli i kazał mi jeść. Jedzenie nie sprawiało mi trudności, nie traciłem przy tym tego, co uważałem za moc widzenia. Skupiałem wzrok na wszystkim dookoła. Byłem przekonany, że potrafię wszystko widzieć, jednakże, według mojej oceny, świat wyglądał zupełnie tak samo. Starałem się widzieć, aż zrobiło się zbyt ciemno. W końcu zmęczyłem się i poszedłem spać.

Obudziłem się, kiedy don Juan przykrywał mnie kocem. Bolała mnie głowa i żołądek. Po chwili poczułem się lepiej i zasnąłem. Spałem mocno aż do następnego dnia.

Rano znowu byłem sobą. Zapytałem don Juana z ożywieniem:

– Co się ze mną działo?

Don Juan zaśmiał się nieśmiało.

– Poszedłeś szukać strażnika i oczywiście go znalazłeś – rzekł.

– Ale co to było, don Juanie?

– Strażnik pilnujący wejścia do innego świata – powiedział z przekonaniem don Juan.

Miałem zamiar zrelacjonować mu szczegóły dotyczące złowrogiej i paskudnej bestii, ale on zlekceważył moje próby, mówiąc, że moje doświadczenie nie było niczym wyjątkowym, bo każdy człowiek mógł zrobić to samo.

Powiedziałem mu, że strażnik wywołał we mnie taki szok, że wciąż nie jestem w stanie o nim nawet pomyśleć.

Don Juan roześmiał się i zażartował na temat tego, co nazywał moją skłonnością do dramatyzowania.

– To coś, cokolwiek to było, sprawiło mi ból – powiedziałem. – Było tak rzeczywiste jak ty czyja.

– Oczywiście, że było rzeczywiste. Zadało ci ból, czyż nie?

W miarę jak przypominałem sobie to przeżycie, moje podniecenie rosło. Don Juan kazał mi się uspokoić. Potem zapytał mnie, czy naprawdę się bałem, akcentując słowo naprawdę.

– Byłem sparaliżowany ze strachu – powiedziałem. – Nigdy w życiu nie przeżyłem tak przerażającego strachu.

– Daj spokój – powiedział don Juan, śmiejąc się. – Aż tak się nie bałeś.

– Przysięgam ci – zapewniałem ze szczerym zapałem – że gdybym mógł się ruszyć, rzuciłbym się do panicznej ucieczki.

Moje stwierdzenie niesłychanie go rozbawiło; ryknął śmiechem.

– Jaki cel miało pokazywanie mi tej potworności, don Juanie?

Spoważniał i spojrzał na mnie.

– To był strażnik – rzekł. – Jeśli chcesz widzieć, musisz go pokonać.

– Jakże mam go pokonać, don Juanie? On ma jakieś sto stóp wysokości.

Don Juan zaśmiał się, aż mu łzy pociekły po policzkach.

– Dlaczego nie pozwolisz mi opowiedzieć o tym, co widziałem, żeby nie było niejasności? – powiedziałem.

– Jeśli to cię uszczęśliwi, to proszę bardzo, opowiedz mi.

Zrelacjonowałem wszystko, co tylko sobie przypomniałem, ale to nie zmieniło jego nastroju.

– To nadal nic nowego – powiedział, uśmiechając się.

– Jak więc sobie wyobrażasz, że pokonam coś takiego? W jaki sposób?

Przez chwilę nic nie mówił. Potem odwrócił się do mnie i rzekł:

– Ty się nie bałeś naprawdę. Bolało cię, ale się nie bałeś.

Don Juan oparł się o jakieś pakunki i założył ręce za głowę. Pomyślałem, że zakończył temat.

– Wiesz – powiedział nagle, patrząc na dach ramady – każdy człowiek może widzieć strażnika. Czasami, dla niektórych, strażnik jest przerażającą bestią sięgającą nieba. Jesteś szczęściarzem, dla ciebie miał on tylko sto stóp wysokości. A przecież jego tajemnica jest taka prosta.

Przerwał na chwilę i zanucił meksykańską piosenkę.

– Strażnik innego świata to komar – powiedział powoli, jakby sprawdzając, jakie wrażenie wywierają na mnie jego słowa.

– Co takiego?

– Strażnik innego świata to komar – powtórzył. – Spotkałeś wczoraj komara i właśnie ten mały komar będzie cię przeganiał tak długo, aż go pokonasz.

Przez chwilę nie chciałem uwierzyć w to, co mówił don Juan, ale przypomniawszy sobie kolejność wizji, musiałem przyznać, że w jednej chwili patrzyłem na komara, a w następnej pojawił się jakiś miraż i zobaczyłem bestię.

– Jakim cudem komar mógł mnie zranić, don Juanie? – zapytałem prawdziwie zaskoczony.

– Kiedy zadawał ci ból, nie był komarem – powiedział don Juan. – Był wtedy strażnikiem innego

świata. Może pewnego dnia będziesz miał dość odwagi, żeby go pokonać. Teraz, niestety, jej nie masz. Teraz jest to dla ciebie wysoka na sto stóp, śliniąca się bestia. Ale nie ma potrzeby o tym mówić. Stanąć naprzeciw niego nie jest żadnym wyczynem, a jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś więcej, poszukaj strażnika po raz drugi.

Dwa dni później, 11 listopada, znowu zapaliłem mieszankę don Juana.

Poprosiłem go, żeby pozwolił mi zapalić raz jeszcze, ponieważ chciałem spotkać strażnika. Nie zrobiłem tego bez namysłu, ale po długim zastanowieniu. Ciekawość zdecydowanie przewyższała strach czy też niechęć do utraty klarowności.

Procedura wyglądała tak samo. Don Juan napełnił fajkę, a kiedy skończyłem palić, wyczyścił ją i odłożył na bok.

Działanie środka było znacznie wolniejsze. Kiedy zacząłem odczuwać zawroty głowy, don Juan podszedł do mnie i trzymając moją głowę w swoich rękach, pomógł mi ułożyć się na lewym boku. Kazał mi wyciągnąć nogi i rozluźnić się, po czym pomógł mi ułożyć prawe ramię z przodu, na wysokości klatki piersiowej. Odwrócił mi rękę tak, że dłoń przylegała do maty, utrzymując ciężar ciała. Nie zrobiłem nic, żeby pomóc mu albo przeszkodzić, ponieważ nie wiedziałem, co robi.

Don Juan usiadł przede mną i kazał mi się niczym nie przejmować. Strażnik niewątpliwie przybędzie, a ja mam doskonałe miejsce, żeby go widzieć. Niedbałym tonem stwierdził, że strażnik może zadać wielki ból, ale jest sposób, aby go uniknąć. Opowiedział o tym, jak dwa dni wcześniej musiał mnie posadzić, kiedy uznał, że mam już dość. Wskazał na moje prawe ramię mówiąc, iż celowo ułożył je w takiej pozycji, żebym mógł użyć go jako dźwigni i podeprzeć się, kiedy tylko będę chciał.

Kiedy skończył mówić, moje ciało już całkiem zdrętwiało. Chciałem zwrócić mu uwagę na fakt, że nie zdołam się podnieść, ponieważ straciłem kontrolę nad mięśniami. Spróbowałem to zwerbalizować, ale nie byłem w stanie. Don Juan jednak zrozumiał, o co mi chodzi i wyjaśnił, że cała sztuczka polega na użyciu woli. Kazał mi przypomnieć sobie, jak kilka lat temu po raz pierwszy paliłem grzyby. Upadłem wtedy na ziemię, po czym skoczyłem na równe nogi za sprawą czegoś, co wtedy nazwał wolą. “Myśl podniosła mnie na nogi". Powiedział, że w rzeczywistości jest to jedyny sposób, żeby wstać.

To, co mówił, nie miało dla mnie żadnego pożytku, ponieważ nie pamiętałem dokładnie, co zrobiłem przed laty. Czułem jedynie wszechogarniającą rozpacz i zamknąłem oczy.

Don Juan chwycił mnie za włosy, potrząsnął energicznie głową i ostrym tonem zabronił mi zamykać oczy. Nie tylko otworzyłem je, ale zrobiłem coś, co według mnie było zaskakujące. Powiedziałem:

– Tym razem nie wiem jak wstać.

Byłem przerażony. W rytmie mojego głosu było coś bardzo monotonnego, choć był to zdecydowanie mój własny głos. Szczerze wierzyłem, że nie mogłem tego powiedzieć, ponieważ minutę wcześniej nie byłem w stanie mówić.

Spojrzałem na don Juana. Przechylił głowę na bok i roześmiał się.

– Ja tego nie powiedziałem – rzekłem.

Mój głos znowu mnie przeraził. Czułem się podekscytowany. Mówienie w tych warunkach stawało się czynnością rozweselającą. Chciałem prosić don Juana, aby wyjaśnił, co dzieje się z moim głosem, ale znowu nie mogłem wydusić ani słowa. Zażarcie choć bezskutecznie walczyłem, żeby wypowiedzieć swoje myśli. Zrezygnowałem więc i właśnie wtedy prawie mimowolnie powiedziałem:

– Kto mówi, kto mówi?

Pytanie rozbawiło don Juana do tego stopnia, że w pewnej chwili przechylił się na bok.

Wyglądało na to, że mogę mówić proste rzeczy, pod warunkiem że wiedziałem dokładnie, co chcę powiedzieć.

– Czy ja mówię? Czy ja mówię? – zapytałem.

Don Juan powiedział, że jeśli się nie zamknę, to wyjdzie na zewnątrz, położy się pod ramadą i zostawi mnie samego z moimi wygłupami.

– To nie są wygłupy – powiedziałem.

Byłem bardzo poważny. Miałem jasne myśli, a równocześnie drętwe ciało, którego nie czułem. Nie

dusiłem się jednak, jak miało to miejsce w przeszłości w podobnych warunkach. Było mi wygodnie, ponieważ niczego nie czułem, w ogóle nie panowałem nad świadomymi funkcjami organizmu, a jednak mogłem mówić. Pomyślałem sobie, że jeśli mogę mówić, to prawdopodobnie mogę również wstać, tak jak powiedział don Juan.

– Wstać – powiedziałem po angielsku i w mgnieniu oka byłem na nogach.

Don Juan pokręcił głową z niedowierzaniem i wyszedł z domu.

– Don Juanie! – zawołałem trzy razy. Wrócił.

– Połóż mnie – powiedziałem.

– Sam się połóż – rzekł. – Idzie ci całkiem nieźle. Powiedziałem:

– Na ziemię. – I nagle straciłem pokój z oczu. Nic nie widziałem. Po chwili pokój i don Juan powrócili w pole mojego widzenia. Pomyślałem, że musiałem się położyć twarzą do ziemi, a don Juan chwycił mnie za włosy i podniósł głowę.

– Dziękuję – powiedziałem bardzo powoli i monotonnie.

– Nie ma za co – odpowiedział, przedrzeźniając ton mojego głosu, po czym ogarnął go kolejny atak śmiechu.

Potem wziął kilka liści i zaczął pocierać nimi moje ramiona i stopy.

– Co robisz? – zapytałem.

– Nacieram cię – odrzekł, naśladując mój boleśnie monotonny głos.

Jego ciałem wstrząsnął konwulsyjny śmiech. Miał błyszczące, przyjacielskie oczy. Lubiłem go. Czułem, że don Juan jest pełen współczucia, uczciwy i zabawny. Nie mogłem śmiać się z nim, choć miałem na to ochotę. Naszła mnie kolejna fala wesołości i roześmiałem się. Wydałem tak dziwny dźwięk, że don Juana na chwilę cofnęło.

– Lepiej zabiorę cię do wody – powiedział – bo zabijesz się tymi wygłupami.

Postawił mnie na nogi i kazał mi chodzić dookoła pokoju. Powoli, powoli zaczynałem odczuwać stopy, nogi, a w końcu całe ciało. Uszy pękały mi od dziwnego ciśnienia. Wrażenie było podobne do uczucia zdrętwienia w nogach i rękach. Z tyłu szyi i pod skórą na czubku głowy czułem wielki ciężar.

Don Juan pogonił mnie do kanału irygacyjnego za domem i zanurzył całego, w ubraniu. Zimna woda stopniowo łagodziła ciśnienie i ból, aż w końcu całkowicie zniknęły.

W domu przebrałem się, usiadłem i znowu poczułem tę samą potrzebę powściągliwości, to samo pragnienie pozostawania w ciszy. Tym razem zauważyłem jednak, że nie jest to ani jasność umysłu, ani siła koncentracji, ale raczej pewnego rodzaju melancholia i fizyczne zmęczenie. W końcu zasnąłem.

12 listopada 1968

Tego ranka poszliśmy z don Juanem na pobliskie wzgórza zbierać rośliny. Szliśmy jakieś sześć mil po dosyć wyboistym terenie. Bardzo się zmęczyłem. Na moją prośbę usiedliśmy, aby odpocząć. Don Juan rozpoczął rozmowę mówiąc, że jest zadowolony z moich postępów.

– Teraz już wiem, że to ja mówiłem – powiedziałem – ale mógłbym przysiąc, że wtedy był to ktoś inny.

– Oczywiście, że to byłeś ty – powiedział.

– Dlaczego więc nie mogłem się rozpoznać?

– Tak właśnie działa dymek. Można mówić, nie zdając sobie z tego sprawy, albo przebyć tysiące mil i też tego nie spostrzec. Tak samo można przenikać przez przedmioty. Dymek wyzwala ducha z ciała i wtedy jest się wolnym jak wiatr, nawet bardziej niż wiatr. Wiatr może zostać zatrzymany przez skałę, ścianę albo górę. Dzięki dymkowi stajesz się wolny jak powietrze, albo nawet jeszcze bardziej, bo powietrze da się zamknąć w grobowcu, a wtedy staje się nieświeże. Jeśli natomiast pomaga ci dymek, nikt nie może cię zatrzymać ani zamknąć.

Słowa don Juana rozpętały we mnie burzę euforii i wątpliwości. Ogarnął mnie przytłaczający niepokój, poczucie nieokreślonej winy.

– Naprawdę więc można robić to wszystko, don Juanie?

– A co ty myślisz? Wolałbyś uznać się za szaleńca, nieprawdaż? – powiedział ostro.

– Tobie łatwo zaakceptować te wszystkie rzeczy. Dla mnie jest to niemożliwe.

– To wcale nie jest dla mnie łatwe. Nie jestem bynajmniej bardziej uprzywilejowany niż ty. Tobie, mnie i każdemu jest tak samo trudno.

– Dla ciebie jednak to jest normalne, don Juanie.

– Owszem, ale dużo mnie to kosztowało. Musiałem walczyć, może nawet bardziej niż ty kiedykolwiek będziesz musiał. Zaskakująco łatwo potrafisz sprawić, że wszystko dla ciebie pracuje. Nie wyobrażasz sobie, jak ciężko musiałem harować, żeby zrobić to, co ty wczoraj. Ty masz coś, co pomaga ci na każdym kroku. Nie da się inaczej wyjaśnić sposobu, w jaki poznałeś moce. Zrobiłeś to wcześniej z Mescalito, a teraz to samo z dymkiem. Powinieneś skoncentrować się na fakcie, że posiadasz wielki dar, a wszystkie dalsze rozważania zostawić na boku.

– W twoich ustach brzmi to bardzo prosto, ale tak nie jest. Jestem wewnętrznie rozdarty.

– Wkrótce się pozbierasz. Przede wszystkim, nie zadbałeś o ciało. Jesteś za gruby. Nie chciałem ci tego wcześniej mówić. Trzeba zawsze pozwalać innym, by robili to, co robić muszą. Nie było cię przez lata. Ale powiedziałem ci, że wrócisz i wróciłeś. Tak samo było ze mną. Zrezygnowałem na pięć i pół roku.

– Dlaczego odszedłeś, don Juanie?

– Z tych samych powodów, co ty. Nie podobało mi się.

– A dlaczego wróciłeś?

– Z tego samego powodu, dla którego ty wróciłeś, ponieważ nie ma innej drogi życia.

To stwierdzenie wywarło na mnie wielkie wrażenie. Sam doszedłem do wniosku, że być może nie ma innego sposobu na życie. Nigdy nikomu tego nie mówiłem, a jednak don Juan słusznie się tego domyślił.

Po długim milczeniu zapytałem go:

– Co ja wczoraj zrobiłem, don Juanie?

– Wstałeś wtedy, kiedy chciałeś wstać.

– Lecz nie wiem, jak to zrobiłem.

– Doprowadzenie tej techniki do perfekcji zabiera dużo czasu. Ważne jest jednakże, że wiesz, jak to robić.

– Ależ ja nie wiem. W tym rzecz, że naprawdę nie wiem.

– Oczywiście, że wiesz.

– Don Juanie, zapewniam cię, przysięgam ci... Nie pozwolił mi skończyć. Wstał i odszedł.

Później znowu rozmawialiśmy o strażniku innego świata.

– Jeśli uwierzę, że to, czego doświadczyłem, jest naprawdę rzeczywiste – powiedziałem – to okaże się, że strażnik jest gigantycznym stworzeniem, które może zadać mi niewiarygodny fizyczny ból. Jeśli zaś uwierzę, że można pokonywać wielkie odległości za pomocą aktu woli, to logicznym wnioskiem będzie, że również aktem woli mogę sprawić, iż potwór zniknie. Czyż nie mam racji?

– Niezupełnie – powiedział. – Nie możesz sprawić, żeby strażnik zniknął. Twoja wola może jednak powstrzymać go przed zrobieniem ci krzywdy. Oczywiście, kiedy ci się to uda, droga stanie przed tobą otworem. Będziesz mógł po prostu przejść obok strażnika, a on nic ci nie zrobi, nie będzie mógł nawet wściekle latać dookoła.

– Jak mogę to osiągnąć?

– Już wiesz jak. Teraz potrzebujesz tylko praktyki.

Powiedziałem mu, że z powodu różnic w postrzeganiu świata nie zrozumieliśmy się. Dla mnie wiedza o czymś oznacza, że jestem całkowicie świadomy tego, co robię i mogę powtarzać to, co wiem, kiedy zechcę. Lecz w tym przypadku ani nie byłem świadomy tego, co zrobiłem pod wpływem dymu, ani też nie potrafiłbym tego powtórzyć, nawet gdyby od tego zależało moje życie.

Don Juan popatrzył na mnie z ciekawością. To, co powiedziałem, rozbawiło go. Zdjął kapelusz i

podrapał się po głowie, co robił zawsze, kiedy chciał udać zakłopotanie.

– Ty naprawdę potrafisz mówić tak, żeby nic nie powiedzieć, czyż nie? – stwierdził śmiejąc się. – Powiedziałem ci, że aby zostać człowiekiem wiedzy, trzeba mieć niezachwianą intencję. Ty zaś masz niezachwianą intencję mieszania sobie w głowie zagadkami. Nalegasz na wyjaśnianie wszystkiego, tak jakby cały świat składał się z rzeczy, które można wytłumaczyć. Teraz masz strażnika i problem poruszania się przy pomocy woli. Czy nie przyszło ci do głowy, że tym sposobem można wyjaśnić tylko kilka rzeczy na tym świecie? Kiedy mówię, że strażnik naprawdę blokuje ci przejście i że może doprowadzić cię do szału, to wiem, o czym mówię. Kiedy mówię, że można się przemieszczać przy użyciu woli, to też wiem, o czym mówię. Chciałem uczyć cię krok po kroku, jak się poruszać, ale zdałem sobie sprawę, że ty wiesz, jak się to robi, chociaż twierdzisz, że nie wiesz.

– Ale ja naprawdę nie wiem – zaprotestowałem.

– Wiesz, głupcze – powiedział surowo, po czym uśmiechnął się. – To mi przypomina, jak pewnego razu ktoś posadził tego dzieciaka, Julio, na żniwiarkę. On wiedział, jak się ją obsługuje, chociaż nigdy przedtem tego nie robił.

– Wiem, co chcesz powiedzieć, don Juanie. Nadał jednak czuję, że nie potrafiłbym zrobić tego jeszcze raz, ponieważ nie jestem pewien, co zrobiłem.

– Fałszywy czarownik usiłuje tłumaczyć wszystko w świecie za pomocą wyjaśnień, których sam nie jest pewien – powiedział – a wtedy wszystko jest czarami. Lecz ty nie jesteś lepszy. Ty też chcesz wszystko tłumaczyć na swój sposób i też nie jesteś pewien swoich wyjaśnień.

8

Don Juan zapytał mnie znienacka, czy wybieram się do domu w czasie weekendu. Powiedziałem, że zamierzam wyjechać w poniedziałek rano. Siedzieliśmy pod ramadą, było koło południa, 18 stycznia 1969 roku. Odpoczywaliśmy po długiej wyprawie na pobliskie wzgórza. Don Juan wstał i wszedł do domu. Po chwili zawołał mnie do środka. Siedział na środku pokoju, przed sobą położył słomianą matę. Dał mi znak, żebym usiadł. Bez słowa rozwinął materiał, wyjął fajkę z futerału, napełnił mieszanką i zapalił. Przyniósł nawet do pokoju glinianą tackę wypełnioną małymi węgielkami.

Nie zapytał mnie, czy zechcę zapalić. Po prostu wręczył mi fajkę i powiedział, żebym palił. Nie wahałem się. Don Juan widocznie właściwie ocenił mój nastrój. Moja ciekawość poznania strażnika była dla niego oczywista. Nie potrzebowałem zachęty, ochoczo wypaliłem całą fajkę.

Moje reakcje były takie jak poprzednio. Don Juan również postępował mniej więcej tak samo. Tym razem jednak, zamiast pomóc mi odpowiednio umieścić rękę i położyć się na lewym boku, po prostu kazał mi to zrobić samemu. Zasugerował, że jeśli zacisnę dłoń w pięść, to dźwignia będzie lepsza.

Zacisnąłem prawą rękę, ponieważ uznałem, że jeśli mam opierać na niej cały ciężar ciała, to tak będzie mi wygodniej, niż gdybym odwrócił ją dłonią do podłogi. Nie chciało mi się spać. Przez chwilę było mi bardzo ciepło, a potem przestałem odczuwać cokolwiek.

Don Juan leżał na boku twarzą do mnie. Prawe przed ramię oparł na łokciu, podparł na nim głowę jak na poduszce. Wszystko było bardzo spokojne, nawet moje ciało, które zdążyło już stracić wrażenia dotykowe. Byłem bardzo zadowolony.

– Fajnie – powiedziałem. Don Juan wstał w pośpiechu.

– Nawet się nie waż znowu zaczynać z tym gównem – powiedział zdecydowanym tonem. – Nie mów. Stracisz całą energię mówiąc, a wtedy strażnik rozgniecie cię tak, jak ty rozgniótłbyś komara.

Musiał uznać to porównanie za zabawne, ponieważ zaczął się śmiać. Zaraz jednak przestał.

– Nie mów, proszę cię, nic nie mów – rzekł z poważnym wyrazem twarzy.

– Nie zamierzałem niczego mówić – powiedziałem, bo naprawdę nie chciałem tego zrobić.

Don Juan wstał. Widziałem, jak odchodzi na tył domu. Chwilę później zauważyłem, że komar wylądował na macie. Napełniło mnie to takim lękiem, jakiego nigdy przedtem nie doświadczyłem. Był mieszaniną podniecenia, udręki i strachu. W pełni uświadamiałem sobie, że coś transcendentalnego ma zostać mi ujawnione – komar pilnujący innego świata. Ta myśl była absurdalna. Miałem ochotę roześmiać się głośno, ale wtedy zdałem sobie sprawę, że podniecenie mnie rozprasza i że przegapię etap przejściowy, który chciałem wyraźnie widzieć. Podczas pierwszej próby widzenia strażnika patrzyłem na komara najpierw lewym okiem, a potem, kiedy poczułem, że wstałem, spojrzałem na niego dwojgiem oczu, lecz nie byłem świadomy, w jaki sposób nastąpiło przejście.

Zobaczyłem, jak komar zatacza kółka nad matą naprzeciw mojej twarzy i zdałem sobie sprawę, że patrzę na niego dwojgiem oczu. Podle ciał bardzo blisko. W pewnej chwili nie mogłem już dłużej tak patrzeć, więc przestawiłem wzrok na lewe oko, które było na poziomie ziemi. W tej samej chwili, w której uległa zmianie ostrość wzroku, poczułem, że stoję zupełnie prosto i patrzę na niewiarygodnie wielkie zwierzę. Było błyszcząco czarne. Z przodu pokryte długimi, czarnymi, zdradliwymi włosami, które wyglądały jak szpady wychodzące przez szczeliny między gładkimi, błyszczącymi łuskami. Włosy rosły kępkami. Ciało potwora było masywne, grube i okrągłe. Miał szerokie skrzydła, raczej krótkie w porównaniu z długością jego ciała, dwoje wyłupiastych oczu i długą paszczę. Tym razem przypominał bardziej aligatora. Miał długie uszy albo może rogi i ślinił się.

Usiłowałem skupić na nim wzrok i wtedy uświadomiłem sobie, że nie mogę patrzeć na niego tak samo, jak na zwykłe rzeczy. Przyszła mi do głowy dziwna myśl: patrząc na ciało strażnika, doznałem wrażenia, że każda jego część niezależnie od całości żyje tak, jak żyją ludzkie oczy. Pierwszy raz w życiu zdałem sobie wtedy sprawę, że oczy są jedyną częścią ciała człowieka, po której można poznać, czy jest on żywy, czy też nie. Strażnik zaś miał “milion oczu".

Uznałem to odkrycie za godne uwagi. Zastanawiałem się, jakie porównanie mogłoby opisać “zniekształcenia", które sprawiały, że komar przeistaczał się w gigantyczną bestię. Wydało mi się, że mógłbym porównać je do “patrzenia na owada przez powiększające soczewki mikroskopu". Ale

myliłem się. Najwyraźniej patrzenie na strażnika było dużo bardziej złożone niż oglądanie powiększonego owada.

Strażnik zaczął się kręcić przede mną. W pewnej chwili zatrzymał się. Poczułem, że na mnie patrzy. Zauważyłem wtedy, że nie wydaje żadnych dźwięków. Tańczył w ciszy. W jego wyglądzie było coś przerażającego, wyłupiaste oczy, straszliwa paszcza, ślinienie się, zdradliwe włosy, a przede wszystkim niewiarygodne rozmiary. Przyglądałem się, jak porusza skrzydłami, które drgają bezgłośnie. Patrzyłem, jak ślizga się nad ziemią niby gigantyczny łyżwiarz.

Patrząc na znajdującą się przede mną istotę, jakby żywcem wziętą z koszmarów nocnych, czułem uniesienie. Wierzyłem wówczas, że odkryłem sekret pokonania go. Pomyślałem, że strażnik jest jedynie ruchomym obrazem na niemym ekranie, nie może mnie zranić, tylko przerażająco wygląda.

Strażnik stał nieruchomo, przodem do mnie. Nagłe zatrzepotał skrzydłami i odwrócił się. Jego odwłok wyglądał jak połyskująca kolorami zbroja, jej blask był oślepiający, a barwa obrzydliwa. Był to kolor, jakiego najbardziej nie lubię. Przez chwilę strażnik stał odwrócony do mnie tyłem, po czym zatrzepotał skrzydłami i ślizgając się, zniknął mi z oczu.

Znalazłem się w bardzo kłopotliwym położeniu. Szczerze wierzyłem, że pokonałem go, ponieważ uświadomiłem sobie, iż przedstawia on jedynie obraz gniewu. Moje przekonanie mogło wynikać ze stwierdzenia don Juana, że wiem więcej, niż chciałbym przyznać. Tak czy inaczej, czułem, że pokonałem strażnika i że droga jest wolna. Nie wiedziałem jednak, co robić dalej. Don Juan nie powiedział mi, co się robi w takim przypadku. Chciałem odwrócić się i spojrzeć za siebie, ale nie mogłem się ruszyć. Widziałem jednak dobrze większość obszaru, który był przede mną. Zobaczyłem bladożółty, jakby gazowy horyzont. Cytrynowy odcień pokrywał jednolicie wszystko, co widziałem. Zdawało mi się, że znalazłem się na płaskowyżu wypełnionym oparami siarki.

Nagle na horyzoncie pojawił się znowu strażnik. Zanim zatrzymał się przede mną, zatoczył wielkie koło. Otwierał paszczę szeroko, jak ogromną jaskinię. Nie miał zębów. Przez chwilę bił skrzydłami, po czym ruszył na mnie. Zaszarżował jak byk, waląc mnie w oczy gigantycznymi skrzydłami. Krzyknąłem z bólu, po czym poleciałem do góry albo raczej poczułem, że podrzucam dałem do góry i szybuję ponad strażnikiem, poza żółtawy płaskowyż do innego świata, do świata ludzi, aż stwierdziłem, że stoję na środku pokoju don Juana.

19 stycznia 1969

– Naprawdę sądziłem, że pokonałem strażnika – powiedziałem do don Juana.

– Chyba żartujesz – odrzekł.

Od poprzedniego dnia don Juan nie powiedział do mnie ani słowa, ale wcale mi to nie przeszkadzało. Byłem pogrążony w rozmyślaniach. Znowu czułem, że gdybym chciał, mógłbym widzieć. Nie widziałem jednakże nic, co by się różniło od rzeczy znanych. Natomiast milczenie bardzo mnie rozluźniło.

Don Juan poprosił, żebym mu zrelacjonował kolejność wydarzeń, szczególnie interesował się barwą, jaką zaobserwowałem na grzbiecie strażnika. Don Juan westchnął, zdawał się naprawdę poruszony.

– Miałeś szczęście, że ten kolor był na jego grzbiecie – powiedział z poważnym wyrazem twarzy. – Gdyby znajdował się z przodu ciała albo co gorsza na głowie, byłbyś już martwy. Nigdy więcej nie wolno ci próbować widzieć strażnika. W twoim charakterze nie leży przekroczenie tej równiny, chociaż byłem przekonany, że możesz to zrobić. Nie mówmy już o tym więcej. To była tylko jedna z wielu możliwych dróg.

W jego głosie wyczułem dziwną ociężałość.

– A co mi się stanie, jeśli jeszcze raz spróbuję widzieć strażnika?

– Strażnik zabierze cię ze sobą – rzekł. – Złapie cię w paszczę, zaniesie na tamtą równinę i zostawi tan na zawsze. Oczywiście strażnik wiedział, że to nie w twoim stylu i ostrzegł cię, żebyś się trzymał zdała.

– Jak myślisz, skąd strażnik o tym wiedział?

Don Juan obrzucił mnie długim, nieruchomym spojrzeniem. Chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował, jakby nie mógł znaleźć właściwych słów.

– Twoje pytania zawsze mnie rozbrajają – powiedział uśmiechając się. – Nie myślałeś, zanim

zadałeś mi to pytanie, prawda?

Zaprotestowałem i przyznałem, że zadziwia mnie, skąd strażnik zna moje usposobienie.

Don Juan powiedział z dziwnym błyskiem w oku:

– A ty przecież nawet nie wspomniałeś mu o swoim charakterze, prawda?

Ton jego głosu był tak komiczny, że obaj roześmialiśmy się.

Po chwili jednak don Juan powiedział, że strażnik jako opiekun, obserwator świata, zna wiele sekretów, a brujo ma prawo je poznać.

– To jeden ze sposobów, dzięki którym brujo w końcu zaczyna widzieć – powiedział. – Lecz nie będzie to twoją domeną, więc nie ma co o tym mówić.

– Czy palenie jest jedynym sposobem, żeby widzieć strażnika? – zapytałem.

– Nie. Można go również widzieć bez tego. Mnóstwo ludzi to potrafi. Ja wolę dymek, ponieważ jest bardziej efektywny i mniej niebezpieczny. Kiedy próbuje się widzieć strażnika bez pomocy dymku, można nie zdążyć zejść mu z drogi. W twoim przypadku strażnik ostrzegł cię, odwracając się tyłem, żebyś mógł zobaczyć nieprzyjazny dla ciebie kolor. Potem odszedł, a kiedy wrócił, ty ciągle tam byłeś, więc zaatakował cię. Ty jednak byłeś na to przygotowany i uskoczyłeś. Dymek zapewnił ci ochronę, której potrzebowałeś. Gdybyś udał się do tamtego świata bez jego pomocy, nie byłbyś w stanie wyzwolić się z uścisku strażnika.

– Dlaczego?

– Twoje ruchy byłyby zbyt wolne. Żeby przeżyć w tamtym świecie, trzeba być szybkim jak błyskawica. Popełniłem błąd, wychodząc z pokoju, ale chciałem, żebyś przestał gadać. Jesteś gadułą, więc mówisz nawet wtedy, kiedy nie chcesz. Gdybym był wtedy z tobą, pociągnąłbym cię za głowę do góry. Ty sam skoczyłeś, co było nawet lepsze. Ja jednak aż tak nie ryzykowałbym, ze strażnika nie można sobie żartować.

9

Przez trzy miesiące don Juan systematycznie unikał rozmów o strażniku. W tym czasie odwiedziłem go cztery razy. Za każdym razem wymagał ode mnie załatwienia jakiegoś sprawunku, a kiedy już się z nim uporałem, po prostu odsyłał mnie do domu. 24 kwietnia 1969 roku, podczas mojej czwartej wizyty, kiedy po kolacji siedzieliśmy przy piecu, w końcu udało mi się go dopaść. Powiedziałem mu, że jego postępowanie wobec mnie jest absurdalne: ja chcę się uczyć, a on nawet nie chce mnie widzieć. Musiałem zaciekle walczyć, żeby pokonać awersję do używania grzybów halucynogennych, a poza tym czułem, że – jak sam powiedział – nie mam czasu do stracenia.

Don Juan cierpliwie wysłuchał moich oskarżeń.

– Jesteś za słaby – powiedział. – Spieszysz się wtedy, kiedy powinieneś czekać, zwlekasz, gdy powinieneś się spieszyć. Za dużo myślisz. Teraz myślisz, że nie masz czasu do stracenia. Chwilę przedtem wydawało ci się, że nie chcesz już więcej palić. Twoje życie jest cholernie rozlazłe, nie jesteś wystarczająco zdyscyplinowany, żeby spotkać się z dymkiem. Jestem za ciebie odpowiedzialny i nie chcę, żebyś umarł jak jakiś cholerny głupek.

Poczułem się zakłopotany.

– Co mam robić, don Juanie? Jestem bardzo niecierpliwy.

– Żyj jak wojownik! Już ci mówiłem, wojownik bierze odpowiedzialność za swoje czyny, nawet za te najbłahsze. Twoje działanie wynika z myślenia, a to niedobrze. Nie udało ci się ze strażnikiem z powodu twoich myśli.

– Dlaczego mi się nie udało, don Juanie?

– O wszystkim myślisz. Myślałeś o strażniku i dlatego nie mogłeś go pokonać. Przede wszystkim musisz żyć jak wojownik. Myślę, że rozumiesz to bardzo dobrze.

Chciałem wtrącić coś na swoją obronę, ale don Juan gestem ręki kazał mi milczeć.

– Twoje życie jest dość zdyscyplinowane – ciągnął. – Właściwie nawet bardziej niż życie Pablita czy Nestora, uczniów Genaro, a jednak oni widzą, a ty nie. Bardziej zdyscyplinowane niż życie Eligia, a jednak on prawdopodobnie zacznie widzieć wcześniej niż ty. To jest dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Nawet Genaro nie może tego pojąć. Skrupulatnie wykonywałeś wszystko, co ci kazałem. Przekazałem ci wszystko, czego nauczył mnie mój dobroczyńca na pierwszym etapie nauki. Zasada jest dobra, poszczególnych kroków nie można zmienić. Zrobiłeś wszystko, co trzeba, a jednak nie widzisz, choć dla tych, co widzą, na przykład dla don Genaro, wyglądasz, jakbyś widział. Opieram się na tym, ale wprowadza mnie to w błąd. Ty zawsze odwracasz kota ogonem i zachowujesz się jak idiota, który nie widzi, co oczywiście tobie odpowiada.

Słowa don Juana bardzo mnie zmartwiły. Nie wiem czemu, ale byłem bliski łez. Zacząłem mówić o swoim dzieciństwie i zalała mnie fala litości dla siebie. Don Juan patrzył na mnie przez chwilę, po czym odwrócił wzrok. Było to przenikliwe spojrzenie. Poczułem, jakby objął mnie wzrokiem. Odniosłem wrażenie, jakby mnie delikatnie uciskały dwa palce, poczułem dziwne pobudzenie, swędzenie, przyjemny dreszcz w okolicy splotu słonecznego. Stałem się świadomy okolicy brzucha. Czułem tam ciepło. Nie mogłem dłużej mówić z sensem, a tylko mamrotać, więc zupełnie przestałem.

– Może chodzi o obietnicę – powiedział don Juan po długiej przerwie.

– Proszę?

– O obietnicę, którą złożyłeś kiedyś, dawno temu.

– Jaką obietnicę?

– Może ty mi powiesz. Pamiętasz, prawda?

– Nie pamiętam.

– Przyrzekłeś kiedyś coś bardzo ważnego. Pomyślałem sobie, że może właśnie ta obietnica powstrzymuje cię przed widzeniem.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Mówię o obietnicy, którą złożyłeś! Musisz o niej pamiętać.

– Jeśli wiesz, co to była za obietnica, to czemu mi nie powiesz, don Juanie?

– Nic ci to nie da, że powiem.

– Czy chodzi o obietnicę, którą złożyłem samemu sobie?

Przez chwilę pomyślałem, że może mówi o moim postanowieniu przerwania nauki.

– Nie. Chodzi o coś, co wydarzyło się dawno temu – powiedział.

Roześmiałem się. Byłem pewien, że don Juan prowadzi ze mną jakąś grę. Poczułem, że robię się złośliwy. Podekscytowała mnie myśl, że mogę oszukać don Juana, który – jak uważałem – wiedział o owej obietnicy równie mało, co ja. Byłem pewien, że działa po omacku i próbuje improwizować. Spodobał mi się pomysł zrobienia mu kawału.

– Czy chodzi o coś, co przyrzekłem mojemu dziadkowi?

– Nie – powiedział, a jego oczy błysnęły. – Nie chodzi też o to, co przyrzekłeś swojej kochanej babuni.

Śmieszna intonacja, z jaką wypowiedział słowo "babunia", rozbawiła mnie. Pomyślałem, że don Juan zastawia na mnie jakąś pułapkę, miałem jednak ochotę grać do końca. Zacząłem wymieniać po kolei wszystkich ludzi, którym mogłem obiecać coś bardzo ważnego. Przy każdym z nich don Juan mówił nie. Potem skierował rozmowę na moje dzieciństwo.

– Czy twoje dzieciństwo było smutne? – zapytał poważnie.

Powiedziałem mu, że tak naprawdę nie było smutne, może trochę trudne.

– Każdy tak czuje – powiedział, patrząc na mnie znowu. – Ja również jako dziecko byłem bardzo nieszczęśliwy i przerażony. Trudno jest być Indianinem, bardzo trudno. Jednak wspomnienia tego okresu nie mają już dla mnie znaczenia, chociaż wtedy było naprawdę ciężko. Przestałem myśleć o trudnościach w swym życiu, zanim jeszcze nauczyłem się widzieć.

– Ja też nie myślę o dzieciństwie – powiedziałem.

– No to czemu cię zasmuca? Czemu chce ci się płakać?

– Nie wiem. Może kiedy myślę o sobie jako o dziecku, współczuję sobie i wszystkim ludziom. Czuję się bezbronny i smutny.

Utkwił we mnie wzrok i znowu w okolicy brzucha doświadczyłem dziwnego uczucia jakby dotyku delikatnie uciskających dwóch palców. Odwróciłem wzrok, a potem znowu spojrzałem na niego. Patrzył w dal poza mnie. Wzrok miał zamglony, nie skupiony na niczym.

– To była obietnica dzieciństwa – powiedział, przerywając ciszę.

– Co obiecałem?

Nie odpowiedział. Miał zamknięte oczy. Mimowolnie uśmiechnąłem się. Chociaż wiedziałem, że poruszał się po omacku, straciłem całą chęć zrobienia mu kawału.

– Byłem chudym dzieckiem – zaczął – i zawsze się bałem.

– Ja też – powiedziałem.

– Najlepiej pamiętam strach i smutek, które ogarnęły mnie, kiedy meksykańscy żołnierze zabili moją matkę – powiedział miękko, jakby to wspomnienie ciągle sprawiało mu ból. – Była biedną, skromną Indianką. Może i dobrze, że jej życie się właśnie wtedy zakończyło. Chciałem, żeby zabili mnie razem z nią, ponieważ byłem dzieckiem. Ale żołnierze złapali mnie i pobili. Kiedy przytuliłem się do ciała matki, uderzali mnie po palcach szpicrutą, aż połamali mi palce. Nie czułem bólu, ale nie mogłem chwycić się matki, więc mnie odciągnęli.

Zamilkł. Ciągle miał zamknięte oczy. Zauważyłem, że jego wargi lekko drżą. Ogarnął mnie głęboki smutek. Do głowy zaczęły mi napływać obrazy z dzieciństwa.

– Ile miałeś wtedy lat, don Juanie? – zapytałem, żeby oddalić własny smutek.

– Może siedem. Był to okres wielkich wojen Indian Yaqui. Żołnierze meksykańscy naszli nas niespodziewanie, kiedy matka gotowała jedzenie. Była bezbronną kobietą. Zabili ją zupełnie bez powodu. To, że umarła w taki sposób, nie ma żadnego znaczenia, ale dla mnie jednak jest to istotne. Nie wiem dlaczego, po prostu tak jest. Myślałem, że zabili również mojego ojca, ale nie. Był ranny.

Potem wsadzili nas do pociągu jak bydło i zamknęli drzwi. Przez wiele dni trzymali nas tam w ciemności, jak zwierzęta. Utrzymywali przy życiu dzięki odrobinie pożywienia, które od czasu do czasu wrzucali do wagonu. Mój ojciec umarł od ran w tym wagonie. Z bólu i gorączki popadł w delirium, cały czas powtarzał mi, że muszę przetrwać. Powtarzał mi to do ostatniej chwili życia.

Ludzie zaopiekowali się mną, dali mi jeść. Stara znachorka nastawiła złamane kości. Jak widzisz, przeżyłem. Życie nie było dla mnie ani dobre, ani złe, było ciężkie. Życie jest ciężkie, a dla dziecka staje się czasem straszne.

Zapadło milczenie. Chyba godzina upłynęła w zupełnej ciszy. Miałem mieszane uczucia. Byłem przygnębiony, ale nie potrafiłem powiedzieć dlaczego. Chwilę wcześniej chciałem ośmieszyć don Juana, ale on nagle odwrócił role, był górą. Wydawało się to proste i jasne, lecz wywołało we mnie dziwne uczucie. Los dziecka doświadczającego bólu zawsze był dla mnie drażliwym tematem. W jednej chwili uczucie empatii z don Juanem ustąpiło miejsca poczuciu obrzydzenia do siebie. Robiłem notatki, jakby don Juan był tylko przypadkiem klinicznym. Zamierzałem już podrzeć swoje notatki, kiedy don Juan szturchnął mnie w łydkę palcem nogi, aby zwrócić moją uwagę. Powiedział, że widzi dookoła mnie aurę agresji i jest ciekawy, czy zacznę go bić. Jego śmiech przyniósł cudowną ulgę. Stwierdził, że ulegam gwałtownym wybuchom, ale nie jestem zły i w większości przypadków gniew zostaje skierowany przeciwko mnie samemu.

– Masz rację, don Juanie – powiedziałem.

– Oczywiście – stwierdził śmiejąc się.

Nalegał, abym opowiedział mu o swoim dzieciństwie. Zacząłem opowiadać o latach strachu i samotności, opisałem bezustanną walkę o przetrwanie i utrzymanie ducha. Metafora “utrzymanie ducha" rozbawiła go.

Mówiłem długo. Słuchał z poważnym wyrazem twarzy. Nagle jego oczy znowu mnie “dotknęły" i przestałem mówić. Po chwili przerwy don Juan stwierdził, że nikt mnie nigdy nie poniżył i dlatego nie jestem naprawdę zły.

– Jeszcze nie zostałeś pokonany – powiedział.

Powtórzył to zdanie cztery czy pięć razy, poczułem się więc zobligowany zapytać go, co chce przez to powiedzieć. Wyjaśnił, że pokonanym jest się w takiej sytuacji życiowej, której nie można uniknąć. Ludzie są albo zwycięzcami, albo pokonanymi i w zależności od tego stają się albo prześladowcami, albo ofiarami. Te dwa rodzaje zachowań dominują, dopóki nie opanuje się widzenia. Widzenie usuwa iluzję zwycięstwa, klęski czy cierpienia. Dodał, że powinienem nauczyć się widzieć wtedy, kiedy jestem zwycięzcą, żeby uniknąć wspomnień okresu poniżenia.

Zaprotestowałem, że nie jestem i nigdy nie byłem zwycięzcą. Jeśli moje życie było czymkolwiek, to tylko porażką.

Wybuchnął śmiechem i rzucił kapelusz na podłogę.

– Jeśli twoje życie jest taką porażką, to nadepnij na mój kapelusz – rzucił mi żartobliwe wyzwanie.

Szczerze broniłem swojego stanowiska. Don Juan spoważniał. Jego oczy zwęziły się w cienkie szparki. Powiedział, że uważam swoje życie za porażkę z innych przyczyn niż sama porażka. Potem szybko i niespodziewanie wziął moją głowę w swoje ręce, przykładając dłonie do moich skroni. Popatrzył mi w oczy dzikim wzrokiem. Ze strachu wziąłem głęboki wdech przez usta. Uwolnił moją głowę i oparł się o ścianę, wciąż na mnie patrząc. Jego ruchy były tak szybkie, że kiedy on zdążył się już rozluźnić i wygodnie oprzeć o ścianę, ja wciąż byłem w połowie oddechu. Kręciło mi się w głowie, czułem się nieswojo.

– Widzę małego płaczącego chłopca – powiedział don Juan po chwili przerwy.

Powtórzył to kilka razy, tak jakbym nie zrozumiał. Wydawało mi się, że mówi o mnie, kiedy byłem dzieckiem, więc nie zwróciłem na to specjalnie uwagi.

– Hej! – powiedział don Juan, domagając się ode mnie całkowitej uwagi. – Widzę małego płaczącego chłopca.

Zapytałem go, czy to ja jestem tym chłopcem. Powiedział, że nie. Potem spytałem, czy jest to wizja mojego życia, czy też wspomnienie z jego życia. Nie odpowiedział.

– Widzę małego chłopca – mówił dalej. – On płacze i płacze.

– Czy znam tego chłopca? – zapytałem.

– Tak.

– Czy to jest mój mały?

– Nie.

– Czy on teraz płacze?

– On teraz płacze – powiedział z przekonaniem.

Pomyślałem, że don Juan ma wizję kogoś, kogo znam, kto jest małym chłopcem i w tym właśnie momencie płacze. Wymieniłem imiona wszystkich znanych mi dzieci, ale don Juan powiedział, że nie miały one nic wspólnego z moją obietnicą. Natomiast ma z nią związek owo płaczące dziecko.

Zdania don Juana wyglądały na niespójne. Powiedział, że będąc dzieckiem, obiecałem coś komuś i że płaczące dziecko ma związek z tą obietnicą. Zarzuciłem mu brak sensu. Spokojnie powtórzył, że widzi, jak płacze mały chłopiec, którego ktoś skrzywdził.

Bardzo starałem się poukładać jego zdania w jakiś uporządkowany wzór, ale nie potrafiłem powiązać ich z niczym, czego byłem świadomy.

– Poddaję się – powiedziałem – ponieważ nie mogę sobie przypomnieć, żebym przyrzekał komuś coś ważnego, a już szczególnie dziecku.

Znowu zmrużył oczy i powiedział, że to konkretne płaczące dziecko, które właśnie teraz płacze, pochodzi z mojego dzieciństwa.

– On był dzieckiem wtedy, kiedy ja byłem dzieckiem i ciągle płacze? – zapytałem.

– On jest dzieckiem, które teraz płacze – upierał się don Juan.

– Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz, don Juanie?

– Owszem.

– To nie ma sensu. Jak on może być teraz dzieckiem, skoro był mały, kiedy ja byłem dzieckiem?

– On jest dzieckiem teraz i płacze – upierał się don Juan.

– Czy możesz mi to wyjaśnić, don Juanie?

– Nie. Ty musisz mi to wyjaśnić. Za nic w świecie nie mogłem zrozumieć, o co mu chodzi.

– On płacze! On płacze! – powtarzał ciągle don Juan hipnotyzującym tonem. – A teraz cię obejmuje. On jest ranny! On jest ranny! Patrzy na ciebie. Czy nie czujesz jego wzroku? Klęczy i obejmuje cię. Jest młodszy od ciebie. Przybiegł do ciebie. Ma złamaną rękę. Czy czujesz jego rękę? Jego nos wygląda jak guzik. Tak! To jest guzikowy nos.

Zaczęło mi brzęczeć w uszach i straciłem poczucie, że znajduję się w domu don Juana. Słowa “guzikowy nos" wprowadziły mnie błyskawicznie w scenę z dzieciństwa. Znałem chłopca o guzikowym nosie! Don Juan znalazł drogę do jednego z najbardziej ukrytych zakamarków mojego życia. Teraz zrozumiałem, o jaką obietnicę mu chodziło. Poczułem uniesienie, rozpacz i podziw dla don Juana i jego doskonałego manewru. Skąd, u diabła, wiedział o chłopcu o guzikowym nosie, którego znałem w dzieciństwie? Wspomnienie wywołane przez don Juana podnieciło mnie do tego stopnia, że mocą pamięci przeniosłem się do czasów, kiedy miałem osiem lat. Moja matka opuściła nas dwa lata wcześniej, a ja spędzałem najpotworniejsze lata swojego dzieciństwa, krążąc między siostrami matki, które robiły za jej obowiązkowe zastępczynie i opiekowały się mną na zmianę przez kilka miesięcy. Każda z nich miała liczną rodzinę, więc niezależnie od ich dobroci i opiekuńczości, miałem dwudziestu dwóch kuzynów, którzy ze mną rywalizowali. Ich okrucieństwo było czasami doprawdy zaskakujące. Czułem wtedy, że jestem otoczony przez wrogów. W ciągu następnych straszliwych lat prowadziłem rozpaczliwe i nikczemne wojny. W końcu – do dzisiaj nie wiem jak – udało mi się pokonać wszystkich kuzynów. Naprawdę byłem zwycięzcą. Nie został mi już żaden liczący się konkurent. Nie wiedziałem jednak o tym. Nie wiedziałem też, jak zatrzymać wojnę, która konsekwentnie rozprzestrzeniła się na teren szkoły.

Klasy w wiejskiej szkole, do której chodziłem, były mieszane. Pierwsze i trzecie klasy dzieliła jedynie przestrzeń między ławkami. Tam właśnie spotkałem małego chłopca o płaskim nosie, którego przezywano Guzikowy Nos. Był pierwszakiem. Czasem dokuczałem mu, wybierając go zupełnie przypadkowo, bez konkretnego zamiaru. Mimo to, co mu robiłem, zdawał się mnie lubić. Chodził za mną i nawet potrafił utrzymać w tajemnicy to, że byłem odpowiedzialny za niektóre wybryki nękające dyrektora. A jednak ciągle mu dokuczałem. Pewnego dnia celowo przewróciłem ciężką stojącą tablicę.

Spadła na niego. Ławka, przy której siedział, złagodziła nieco uderzenie, które jednak złamało mu obojczyk. Upadł. Pomogłem mu wstać. Zobaczyłem w jego oczach ból i strach, kiedy patrzył na mnie i tulił się do mnie. Szok spowodowany widokiem jego bólu i strzaskanego ramienia był ponad moje siły. Przez lata prowadziłem zażarte wojny przeciwko kuzynom, aż wygrałem. Pokonałem wrogów, czułem się dobrze i władczo, aż do momentu kiedy widok Guzikowego Nosa, małego, płaczącego chłopca zniszczył wszystkie moje zwycięstwa. Natychmiast porzuciłem wszelką walkę. Postanowiłem – jeśli tylko się da – nigdy więcej nie zwyciężać. Myślałem, że jego ramię trzeba będzie uciąć i złożyłem obietnicę, że jeśli ten mały chłopiec wyzdrowieje, to już nigdy nie zostanę zwycięzcą. Dla niego zrezygnowałem z wygranych. Tak to wtedy rozumiałem.

Don Juan otworzył jątrzącą się ranę mojego życia. Kręciło mi się w głowie, czułem się pogrążony. Źródło niczym nie złagodzonego smutku zaprosiło mnie i zanurzyłem się w nie. Poczułem na sobie ciężar swoich czynów. Wspomnienie małego chłopca o guzikowym nosie, który miał na imię Joaquin, wywołało we mnie tak wielki ból, że zapłakałem. Powiedziałem don Juanowi, jak smutno było mi z powodu tego chłopca, który nigdy niczego nie miał. Tego małego Joaquina, nie mającego pieniędzy na lekarza, któremu nigdy nie nastawiono porządnie złamania. Wszystkim, co mogłem mu dać, były moje dziecinne zwycięstwa. Było mi tak bardzo wstyd.

– Uspokój się, chłopie – powiedział władczo don Juan. – Dałeś wystarczająco dużo. Twoje zwycięstwa były zdecydowane i ty sam je odniosłeś. Dałeś wystarczająco dużo. Teraz musisz zmienić obietnicę.

– W jaki sposób mam ją zmienić? Czy mam tylko to powiedzieć?

– Takiej obietnicy nie można zmienić słowami. Być może wkrótce dowiesz się, co trzeba zrobić, żeby ją zmienić. Może nawet będziesz już wtedy widział.

– Czy mógłbyś mi dać jakieś wskazówki, don Juanie?

– Musisz cierpliwie czekać wiedząc, że czekasz i wiedząc, na co czekasz. To jest ścieżka wojownika. A jeśli chodzi o spełnienie obietnicy, to powinieneś mieć świadomość, że jej dotrzymujesz. Wtedy przyjdzie czas, kiedy twoje czekanie skończy się i nie będziesz musiał już dłużej honorować tej obietnicy. Niczego więcej nie możesz zrobić dla tego chłopca. Tylko on mógłby unieważnić ten czyn.

– W jaki sposób?

– Ucząc się, jak zmniejszyć swoje pragnienia do zera. Dopóki będzie myślał, że jest ofiarą, dopóty jego życie będzie piekłem. A twoja obietnica pozostanie ważna, dopóki nie przestaniesz tak samo uważać. To, co nas unieszczęśliwia, to pragnienie. Gdybyśmy nauczyli się redukować swoje pożądania do zera, to najmniejsza rzecz, jaką otrzymywalibyśmy, byłaby prawdziwym darem. Nie martw się, zrobiłeś Joaquinowi dobry prezent. Bycie biednym albo pożądającym to tylko myśl. Tak samo jest z nienawiścią, głodem albo bólem.

– Nie mogę w to uwierzyć, don Juanie. Jak to możliwe, że głód i ból to tylko myśli?

– Teraz dla mnie są to tylko myśli. To wszystko, co wiem. Udało mi się tego dokonać. Zauważ, że moc tego osiągnięcia jest wszystkim, co posiadamy, aby przeciwstawić się siłom naszego życia. Bez tej mocy jesteśmy śmieciami, pyłem na wietrze.

– Nie mam wątpliwości co do tego, że udało ci się to osiągnąć, don Juanie, ale jak prosty człowiek, taki jak ja czy Joaquin, może tego dokonać?

– Przeciwstawianie się siłom życia zależy od nas, od jednostek. Powtarzałem ci to wielokrotnie: tylko wojownik jest w stanie przeżyć. Wojownik wie, że czeka i wie, na co czeka. A kiedy czeka, nie pragnie niczego i dlatego każda najmniejsza rzecz, jaką dostaje, jest czymś więcej niż może przyjąć. Jeśli chce jeść, poradzi sobie, ponieważ nie jest głodny. Kiedy coś rani jego ciało, potrafi to powstrzymać, ponieważ nie czuje bólu. Odczuwanie głodu albo bólu oznacza, że człowek poddał się i nie jest już wojownikiem, a wtedy siły głodu i bólu zniszczą go.

Chciałem dalej bronić swego stanowiska, ale przestałem, ponieważ zdałem sobie sprawę, że kłócąc się tworzę barierę osłaniającą mnie przed pustoszącą siłą czynu don Juana, czynu, który dotknął mnie tak głęboko i z taką mocą. Skąd wiedział? Pomyślałem, że może opowiedziałem mu historię chłopca o guzikowym nosie podczas jednego z głębokich stanów niezwykłej rzeczywistości. Nie przypominałem sobie, żebym mu o tym mówił, ale przebywanie w takich warunkach powodowało zrozumiałe luki w pamięci.

– Skąd wiedziałeś o mojej obietnicy, don Juanie?

– Widziałem ją.

– Widziałeś ją, kiedy wziąłem Mescalito, czy kiedy paliłem twoją miksturę?

– Widziałem ją teraz. Dzisiaj.

– Widziałeś wszystko?

– Ty znowu swoje. Powiedziałem ci, że opowiadanie o widzeniu jest pozbawione sensu. To jest nic.

Nie nalegałem. Na poziomie emocjonalnym byłem przekonany.

– Ja też kiedyś złożyłem ślubowanie – powiedział nagle don Juan.

Ton jego głosu poderwał mnie.

– Obiecałem mojemu ojcu, że przeżyję, żeby zniszczyć jego zabójców. Żyłem z tą obietnicą przez całe lata. Teraz obietnica zmieniła się. Nie interesuje mnie już niszczenie kogokolwiek. Nie nienawidzę Meksykanów. Nikogo nie nienawidzę. Nauczyłem się, że niezliczone ścieżki, którymi przechodzimy przez życie, są sobie równe. Prześladowcy i prześladowani i tak w końcu spotykają się, a ważne jest jedynie to, że dla jednych i drugich życie było zbyt krótkie. Dzisiaj jestem smutny nie dlatego, że moja matka i ojciec umarli, tak jak umarli. Jest mi smutno, ponieważ byli Indianami. Żyli jak Indianie i umarli jak Indianie i nigdy nie dowiedzieli się, że przede wszystkim byli ludźmi.

10

Przyjechałem do don Juana 30 maja 1969 roku i bez ogródek oświadczyłem mu, że chcę jeszcze raz spróbować widzenia. Pokręcił przecząco głową i roześmiał się, więc poczułem się zmuszony zaprotestować. Powiedział mi, że muszę być cierpliwy, nie jest to właściwy czas, ale ja uparcie twierdziłem, że jestem gotowy.

Nie wyglądał na poirytowanego moimi dokuczliwym prośbami, próbował jednak zmienić temat. Nie popuściłem i poprosiłem go o radę. Zapytałem, co powinienem zrobić, żeby przezwyciężyć niecierpliwość.

– Musisz postępować jak wojownik – powiedział.

– Jak?

– Człowiek uczy się postępować jak wojownik działając, a nie mówiąc.

– Powiedziałeś, że wojownik myśli o swojej śmierci. Ja robię to cały czas, lecz jak widać, to nie wystarcza.

Don Juan zniecierpliwił się, cmoknął wargami. Powiedziałem mu, że nie chciałem go zdenerwować i że jeśli nie życzy sobie mojego towarzystwa, jestem gotowy wrócić do Los Angeles. Don Juan poklepał mnie lekko po plecach i powiedział, że nigdy się na mnie nie złości, po prostu myślał, że wiem, co to znaczy być wojownikiem.

– Co mam zrobić, żeby żyć jak wojownik? – zapytałem.

Zdjął kapelusz i podrapał się po głowie. Skoncentrował na mnie wzrok i uśmiechnął się.

– Lubisz, żeby ci wszystko przeliterować, prawda?

– Tak działa mój umysł.

– Ale nie musi.

– Nie wiem, jak się zmienić. Dlatego właśnie proszę cię, żebyś mi dokładnie powiedział, co mam zrobić, żeby żyć jak wojownik. Jeśli będę to wiedział, znajdę sposób, żeby się do tego dostosować.

Musiał uznać moją wypowiedź za bardzo zabawną. Śmiejąc się, poklepał mnie po plecach.

Czułem, że lada chwila poprosi mnie, żebym wracał do domu, szybko więc usiadłem na słomianej macie, twarzą do niego i zacząłem zadawać następne pytania. Chciałem wiedzieć, dlaczego muszę czekać.

Wyjaśnił mi, że gdybym próbował widzieć na łapu capu, przed uleczeniem ran otrzymanych w walce ze strażnikiem, mógłbym spotkać go znowu, nawet go nie szukając. Don Juan zapewnił mnie, że żaden człowiek w takiej sytuacji nie byłby w stanie przeżyć spotkania.

– Musisz zupełnie zapomnieć o strażniku, zanim znowu wejdziesz na ścieżkę, której celem jest widzenie – powiedział.

– Jak można zapomnieć strażnika?

– Wojownik musi używać woli i cierpliwości, żeby zapomnieć. Ściśle rzecz biorąc, wojownik posiada jedynie wolę i cierpliwość, na których buduje wszystko, co chce.

– Ja jednak nie jestem wojownikiem.

– Zacząłeś uczyć się sztuki magii. Nie masz już czasu, aby się wycofać czy żałować czegokolwiek. Masz tylko czas, żeby żyć jak wojownik i pracować nad cierpliwością i wolą, czy ci się to podoba, czy nie.

– Jak wojownik pracuje nad cierpliwością i wolą? Don Juan zamyślił się na chwilę.

– Myślę, że nie sposób o tym mówić – powiedział w końcu. – Szczególnie o woli. Wola jest czymś szczególnym, pojawia się w tajemniczy sposób. Nie da się opowiedzieć, jak się jej używa, poza tym, że rezultaty są zdumiewające. Zapewne pierwsze, o czym trzeba wiedzieć, to fakt, że wolę można rozwijać. Wojownik wie o tym i czeka na nią. Twój błąd polega na tym, że nie wiesz, iż czekasz na wolę. Mój dobroczyńca powiedział mi, że wojownik wie, że czeka i wie, na co czeka. W twoim

przypadku jest tak, że wiesz, że czekasz. Jesteś tu ze mną od lat, jednak nie wiesz, na co czekasz. Dla zwykłego człowieka poznanie tego, na co czeka, jest bardzo trudne lub wręcz niemożliwe. Wojownik wszakże nie ma problemów, wie, że czeka na swoją wolę.

– Czym dokładnie jest wola? Czy to determinacja, taka jak u twojego wnuka Lucia, żeby mieć motocykl?

– Nie – powiedział łagodnie don Juan i zachichotał. – To nie jest wola. Lucio tylko sobie folguje. Wola jest czymś innym, czymś bardzo czystym i mocnym, czymś, co może kierować naszymi działaniami. Wola jest tym, czego używa człowiek na przykład do wygrania bitwy, którą według wszelkich kalkulacji powinien przegrać.

– Wobec tego wola musi być tym, co my nazywamy odwagą – powiedziałem.

– Nie. Odwaga to co innego. Ludzie odważni to ludzie godni zaufania, szlachetni, ciągle otoczeni innymi, którzy gromadzą się wokół nich i podziwiają ich. Jednak bardzo niewielu ludzi odważnych posiada wolę. Zazwyczaj są oni nieustraszeni, a ich przeznaczeniem są śmiałe, zdroworozsądkowe czyny. Najczęściej człowiek odważny jest również przerażający i straszny. Wola natomiast odnosi się do zdumiewających czynów dokonywanych wbrew zdrowemu rozsądkowi.

– Czy wola jest kontrolą, jaką mamy nad sobą? – zapytałem.

– Można powiedzieć, że jest to pewien rodzaj kontroli.

– Czy uważasz, że potrafię wyćwiczyć swoją wolę, na przykład odmawiając sobie pewnych rzeczy?

– Takich jak zadawanie pytań? – wtrącił. Powiedział to tak złośliwym tonem, że musiałem przerwać pisanie i spojrzeć na niego. Obaj roześmialiśmy się.

– Nie – powiedział. – Odmawianie sobie jest folgowaniem, nie polecam niczego podobnego. Dlatego właśnie pozwalam ci pytać, o co tylko chcesz. Gdybym ci kazał przestać zadawać pytania, mógłbyś wypaczyć swoją wolę, usiłując to zrobić. Folgowanie poprzez odmawianie sobie jest zdecydowanie najgorsze. Każe nam wierzyć, że robimy wielkie rzeczy, podczas gdy w rzeczywistości, zamykamy się w sobie. Zaprzestanie zadawania pytań to nie ta wola, o którą mi chodzi. Wola jest mocą, a ponieważ jest mocą, musi być kontrolowana i dostrajana, a to wymaga czasu. Wiem o tym i mam do ciebie cierpliwość. Kiedy byłem w twoim wieku, zachowywałem się tak samo impulsywnie jak ty. Ale zmieniłem się. Nasza wola działa, chociaż folgujemy sobie. Na przykład twoja wola zaczęła już powolutku otwierać w tobie szczelinę.

– O jakiej szczelinie mówisz?

– Jest w nas szczelina, tak jak ciemiączko na głowie dziecka. Zamyka się z wiekiem, a otwiera się, kiedy rozwijamy wolę.

– Gdzie jest ta szczelina?

– W miejscu świetlistych włókien – powiedział, wskazując na swój brzuch.

– Jak ona wygląda? Do czego służy?

– To jest otwór, który stwarza przestrzeń dla woli, aby wystrzeliła jak strzała.

– Czy wola jest przedmiotem? Albo czy jest jak przedmiot?

– Nie. Powiedziałem tak dlatego tylko, żebyś zrozumiał. To, co czarownik nazywa wolą, to moc, która znajduje się w nas. Nie jest to ani myśl, ani przedmiot, ani życzenie. Wola to coś, co może sprawić, że zwyciężysz, kiedy myśli mówią ci, że jesteś pokonany. Dzięki woli stajesz się niewrażliwy na ciosy. Wola jest tym, co przenosi czarownika przez ścianę, przestrzeń albo – jeśli zechce – na Księżyc.

Nie miałem więcej pytań. Byłem zmęczony i napięty. Bałem się, że don Juan każe mi wracać i to mnie niepokoiło.

– Chodźmy na wzgórza – powiedział nagle i wstał.

Po drodze znowu zaczął mówić o woli. Śmiał się z mojego przerażenia, że nie będę mógł robić notatek.

Opisał wolę jako siłę będącą prawdziwym ogniwem między człowiekiem a światem. Dobitnie podkreślił, że świat jest tym, co postrzegamy, a postrzegamy go w taki sposób, jaki sami wybieramy. Don Juan utrzymywał, że postrzeganie świata pociąga za sobą proces rozumienia tego, co nam się

ukazuje. Ten szczególny rodzaj postrzegania zachodzi poprzez nasze zmysły i wolę.

Zapytałem go, czy wola jest szóstym zmysłem. Powiedział, że jest to raczej relacja między nami a światem, który postrzegamy.

Zaproponowałem, żebyśmy zatrzymali się na chwilę, abym mógł zrobić notatki. Don Juan roześmiał się i szedł dalej.

Tego wieczora don Juan nie kazał mi wracać do domu, a następnego dnia po śniadaniu sam podjął temat woli.

– To, co ty nazywasz wolą, to charakter i silna motywacja – powiedział. – To, co czarownik nazywa wolą, jest siłą pochodzącą ze środka, która przywiązuje się do świata zewnętrznego. Wychodzi na zewnątrz przez brzuch, w miejscu, gdzie znajdują się świetliste włókna.

Pomasował swój pępek, wskazując miejsce, o które mu chodzi.

– Mówię, że wola wychodzi właśnie tędy, ponieważ Woźna odczuć, kiedy się to dzieje.

– Dlaczego nazywasz to wolą?

– W ogóle tego nie nazywam. Mój dobroczyńca nazywał to wolą i inni ludzie wiedzy też tak to nazywają.

– Wczoraj powiedziałeś, że można postrzegać świat zmysłami i wolą. Jak to możliwe?

– Przeciętny człowiek może uchwycić elementy świata tylko rękoma, oczami i uszami, ale czarownik potrafi to zrobić również nosem, językiem albo wolą, w szczególności wolą. Naprawdę nie mogę opisać ci, jak to się robi, tak jak ty na przykład nie jesteś w stanie mi opowiedzieć, jak słyszysz. Tak się składa, że ja też potrafię słyszeć, więc możemy porozmawiać o tym, co słyszymy, ale nie o tym, jak słyszymy. Czarownik używa woli do postrzegania świata. Postrzeganie jednak nie jest takie, jak słyszenie. Kiedy patrzymy na świat albo kiedy go słyszymy, mamy wrażenie, że znajduje się on na zewnątrz i że jest rzeczywisty. Kiedy postrzegamy świat wolą, wiemy, że nie jest on ani na zewnątrz, ani też tak rzeczywisty, jak sądzimy.

– Czy wola jest tym samym co widzenie?

– Nie. Wola jest siłą, mocą. Widzenie nie jest siłą, ale raczej sposobem na przechodzenie przez rzeczy. Czarownik może mieć bardzo silną wolę, ale nie widzieć, a to znaczy, że tylko człowiek wiedzy postrzega świat zmysłami, wolą i również widzeniem.

Powiedziałem, że już zupełnie nie wiem, w jaki sposób przy użyciu woli mam zapomnieć o strażniku. Moja rozterka rozbawiła go.

– Mówiłem ci, że mówiąc tracisz tylko orientację – powiedział i roześmiał się. – Ale teraz przynamniej wiesz, że czekasz na wolę. Nie wiesz jeszcze, co to jest i w jaki sposób ci się objawi. Obserwuj więc uważnie wszystko, co robisz. To, co może ci pomóc rozwinąć wolę, znajduje się wśród tych wszystkich drobnych rzeczy, które robisz.

Don Juana nie było cały ranek; wrócił wczesnym popołudniem z naręczem suchych roślin. Dał mi znak głową, żebym mu pomógł. Przez kilka godzin pracowaliśmy w całkowitym milczeniu, sortując rośliny. Kiedy skończyliśmy, usiedliśmy, aby odpocząć. Don Juan uśmiechnął się do mnie życzliwie.

Powiedziałem mu bardzo poważnie, że czytałem notatki i wciąż nie mogę zrozumieć, na czym polega bycie wojownikiem albo co oznacza pojęcie woli.

– Wola nie jest pojęciem – powiedział. Odezwał się do mnie po raz pierwszy w ciągu tego dnia.

Po długiej przerwie ciągnął:

– Ty i ja różnimy się od siebie. Twoja natura jest bardziej porywcza niż moja. W przeciwieństwie do ciebie, ja w twoim wieku nie byłem gwałtowny, ale zły. Mój dobroczyńca był taki, jak ty. Idealnie pasowałby na twojego nauczyciela. Był wielkim czarownikiem, ale nie widział, a przynajmniej nie tak, jak ja czy Genaro. Ja rozumiem świat i żyję prowadzony przez swoje widzenie. Mój dobroczyńca wszakże musiał żyć jak wojownik. Jeśli człowiek widzi, nie musi żyć ani jak wojownik, ani jak ktokolwiek inny, ponieważ widzi rzeczy takimi, jakimi naprawdę są i kieruje swoim życiem zgodnie z tym, co widzi. Lecz biorąc pod uwagę twój charakter, powiedziałbym, że możesz nigdy nie nauczyć się widzieć, a w takim przypadku będziesz musiał żyć jak wojownik przez całe życie.

Mój dobroczyńca powiedział, że kiedy człowiek wchodzi na ścieżkę magii, powoli uświadamia sobie, że na zawsze zostawił za sobą zwykłe życie, że wiedza jest naprawdę przerażającą sprawą i

nie chronią go już dłużej sposoby zwykłego świata. Taki człowiek, aby przeżyć, musi przyjąć nowy sposób życia. Pierwsze, co powinien wtedy zrobić, to wzbudzić w sobie pragnienie stania się wojownikiem. To bardzo ważny krok i ważna decyzja. Przerażająca natura wiedzy nie pozostawia innego wyjścia, jak tylko zostać wojownikiem.

W momencie, kiedy wiedza staje się przerażającą sprawą, człowiek uświadamia sobie, że śmierć jest jego nieodłączną partnerką siedzącą obok niego na macie. W każdym okruchu wiedzy, który przemienia się w moc, śmierć jest główną siłą. Śmierć nadaje wszystkiemu ostateczną formę, a czego dotknie, naprawdę staje się mocą.

Człowiek podążający ścieżką magii narażony jest na każdym zakręcie na unicestwienie i z konieczności staje się świadomy swojej śmierci. Bez świadomości śmierci byłby tylko zwykłym człowiekiem, zajętym zwykłymi czynnościami. Brakowałoby mu koniecznego potencjału i niezbędnej koncentracji zamieniających zwykłe życie na ziemi w magiczną moc.

Tak więc, żeby być wojownikiem, trzeba przede wszystkim stać się głęboko świadomym własnej śmierci. Rozważania o śmierci zmuszają każdego do skupienia się na własnym ja, a to osłabia. Wobec tego, to co z kolei trzeba zrobić, żeby stać się wojownikiem, to pozbyć się przywiązania. Wyobrażenie nieuchronnej śmierci zamiast przeradzać się w obsesję, staje się obojętne.

Don Juan przestał mówić i popatrzył na mnie. Zdawał się czekać na komentarz.

– Czy to rozumiesz? – zapytał.

Zrozumiałem, co powiedział, ale nie mogłem pojąć, jak można pozbyć się przywiązania. Stwierdziłem, że z punktu widzenia mojej nauki u niego, doszedłem już do momentu, w którym wiedza staje się przerażająca. Mógłbym również stwierdzić, że nie znajduję już oparcia w obietnicach zwykłego, codziennego życia. Chcę też albo może nawet więcej niż chcę – potrzebuję – żyć jak wojownik.

– Teraz musisz się pozbyć przywiązania – powiedział.

– Do czego?

– Do wszystkiego.

– To niemożliwe. Nie chcę być pustelnikiem.

– Bycie pustelnikiem jest folgowaniem sobie, nigdy mi o to nie chodziło. Pustelnik nie pozbył się przywiązania, ponieważ chętnie oddaje się pustelniczemu życiu.

Tylko wyobraźnia śmierci pozwala człowiekowi wyzbyć się przywiązywania w wystarczającym stopniu, aby zdołał nie oddawać się czemukolwiek. Taki człowiek jednak nie pragnie niczego, ponieważ osiągnął cichą pasję życia i wszystkiego, co do życia należy. Wie, że śmierć tropi go i nie da mu czasu, by przylgnął do czegokolwiek, próbuje więc wszystkiego po trochu, nie przywiązując się.

Człowiek bez przywiązań, który wie, że nie ma możliwości odgrodzenia się od śmierci, zna tylko jedno, na czym może się oprzeć – moc swoich decyzji. Musi być, że tak powiem, mistrzem swoich wyborów. Musi w pełni rozumieć, że jest odpowiedzialny za to, co wybiera, a kiedy już wybierze, nie ma czasu na żale czy obwinianie się. Jego decyzje są ostateczne po prostu dlatego, że śmierć nie daje mu czasu na kurczowe trzymanie się czegokolwiek.

Tak właśnie, ze świadomością śmierci, bez przywiązania i dysponując mocą własnych decyzji, wojownik żyje strategicznie. Wiedza o śmierci prowadzi go, czyni bezstronnym i budzi w nim ciche pasje. Moc jego ostatecznych decyzji sprawia, że wybiera bez żalu, a to, co wybiera, jest zawsze strategicznie najlepsze. Tak więc wojownik robi to, co musi zrobić, z przyjemnością i namiętnością zapewniającą efektywność.

Kiedy człowiek postępuje w ten sposób, można o nim słusznie powiedzieć, że jest wojownikiem i że nauczył się cierpliwości!

Don Juan spytał, czy chcę coś dodać, a ja zauważyłem, że osiągnięcie tego, co opisał, zajęłoby całe życie. Odpowiedział, że za bardzo przy nim protestuję, ale on wie, że zachowuję się albo przynajmniej usiłuję zachowywać się w życiu codziennym jak wojownik.

– Masz całkiem niezłe pazury – powiedział, śmiejąc się. – Pokazuj mi je od czasu do czasu. To dobra praktyka.

Zrobiłem gest pokazywania pazurów i wydałem pomruk, a on roześmiał się. Potem chrząknął i mówił dalej.

– Nauczywszy się cierpliwości, wojownik jest już blisko woli. Potrafi czekać. Śmierć siedzi z nim na macie, są przyjaciółmi. Śmierć w tajemniczy sposób doradza mu, jak wybierać, jak żyć strategicznie. A wojownik czeka! Powiedziałbym, że wojownik uczy się bez pośpiechu, ponieważ wie, że czeka na wolę i że pewnego dnia dokona czegoś, co normalnie jest prawie nieosiągalne. Wojownik może nawet nie zauważyć tego niezwykłego wyczynu. Lecz kiedy ciągle będzie dokonywał rzeczy niemożliwych albo kiedy niemożliwe rzeczy będą mu się stale przytrafiać, uświadomi sobie, że rodzi się jakaś moc. Moc, która wychodzi z ciała w miarę jego postępów na ścieżce wiedzy. Na początku odczuwa ją jako swędzenie na brzuchu albo ciepłe miejsce, którego nie można ochłodzić, po czym przeradza się ona w ból, cierpienie. Czasami ból i cierpienie są tak wielkie, że wojownika miesiącami męczą konwulsje, a im są one silniejsze, tym lepiej dla niego. Wielką moc zawsze zwiastuje wielki ból.

Kiedy konwulsje ustają, wojownik zaczyna zauważać swoje dziwne odczucia. Zauważa, że może dotknąć wszystkiego uczuciem wychodzącym z jego ciała z miejsca tuż pod pępkiem, albo zaraz nad nim. Tym uczuciem jest wola. Kiedy wojownik nauczy się chwytać wolą, można zgodnie z prawdą powiedzieć, że jest czarownikiem i zdobył wolę.

Don Juan przestał mówić, zdawał się czekać na mój komentarz albo pytania. Nie miałem nic do powiedzenia. Byłem głęboko przejęty tym, że wojownik musi doświadczać bólu i konwulsji, nie miałem jednak śmiałości spytać go, czy ja również muszę przez to przechodzić. W końcu, po długim milczeniu, zapytałem go o to. Zachichotał, jakby spodziewał się tego pytania. Powiedział, że ból nie jest absolutnie konieczny. On na przykład, nigdy go nie doświadczył, a wola po prostu mu się przydarzyła.

– Pewnego razu byłem w górach – powiedział – i napatoczyłem się na pumę, samicę. Była wielka i głodna. Goniła mnie i goniła. Wspiąłem się na skałę, a ona stała kilka stóp ode mnie, gotowa do skoku. Rzucałem w nią kamieniami. Ryknęła i ruszyła na mnie. Właśnie wtedy moja wola wyszła ze mnie w pełni. Zatrzymałem pumę wolą, zanim zdążyła na mnie skoczyć. Pieściłem ją wolą. Nawet podrapałem ją po cyckach wolą. Spojrzała na mnie rozmarzonymi oczami i położyła się, a ja uciekałem jak cholera, nie czekając, aż jej przejdzie.

Don Juan, trzymając się kapelusza, zrobił bardzo zabawny gest, przedstawiający człowieka uciekającego przed śmiercią.

Powiedziałem mu, że nie podoba mi się to, że jeśli zapragnę woli, będą na mnie czekać jedynie samice pum albo konwulsje.

– Mój dobroczyńca był czarownikiem o wielkich mocach – ciągnął don Juan. – Był wojownikiem w każdym calu. Jego wola stanowiła naprawdę najwspanialsze osiągnięcie. Lecz człowiek jest w stanie zrobić coś więcej, może się nauczyć widzieć. Kiedy nauczy się widzieć, nie musi już ani żyć jak wojownik, ani być czarownikiem. Kiedy człowiek potrafi widzieć, staje się wszystkim, ponieważ stał się niczym. Znika, że tak powiem, a jednak ciągle jest. Powiedziałbym, że wtedy człowiek może być wszystkim, czym zechce albo dostać wszystko, czego zapragnie. On jednak niczego nie pragnie, a zamiast zabawiać się swoimi współbraćmi, jakby byli zabawkami, spotyka ich ogarniętych szaleństwem. Jedyna różnica między nimi polega na tym, że człowiek, który widzi, kontroluje swoje szaleństwa i kaprysy, podczas gdy inni ludzie tego nie potrafią. Człowiek, który widzi, nie interesuje się więcej innymi ludźmi. Widzenie pozbawiło go przywiązania do wszystkiego, co znał.

– Dostaję gęsiej skórki na samą myśl o tym, że mógłbym zostać pozbawiony przywiązania do wszystkiego, co znam – powiedziałem.

– Chyba żartujesz! Powinieneś dostawać gęsiej skórki na myśl o tym, że w życiu nie możesz oczekiwać niczego innego poza robieniem tego, co zawsze robisz. Pomyśl o człowieku, który każdego roku sadzi kukurydzę, aż do czasu kiedy się zestarzeje i będzie zbyt zmęczony, żeby wstać i będzie tylko leżał jak stary pies. Jego myśli i uczucia, wszystko, co w nim najlepsze, krążyć będą dookoła tej jednej rzeczy, którą zawsze robił – sadzenia kukurydzy. Dla mnie jest to najbardziej przerażające marnotrawstwo, jakie można sobie wyobrazić.

Jesteśmy ludźmi, naszym przeznaczeniem jest uczyć się i zostać wrzuconym w nowe, niepojęte światy.

– Czy naprawdę czekają na nas jakieś nowe światy? – zapytałem półżartem.

– Ty głupku, niczego nie wyczerpaliśmy – powiedział władczym tonem. – Widzenie jest dla ludzi nieskazitelnych. Teraz hartuj swego ducha, stań się wojownikiem, naucz się widzieć, a potem sam się przekonasz, że nowe światy naszych wizji nie mają końca.

11

Don Juan nie odesłał mnie do domu po załatwieniu sprawunków, tak jak to robił ostatnio. Powiedział, że mogę zostać, a następnego dnia, 28 czerwca 1969 roku, tuż przed południem powiedział, że znowu zapalę.

– Czy będę znowu próbował widzieć strażnika?

– Nie, wykluczone. Tym razem będzie coś innego.

Don Juan spokojnie napełnił fajkę mieszanką do palenia, zapalił ją i wręczył mi. Nie przestraszyłem się. Od razu ogarnęła mnie przyjemna senność. Kiedy wypaliłem całą fajkę, don Juan odłożył ją i pomógł mi wstać. Siedzieliśmy twarzami do siebie na dwóch słomianych matach, które umieścił na środku pokoju. Powiedział, że pójdziemy na krótki spacer. Lekkim pchnięciem zachęcił mnie do chodzenia. Zrobiłem krok i nogi ugięły się pode mną. Nie czułem bólu, kiedy uderzyłem kolanami o ziemię. Don Juan chwycił mnie za ramię i jeszcze raz postawił na nogi.

– Musisz chodzić – powiedział – tak samo, jak kiedyś wstałeś. Musisz użyć woli.

Miałem wrażenie, jakbym był przybity do ziemi. Spróbowałem zrobić krok prawą nogą i prawie utraciłem równowagę. Don Juan trzymał mnie za prawe ramię, pod pachą i łagodnie popychał do przodu, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Byłbym upadł na twarz, gdyby nie złapał mnie za ramię i nie złagodził upadku. Podtrzymując mnie pod prawą pachę, oparł mnie o siebie. Nie czułem nic, ale byłem pewien, że moja głowa spoczywa na jego ramieniu. Patrzyłem na pokój z ukosa. Don Juan ciągnął mnie w takiej pozycji wokół werandy. Obeszliśmy ją z dużym trudem dookoła dwa razy. W końcu mój ciężar tak się zwiększył, że don Juan musiał upuścić mnie na podłogę. Wiedziałem, że nie może mnie ruszyć. W pewnym sensie stało się tak, jakby część mnie celowo chciała stać się ciężka jak ołów. Don Juan nie próbował mnie podnieść. Patrzył na mnie przez chwilę. Leżałem na plecach, twarzą do niego. Spróbowałem się uśmiechnąć, a on zaczął się śmiać. Potem nachylił się nade mną i klepnął mnie w brzuch. Doświadczyłem czegoś przedziwnego. Nie było to ani bolesne, ani przyjemne, ani nic, co mógłbym nazwać. Był to raczej wstrząs. Don Juan natychmiast zaczął mnie toczyć po podłodze. Nie czułem niczego. Pomyślałem, że toczy mnie, ponieważ mój punkt widzenia zmieniał się wraz z obracaniem się po werandzie. Kiedy don Juan ustawił mnie w pozycji, jaka mu była potrzebna, cofnął się.

– Wstań! – rozkazał mi. – Stań tak, jak kiedyś. Nie rób sobie jaj. Potrafisz wstać. A teraz wstawaj!

Usiłowałem sobie przypomnieć, co wtedy zrobiłem, ale nie byłem w stanie zebrać myśli. Jakby moje myśli miały własną wolę, niezależną od tego, jak bardzo starałem się je kontrolować. W końcu przyszło mi do głowy, że jeśli powiem “wstać", tak jak zrobiłem to kiedyś, to na pewno wstanę. Powiedziałem “wstać" głośno i wyraźnie, ale nic się nie stało.

Don Juan popatrzył na mnie z widocznym niezadowoleniem, po czym obszedł mnie i skierował się ku drzwiom. Leżałem na lewym boku, przed oczyma miałem teren przed domem, a za plecami drzwi. Kiedy więc don Juan obchodził mnie, natychmiast doszedłem do wniosku, że wszedł do środka.

– Don Juanie! – zawołałem głośno, ale nie odpowiedział.

Przytłaczało mnie uczucie niemocy i rozpaczy. Chciałem wstać. Raz po raz powtarzałem “wstać", jakby było to magiczne słowo, które sprawi, że się poruszę. Nic się nie wydarzyło. Dostałem ataku frustracji i wściekłości.

Chciałem walić głową w podłogę i płakać. Przeżyłem wyjątkowo bolesne chwile. Chciałem ruszyć się albo powiedzieć coś, ale nie byłem w stanie. Byłem naprawdę unieruchomiony, sparaliżowany.

– Don Juanie, pomóż mi! – udało mi się w końcu wrzasnąć.

Don Juan wrócił i usiadł naprzeciwko mnie, śmiejąc się. Powiedział, że popadam w histerię, a to, czego doświadczam, jest mało ważne. Podniósł moją głowę i patrząc wprost na mnie, powiedział, że mam atak symulowanego strachu. Powiedział, żebym się nie denerwował.

– Twoje życie komplikuje się – rzekł. – Pozbądź się tego czegoś, co sprawia, że tracisz panowanie nad sobą. Zostań tu i spokojnie pozbieraj się do kupy.

Położył moją głowę na ziemi i przestąpił mnie. Słyszałem tylko szuranie jego sandałów, kiedy

odchodził.

W pierwszej chwili znowu miałem ochotę ulec irytacji, ale nie potrafiłem zebrać wystarczająco dużo energii. Zamiast tego stwierdziłem, że osuwam się w stan niezwykłego spokoju. Ogarnęło mnie cudowne uczucie przyjemności. Zrozumiałem, co komplikowało moje życie. Chodziło o tego chłopca. Najbardziej ze wszystkiego zależało mi, aby być jego ojcem. Podobała mi się myśl o kształtowaniu jego charakteru, braniu go na wycieczki i uczeniu go jak żyć. Równocześnie czułem odrazę do zmuszania go, by przyjął mój sposób życia, a właśnie to musiałbym zrobić. Musiałbym zmusić go siłą albo sztucznym zestawem kar i nagród, który my nazywamy zrozumieniem.

– Muszę pozwolić mu odejść – pomyślałem. – Nie wolno mi lgnąć do niego. Muszę go uwolnić.

Moje myśli ściągnęły na mnie uczucie przerażającej melancholii. Zacząłem płakać. Oczy wypełniły mi się łzami, obraz werandy rozmazał się. Nagle poczułem wielką potrzebę, żeby wstać, znaleźć don Juana i opowiedzieć mu o moim małym. Następnie zauważyłem, że patrzę na werandę z pionowej pozycji. Obróciłem się, aby znaleźć się twarzą do domu i zobaczyłem stojącego przede mną don Juana. Wyglądało na to, że stał za mną przez cały czas.

Chociaż nie czułem swoich kroków, musiałem ruszyć w jego kierunku, ponieważ przesunąłem się. Don Juan podszedł do mnie. Uśmiechając się, ujął mnie pod pachami. Jego twarz była bardzo blisko mojej.

– Dobra robota – powiedział uspokajająco.

W tym momencie uświadomiłem sobie, że dzieje się coś niezwykłego. Poczułem, że to tylko wspomnienie wydarzenia, które miało miejsce kilka lat temu. Kiedyś, w przeszłości, widziałem twarz don Juana z bardzo bliskiej odległości. Wypaliłem fajkę z jego mieszanką i miałem wrażenie, że jego twarz tkwi zanurzona w pojemniku z wodą. Była wielka, świetlista i poruszała się. Obraz ten trwał tak krótko, że nie wystarczyło mi czasu, żeby go ocenić. Tym razem jednak don Juan trzymał mnie, a jego twarz znajdowała się nie dalej jak stopę od mojej, miałem więc czas, żeby się jej przyjrzeć. Kiedy wstałem i odwróciłem się, zobaczyłem bez wątpienia don Juana. “Don Juan, którego znam" podszedł do mnie i podtrzymał mnie. Lecz kiedy skupiłem wzrok na jego twarzy, nie widziałem don Juana w ten sposób, co zwykle. Zamiast tego zobaczyłem przed oczami duży przedmiot. Wiedziałem, że jest to twarz don Juana, ale wiedza ta nie wynikała z tego, co postrzegały moje zmysły. Była to raczej logiczna konkluzja. Wszak moja pamięć potwierdzała, że chwilę wcześniej “don Juan, którego znam" trzymał mnie pod pachy. W związku z tym dziwny, świetlisty obiekt znajdujący się przede mną musiał być twarzą don Juana. Było w niej coś znajomego, chociaż zupełnie nie przypominała tego, co nazwałbym “rzeczywistą" twarzą don Juana. To, na co patrzyłem, było okrągłym przedmiotem, świecącym własnym światłem. Każda jego część poruszała się. Widziałem zamknięty, falujący, rytmiczny przepływ. Wyglądało to tak, jak gdyby to falowanie zawierało się samo w sobie i nie wykraczało poza własne granice, a jednak cała powierzchnia obiektu przed moimi oczami w każdym punkcie emanowała ruchem. Przyszło mi do głowy, że wydziela życie. W rzeczywistości obiekt ten był tak pełen życia, że obserwowanie go całkowicie mnie pochłonęło. Jego ruchy hipnotyzowały mnie i pochłaniały coraz bardziej, aż w końcu nie mogłem określić, czym jest zjawisko znajdujące się przed moimi oczami.

Doznałem nagłego wstrząsu. Świetlisty obiekt rozmazał się, jakby coś nim wstrząsnęło, po czym stracił swój blask i znowu stał się czymś stałym i cielesnym. Znowu patrzyłem na znajomą, ciemną twarz don Juana. Uśmiechał się pogodnie. Trwało to tylko chwilkę, a potem znowu nabrała ona blasku, opalizującej świetlistości. Nie było to światło, do którego jestem przyzwyczajony ani nawet blask. Był to raczej ruch, niewiarygodnie szybkie migotanie. Świetlisty obiekt zaczął się huśtać z góry na dół, co naruszyło falującą ciągłość. Świetlistość zmniejszała się wraz z kolejnymi wstrząsami, aż w końcu znowu stalą się “solidną" twarzą don Juana, taką, jaką widzę na co dzień. W tym momencie, jak przez mgłę zauważyłem, że don Juan potrząsa mną. Mówił też coś do mnie. Nie rozumiałem, co mówi, ale kiedy tak mną trząsł, jego słowa w końcu do mnie dotarły.

– Nie gap się na mnie. Nie gap się na mnie – powtarzał. – Przestań się wpatrywać. Przestań się wpatrywać. Przesuń wzrok.

Potrząsanie ciałem zmusiło mnie do przesunięcia spojrzenia. Kiedy nie wpatrywałem się uważnie w jego twarz, nie widziałem świetlistego obiektu. Gdy przeniosłem wzrok i popatrzyłem na don Juana kątem oka, postrzegałem jego solidność, to jest trójwymiarową osobę. Prawie na niego nie patrząc, mogłem rzeczywiście zobaczyć jego całe ciało, ale kiedy skupiałem spojrzenie, twarz natychmiast zmieniała się w świetlisty obiekt.

– W ogóle na mnie nie patrz – powiedział poważnie don Juan.

Odwróciłem wzrok, popatrzyłem na ziemię.

– W nic się nie wpatruj – rozkazał don Juan i przysunął się, żeby mi pomóc iść.

Nie czułem własnych kroków i nie potrafiłem pojąć, w jaki sposób mogę chodzić, a jednak z don Juanem, trzymającym mnie pod pachami, przemieściliśmy się na tył domu. Zatrzymaliśmy się przy kanale nawadniającym.

– Teraz wpatruj się w wodę – rozkazał don Juan.

Spojrzałem na wodę, ale nie mogłem się jej przypatrywać. W jakiś sposób ruch strumienia rozpraszał mnie. Don Juan nalegał żartobliwie, żebym ćwiczył swoje moce wpatrywania się, ale nie mogłem się skoncentrować. Jeszcze raz skupiłem spojrzenie na twarzy don Juana, ale nie zobaczyłem już blasku.

Zacząłem doświadczać dziwnego swędzenia ciała, uczucia takiego, jak przy zdrętwiałych kończynach. Mięśnie nóg zaczęły mi drżeć. Don Juan zepchnął mnie do wody i pociągnął aż na dno. Trzymał mnie za prawą rękę i popychał, a kiedy już uderzyłem o dno, wyciągnął mnie na powierzchnię.

Dużo czasu zajęło mi odzyskanie nad sobą kontroli. Kiedy kilka godzin później wróciliśmy do domu, poprosiłem don Juana o wyjaśnienie mi tego, czego doświadczyłem. Wkładając suche ubranie, z podnieceniem opisywałem mu swoje przeżycia, ale on przerwał te wywody mówiąc, że nie było w nich nic ważnego.

– Wielka mi rzecz! – powiedział, przedrzeźniając mnie. – Zobaczyłeś blask, też mi coś.

Nalegałem, żeby wyjaśnił, co się wydarzyło, ale on wstał i powiedział, że musi iść. Była prawie piąta po południu.

Następnego dnia znowu podjąłem temat mojego dziwnego przeżycia.

– Czy to było widzenie, don Juanie? – zapytałem. Nie odpowiadał, a kiedy nalegałem, żeby mi odpowiedział, uśmiechał się tajemniczo.

– Powiedzmy, że coś w tym rodzaju – powiedział w końcu. – Przypatrywałeś się mojej twarzy i zobaczyłeś, jak świeci, ale to była ciągle moja twarz. Zdarza się, że dymek robi coś takiego. To nic szczególnego.

– Czym w takim razie widzenie różni się od tego, co doświadczyłem?

– Kiedy widzisz, nie ma już nic znajomego w świecie. Wszystko jest nowe i nigdy przedtem się nie wydarzyło. Świat jest niesamowity!

– Dlaczego niesamowity, don Juanie? Co czy ni go tak niesamowitym?

– Nic nie jest znajome. Wszystko, czemu się przypatrujesz, staje się niczym! Wczoraj nie widziałeś. Przypatrywałeś się mojej twarzy, a ponieważ mnie lubisz, zauważyłeś mój blask. Nie byłem monstrualny jak strażnik, ale piękny i interesujący. .Jednak nie widziałeś mnie. Nie stałem się dla ciebie niczym. Poszło ci jednak dobrze. Zrobiłeś pierwszy prawdziwy krok w kierunku widzenia. Jedyną wadą było to, że skupiałeś się na mnie, a nie jestem dla ciebie lepszy od strażnika. W obu przypadkach uległeś i nie widziałeś.

– Czy rzeczy znikają? W jaki sposób stają się niczym?

– Rzeczy nie znikają. Nie wyparowywują, jeśli o to ci chodzi. Po prostu stają się niczym, chociaż ciągle są.

– Jak to możliwe, don Juanie?

– Że też jesteś tak cholernie napalony na gadanie! – wykrzyknął don Juan z poważnym wyrazem twarzy. – Chyba źle trafiliśmy z tą twoją obietnicą. Może tak naprawdę obiecałeś, że nigdy, przenigdy nie przestaniesz gadać.

Ton don Juana był bardzo surowy. Miał zatroskany wyraz twarzy. Chciałem się roześmiać, ale nie miałem śmiałości. Uwierzyłem, że don Juan mówi poważnie, ale tak nie było. Roześmiał się. Powiedziałem mu, że jeśli nie mówię, to się bardzo denerwuję.

– Wobec tego przejdźmy się – powiedział.

Zabrał mnie do wylotu kanionu u podnóża wzgórz. Dojście tam zabrało nam jakąś godzinę.

Odpoczęliśmy chwilę, a potem don Juan poprowadził mnie przez gęste pustynne krzaki do jamy z wodą, czyli do miejsca, które – jak powiedział – jest jamą z wodą. Było tak samo suche jak cała okolica.

– Usiądź w środku jamy – polecił mi. Posłusznie usiadłem.

– Czy ty też usiądziesz? – zapytałem.

Zobaczyłem, jak przygotowuje sobie miejsce do siedzenia jakieś dwadzieścia jardów ode mnie, tuż przy skalistym zboczu góry.

Powiedział, że będzie mnie stamtąd obserwował. Siedziałem z kolanami pod brodą. Poprawił moją pozycję. Kazał mi usiąść z lewą nogą podwiniętą pod siebie, a prawą zgiętą, z kolanem do góry. Prawe ramię miało przylegać do boku, a dłoń spoczywać na ziemi, podczas gdy lewe ramię przylegało do piersi. Powiedział mi, żebym skierował się twarzą do niego i tak siedział odprężony, ale nie “bezwolny". Potem wyciągnął z woreczka jakiś białawy sznurek, który wyglądał jak wielka pętla. Założył ją sobie na szyję i naciągał lewą ręką, aż się mocno napięła. Szarpnął naprężoną strunę prawą ręką. Wydała tępy, wibrujący dźwięk.

Rozluźnił uchwyt, popatrzył na mnie i powiedział, że mam krzyczeć konkretne słowo, kiedy tylko poczuję, że coś na mnie naciera, kiedy on uderza w strunę.

Zapytałem, co ma na mnie natrzeć, ale on kazał mi się zamknąć. Dał mi znak ręką, że ma zamiar rozpocząć. Nie zaczął. Zamiast tego dał mi jeszcze jedną przestrogę. Powiedział, że jeśli pojawi się coś, co będzie mi zagrażać, mam przyjąć postawę walki, której nauczył mnie kilka lat temu. Był to taniec składający się z uderzania w ziemię palcami lewej nogi przy równoczesnym, silnym klaskaniu prawą ręką w udo. Postawa walki była częścią techniki obronnej używanej w przypadku wyjątkowego zagrożenia i niebezpieczeństwa.

Przeżyłem moment panicznego strachu. Chciałem się dowiedzieć, po co tu jestem, ale don Juan nie dał mi czasu i zaczął uderzać w strunie. Robił to kilkakrotnie z regularnymi, dwudziestosekundowymi przerwami. Zauważyłem, że uderzając w strunę, zwiększa jej napięcie. Widziałem, jak jego ramiona i szyja drżą z napięcia. Dźwięk stawał się coraz czystszy. Zdałem sobie sprawę, że don Juan przy każdym uderzeniu wydawał niesamowity krzyk. Dźwięk struny nałożony na ludzki głos tworzył dziwaczny, nieziemski odgłos.

Nie czułem, żeby coś na mnie nacierało, ale widok wysiłków don Juana i wywołany przez niego dziwny dźwięk prawie wprowadziły mnie w trans.

Don Juan rozluźnił strunę i spojrzał na mnie. Kiedy grał, siedział odwrócony do mnie plecami, z twarzą skierowaną na południowy wschód, tak jak ja. Kiedy się rozluźnił, zwrócił się twarzą do mnie.

– Nie patrz na mnie, kiedy gram – powiedział. – Ale też nie zamykaj oczu. Nic ci to nie da. Patrz na ziemię tuż przed sobą i słuchaj.

Ponownie naprężył strunę i zaczął grać. Patrzyłem na ziemię, koncentrując się na wydawanym przez niego dźwięku. Nigdy w życiu nie słyszałem czegoś takiego.

Bardzo się przestraszyłem. Dziwny odgłos wypełnił cały kanion, odbijając się echem. Właściwie dźwięk wydawany przez don Juana wracał do mnie echem, odbijany od wszystkich ścian kanionu. Don Juan też to musiał zauważyć, ponieważ zwiększył napięcie struny. Chociaż zmienił nastrojenie, echo zdawało się ustawać, aż w końcu skupiło się w jednym miejscu, na południowym wschodzie.

Don Juan stopniowo rozluźniał napięcie struny, aż w końcu usłyszałem ostatni głuchy brzdęk. Wsadził strunę do woreczka i podszedł do mnie. Pomógł mi wstać. Mięśnie ramion i nóg zesztywniały mi na kamień. Byłem zlany potem. Nie miałem pojęcia, że aż tak się pociłem. Krople potu wpadły mi do oczu, podrażniając je.

Don Juan dosłownie wyciągnął mnie z tego miejsca. Próbowałem coś powiedzieć, ale położył mi rękę na ustach.

Zamiast wyprowadzić nas z kanionu tą samą drogą, którą przyszliśmy, don Juan wybrał okrężną trasę. Wspięliśmy się na zbocze góry i doszliśmy aż do wzgórz, bardzo oddalonych od wejścia do kanionu.

Do domu szliśmy w absolutnej ciszy. Kiedy dotarliśmy na miejsce, zrobiło się już zupełnie ciemno. Znowu próbowałem coś powiedzieć, ale don Juan, tak jak poprzednio, położył mi rękę na ustach.

Nic nie jedliśmy i nie zapaliliśmy lampy naftowej. Don Juan ułożył moją matę w swoim pokoju i

wskazał na nią brodą. Zrozumiałem, że powinienem położyć się spać.

– Znalazłem dla ciebie właściwe zajęcie – powiedział do mnie don Juan, jak tylko się obudziłem następnego ranka. – Zaczniesz dzisiaj. Jak wiesz, nie ma zbyt wiele czasu.

Po długim, kłopotliwym milczeniu poczułem się zmuszony zapytać:

– Co kazałeś mi robić wczoraj w kanionie? Don Juan zachichotał jak dziecko.

– Po prostu wykorzystywałem ducha tamtej jamy z wodą – powiedział. – Ten rodzaj duchów należy ujarzmiać, kiedy jama jest sucha, a duch przebywa w górach. Powiedzmy, że przerwałem mu wczoraj drzemkę. Ale on nie miał mi tego za złe i wskazał twój szczęśliwy kierunek. Jego głos przyszedł z tego kierunku. – Don Juan wskazał na południowy wschód.

– Co to była za struna, na której grałeś, don Juanie?

– Pułapka na duchy.

– Czy mógłbym ją obejrzeć?

– Nie. Ale zrobię ci taką. Albo lepiej, kiedyś, kiedy nauczysz się widzieć, sam sobie zrobisz.

– Z czego ona jest, don Juanie?

– Moja jest dzikiem. Kiedy będziesz miał taką, zobaczysz, że jest żywa i że może cię nauczyć różnych dźwięków, które sama lubi. Praktykując, poznasz swoją pułapkę na duchy tak dobrze, że razem wydacie dźwięki pełnej mocy.

– Dlaczego zabrałeś mnie na poszukiwania ducha jamy wodnej, don Juanie?

– Wkrótce się tego dowiesz.

Około południa siedzieliśmy pod ramadą. Don Juan nabijał dla mnie fajkę.

Kiedy moje ciało już zupełnie zdrętwiało, kazał mi wstać, co zrobiłem bez trudu. Pomógł mi się przejść. Zaskoczyła mnie moja samokontrola. Udało mi się samemu obejść ramadę dwa razy. Don Juan stał przy mnie, ale ani mnie nie prowadził, ani nie podtrzymywał. Potem wziął mnie pod ramię i zaprowadził do kanału nawadniającego. Posadził mnie na brzegu i stanowczo nakazał przypatrywać się wodzie i o niczym nie myśleć.

Usiłowałem skupić spojrzenie na wodzie, ale jej ruch rozpraszał mnie. Mój umysł i oczy zaczęły błądzić po szczegółach najbliższego otoczenia. Don Juan potrząsnął moją głową i ponownie kazał mi wpatrywać się w wodę i o niczym nie myśleć. Powiedział, że jest to trudne, ale trzeba próbować. Próbowałem trzy razy. Za każdym razem coś mnie rozpraszało, a don Juan bardzo cierpliwie potrząsał moją głową. W końcu zauważyłem, że mój umysł i oczy skupiły się na wodzie. Pomimo jej ruchu, pogrążyłem się w obserwowaniu jej płynności. Woda stała się nieco inna. Zdawała się być cięższa i jednolicie szarozielona. Widziałem, jak poruszając się, tworzy małe fale. Te fale stawały się bardzo wyraźne. I nagle poczułem, że nie patrzę już na masę poruszającej się wody, ale na jej obraz. To, co miałem przed oczami, stanowiło zamarznięty kawałek płynącej wody. Zmarszczki znieruchomiały. Mogłem przypatrzeć się każdej z osobna. Potem nabrały zielonej fosforescencji i zaczęła się z nich wydobywać jakaś zielona mgiełka. Mgiełka rozchodziła się falami, jej zieloność stawała się coraz bardziej świetlista, aż w końcu zmieniła się w pokrywający wszystko, oślepiający blask.

Nie wiem, jak długo siedziałem nad kanałem. Don Juan nie przerywał mi. Pogrążyłem się w zielonym blasku mgły. Czułem ją dookoła. Chłodziła mnie. Nie miałem żadnych myśli ani uczuć. Pozostała mi jedynie spokojna świadomość, świadomość lśniącej, uspokajającej zieleni.

Następną rzeczą, jaką sobie uświadomiłem, było to, że jest mi okropnie zimno i mokro. Stopniowo zdałem sobie sprawę, że jestem zanurzony w kanale nawadniającym. W pewnej chwili woda wniknęła mi do nosa, połknąłem ją i zakaszlałem. W nosie czułem denerwujące swędzenie i kilka razy kichnąłem. Wstałem i kichnąłem tak potężnie i głośno, że równocześnie pierdnąłem. Don Juan zaklaskał w ręce i roześmiał się.

– Jeśli ciało pierdzi, to znaczy, że żyje – powiedział.

Dał mi znak, żebym szedł za nim. Poszliśmy do domu.

Chciałem zachować milczenie. W pewien sposób spodziewałem się, że będę rozkojarzony i przygnębiony. Jednak w rzeczywistości nie czułem się ani zmęczony, ani smutny. Miałem dużo energii i bardzo szybko przebrałem się. Zacząłem gwizdać. Don Juan popatrzył na mnie z zaciekawieniem. Z udawanym zdziwieniem otworzył usta i oczy. Było to bardzo zabawne, śmiałem się nieco dłużej niż to

było konieczne.

– Rozklejasz się – powiedział don Juan, przy czym sam się zaśmiewał.

Wyjaśniłem mu, że nie chcę, aby wpadanie w przygnębienie po wypaleniu mieszanki stało się moim nawykiem. Powiedziałem, że po tym, jak mnie wyciągnął z kanału nawadniającego po próbach spotkania strażnika, doszedłem do przekonania, że mogę widzieć, jeśli patrzę na otaczające mnie rzeczy wystarczająco długo.

– Widzenie nie polega na patrzeniu i zachowywaniu milczenia – powiedział. – Widzenie to technika, której się trzeba nauczyć. Albo raczej jest to technika, którą niektórzy z nas już znają.

Spojrzał na mnie, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że należę do znających tę technikę.

– Czy masz dość siły, żeby iść? – zapytał.

Powiedziałem, zgodnie z prawdą, że czuję się dobrze. Nie byłem głodny, choć przez cały dzień nic nie jadłem. Don Juan wsadził trochę chleba i suszonego mięsa do plecaka i wręczył go mnie, dając głową znak, żebym szedł za nim.

– Dokąd idziemy? – zapytałem.

Lekkim skinieniem głowy wskazał na pobliskie góry. Szliśmy w kierunku tego samego kanionu, w którym znajdowała się wodna jama, jednak nie weszliśmy do niego. Don Juan zaczął wspinać się na skały po prawej stronie, tuż przy wejściu do kanionu. Poszliśmy do góry. Słońce znajdowało się prawie na horyzoncie. Był łagodny dzień, mnie jednak było gorąco, czułem się przyduszony. Z trudem oddychałem.

Don Juan sporo mnie wyprzedził i musiał się zatrzymać, abym mógł go dogonić. Powiedział, że moja kondycja fizyczna jest okropna i przedłużenie wycieczki nie byłoby zbyt mądre. Pozwolił mi odpocząć przez godzinę. Wybrał gładki, prawie okrągły głaz i polecił mi się położyć na nim. Ułożył moje ciało na skale. Kazał mi rozciągnąć ręce i nogi i pozwolić im swobodnie zwisać. Plecy miałem lekko wygięte, szyję rozluźnioną, tak że głowa również opadała swobodnie. Kazał mi leżeć w takiej pozycji przez jakieś piętnaście minut. Potem powiedział, żebym odkrył brzuch. Starannie wybrał jakieś gałęzie i liście, a potem ułożył je na moim gołym brzuchu. Natychmiast w całym ciele poczułem ciepło. Następnie don Juan chwycił mnie za stopy i obrócił tak, że głowę miałem skierowaną na południowy wschód.

– Teraz zawołajmy ducha wodnej jamy – powiedział.

Chciałem odwrócić głowę i spojrzeć na niego, ale energicznie chwycił mnie za włosy i powiedział, że znajduję się w nieosłoniętej pozycji, w stanie osłabienia fizycznego, muszę więc siedzieć cicho i nie ruszać się. Poukładał mi na brzuchu te wszystkie gałęzie, żeby mnie ochronić. Stwierdził, że zostanie ze mną na wypadek, gdybym nie potrafił zadbać o siebie.

Stanął tuż za moją głową. Wywracając oczy, mogłem go zobaczyć. Wyciągnął sznurek, napiął go, a wtedy zdałem sobie sprawę, że patrzę na niego, wywracając oczy do góry. Stuknął mnie lekko w głowę kostkami palców i kazał patrzeć w niebo, nie zamykać oczu i koncentrować się na dźwięku. Dodał, jakby po namyśle, że jeśli poczuję, że coś na mnie naciera, powinienem bez wahania wykrzyczeć słowo, którego mnie nauczył.

Don Juan i jego pułapka na duchy rozpoczęli słabym brzdęknięciem. Powoli don Juan zwiększał napięcie struny. Najpierw usłyszałem jakby odgłos, a potem zdecydowane echo dochodzące niezmiennie z południowego wschodu. Napięcie wzrastało. Don Juan i jego pułapka na duchy byli doskonale dobraną parą. Struna wydawała niski ton, a don Juan wzmacniał go, zwiększając jego intensywność, aż stał się przeszywającym krzykiem, a w końcu wyciem. Kulminacja nastąpiła wraz ze strasznym skrzekiem, niepojętym z punktu widzenia mojego doświadczenia.

Dźwięk odbijał się po górach i wracał do nas echem. Wydawało mi się, że idzie wprost na mnie. Poczułem, że ma to coś wspólnego z temperaturą mojego ciała. Zanim don Juan zaczął grać, było mi ciepło i wygodnie, ale kiedy dźwięki osiągały kulminację, robiło mi się zimno, nieopanowanie dzwoniłem zębami i naprawdę czułem, że coś na mnie naciera. W pewnej chwili zauważyłem, że niebo pociemniało. Dotąd nie zauważałem nieba, chociaż na nie patrzyłem. Na chwilę uległem panice i wykrzyczałem słowo, którego nauczył mnie don Juan.

Don Juan natychmiast zaczął zmniejszać natężenie swoich niesamowitych krzyków, ale nie przyniosło mi to żadnej ulgi.

– Zakryj uszy – wymamrotał stanowczo don Juan.

Zakryłem uszy rękoma. Po kilku minutach don Juan zupełnie przestał grać i podszedł do mnie. Zdjął z mojego brzucha gałęzie i liście, pomógł mi wstać i ostrożnie ułożył je na skale, na której leżałem. Zrobił z nich ognisko, a kiedy płonęły, natarł mój brzuch innymi liśćmi, wyjętymi ze swojego woreczka.

Kiedy chciałem mu powiedzieć, że okropnie boli mnie głowa, położył mi rękę na ustach.

Siedzieliśmy tak, aż wypaliły się wszystkie liście. Zrobiło się już całkiem ciemno. Kiedy schodziliśmy z gór, rozbolał mnie żołądek.

Właśnie szliśmy wzdłuż kanału nawadniającego, kiedy don Juan powiedział, że mam już dość i że nie powinienem tu zostawać. Poprosiłem go, żeby mi wyjaśnił, kim jest duch wodnej jamy, ale on uciszył mnie gestem. Powiedział, że porozmawiamy o tym innym razem, po czym, celowo zmieniając temat, udzielił mi długich wyjaśnień na temat widzenia. Żałowałem, że nie mogę pisać po ciemku. Bardzo mu się to spodobało i stwierdził, że w większości przypadków nie zwracam uwagi na to, co on ma do powiedzenia, ponieważ zależy mi tylko na tym, żeby wszystko zapisać.

Mówił o widzeniu jako o procesie niezależnym od sprzymierzeńców i technik magicznych. Czarownik jest osobą, która może wydawać polecenia sprzymierzeńcowi i w ten sposób używać jego mocy dla swoich korzyści, ale fakt rozkazywania sprzymierzeńcowi nie oznacza, że czarownik widzi. Przypomniałem mu, że kiedyś stwierdził, iż widzenie nie jest możliwe bez sprzymierzeńca. Don Juan odpowiedział bardzo spokojnie, że doszedł do wniosku, że jednak można widzieć, nie mając sprzymierzeńca. Nie istnieje powód, dla którego byłoby to niemożliwe, skoro widzenie nie ma nic wspólnego z manipulacyjnymi technikami magii, które służą jedynie do oddziaływania na innych ludzi. Z drugiej zaś strony, techniki widzenia nie oddziałują na ludzi.

Zacząłem myśleć niezwykle jasno. Idąc z don Juanem, nie czułem ani zmęczenia, ani senności, nie bolał mnie już żołądek. Byłem bardzo głodny, a kiedy dotarliśmy do domu, rzuciłem się na jedzenie.

Potem poprosiłem don Juana, żeby powiedział coś więcej na temat technik widzenia. Uśmiechnął się do mnie szeroko i stwierdził, że znowu jestem sobą.

– Jak to jest – powiedziałem – że techniki widzenia nie mają żadnego wpływu na innych ludzi?

– Już ci mówiłem – rzekł. – Widzenie to nie magia. Jednak łatwo pomylić te dwie rzeczy ze sobą, ponieważ człowiek, który widzi, w jednej chwili potrafi nauczyć się manipulowania sprzymierzeńcem i staje się czarownikiem. Z drugiej jednak strony, można nauczyć się pewnych technik służących do rozkazywania sprzymierzeńcowi, zostać w ten sposób czarownikiem, ale nigdy nie nauczyć się widzieć.

– Poza tym, widzenie stanowi przeciwieństwo magii. Widzenie sprawia, że uświadamiasz sobie, iż wszystko jest nieważne.

– Że co jest nieważne, don Juanie?

– Wszystko.

Nic więcej nie powiedzieliśmy. Czułem się zrelaksowany i nie chciałem dłużej rozmawiać. Leżałem na plecach na macie. Z kurtki zrobiłem sobie poduszkę. Było mi wygodnie, czułem się szczęśliwy i przez kilka godzin robiłem notatki przy świetle lampy naftowej.

Nagle znowu odezwał się don Juan.

– Dzisiaj poszło ci bardzo dobrze – powiedział. – Poszło ci bardzo dobrze z wodą. Duch wodnej jamy polubił cię i przez cały czas ci pomagał.

Zdałem sobie sprawę, że zapomniałem opowiedzieć mu o swoich przeżyciach. Zacząłem opisywać, w jaki sposób postrzegałem wodę. Nie pozwolił mi mówić dalej. Powiedział, że wie, iż widziałem zieloną mgiełkę.

Musiałem spytać:

– Jak się o tym dowiedziałeś, don Juanie?

– Widziałem cię.

– Co robiłem?

– Nic, siedziałeś tam i wpatrywałeś się w wodę i w końcu zobaczyłeś zieloną mgiełkę.

– Czy to było widzenie?

– Nie. Ale byłeś blisko. Zbliżasz się.

To mnie podnieciło. Chciałem dowiedzieć się czegoś więcej. Roześmiał się i żartował z mojego zapału. Powiedział, że każdy może zobaczyć zieloną mgiełkę, ponieważ ona jest jak strażnik. To coś, czego nie da się uniknąć, więc zobaczenie jej nie było wielkim osiągnięciem.

– Mówiąc, że dobrze ci poszło, miałem na myśli to, że nie zdenerwowałeś się – powiedział – jak to miało miejsce ze strażnikiem. Gdybyś stał się zbyt niespokojny, musiałbym potrząsać twoją głową, żeby cię sprowadzić na ziemię. Za każdym razem, kiedy człowiek wchodzi w zieloną mgłę, jego dobroczyńca musi stać przy nim, na wypadek gdyby mgła zaczęła go chwytać. Można uciec samemu z zasięgu strażnika, ale nie umknie się o własnych siłach z uścisków zielonej mgły. Przynajmniej nie na początku. Być może później nauczysz się to robić. Teraz próbujemy dowiedzieć się czego innego.

– Czego próbujemy się dowiedzieć?

– Czy potrafisz widzieć wodę.

– Skąd mam wiedzieć, że ją widziałem albo że ją widzę?

– Będziesz wiedzieć. Tracisz orientację tylko wtedy, kiedy mówisz.

12

Podczas przeglądania notatek przyszły mi do głowy różne pytania.

– Czy zielona mgła, tak samo jak strażnik, jest czymś, co trzeba pokonać, żeby widzieć? – zapytałem don Juana, gdy tylko usiedliśmy pod ramadą jego domu. Był 8 sierpnia 1969 roku.

– Tak. Należy pokonać wszystko – powiedział.

– W jaki sposób mogę pokonać zieloną mgłę?

– Tak samo, jak powinieneś był pokonać strażnika: pozwolić, aby stała się niczym.

– Co powinienem zrobić?

– Nic. Dla ciebie pokonanie zielonej mgły jest czymś znacznie łatwiejszym niż pokonanie strażnika. Duch wodnej jamy polubił cię, a rozgrywka ze strażnikiem zdecydowanie nie należała do twoich mocnych stron. Tak naprawdę, nigdy nie widziałeś strażnika.

– Może dlatego, że mi się nie podobał. Co by było, gdybym spotkał takiego strażnika, który by mi przypadł do gustu? Z pewnością są ludzie, którzy uznaliby tego strażnika, którego ja spotkałem, za pięknego. Czy pokonaliby go, dlatego że im się spodobał?

– Nie! Ciągle nie rozumiesz. Nie ma znaczenia, czy ktoś lubi, czy nie lubi strażnika. Tak długo, jak długo żywisz do niego jakieś uczucia, pozostanie on tym samym, monstrualnym, pięknym, czy jakim tam jeszcze strażnikiem. Natomiast jeśli nic do niego nie czujesz, strażnik stanie się niczym, chociaż dalej będzie tkwił przed tobą.

Myśl, że coś tak gigantycznego jak strażnik może stać się niczym i równocześnie wciąż znajdować się przed moimi oczyma, zupełnie nie miała sensu. Poczułem, że jest to jeden z pozbawionych logiki elementów wiedzy don Juana. Poczułem również, że gdyby zechciał, mógłby mi to wyjaśnić. Zapytałem, co chciał przez to powiedzieć.

– Pomyślałeś, że strażnik jest czymś, co znasz, to chciałem powiedzieć.

– Wcale nie uważałem, że on jest czymś, co znam.

– Pomyślałeś, że jest brzydki, że jest niewiarygodnej wielkości, że jest potworem. Wiesz, co to wszystko znaczy. Wobec tego strażnik był zawsze czymś, co znasz, a tak długo, jak długo jest ci znany, nie widzisz go. Mówiłem ci już, strażnik musi stać się niczym, a jednak musi stać przed tobą. Powinien tam pozostać i równocześnie być niczym.

– Lecz jak to możliwe, don Juanie? To absurd, co mówisz.

– Owszem, ale to jest widzenie. Naprawdę nie da się o tym mówić. Widzenia uczy się poprzez widzenie.

– Najwyraźniej nie miałeś żadnych kłopotów z wodą. Tamtego dnia prawie ją widziałeś. Woda jest twoim oparciem. Teraz musisz tylko doprowadzić do perfekcji technikę widzenia. Duch wodnej jamy to twój potężny pomocnik.

– Jest to kolejne z dręczących mnie pytań, don Juanie.

– Możesz sobie mieć tyle dręczących cię pytań, ile tylko chcesz, ale w tej okolicy nie wolno ci rozmawiać o duchu wodnej jamy. Właściwie, lepiej o nim w ogóle nie mówić. Nic nie mówić. Inaczej duch cię złapie, a jeśli to się stanie, nikt z żywych nie będzie w stanie ci pomóc. Zamknij więc buzię na kłódkę i myśl o czym innym.

Około godziny dziesiątej następnego ranka don Juan wyciągnął fajkę z futerału, nabił ją mieszanką, po czym wręczył mi i kazał iść nad brzeg strumienia. Trzymając fajkę w obu dłoniach, udało mi się rozpiąć koszulę, wsadzić fajkę pod spód i mocno przycisnąć do siebie. Don Juan niósł dwie słomiane maty i małą tackę z węgielkami – Dzień był ciepły. Usiedliśmy na matach, w cieniu gaju drzewek dziegciowych, tuż nad wodą. Don Juan wsadził węgielki do fajki i kazał mi palić. Nie bałem się, nie byłem też podekscytowany. Przypomniałem sobie, jak podczas drugiej próby widzenia strażnika, po tym jak don Juan objaśnił jego naturę, doświadczyłem rzadkiego uczucia zaciekawienia i strachu. Tym razem jednak, choć don Juan uświadomił mi, że mogę naprawdę widzieć wodę, nie byłem zaangażowany emocjonalnie, tylko ciekawy.

Don Juan kazał mi wypalić dwa razy tyle, co poprzednio. W pewnym momencie przechylił się w moim kierunku i wyszeptał mi do prawego ucha, że nauczy mnie, jak wykorzystuje się wodę do przemieszczania się. Czułem jego twarz bardzo blisko, jakby mówił tuż przy moim uchu. Powiedział, żebym nie wpatrywał się w wodę, ale skupił spojrzenie na powierzchni i utrzymywał je nieruchomo tak długo, aż woda zmieni się w zieloną mgłę. Powtarzał w kółko, że mam skupiać całą uwagę na mgle tak długo, aż nie będę widzieć niczego poza nią.

Usłyszałem, jak mówi:

– Patrz na wodę przed tobą, ale nie pozwól, żeby poniósł cię jej dźwięk. Jeśli dasz się ponieść dźwiękowi wody, mogę nie być w stanie cię znaleźć i sprowadzić z powrotem. A teraz wejdź w zieloną mgłę i słuchaj mojego głosu.

Słyszałem go i rozumiałem z niewiarygodną jasnością. Zacząłem w skupieniu patrzeć na wodę i doświadczyłem bardzo dziwnego uczucia fizycznej przyjemności, swędzenia, nieokreślonego szczęścia. Wpatrywałem się dość długo, ale nie zauważyłem zielonej mgły. Poczułem, że zacząłem widzieć nieostro, na siłę więc zmuszałem się do Patrzenia w wodę. W końcu nie byłem już w stanie kontrolować oczu i musiałem je zamknąć, mrugnąć albo może po prostu straciłem zdolność koncentracji. Tak czy inaczej, wtedy właśnie woda znieruchomiała. Wyglądała jak namalowany obraz. Drobne fale zastygły. Potem zasyczała, jakby były w niej cząsteczki dwutlenku węgla, które w jednej chwili wybuchły. Przez chwilę widziałem to musowanie jako powoli rozpraszającą się zieloną materię. Nastąpiła cicha eksplozja. Woda rozprysnęła się w lśniącą zieloną mgiełkę, która rozprzestrzeniała się tak długo, aż w końcu mnie spowiła.

Przebywałem zawieszony w niej, do chwili gdy ostry, przenikliwy krzyk wstrząsnął wszystkim. Mgła z powrotem przybrała normalne cechy powierzchni wody. Krzyk był głosem don Juana wołającego “Hejjj!" tuż przy moim uchu.

Powiedział mi, żebym zwracał uwagę na jego głos, wrócił do mgły i czekał, aż mnie zawoła. Odpowiedziałem po angielsku:

– O.K. – I usłyszałem jego chichotanie.

– Proszę cię, nic nie mów – powiedział. – Nie chcę więcej słyszeć żadnych O.K.

Słyszałem go bardzo wyraźnie. Jego głos był melodyjny, a przede wszystkim przyjazny. Wiedziałem to, nie myśląc. To przekonanie pojawiło się i odeszło.

Głos don Juana kazał mi skupić całą uwagę na mgle, ale nie ulegać jej. Kilkakrotnie powtórzył, że wojownik nie poddaje się niczemu, nawet swojej śmierci. Ponownie zanurzyłem się we mgle. Zauważyłem, że nie jest to wcale mgła albo przynajmniej nie to, co ja uważam za mgłę. Podobne do mgły zjawisko składało się z maleńkich, okrągłych bąbelków wchodzących w moje pole widzenia i wychodzących z niego płynnym ruchem. Przez chwilę obserwowałem, jak się poruszały, a potem moją uwagę przykuł głośny, odległy hałas. Straciłem koncentrację i przestałem widzieć maleńkie bąbelki. Byłem świadomy jedynie zielonego, bezkształtnego, mglistego blasku. Ponownie dotarł do mnie głośny hałas, a wstrząs, jaki spowodował, natychmiast rozproszył mgłę i naraz stwierdziłem, że patrzę znowu na wodę w kanale nawadniającym. Potem usłyszałem to znowu. Był to głos don Juana. Mówił mi, żebym go słuchał, ponieważ jego głos jest moim jedynym przewodnikiem. Kazał mi patrzeć na znajdujący się dokładnie przede mną brzeg strumienia i porastającą go roślinność. Widziałem jakieś trzciny i kawałek gołej ziemi. Była to mała zatoczka, miejsce, gdzie don Juan przychodził czerpać wiadrem wodę. Po chwili don Juan polecił mi powrócić do mgły. Poprosił, żebym słuchał jego głosu, ponieważ będzie mnie prowadził, żebym nauczył się przemieszczać. Powiedział, że jak już zobaczę bąbelki, powinienem wsiąść na jeden z nich i pozwolić się ponieść.

Posłuchałem go i natychmiast otoczyła mnie zielona mgła. Potem zobaczyłem maleńkie bąbelki. Znowu usłyszałem głos don Juana, który brzmiał jak bardzo dziwny i przerażający grzmot. Natychmiast, gdy go usłyszałem, zacząłem tracić zdolność postrzegania bąbelków.

Usłyszałem, jak don Juan mówi:

– Wsiądź na jeden z bąbelków.

Usilnie starałem się zachować zdolność percepcji zielonych bąbelków i równocześnie słyszeć głos don Juana. Nie wiem, jak długo to trwało. Nagle uświadomiłem sobie, że mogę słuchać go i patrzeć na bąbelki, które ciągle unosiły się, powoli wypływając z mojego pola widzenia. Głos don Juana ciągle ponaglał mnie, żebym poszedł za jednym z bąbelków i dosiadł go.

Chciałem wiedzieć, jak mam to zrobić i automatycznie wymówiłem słowo “jak". Poczułem, że słowo

to znajdowało się we mnie bardzo głęboko, a wychodząc wyprowadziło mnie na powierzchnię. Było jak boja wypływająca z mojej głębi. Usłyszałem jak mówię "jak" i zabrzmiało to jak szczeknięcie psa. Don Juan również odszczeknął mi jak pies, po czym wydał kilka dźwięków kojota i roześmiał się. Pomyślałem, że jest to bardzo zabawne i też się roześmiałem.

Don Juan powiedział bardzo spokojnie, żebym przyczepił się do bąbelka, podążając za nim.

– Wracaj – powiedział. – Wejdź we mgłę! We mgłę!

Wróciłem i zauważyłem, że ruch bąbelków stał się wolniejszy i że zrobiły się one wielkie jak piłki do koszykówki. Istotnie, stały się tak wielkie i powolne, że każdemu mogłem przyjrzeć się bardzo dokładnie. Nie wyglądały jak prawdziwe bańki mydlane ani jak balony, ani jak kuliste pojemniki. Nie były pojemnikami, raczej same się w czymś mieściły. Nawet nie były okrągłe, chociaż mógłbym przysiąc, że kiedy zobaczyłem je pierwszy raz, były okrągłe i przypominały mi bańki mydlane. Patrzyłem na nie jakby przez okno, tak jakby framuga okna nie pozwalała mi za nimi podążać, a tylko patrzeć, jak wchodzą i wychodzą z mojego pola widzenia.

Jednak kiedy przestałem je postrzegać jako bańki, mogłem za nimi podążyć, a podążając za jedną z nich, przyczepiłem się do niej i popłynąłem razem z nią. Naprawdę czułem, że się poruszam. Właściwie byłem tą bańką albo tym czymś, co przypominało bańkę.

Usłyszałem przenikliwy głos don Juana. Wstrząsnął mną i straciłem poczucie bycia "tym". Dźwięk był wyjątkowo przerażający, oddalony i metaliczny, jakby don Juan mówił przez głośnik. Coś z tego dotarło do mnie.

– Popatrz na brzegi – powiedział. Zobaczyłem masę płynącej wody. Słyszałem wydawany przez nią dźwięk.

– Popatrz na brzegi – rozkazał mi ponownie don Juan.

Zobaczyłem betonową ścianę.

Dźwięk wydawany przez wodę stał się bardzo głośny, ogarnął mnie. Potem nagle ustał, jakby został ucięty. Poczułem czerń snu.

Uświadomiłem sobie, że jestem zanurzony w kanale nawadniającym. Don Juan polewał mi twarz wodą i nucił. Potem zanurzył mnie w kanale. Wyciągnął mi głowę na powierzchnię i przytrzymując od tyłu za kołnierzyk koszuli, pozwolił mi odpocząć na brzegu. W rękach i nogach poczułem coś niezwykle przyjemnego. Rozprostowałem je. Moje oczy były zmęczone i swędziały mnie. Podniosłem prawą rękę, żeby je przetrzeć, ale było to trudne. Ręka niezmiernie mi ciążyła. Ledwie mogłem ją wyjąć z wody, a kiedy to zrobiłem, okazało się, że pokrywa ją niewiarygodna ilość zielonej mgły. Trzymałem rękę przed oczami. Widziałem jej zarys jako ciemniejszą masę zieleni otoczoną przez bardziej intensywny, zielonkawy blask. Gwałtownie zerwałem się na nogi, stanąłem na środku strumienia i spojrzałem na swoje ciało. Pierś, ramiona i nogi były zielone, ciemnozielone. Odcień był tak intensywny, że sprawiał wrażenie substancji kleistej. Wyglądałem jak figurka, którą don Juan zrobił dla mnie z korzenia datury kilka lat temu.

Don Juan kazał mi wyjść z wody. W jego głosie wyczułem ponaglenie.

– Jestem zielony – powiedziałem.

– Pozbądź się tego – rzekł stanowczo. – Nie ma czasu. Wychodź stamtąd. Woda cię zaraz pochwyci. Wychodź z niej! Wychodź! Wychodź!

Spanikowałem i wyskoczyłem.

– Tym razem musisz mi dokładnie opowiedzieć, co się wydarzyło – powiedział rzeczowo don Juan, kiedy tylko usiedliśmy naprzeciwko siebie w jego pokoju.

Nie interesowała go kolejność moich przeżyć. Chciał Jedynie wiedzieć, co zauważyłem, kiedy mi kazał patrzeć na brzeg. Interesowały go szczegóły. Opisałem mu ścianę, którą widziałem.

– Czy ta ściana była po twojej lewej czy prawej stronie? – zapytał.

Powiedziałem mu, że była dokładnie przede mną, lecz on upierał się, że musiała być albo po lewej, albo po prawej stronie.

– Kiedy zobaczyłeś ją po raz pierwszy, gdzie była? Zamknij oczy i nie otwieraj ich, dopóki sobie nie przypomnisz.

Zamknąłem oczy, a on wstał i odwrócił mnie twarzą na wschód, w tym samym kierunku, w którym

byłem zwrócony, siedząc przed strumieniem. Zapytał, w jakim kierunku przemieściłem się.

Powiedziałem, że do przodu. Don Juan uparcie twierdził, że powinienem przypomnieć sobie i skupić się na tym momencie, kiedy jeszcze widziałem banieczki.

– W którą stronę płynęły? – zapytał.

Don Juan zmuszał mnie, żebym sobie przypomniał i w końcu musiałem przyznać, że bańki zdawały się poruszać w prawą stronę. Nie byłem jednak tego tak zupełnie pewny, jakby tego chciał don Juan. Pod wpływem jego dociekań zdałem sobie sprawę, że nie jestem w stanie uporządkować swojej percepcji. Kiedy zobaczyłem bańki po raz pierwszy, poruszały się w prawo, ale gdy powiększyły się, popłynęły we wszystkie strony. Niektóre z nich płynęły prosto na mnie, inne rozchodziły się we wszystkich możliwych kierunkach. Niektóre poruszały się nad i pode mną. Naprawdę były wszędzie. Przypomniałem sobie, że słyszałem ich szum, musiałem więc postrzegać je nie tylko oczami, ale również uszami.

Kiedy bańki stały się tak duże, że mogłem wsiąść na jedną z nich, zobaczyłem, że ocierają się o siebie jak balony.

Moje podekscytowanie rosło, kiedy przypominałem sobie szczegóły tego, co widziałem. Don Juana to jednak zupełnie nie interesowało. Powiedziałem mu, że widziałem syczące banieczki. Nie było to wrażenie czysto słuchowe albo czysto wizualne, ale coś trudnego do rozróżnienia, a równocześnie kryształowo czystego. Banieczki ocierały się o siebie. Ani nie widziałem, ani nie słyszałem ich ruchów, ale czułem je. Częściowo był to dźwięk, a częściowo ruch.

Przypomnienie tego przeżycia głęboko mnie poruszyło. W przypływie niesamowitego podniecenia chwyciłem don Juana za ramię i potrząsnąłem nim. Zdałem sobie sprawę, że bańki nie miały żadnych zewnętrznych ograniczeń, a jednak w czymś się zawierały, a ich brzegi zmieniały kształty i były nierówne, postrzępione. Bańki mieszały się i rozdzielały z wielką prędkością, ale ich ruchy nie były oszałamiająco szybkie. Były raczej równocześnie szybkie i powolne.

Jeszcze jedną rzecz przypomniałem sobie: cechę, jaką miał kolor baniek. Wyglądały na przezroczyste i bardzo jasne, zdawały się prawie zielone, chociaż nie był to kolor w kategoriach mojego zwykłego postrzegania.

– Utknąłeś – powiedział don Juan. – To wszystko nie jest ważne. Zajmujesz się niewłaściwymi rzeczami. Ważny jest kierunek.

Pamiętałem jedynie, że poruszałem się, nie mając żadnego punktu odniesienia, ale don Juan stwierdził, że skoro na początku bańki płynęły zgodnie w prawo, czyli na południe, to południe jest tym kierunkiem, który trzeba wziąć pod uwagę. Jeszcze raz kategorycznie kazał mi przypomnieć sobie, czy ściana znajdowała się po mojej prawej czy lewej stronie. Usiłowałem sobie przypomnieć.

Kiedy don Juan zawołał mnie i, że tak powiem, wyszedłem na powierzchnię, miałem ścianę chyba po lewej stronie. Była bardzo blisko, mogłem odróżnić wyżłobienia i nierówności drewnianej formy, do której wlano beton. Użyto bardzo wąskich desek, które utworzyły bardzo zwarty wzór. Ściana była bardzo wysoka. Widziałem jeden jej koniec, zauważyłem, że nie miała narożnika, ale była zakrzywiona.

Don Juan przez chwilę nic nie mówił, jakby zastanawiał się, jak można odszyfrować znaczenie mojego doświadczenia. W końcu powiedział, że nie osiągnąłem zbyt wiele i że zrobiłem znacznie mniej, niż się po mnie spodziewał.

– Co miałem zrobić?

Nie odpowiedział, ale wydął wargi.

– Poszło ci bardzo dobrze – powiedział. – Dzisiaj nauczyłeś się, że brujo używa wody do przemieszczania się.

– Lecz powiedz, czy widziałem?

Popatrzył na mnie z zaciekawieniem. Przewrócił oczami i powiedział, że będę musiał wchodzić w zieloną mgłę bardzo wiele razy, zanim sam nie odpowiem na to pytanie. Subtelnie zmienił temat rozmowy mówiąc, że w zasadzie nie nauczyłem się poruszać przy pomocy wody, ale dowiedziałem się, że brujo może to robić. Powiedział, że umyślnie kazał mi patrzeć na brzeg strumienia, żebym mógł określić swoje położenie względem niego.

– Poruszałeś się bardzo szybko – powiedział – tak szybko, jak człowiek, który zna tę technikę.

Trudno mi było za tobą nadążyć.

Błagałem go, żeby wyjaśnił to, co się działo ze mną od samego początku. Roześmiał się i powoli pokręcił głową, jakby z niedowierzaniem.

– Zawsze musisz wiedzieć wszystko od początku – rzekł. – Nie ma żadnego początku, początek jest tylko w twojej głowie.

– Myślę, że początek był wtedy, kiedy usiadłem na brzegu i zapaliłem – powiedziałem.

– Zanim jednak zapaliłeś, ja usiłowałem wymyślić, co z tobą zrobić – powiedział. – Musiałbym ci powiedzieć, co wymyśliłem, ale nie mogę tego zrobić, ponieważ doprowadziłoby to mnie do czegoś jeszcze innego. Więc może wszystko byłoby dla ciebie bardziej przejrzyste, gdybyś nie myślał o początkach.

– No to powiedz mi, co się wydarzyło po tym, jak usiadłem na brzegu i zapaliłem.

– Chyba już mi to powiedziałeś – odparł śmiejąc się.

– Czy cokolwiek z tego, co zrobiłem, miało jakąś wartość, don Juanie? Wzruszył ramionami.

– Bardzo dobrze wypełniłeś moje polecenia i nie miałeś żadnych kłopotów z wejściem i wyjściem z mgły. Potem posłuchałeś mojego głosu i wychodziłeś na powierzchnię za każdym razem, gdy cię wołałem. Na tym polegało ćwiczenie. Reszta była bardzo prosta. Po prostu pozwoliłeś, żeby mgła cię uniosła. Zachowywałeś się, jakbyś wiedział, co należy robić. Kiedy byłeś już bardzo daleko, zawołałem cię i kazałem ci spojrzeć na brzeg, żebyś wiedział, jak daleko pojechałeś. Potem ściągnąłem cię z powrotem.

– Chcesz powiedzieć, don Juanie, że naprawdę podróżowałem w wodzie?

– Owszem i to bardzo daleko.

– Jak daleko?

– Nie uwierzyłbyś.

Usiłowałem przekonać go, żeby mi powiedział, ale zakończył temat mówiąc, że musi na chwilę odejść. Nalegałem, żeby pisnął chociaż jedno słówko.

– Nie lubię, jak się mnie trzyma w niewiedzy – powiedziałem.

– Sam się tam trzymasz – rzekł. – Pomyśl o ścianie, którą widziałeś. Siadaj tu na macie i przypomnij sobie każdy szczegół. Może wtedy odkryjesz, jak daleko pojechałeś. Wiem tylko, że podróżowałeś bardzo daleko. Wiem to, ponieważ sprowadziłem cię z wielkim trudem. Gdyby mnie przy tobie nie było, mógłbyś się tak włóczyć i nigdy nie wrócić, a wtedy zostałoby z ciebie tylko martwe ciało na brzegu strumienia. Możliwe też, że sam byś wrócił. Z tobą nigdy nic nie wiadomo. No więc, sądząc po tym, jak trudno było cię sprowadzić z powrotem, powiedziałbym, że niechybnie dotarłeś do... Zrobił długą przerwę i patrzył na mnie przyjaźnie.

– Ja pojechałbym aż do gór w środkowym Meksyku – powiedział. – Nie wiem, dokąd ty byś pojechał, może do Los Angeles albo nawet do Brazylii.

Don Juan wrócił następnego dnia późnym popołudniem. Podczas jego nieobecności zapisałem wszystko, co tylko zapamiętałem z mojego doświadczenia. Kiedy pisałem, przyszło mi do głowy, żeby pójść wzdłuż brzegu strumienia, w obu kierunkach, i sprawdzić, czy rzeczywiście widziałem na którymś z brzegów coś, co mogło wywołać we mnie obraz ściany. Przyszło mi do głowy, że kiedy byłem zamroczony, don Juan mógł mnie gdzieś poprowadzić, a potem kazać mi koncentrować się na jakiejś ścianie przy drodze. Obliczyłem, że jeśli don Juan prowadził mnie, to w czasie, który upłynął od chwili, kiedy po raz pierwszy zauważyłem mgłę, do momentu, kiedy wyszedłem z kanału i wróciłem do domu, mogliśmy przejść najwyżej dwie i pół mili. Wobec tego przeszedłem wzdłuż strumienia jakieś trzy mile w obu kierunkach, dokładnie przyglądając się każdemu szczegółowi, który mógł przypominać moje wyobrażenie ściany. Strumień był zwykłym kanałem, używanym do nawadniania. Miał jakieś cztery do pięciu stóp szerokości. Nie mogłem znaleźć nic, co przypominałoby betonową ścianę.

Kiedy don Juan wrócił do domu późnym popołudniem, zagadnąłem go o to i koniecznie chciałem przeczytać mu to, co zapisałem. Nie chciał słuchać i kazał mi usiąść. Usiadł twarzą do mnie. Nie uśmiechał się. Jego przenikliwe oczy, utkwione gdzieś ponad horyzontem, wskazywały, że był pogrążony w myślach.

– Myślę, że teraz jesteś już świadomy – powiedział bardzo poważnym tonem – że wszystko jest śmiertelnie niebezpieczne. Woda jest równie niebezpieczna jak strażnik. Jeśli nie będziesz uważać,

woda cię pochwyci. Wczoraj już to prawie zrobiła. Lecz żeby zostać złapanym, człowiek musi tego chcieć. W tym problem. Ty chcesz się poddać.

Nie wiedziałem, o czym mówi. Zaatakował mnie tak niespodziewanie, że byłem zdezorientowany. Nieśmiało poprosiłem go o wyjaśnienie. Niechętnie wspomniał, że poszedł do kanionu, widział ducha wodnej jamy i jest głęboko przekonany, że zmarnowałem szansę na widzenie wody.

– Jak? – zapytałem naprawdę zakłopotany.

– Duch jest siłą – powiedział – i jako taki odpowiada jedynie na siłę. Nie można folgować sobie w jego obecności.

– Kiedy ja sobie pofolgowałem?

– Wczoraj, kiedy zrobiłeś się zielony od wody.

– Nie folgowałem sobie. Myślałem, że był to bardzo ważny moment i powiedziałem ci, co się ze mną działo.

– A kimże ty jesteś, żeby myśleć czy decydować o tym, co jest ważne? Nie masz pojęcia o siłach, z którymi masz do czynienia. Duch wodnej jamy naprawdę istnieje i mógł ci pomóc. W rzeczywistości pomagał ci, dopóki nie sfuszerowałeś. Teraz nie wiem, jaki będzie rezultat twoich poczynań. Uległeś duchowi wodnej jamy i teraz w każdej chwili może cię zabrać.

– Czy patrzenie na to, jak zielenieję, było błędem?

– Poddałeś się. Chciałeś się poddać. To było złe. Mówiłem ci już i raz jeszcze powtórzę. W świecie brujo możesz przeżyć tylko wtedy, kiedy jesteś wojownikiem. Wojownik traktuje wszystko z szacunkiem i nie depcze niczego, chyba że musi. Wczoraj nie potraktowałeś wody z szacunkiem. Zazwyczaj zachowujesz się bardzo dobrze. Lecz wczoraj poddałeś się własnej śmierci, jak jakiś cholerny głupek. Wojownik nie ulega niczemu, nawet swojej śmierci. Wojownik nie jest chętnym partnerem, wojownik pozostaje niedostępny, a jeśli w coś się angażuje, to możesz być pewien, że jest świadomy tego, co robi.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Don Juan był prawie zły. To mnie zaniepokoiło. Rzadko tak ze mną postępował. Powiedziałem mu, że naprawdę nie miałem pojęcia, że robię coś złego. Po kilku minutach pełnej napięcia ciszy don Juan zdjął kapelusz, uśmiechnął się i powiedział, że zdobyłem kontrolę nad moim folgującym sobie ja. Podkreślił, że powinienem unikać wody i nie zbliżać się do niej przez najbliższe trzy czy cztery miesiące.

– Nie sądzę, żebym wytrzymał bez prysznica – powiedziałem.

Don Juan roześmiał się tak, że aż łzy pociekły mu po policzkach.

– Nie wytrzymasz bez prysznica! Czasem jesteś taki słaby, że wydaje mi się, że robisz to celowo. Lecz to nie żart. Czasami naprawdę nad niczym nie panujesz i moce twojego życia mogą cię z łatwością zabrać.

Powiedziałem, że kontrolowanie się przez cały czas jest dla człowieka niemożliwe. Don Juan twierdził uparcie, że dla wojownika nic nie pozostaje poza jego kontrolą. Jako argumentu użyłem pojęcia wypadku mówiąc, że to, co przydarzyło mi się przy kanale z wodą, można z pewnością określić mianem wypadku, ponieważ ani nie chciałem, ani też nie byłem świadomy swojego niewłaściwego zachowania. Rozmawialiśmy o różnych ludziach doświadczających nieszczęść, które można nazwać wypadkami. Szczególnie rozwodziłem się nad Lucasem, bardzo miłym starym Indianinem Yaqui, który został ciężko ranny w wypadku, kiedy wywróciła się prowadzona przez niego ciężarówka.

– Myślę, że uniknięcie wypadku jest niemożliwe – powiedziałem. – Żaden człowiek nie jest w stanie kontrolować wszystkiego dookoła.

– To prawda – powiedział ostro don Juan. – Lecz nie wszystko jest wypadkiem nie do uniknięcia. Lucas nie żyje jak wojownik. Gdyby tak żył, wiedziałby, że czeka i wiedziałby, na co czeka, no i nie prowadziłby ciężarówki po pijanemu. Rozbił samochód o skałę przy drodze, ponieważ był pijany i niepotrzebnie kaleczył swoje ciało.

Dla wojownika życie jest ćwiczeniem ze strategii – ciągnął don Juan. – Ty za to chcesz odkryć sens życia. Wojownik nie dba o sens. Gdyby Lucas żył jak wojownik – a miał taką szansę, jak wszyscy – żyłby strategicznie. Gdyby nie mógł uniknąć wypadku, w którym połamał żebra, znalazłby sposób na wyrównanie swych szans albo uniknąłby jego konsekwencji, albo też walczyłby z nimi. Gdyby Lucas

był wojownikiem, nie siedziałby w swoim obskurnym domku, umierając z głodu. Walczyłby do końca.

Przedstawiłem don Juanowi alternatywę, używając go jako przykładu i pytając, co by było, gdyby on sam stał się ofiarą wypadku i miał poturbowane nogi.

– Gdybym nie mógł nic na to poradzić i stracił nogi – powiedział – nie mógłbym już dłużej być człowiekiem, więc dołączyłbym do tego, co czeka tam na mnie.

Zrobił ręką gest wskazujący to, co znajdowało się dookoła.

Kłóciłem się dalej twierdząc, że mnie nie zrozumiał. Chciałem wykazać, że niemożliwe jest, żeby człowiek był w stanie przewidzieć wszystkie zmienne wchodzące w skład jego codziennych działań.

– Mogę ci tylko powiedzieć – stwierdził don Juan – że wojownik nigdy nie staje się dostępny, nigdy nie stoi na drodze i nie czeka, aż go coś zniszczy. W ten sposób Zmniejsza do minimum wszystkie nieprzewidziane możliwości. Tego, co ty nazywasz wypadkami, można przeważnie bardzo łatwo uniknąć, chyba że jest się żyjącym bezładnie głupcem.

– Nie można żyć strategicznie przez cały czas – powiedziałem. – Wyobraź sobie, że ktoś czeka na ciebie z karabinem z celownikiem optycznym. Może dokładnie cię namierzyć z odległości pięciuset jardów. Co byś zrobił?

Don Juan popatrzył na mnie z niedowierzaniem, p0 czym wybuchnął śmiechem.

– Co byś zrobił? – nalegałem.

– Gdyby ktoś czekał na mnie z karabinem z celownikiem optycznym? – spytał, przedrzeźniając mnie.

– Gdyby ktoś schował się i czekał na ciebie. Nie miałbyś szans. Nie potrafisz zatrzymać kuli.

– Nie. Nie potrafię. Ciągle jednak nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Chodzi mi o to, że ta cała twoja strategia nic nie pomoże w takiej sytuacji.

– Ależ owszem. Jeśli ktoś będzie czekał na mnie z karabinem z celownikiem optycznym, po prostu tam nie pójdę.

13

3 września 1969 roku podjąłem kolejną próbę widzenia. Don Juan kazał mi wypalić dwie fajki mieszanki. Z początku skutki palenia były takie same jak te, których doświadczyłem podczas poprzednich prób. Pamiętam, że kiedy moje ciało już całkowicie zdrętwiało, don Juan wziął mnie pod pachy i zaprowadził w gęste krzaki chaparralu porastające teren dookoła domu. Nie mogę sobie przypomnieć, co robiliśmy po wejściu w zarośla, nie pamiętam również, jak długo szliśmy. W pewnym momencie stwierdziłem, że siedzę na szczycie małego wzgórza. Don Juan siedział po mojej lewej stronie i dotykał mnie. Nie czułem go, ale widziałem kątem oka. Miałem wrażenie, że do mnie mówił, chociaż nie mogłem Sobie przypomnieć słów. Miałem wrażenie jednak, że chociaż nie mogę przypomnieć sobie słów, dokładnie wiem, co powiedział. Wydawało mi się, jakby jego słowa stały się wagonikami odjeżdżającego pociągu, a ostatnie słowo było jak kwadratowy wagon hamulcowy. Wiedziałem, jakie jest to ostatnie słowo, ale nie mogłem go ani wypowiedzieć, ani nawet jasno o nim pomyśleć. Byłem półprzytomny, a przed oczyma miałem senny obraz pociągu ze słów.

Potem bardzo niewyraźnie usłyszałem głos don Juana.

– Teraz musisz na mnie spojrzeć – powiedział, obracając moją głowę tak, że znalazła się naprzeciw niego. Powtórzył to zdanie trzy czy cztery razy.

Spojrzałem i zobaczyłem to samo lśnienie, które widziałem dwa razy wcześniej, kiedy patrzyłem na jego twarz. Był to hipnotyzujący ruch, faliste przesuwanie się światła na pewnym obszarze. Obszar ten nie miał określonych granic, a jednak falujące światło nigdy z niego się nie wylewało, poruszając się cały czas w obrębie niewidzialnych granic.

Przyjrzałem się świecącemu obiektowi, który natychmiast zaczął tracić blask i wtedy znajome rysy twarzy don Juana wynurzyły się z niego albo raczej nałożyły się na znikający blask. Kiedy znowu skupiłem wzrok, rysy twarzy don Juana rozpłynęły się, a ich miejsce zajął blask. Skoncentrowałem uwagę na miejscu, gdzie musiało się znajdować lewe oko don Juana. Zauważyłem, że nie ma tam ruchu światła. Wykryłem natomiast coś przypominającego eksplozję iskier, która rytmicznie i z widoczną siłą wyrzucała w moim kierunku jakby cząsteczki światła. Wracały one z powrotem, jak gumowe włókna.

Don Juan musiał obrócić mi głowę. Nagle zorientowałem się, że patrzę na zaorane pole.

Usłyszałem, jak don Juan mówi:

– Teraz patrz przed siebie.

Naprzeciw, w odległości około dwustu jardów ode mnie, znajdowało się duże, długie wzgórze, którego całe zbocze zostało zaorane. Poziome bruzdy biegły równolegle do siebie od podnóża do samego szczytu. Zauważyłem, że na zaoranym polu leżało dużo małych kamieni i trzy wielkie głazy zakłócające linie bruzd. Dokładnie przede mną rosły jakieś krzaki, które uniemożliwiały mi dostrzeżenie szczegółów wąwozu lub kanionu z wodą leżącego u stóp wzgórza. Z miejsca, w którym się znajdowałem, kanion wyglądał jak głębokie wycięcie porośnięte zieloną roślinnością odcinającą się od nagiego wzgórza. Ową roślinność stanowiły zapewne drzewa rosnące na dnie kanionu. Poczułem bryzę wiejącą mi w oczy. Spłynął na mnie głęboki spokój. Nie było słychać ani ptaków, ani owadów.

Don Juan znowu odezwał się do mnie. Zrozumienie jego słów zajęło mi trochę czasu.

– Czy widzisz człowieka na polu? – pytał mnie w kółko.

Chciałem mu powiedzieć, że na polu nie ma żadnego mężczyzny, ale nie mogłem wymówić ani słowa. Don Juan ujął od tyłu moją głowę – widziałem jego palce nad brwiami i na policzkach – i skierował moje spojrzenie na pole, przesuwając głową powoli z prawa na lewo, a potem w przeciwnym kierunku. Słyszałem, jak powtarza:

– Obserwuj każdy szczegół. Od tego może zależeć twoje życie.

Cztery razy kazał mi zbadać wzrokiem roztaczający de przede mną horyzont. W pewnej chwili, kiedy obrócił moją twarz do oporu w lewo, wydało mi się, że odkryłem coś poruszającego się na polu. Kątem prawego oka przez chwilę dostrzegałem jakiś ruch. Don Juan zaczął przekręcać mi głowę z powrotem w prawo i mogłem skupić wzrok na zaoranym polu. Zobaczyłem mężczyznę idącego wzdłuż bruzd. Był to prosty człowiek, ubrany jak meksykański wieśniak. Miał na sobie sandały, parę cienkich,

szarych spodni, beżową koszulę z długimi rękawami i słomiany kapelusz. Niósł lekką brązową torbę na pasku, przewieszoną przez prawe ramię.

Don Juan musiał zauważyć, że dostrzegłem tego człowieka. Pytał mnie w kółko, czy patrzy na mnie i czy idzie w moim kierunku. Chciałem mu powiedzieć, że odchodzi i widzę jego plecy, mogłem jednak wymówić tylko “nie". Don Juan powiedział, że jeśli obróci się i będzie szedł w moim kierunku, powinienem krzyknąć, a on odwróci moją głowę, aby mnie ochronić.

Nie czułem ani strachu, ani lęku, ani zainteresowania. Chłodno obserwowałem scenę. Mężczyzna zatrzymał się na środku pola. Prawą nogę oparł o brzeg dużego kamienia, jakby zawiązywał sandał. Potem wyprostował się, Wyciągnął z torby sznurek i zawiązał go sobie na lewej ręce. Stał odwrócony plecami do mnie, twarzą do szczytu wzgórza i badał wzrokiem przestrzeń przed sobą. Poznałem, że przygląda się przestrzeni przed sobą po sposobie, w jaki poruszał głową, powoli zwracając ją w prawo. Najpierw zobaczyłem go z profilu, a potem zaczął obracać całe ciało przodem do mnie, aż w końcu spojrzał na mnie. Wykonał nagły ruch głową, poruszył nią tak, że wiedziałem z całą pewnością, że mnie zobaczył. Wyciągnął przed siebie lewe ramię, wskazując nimi na ziemię i trzymając je w takiej pozycji, zaczął iść w moim kierunku.

– Nadchodzi! – krzyknąłem bez trudu.

Don Juan musiał obrócić mi głowę, ponieważ następną rzeczą, jaką zobaczyłem, były krzaki chaparralu. Powiedział mi, żebym się nie wpatrywał w rzeczy, ale patrzył “delikatnie" i ślizgał się po nich wzrokiem. Poi wiedział, że stanie w niewielkiej odległości, a potem zacznie iść w moim kierunku i wtedy mam się w niego wpatrywać, aż zobaczę blask.

Zauważyłem, że don Juan kieruje się do miejsca oddalonego o jakieś dwadzieścia jardów. Szedł z tak niewiarygodną prędkością i zręcznością, że nie mogłem uwierzyć, że to on. Odwrócił się, stanął twarzą do mnie i polecił mi przypatrywać się swojej twarzy.

Jego twarz lśniła blaskiem. Wyglądała jak plama światła. Światło zdawało się wylewać na jego klatkę piersiową prawie do pasa. Wyglądało to tak, jakbym patrzył na światło z półprzymkniętymi oczami. Blask rozszerzał się i zwężał. Don Juan musiał zacząć iść w moim kierunkuj ponieważ światło stawało się coraz bardziej intensywni i lepiej widoczne. a

Powiedział coś do mnie. Bardzo starałem się go zrozumieć i przestałem widzieć blask. Potem zobaczyłem don Juana takim, jakim widzę go na co dzień; stał kilka stóp ode mnie. Usiadł naprzeciw.

Skupiwszy uwagę na jego twarzy, zacząłem dostrzec gać nieznaczny blask. Potem zauważyłem, jak krzyżowały się na niej promienie światła. Twarz don Juana wyglądała tak, jakby ktoś puszczał na nią maleńkie, świetlane zajączki. Światło stawało się coraz bardziej intensywne, twarz zaczęła tracić kontury i ponownie stała się bezkształtnym świecącym obiektem. Znowu dostrzegłem pulsujące wybuchy światła wychodzące z miejsca, gdzie musiało się znajdować lewe oko. Nie skupiałem na nim uwagi, ale celowo wpatrywałem się w miejsce obok, które prawdopodobnie było jego prawym okiem. Od razu dostrzegłem zbiornik czystego przezroczystego światła. Światło było płynne.

Zauważyłem, że postrzeganie jest czymś więcej niż widzeniem – to odczuwanie. Zbiornik ciemnego, płynnego światła miał niewiarygodną głębię. Był przyjacielski i dobry. Emanujące z niego światło nie wybuchało, ale wirowało powoli, tworząc wspaniałe odbicia. Blask dotykał mnie w cudowny i delikatny sposób, uspokajając mnie i wprawiając w doskonały nastrój.

Zobaczyłem symetryczny pierścień połyskujących plamek światła, rytmicznie rozchodzących się na pionowej, świetlistej płaszczyźnie. Pierścień rozszerzał się, pokrywając prawie całą jaśniejącą powierzchnię, po czym zmniejszał się do jednego punktu światła w samym środku świetlistego zbiornika. Widziałem, jak pierścień kilkakrotnie rozszerzał się i kurczył. Potem specjalnie cofnąłem się, nie tracąc widoku, tak że mogłem obserwować oboje oczu. Rozróżniłem dwa rodzaje cyklu świetlistych eksplozji. Lewe oko wysyłało plamki światła, które przechodziły na zewnątrz pionowej płaszczyzny, podczas gdy plamki wysyłane przez prawe oko świeciły, nie wychodząc z niej. Cykle obu oczu występowały na przemian, światło z lewego oka wybuchało na zewnątrz, a lśniące promienie światła prawego oka kurczyły się i wirującym ruchem schodziły do środka. Potem światło z prawego oka rozszerzyło się i pokryło całość jaśniejącej powierzchni, a eksplodujące światło lewego oka cofnęło się.

Don Juan musiał obrócić mnie raz jeszcze, ponieważ znowu miałem przed oczyma zaorane pole. Usłyszałem, że mówi, abym obserwował mężczyznę.

Ten zaś stał przy głazie, patrząc na mnie. Nie mogłem dostrzec jego rysów, kapelusz zakrywał mu większą część twarzy. Po chwili wsadził torbę pod prawe ramię i zaczął iść w prawo. Doszedł prawie

do końca zaoranego terenu, zmienił kierunek i zrobił kilka kroków w stronę wąwozu. Wtedy straciłem kontrolę nad ostrością spojrzenia. Mężczyzna zniknął razem z całą scenerią. Nałożył się na to obraz pustynnych krzaków.

Nie przypominam sobie, w jaki sposób wróciłem do domu don Juana, ani też co on zrobił, żeby sprowadzić mnie z powrotem. Kiedy się obudziłem, leżałem na słomianej macie w jego pokoju. Podszedł do mnie i pomógł mi wstać. Miałem zawroty głowy i bolał mnie żołądek. Don Juan szybko i sprawnie zaciągnął mnie w krzaki rosnące przy domu. Zwymiotowałem, a on się śmiał.

Poczułem się lepiej. Spojrzałem na zegarek, była jedenasta w nocy. Położyłem się spać, a o pierwszej po południu następnego dnia znowu byłem sobą.

Don Juan pytał mnie w kółko, jak się czuję. Byłem rozkojarzony. Nie mogłem się skupić. Pod jego czujną opieką przeszedłem się wokół domu. Szedł za mną. Pomyślałem, że nie mam nic do roboty i położyłem się spać. Obudziłem się późnym popołudniem w znacznie lepszej formie. Dookoła mnie leżało mnóstwo pokruszonych liści. Prawdę powiedziawszy, kiedy się obudziłem, leżałem na brzuchu na stercie liści, które bardzo mocno pachniały. Pamiętam, że zanim się całkowicie przebudziłem, ich zapach powoli docierał do mojej świadomości.

Powlokłem się za dom, gdzie znalazłem siedzącego nad kanałem nawadniającym don Juana. Kiedy mnie zobaczył, gwałtownym gestem kazał mi się zatrzymać i wracać do domu.

– Biegnij do środka! – krzyknął. Pobiegłem do domu, a don Juan dołączył do mnie chwilę później.

– Nigdy za mną nie chodź – powiedział. – Jeśli chcesz się ze mną zobaczyć, czekaj tutaj.

Przeprosiłem go. Powiedział, żebym nie tracił czasu na głupie przeprosiny, które nie mają mocy zmieniania moich czynów. Przyznał, że sprowadzenie mnie z powrotem było bardzo trudne, a teraz tam, nad wodą, wstawiał się za mną.

– Teraz musimy zaryzykować i umyć cię w wodzie – powiedział.

Zapewniłem go, że czuję się dobrze. Długo patrzył mi w oczy.

– Chodź ze mną – powiedział. – Wsadzę cię do wody.

– Nic mi nie jest – powiedziałem. – Popatrz, robię notatki.

Silnym, zdecydowanym ruchem ściągnął mnie z maty.

– Nie folguj sobie! – powiedział. – Za chwilę znowu zaśniesz. Tym razem może mi się nie udać cię obudzić.

Pobiegliśmy na tył domu. Zanim dotarliśmy do wody, wielce dramatycznym tonem polecił mi zamknąć oczy i nie otwierać ich, dopóki mi na to nie pozwoli. Powiedział, że jeśli choć przez chwilę popatrzę na wodę, mogę umrzeć. Prowadził mnie za rękę, po czym głową do przodu zanurzył w kanale nawadniającym.

Miałem zamknięte oczy, a don Juan przez kilka godzin na przemian zanurzał mnie i wyciągał z wody. Odczułem wyraźną zmianę. Jeśli było ze mną coś nie w porządku, zanim wszedłem do wody, to było tak nieuchwytne, że zauważyłem różnicę, dopiero gdy porównałem tamten stan z przytomnością umysłu i dobrym samopoczuciem, które pojawiły się podczas zanurzania w kanale nawadniającym.

Woda doszła mi do nosa i zacząłem kichać. Don Juan wyciągnął mnie z wody i zaprowadził do domu. Cały czas miałem zamknięte oczy. Kazał mi zmienić ubranie, po czym zaprowadził mnie do swojego pokoju, posadził na macie, ustawił w odpowiednim kierunku i dopiero wtedy pozwolił otworzyć oczy. Otworzyłem je, a to, co zobaczyłem, sprawiło, że odskoczyłem i uchwyciłem się jego nogi. Przeżyłem chwilę wielkiego zamętu. Don Juan stuknął mnie kostkami palców w sam czubek głowy. Było to szybkie uderzenie, ani nie mocne, ani nie bolesne, ale w jakiś niewytłumaczalny sposób wstrząsające.

– Co się z tobą dzieje? Co zobaczyłeś? – zapytał.

Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem tę samą scenę, którą widziałem wcześniej. Ujrzałem tego samego mężczyznę. Tym razem jednak prawie mnie dotykał. Widziałem jego twarz. Było w niej coś znajomego. Prawie wiedziałem, kim jest. Scena zniknęła, kiedy don Juan uderzył mnie w głowę.

Spojrzałem w górę na don Juana. Trzymał rękę gotową do ponownego uderzenia. Roześmiał się i spytał, czy mam ochotę na kolejny cios. Puściłem jego nogę i położyłem się na macie. Kazał mi patrzeć przed siebie i pod żadnym pozorem nie odwracać się w kierunku wody za domem.

Wtedy zauważyłem, że pokój jest ciemny jak smoła. Przez chwilę nie byłem pewien, czy mam otwarte oczy. Dotknąłem ich rękami, żeby się upewnić. Zawołałem głośno don Juana i powiedziałem mu, że z moimi oczami jest coś nie w porządku. Teraz nic nie mogę zobaczyć, chociaż przed chwilą widziałem, jak chciał mnie uderzyć. Usłyszałem jego śmiech nad głową po prawej stronie, po czym rozbłysła zapalona przez niego lampa naftowa. W kilka sekund moje oczy przyzwyczaiły się do światła. Wszystko było tak jak zawsze: gliniane ściany pokoju i wiszące na nich dziwnie powykrzywiane, suche lecznicze korzenie, wiązki ziół, słomiany dach i zwisająca z belki lampa naftowa. Widziałem ten pokój setki razy, teraz jednak było i w nim, i we mnie coś wyjątkowego. Po raz pierwszy nie wierzyłem w ostateczną rzeczywistość swojej percepcji. Zbliżałem się do tego uczucia i nawet wielokrotnie je intelektualizowałem, ale nigdy nie miałem prawdziwych wątpliwości. Tym razem jednak nie wierzyłem, że pokój jest realny i przez chwilę miałem dziwne przeświadczenie, że scena, którą widzę, znikłaby, gdyby tylko don Juan stuknął mnie pięścią w czubek głowy.

Zacząłem się trząść, chociaż nie miałem gorączki. Po kręgosłupie przeszły mi nerwowe dreszcze. W głowie, a szczególnie tuż nad karkiem, odczuwałem ciężar.

Powiedziałem, że nie czuję się dobrze i opisałem mu to, co widziałem. Śmiał się ze mnie mówiąc, że pogrążanie się w strachu jest żałosnym folgowaniem sobie.

– Boisz się, choć nikt cię nie przestraszył – powiedział. – Zobaczyłeś patrzącego na ciebie sprzymierzeńca, też mi coś. Zanim zrobisz w spodnie, poczekaj, aż staniesz z nim twarzą w twarz.

Polecił mi wstać, iść do samochodu, nie obracając się w kierunku wody i zaczekać, aż on znajdzie sznur i łopatę. Kazał mi jechać do miejsca, gdzie znaleźliśmy pień drzewa. Po ciemku zaczęliśmy go wykopywać. Przez kilka godzin pracowałem bardzo ciężko. Nie wykopaliśmy pniaka, ale poczułem się znacznie lepiej. Wróciliśmy do domu, zjedliśmy i wszystko znowu stało się doskonale rzeczywiste i powszednie.

– Co mi się przydarzyło? – zapytałem. – Co ja wczoraj zrobiłem?

– Wypaliłeś sobie mnie, a potem wypaliłeś sobie sprzymierzeńca – powiedział.

– Proszę?

Don Juan roześmiał się i powiedział, że zaraz zacznę się domagać, żeby mi opowiedział wszystko od początku.

– Wypaliłeś sobie mnie – powtórzył. – Wpatrywałeś się w moją twarz, w moje oczy. Widziałeś światła twarzy człowieka. Jestem czarownikiem, zobaczyłeś to w moich oczach. Jednak nie wiedziałeś o tym, ponieważ zrobiłeś to pierwszy raz. Oczy ludzi nie są do siebie podobne. Wkrótce się o tym przekonasz. Potem wypaliłeś sprzymierzeńca.

– Chodzi ci o tego człowieka na polu?

– To nie był człowiek, ale przywołujący cię sprzymierzeniec.

– Dokąd poszliśmy? Gdzie byliśmy, kiedy zobaczyłem tego człowieka, to jest tego sprzymierzeńca?

Don Juan brodą wskazał teren przed domem i powiedział, że zabrał mnie na szczyt małego wzgórza. Stwierdziłem, że sceneria, którą widziałem, zupełnie nie przypominała rosnących przy domu pustynnych krzaków chaparralu, na co on odrzekł, że przywołujący mnie sprzymierzeniec nie pochodzi z tej okolicy.

– Skąd on jest?

– Wkrótce cię tam zabiorę.

– Jakie jest znaczenie mojej wizji?

– Uczyłeś się widzieć, to wszystko. Za chwilę zrobisz w spodnie ze strachu, ponieważ zbytnio sobie folgujesz. Uległeś swojemu strachowi. Może powinieneś opisać wszystko, co widziałeś.

Kiedy zacząłem opisywać, jak wyglądała jego twarz, przerwał mi mówiąc, że to nie ma żadnego znaczenia. Powiedziałem mu, że prawie widziałem go jako świetliste jajo. Stwierdził, że “prawie" nie wystarczy i widzenie zabierze mi dużo czasu i pracy.

Interesowała go scena na zaoranym polu i wszystkie szczegóły dotyczące mężczyzny.

– Ten sprzymierzeniec przywoływał cię – powiedział. – Odwróciłem ci głowę, kiedy do ciebie podszedł, nie dlatego, że ci zagrażał, ale dlatego, że lepiej zaczekać. Nigdzie ci się nie spieszy.

Wojownik nigdy nie leniuchuje ani się nie spieszy. Spotykanie się ze sprzymierzeńcem bez przygotowania jest jak atakowanie lwa pierdnięciami.

Spodobało mi się to porównanie. Śmialiśmy się niego do rozpuku.

– Co by się stało, gdybyś nie odwrócił mojej głowy?

– Sam byś to zrobił.

– A gdybym tego nie zrobił?

– Sprzymierzeniec przyszedłby do ciebie, a ty ze-sztywniałbyś ze strachu. Gdybyś był sam, mógłby cię zabić. Nie powinieneś przebywać sam w górach ani na pustyni, dopóki nie nauczysz się bronić. Sprzymierzeniec mógłby cię dopaść i przerobić na mielone mięso.

– Jakie było znaczenie tego, co robił sprzymierzeniec?

– Patrząc na ciebie, dawał do zrozumienia, że cię zaprasza. Pokazał ci, że potrzebujesz pułapki na duchy i woreczka, ale nie z tego regionu. Jego torba pochodziła z innej części kraju. Na twojej drodze stoją trzy powstrzymujące cię przeszkody, to były te trzy głazy. No i z pewnością najlepsze moce zdobędziesz w kanionach z wodą i wąwozach, ponieważ strażnik wskazał ci wąwóz. Reszta scenerii miała ci pomóc w dokładnym zlokalizowaniu miejsca, w którym go możesz znaleźć. Wiem, gdzie jest to miejsce. Wkrótce cię tam zabiorę.

– Chcesz powiedzieć, że krajobraz, który widziałem, naprawdę istnieje?

– Oczywiście, że tak.

– Gdzie?

– Tego nie mogę ci powiedzieć.

– W jaki sposób znajdę to miejsce?

– Tego też nie mogę ci powiedzieć, nie dlatego, że nie chcę, ale po prostu dlatego, że nie wiem, jak ci to powiedzieć.

Chciałem wiedzieć, jakie znaczenie miało widzenie tej samej sceny w jego pokoju. Don Juan roześmiał się i zaczął naśladować mnie, jak trzymałem się jego nogi.

– Było to potwierdzenie, że sprzymierzeniec cię chce – powiedział. – Chciał upewnić ciebie albo mnie, żebyśmy wiedzieli, że cię zaprasza.

– A co z twarzą, którą widziałem?

– Twarz jest znajoma, ponieważ go znasz. Widziałeś ją wcześniej. Może jest to twarz twojej śmierci. Przestraszyłeś się, ale to było tylko twoje niedbalstwo. Czekał na ciebie, a kiedy się pokazał, poddałeś się strachowi. Na szczęście byłem przy tobie i uderzyłem cię w głowę, inaczej zwróciłby się przeciwko tobie, co zresztą byłoby zrozumiałe. Żeby spotkać się ze sprzymierzeńcem, człowiek musi być nieskazitelnym wojownikiem, w przeciwnym przypadku sprzymierzeniec może zwrócić się przeciwko niemu i zniszczyć go.

Następnego ranka don Juan odradził mi powrót do Los Angeles. Zapewne uważał, że jeszcze nie całkiem przyszedłem do siebie. Nalegał, żebym siedział w domu, twarzą na południowy wschód, aby zachować siłę. Usiadł po mojej lewej stronie, wręczył mi notatnik i powiedział, że tym razem przyparłem go do muru i nie tylko musi ze mną siedzieć, ale również mówić do mnie.

– O zmroku będę cię musiał znowu zabrać do wody – powiedział. – Nie jesteś jeszcze zbyt mocny i nie powinieneś dzisiaj być sam. Do południa dotrzymam ci towarzystwa, po południu powinieneś być w lepszej formie.

Jego troska przestraszyła mnie.

– Co złego dzieje się ze mną? – zapytałem.

– Ściągnąłeś sprzymierzeńca.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie wolno nam dzisiaj rozmawiać o sprzymierzeńcach. Porozmawiajmy o czymś innym.

W istocie wcale nie chciałem rozmawiać. Poczułem się zaniepokojony i rozdrażniony. Don Juanowi sytuacja wydawała się niesłychanie zabawna, śmiał się do łez.

– Tylko mi nie mów, że teraz, kiedy powinniśmy rozmawiać, nie znajdziesz żadnego tematu –

powiedział. Jego oczy lśniły złośliwym blaskiem.

Dobry nastrój don Juana działał na mnie uspokajająco.

W tej chwili interesował mnie tylko jeden temat: sprzymierzeniec. Jego twarz była taka znajoma. Nie wydawało mi się jednak, żebym go znał albo widział przedtem. To było coś innego. Za każdym razem, kiedy zaczynałem myśleć o jego twarzy, mój umysł bombardowały inne myśli, jakby jakaś część mnie znała sekret, ale nie pozwalała reszcie zbliżyć się do niego. Uczucie, że twarz sprzymierzeńca jest mi nieobca, było tak niesamowite, że wywołało u mnie stan chorobliwej melancholii. Don Juan powiedział, że mogła to być twarz mojej śmierci. Przypuszczam, że to stwierdzenie doprowadziło mnie do granicy wytrzymałości. Chciałem w rozpaczy o to zapytać, czułem jednak wyraźnie, że don Juan mnie powstrzymuje. Odetchnąłem głęboko kilka razy i wyrzuciłem z siebie pytanie:

– Czym jest śmierć, don Juanie?

– Nie wiem – powiedział, uśmiechając się.

– Chciałbym dowiedzieć się, jakbyś opisał śmierć? Chcę poznać twoją opinię. Myślę, że każdy ma konkretną opinię na temat śmierci.

– Nie wiem, o czym mówisz.

W bagażniku samochodu miałem Tybetańską Księgę Umarłych. Przyszło mi do głowy, że skoro mówi ona o śmierci, możemy jej użyć jako tematu rozmowy. Powiedziałem, że mu ją przeczytam i podniosłem się. Kazał mi usiąść i sam poszedł po książkę.

– Ranek jest złą porą dla czarowników – powiedział, wyjaśniając mi, dlaczego muszę tu siedzieć. – Jesteś zbyt słaby, żeby wychodzić z pokoju. Tu, w środku, masz ochronę. Gdybyś teraz zaczął się gdzieś włóczyć, mogłoby ci się przytrafić straszliwe nieszczęście. Sprzymierzeniec mógłby cię zabić na drodze albo w krzakach, a potem, kiedy znaleziono by twoje ciało, powiedziano by, że umarłeś w tajemniczych okolicznościach albo że miałeś wypadek.

Nie byłem w nastroju na podważanie jego decyzji, siedziałem więc tak, jak mnie posadził, prawie przez cały ranek, czytając mu i tłumacząc niektóre fragmenty książki. Słuchał uważnie i nie przeszkadzał mi. Dwa razy musiałem zrobić krótką przerwę, kiedy przyniósł mi wodę i jedzenie, ale ledwie kończyłem jeść, zachęcał mnie do dalszego czytania. Sprawiał wrażenie bardzo zainteresowanego.

Kiedy skończyłem, popatrzył na mnie.

– Nie rozumiem, dlaczego ci ludzie mówią o śmierci, jakby śmierć była jak życie – powiedział łagodnie.

– Może tak to rozumieją. Czy myślisz, że Tybetańczycy widzą?

– Nie sądzę. Kiedy człowiek potrafi widzieć, żadna ze znanych mu rzeczy nie może dominować. Żadna. Gdyby Tybetańczycy widzieli, od razu powiedzieliby, że nic nie jest już takie samo. Odkąd widzimy, niczego nie znamy, nic nie pozostaje takim, jakim to znaliśmy, dopóki nie widzieliśmy.

– A może, don Juanie, widzenie nie jest takie samo dla wszystkich.

– Zgadza się. Nie jest. Ale to jeszcze nie oznacza, że zostaje zachowany sens życia. Kiedy się widzi, żadna rzecz nie jest taka sama.

– Wygląda na to, że Tybetańczycy traktują śmierć tak jak życie. A ty jak myślisz, jaka jest śmierć? – zapytałem.

– Nie wydaje mi się, żeby śmierć była podobna do czegokolwiek i myślę, że Tybetańczykom musi chodzić o coś innego. Tak czy inaczej, to, o czym mówią, to nie śmierć.

– A jak myślisz, o czym mówią?

– Może ty mi to powiesz. To ty czytasz.

Chciałem jeszcze coś powiedzieć, ale on roześmiał się.

– Może Tybetańczycy naprawdę widzą – ciągnął don Juan – a w takim wypadku muszą zdawać sobie sprawę, że to, co widzą, zupełnie nie ma sensu i napisali to gówno, ponieważ nie sprawia im to żadnej różnicy, a jeśli tak, to to, co napisali, bynajmniej nie jest gównem.

– Tak naprawdę nie obchodzi mnie, co mają do powiedzenia Tybetańczycy – powiedziałem – ale z

pewnością obchodzi mnie, co ty masz do powiedzenia. Chciałbym usłyszeć, co ty myślisz o śmierci.

Patrzył na mnie przez chwilę, po czym zachichotał. Wytrzeszczył oczy, uniósł brwi do góry w komicznej minie zdziwienia.

– Śmierć to wir – powiedział. – Śmierć to twarz sprzymierzeńca, śmierć to świetlista chmura nad horyzontem, śmierć to szept Mescalito w twoich uszach, śmierć to bezzębna paszcza strażnika, śmierć to siedzący na głowie Genaro, śmierć to ja mówiący do ciebie, śmierć to ty i twój notes. Śmierć jest niczym. Niczym! Jest tutaj i równocześnie wcale jej tu nie ma.

Don Juan zaśmiał się radośnie. Jego śmiech był jak pieśń, miał w sobie taneczny rytm.

– Mówię od rzeczy, co? – zapytał don Juan. – Nie potrafię ci opisać, jaka jest śmierć, ale mógłbym ci opowiedzieć o twojej śmierci. Nie ma sposobu, żeby wiedzieć z absolutną pewnością, jaka będzie, ale mógłbym ci powiedzieć, jaka może być.

W tym momencie przeraziłem się. Stwierdziłem, że chcę tylko wiedzieć, jak on wyobraża sobie śmierć. Podkreśliłem, że interesuje mnie jego opinia o śmierci w ogólnym sensie, a nie obchodzą mnie szczegóły czyjejś śmierci, a szczególnie mojej własnej.

– Nie mogę mówić o śmierci inaczej niż w odniesieniu do konkretnej osoby – powiedział. – Chciałeś, żebym ci opowiedział o śmierci. W porządku! Wobec tego nie bój się posłuchać o swojej śmierci.

Przyznałem, że jestem zbyt zdenerwowany, żeby o tym rozmawiać. Powiedziałem, że chcę porozmawiać o śmierci ogólnie, tak jak on sam to zrobił, kiedy opowiadał mi o śmierci swojego syna Eulalia, o tym, jak życie i śmierć zmieszały się niczym mgła z kryształów.

– Powiedziałem ci, że życie mojego syna rozwinęło się w chwili jego śmierci – rzekł. – Nie mówiłem ogólnie o śmierci, ale o śmierci mojego syna. Śmierć, czymkolwiek ona jest, sprawiła, że jego życie rozwinęło się.

Zdecydowany byłem odwrócić rozmowę od szczegółów. Wspomniałem, że czytałem o ludziach, którzy umarli na kilka minut, po czym zostali ponownie ożywieni dzięki zabiegom medycznym. We wszystkich przypadkach, o których czytałem, relacjonująca je osoba, po ożywieniu mówiła, że nie może sobie niczego przypomnieć, że umieranie jest po prostu jak zapadanie się w czerń.

– To całkowicie zrozumiałe – powiedział. – Śmierć ma dwa etapy. Pierwszym jest zaciemnienie. Ten etap nie ma znaczenia, jest bardzo podobny do pierwszych objawów po zażyciu Mescalito, kiedy doświadcza się uszczęśliwiającej lekkości, pełni i niczym nie trzeba się przejmować. Jednak jest to jedynie powierzchowny stan, który wkrótce znika i człowiek wchodzi w nowy wymiar, wymiar surowości i mocy. Ten drugi etap to prawdziwe spotkanie z Mescalito. Śmierć bardzo go przypomina. Pierwszy etap to płytkie zaciemnienie. Natomiast drugi etap jest tym prawdziwym, gdzie człowiek spotyka się ze śmiercią. Po pierwszym zaciemnieniu następuje krótki moment, w którym odkrywamy, że w jakiś sposób znowu jesteśmy sobą. Potem śmierć uderza w nas z cichą furią i mocą tak długo, aż rozpuści nasze życie w nicość.

– Skąd możesz być pewien, że mówisz o śmierci?

– Mam swojego sprzymierzeńca. Dymek bardzo jasno pokazał mi moją nieuchronną śmierć. Dlatego właśnie mogę mówić tylko o osobistej śmierci.

Słowa don Juana wzbudziły we mnie wielki strach i dramatyczne uczucie ambiwalencji. Czułem, że zamierza opisać wszystkie szczegóły mojej śmierci i powiedzieć mi, jak albo kiedy umrę. Sama myśl o tym doprowadzała mnie do rozpaczy, a równocześnie wzbudzała moją ciekawość. Oczywiście, mogłem go poprosić, żeby opisał swoją śmierć, ale czułem, że taka prośba byłaby raczej niegrzeczna, więc automatycznie ją odrzuciłem.

Don Juana bawiły moje rozterki. Jego ciałem wstrząsał śmiech.

– Czy chcesz wiedzieć, jaka może być twoja śmierć? – zapytał mnie z wyrazem dziecinnego zadowolenia na twarzy.

Złośliwa przyjemność, jaką miał z droczenia się ze mną, spodobała mi się. Niemalże pozbyłem się lęku.

– Dobrze, powiedz mi – powiedziałem przybity. Zaryczał ze śmiechu. Trzymał się za brzuch, przewrócił się na bok i przedrzeźniając mnie, powtórzył cienko:

– Dobrze, powiedz mi.

Potem wyprostował się, usiadł z udawaną sztywnością i drżącym głosem powiedział:

– Drugi etap twojej śmierci może równie dobrze wyglądać następująco...

Jego oczy patrzyły na mnie z prawdziwą ciekawością. Roześmiałem się. Jasno zdałem sobie sprawę, że jego wygłupy są jedynym sposobem mogącym stępić ostrze myślenia o własnej śmierci.

– Dużo jeździsz samochodem – ciągnął – więc tego dnia może tak samo będziesz siedział za kółkiem. Wrażenie pojawi się tak szybko, że nie będziesz miał czasu na myślenie. Powiedzmy, że będziesz prowadził samochód, jak robiłeś to tysiące razy. Zanim zdążysz się zdziwić, zauważysz przez przednią szybę dziwne zjawisko. Jeśli mu się lepiej przyjrzysz, przekonasz się, że jest to chmura wyglądająca jak świecący wir. Powiedzmy, że jest Podobna do twarzy znajdującej się dokładnie na środku nieba przed tobą. Jeśli będziesz ją obserwował, zauważysz, jak porusza się do tyłu, aż zostanie z niej tylko odległy, lśniący punkt. Potem zobaczysz, jak ponownie zaczyna się poruszać w twoim kierunku. Nabierze prędkości i w mgnieniu oka uderzy w przednią szybę twojego samochodu. Jesteś silny. Jestem pewien, że śmierć musiałaby uderzać kilka razy, żeby cię dostać.

Wtedy już będziesz wiedział, gdzie jesteś i co się z tobą dzieje. Twarz znowu oddali się na pozycję nad horyzontem, nabierze szybkości i uderzy w ciebie. Wejdzie w ciebie i wtedy będziesz wiedział, że przez cały czas była to twarz sprzymierzeńca albo że to byłem ja mówiący, albo ty piszący. Przez cały czas śmierć była niczym. Niczym. Była małą kropeczką zagubioną na kartkach twojego notesu. A jednak wejdzie w ciebie z nieopanowaną siłą i rozszerzy cię. Sprawi, że uniesiesz się i rozszerzysz na niebo, ziemię i jeszcze dalej. A ty będziesz jak mgła z maleńkich kryształków, która się oddala, oddala.

Opis mojej śmierci bardzo mnie poruszył. Spodziewałem się usłyszeć coś innego. Długo nie mogłem nic powiedzieć.

– Śmierć wchodzi przez brzuch – ciągnął don Juan. – Dokładnie przez szczelinę woli. Ten obszar jest najważniejszą i najbardziej wrażliwą częścią człowieka. Jest to obszar woli, a jednocześnie obszar, przez który uchodzi jeszcze życie. Wiem to, ponieważ mój sprzymierzeniec doprowadził mnie do tego etapu. Czarownik dostraja swoją wolę, pozwalając, żeby śmierć zapanowała nad nim, a kiedy jest płaski i zaczyna się rozszerzać, jego nieskazitelna wola zwycięża i z powrotem składa z mgły całą osobę.

Don Juan wykonał dziwny gest. Rozłożył dłonie jak wachlarze, uniósł je na wysokość łokci i obrócił tak, że kciuki dotykały boków, po czym powoli przesunął na środek ciała i złożył razem nieco ponad pępkiem. Trzymał je tak przez chwilę. Jego ramiona drżały z wysiłku. Następnie uniósł ręce aż czubki środkowych palców dotknęły czoła, po czym znowu przesunął je do pozycji na środku ciała.

Był to wspaniały gest. Don Juan wykonał go z taką siłą i tak pięknie, że byłem oczarowany.

– To wola tworzy czarownika – powiedział – ale kiedy starość go osłabia, wola zanika i nadchodzi nieuchronny moment, gdy nie może on już dłużej jej rozkazywać. Wtedy nie ma nic, czym mógłby się przeciwstawić milczącej sile śmierci. Jego życie upodabnia się do żywotów jego współbraci – staje się mgłą rozszerzającą się w nieskończoność.

Don Juan popatrzył na mnie i wstał. Trząsłem się.

– Teraz możesz iść w krzaki – powiedział. – Jest już po południu.

Musiałem tam iść, ale nie miałem odwagi. Byłem chyba bardziej podenerwowany niż przestraszony. Jednakże nie bałem się już sprzymierzeńca.

Don Juan powiedział, że nie jest ważne, jak się czuję, tak długo, jak długo jestem zwarty. Zapewnił mnie, że jestem w doskonałej formie i mogę bezpiecznie iść w krzaki pod warunkiem, że nie zbliżę się do wody.

– Jest jeszcze coś – powiedział. – Muszę cię umyć jeszcze raz, więc trzymaj się z daleka od wody.

Później don Juan poprosił, żebym go zawiózł do pobliskiego miasta. Wspomniałem, że jazda samochodem będzie dla mnie pożądaną odmianą, ponieważ ciągle czułem się roztrzęsiony. Myśl, że czarownik naprawdę igra ze śmiercią, wydawała mi się makabryczna.

– Bycie czarownikiem to wielkie obciążenie – stwierdził przekonująco don Juan. – Powiedziałem ci, że znacznie lepiej jest nauczyć się widzieć. Człowiek, który widzi, jest wszystkim w porównaniu z czarownikiem, który jest raczej smutnym kolesiem.

– Czym jest magia, don Juanie? Patrzył na mnie dość długo, poruszając prawie niedostrzegalnie głową.

– Magia polega na stosowaniu woli w kluczowym miejscu – powiedział. – Magia to ingerencja. Czarownik szuka kluczowego miejsca tego, na co chce zadziałać. Znajduje je i oddziałuje na nie swoją wolą. Czarownik nie musi widzieć, żeby zostać czarownikiem, musi tylko wiedzieć, jak używać woli.

Poprosiłem go, żeby wyjaśnił, co rozumie przez kluczowe miejsce. Myślał przez chwilę, po czym powiedział, że wie, czym jest mój samochód.

– Z pewnością jest to maszyna – powiedziałem.

– Chodzi mi o to, że twój samochód to świece. Dla mnie one właśnie są punktem kluczowym. Mogę podziałać na nie wolą i samochód nie zapali.

Don Juan wsiadł do samochodu. Sadowiąc się na siedzeniu, kiwnął na mnie, żebym zrobił to samo.

– Obserwuj, co robię – powiedział. – Jestem wroną, więc najpierw nastroszę pióra.

Zatrząsł całym ciałem. Jego ruchy przypominały mi wróbla moczącego pióra w kałuży. Obniżył głowę jak ptak wsadzający dziób do wody.

– To jest naprawdę przyjemne – powiedział i roześmiał się.

Jego śmiech był dziwny. Podziałał na mnie hipnotyzujące. Przypomniałem sobie, że słyszałem ten śmiech już wiele razy. Powodem, dla którego nigdy wcześniej sobie tego tak naprawdę nie uświadomiłem, było chyba to, że w mojej obecności nie śmiał się w ten sposób wystarczająco długo.

– Następnie wrona rozluźnia szyję – powiedział i zaczął zginać szyję i pocierać policzkami o ramiona. – Teraz patrzy na świat najpierw jednym okiem, a potem drugim.

Przekręcał głowę, że niby przenosi widzenie świata z jednego oka na drugie. Wysoki ton jego śmiechu stał się jeszcze wyższy. Miałem absurdalne poczucie, że don Juan za chwilę, na moich oczach, zamieni się we wronę. Chciałem go wyśmiać, ale byłem prawie sparaliżowany. Naprawdę czułem dookoła jakąś ogarniającą mnie siłę.

Nie bałem się, nie było mi niedobrze, nie byłem też śpiący. Pozostawałem w pełni władz umysłowych, tak mi się przynajmniej wydawało.

– Zapal silnik – powiedział don Juan.

Przekręciłem kluczyk i automatycznie nacisnąłem pedał gazu. Starter zazgrzytał, lecz nie uruchomił silnika. Don Juan zaśmiał się miękkim, rytmicznym chichotem. Spróbowałem jeszcze raz i jeszcze raz. Spędziłem jakieś dziesięć minut na włączaniu starteru samochodu. Przez cały czas don Juan chichotał. Potem zrezygnowałem i usiadłem ze spuszczoną głową.

Don Juan przestał się śmiać i spojrzał na mnie badawczo. Wtedy wiedziałem, że jego śmiech wprowadził mnie w jakiś trans hipnotyczny. Chociaż dokładnie zdawałem sobie sprawę z tego, co się dzieje, czułem, że nie jestem sobą. Kiedy usiłowałem zapalić samochód, byłem bardzo uległy, prawie sparaliżowany. Jakby don Juan zrobił coś nie tylko z moim samochodem, ale również ze mną. Kiedy przestał chichotać, byłem pewien, że zaklęcie przestało działać, więc z impetem ponownie włączyłem starter. Byłem przekonany, że don Juan zahipnotyzował mnie swoim śmiechem, każąc mi wierzyć, że nie mogę zapalić samochodu. Kątem oka pochwyciłem jego zaciekawione spojrzenie. Patrzył, jak kręcę kluczykiem w stacyjce i wściekle naciskam na gaz.

Poklepał mnie delikatnie i powiedział, że wściekłość uczyni mnie “zwartym", tak że może nawet nie będzie musiał mnie myć w wodzie. Im bardziej się wścieknę, tym szybciej przyjdę do siebie po spotkaniu ze sprzymierzeńcem.

Usłyszałem don Juana mówiącego:

– Nie krępuj się. Kopnij samochód.

Wybuchnął swoim zwyczajnym śmiechem. Poczułem się śmiesznie i zarechotałem głupkowato.

Po chwili don Juan powiedział, że uwolnił samochód. Spróbowałem jeszcze raz i udało mi się go zapalić!

14

28 września 1969

Dom don Juana wyglądał jakoś dziwnie. Przez chwilę myślałem, że don Juan gdzieś się schował, żeby mnie przestraszyć. Zawołałem go głośno, po czym zebrałem się w sobie i wszedłem do środka. Nie było go. Dwie torby z zakupami, które dla niego przywiozłem, położyłem na stercie drewna, a sam usiadłem, żeby na niego zaczekać. Robiłem to już wielokrotnie w czasie mojej znajomości z don Juanem, ale teraz, po raz pierwszy, bałem się siedzieć sam w jego domu. Czułem czyjąś obecność, jakby był tu ze mną ktoś niewidzialny. Wtedy przypomniałem sobie, że kilka lat wcześniej doświadczyłem tego samego nieokreślonego uczucia. Byłem sam i miałem wrażenie, że dookoła grasuje coś nieznanego. Zerwałem się na równe nogi i wybiegłem z domu.

Przyjechałem powiedzieć don Juanowi o nieprzyjemnych skutkach widzenia, jakie zacząłem odczuwać. Stałem się niespokojny, doświadczałem niejasnego lęku, nie mającego żadnej widocznej przyczyny, czułem się zmęczony bez powodu. Wtedy moja reakcja na samotne przebywanie w domu don Juana przywołała wspomnienia o tym, jak mój strach narastał w przeszłości.

Strach pojawił się kilka lat temu, gdy don Juan zmusił mnie do bardzo dziwnej konfrontacji z czarownicą, kobietą, którą nazywał la Catalina. Zaczęło się to 23 listopada 1961 roku, kiedy po przyjściu do jego domu znalazłem go ze zwichniętą kostką. Wyjaśnił, że ma wroga, czarownicę potrafiącą przemienić się w kosa, która usiłowała go zabić.

– Jak tylko będę mógł chodzić, pokażę ci tę kobietę – powiedział don Juan. – Musisz wiedzieć, kto to jest.

– Dlaczego ona chce cię zabić?

Niecierpliwie wzruszył ramionami i nie chciał powiedzieć nic więcej.

Przyjechałem do niego ponownie dziesięć dni później i zastałem go w doskonałej formie. Pokręcił nogą, żeby pokazać mi, że dobrze się czuje. Szybki powrót do zdrowia przypisał właściwości zaklęcia, które sam rzucił.

– Dobrze, że jesteś – powiedział. – Dzisiaj zabiorę cię w małą podróż.

Potem kazał mi jechać na pustynię. Kiedy zatrzymaliśmy się tam, don Juan wyciągnął nogi i usadowił się wygodnie na siedzeniu, jakby miał zamiar uciąć sobie drzemkę. Polecił mi się odprężyć i siedzieć w absolutnej ciszy. Powiedział, że do zapadnięcia nocy musimy rzucać się w oczy, na ile to tylko możliwe, ponieważ późne popołudnie jest bardzo niebezpieczną porą na załatwienie naszej sprawy.

– Jaką sprawę mamy załatwić? – zapytałem.

– Jesteśmy tutaj, żeby wykurzyć la Catalinę – powiedział.

Kiedy zrobiło się już dość ciemno, wyślizgnęliśmy się z samochodu. Bardzo powoli, bezszelestnie weszliśmy w pustynny chaparral.

Z miejsca, w którym zatrzymaliśmy się, widziałem ciemne sylwetki okalających nas z obu stron wzgórz. Znajdowaliśmy się w płaskim, dość szerokim kanionie. Don Juan udzielił mi szczegółowych instrukcji o stapianiu się z krzakami chaparralu i nauczył mnie, jak to nazwał, czujnego sposobu siedzenia. Kazał mi podwinąć prawą nogę pod lewe udo i przykucnął na lewej. Wyjaśnił, że podwiniętej nogi używa się jako wyrzutni w przypadku, kiedy trzeba bardzo szybko wstać. Potem skierował mnie twarzą na zachód, ponieważ właśnie tam znajdował się dom kobiety. Sam usiadł po mojej prawej stronie. Szeptem kazał mi skupić spojrzenie na ziemi, w poszukiwaniu albo raczej w oczekiwaniu na jakiś powiew wiatru, który poruszy krzewami. Gdy tylko fala dotknie krzewów, na których skupiałem wzrok, miałem spojrzeć w górę i zobaczyć czarownicę w całym jej “wspaniałym splendorze zła". Don Juan użył dokładnie takich właśnie słów. Kiedy poprosiłem go, żeby wyjaśnił, co chciał przez to powiedzieć, odrzekł, że jeśli zauważę podmuch wiatru, mam po prostu spojrzeć w górę i samemu zobaczyć. Czarownica w locie jest tak wyjątkowym widokiem, że nie da się tego wytłumaczyć.

Ponieważ dzień był raczej wietrzny, wiele razy wydawało mi się, że widzę falowanie krzewów. Za każdym razem patrzyłem w górę, przygotowany na transcendentalne przeżycie, ale nie widziałem

niczego. Zawsze, kiedy wiatr poruszał krzakami, don Juan energicznie kopał w ziemię, kręcąc się w kółko i poruszając ramionami, jakby były biczami. Wszystkie ruchy wykonywał z niewiarygodną siłą.

Po kilku nieudanych próbach zobaczenia czarownicy w locie byłem przekonany, że nie stanę się świadkiem żadnego transcendentalnego wydarzenia. Pokaz mocy don Juana był jednak tak wspaniały, że nie miałem nic przeciwko temu, ażeby spędzić tutaj noc.

O świcie don Juan usiadł przy mnie. Wyglądał na całkowicie wyczerpanego. Z trudem się poruszał. Położył się na plecach i wymamrotał, że nie udało mu się “przebić kobiety". To stwierdzenie bardzo mnie zaintrygowało. Powtarzał je kilkakrotnie, a za każdym razem ton jego głosu stawał się bardziej przygnębiony, bardziej rozpaczliwy. Zacząłem doświadczać niezwykłego niepokoju. Z łatwością dostrajałem swoje uczucia do nastroju don Juana.

Przez kilka miesięcy don Juan nic nie wspomniał ani o incydencie, ani o kobiecie. Myślałem, że o tym zapomniał albo że znalazł rozwiązanie całej tej sprawy. Jednakże pewnego dnia zastałem go bardzo podekscytowanego, w stanie dalece odbiegającym od jego naturalnego spokoju. Powiedział, że poprzedniej nocy kos stanął przed nim, prawie go dotykając, a on się nawet nie przebudził. Zręczność kobiety była tak wielka, że zupełnie nie wyczuł jej obecności. Powiedział, że na szczęście obudził się w samą porę, żeby stoczyć straszliwą walkę o życie. Ton jego głosu był wzruszający, prawie patetyczny. Poczułem ogarniający mnie przypływ współczucia i troski.

Posępnym i dramatycznym głosem zapewnił mnie, że nie ma żadnego sposobu, żeby ją powstrzymać. Powiedział, że kiedy przyjdzie następnym razem, będzie to jego ostatni dzień na ziemi. Załamałem się. Byłem bliski łez. Don Juan zauważył moją głęboką troskę i roześmiał się, jak mi się wydawało, odważnie. Poklepał mnie po plecach i powiedział, że nie powinienem się martwić, ponieważ nie jest jeszcze do końca przegrany. Została mu jeszcze jedna, ostatnia karta – karta atutowa.

– Wojownik żyje strategicznie – powiedział, uśmiechając się. – Wojownik nigdy nie bierze na siebie ciężaru, którego nie może udźwignąć.

Uśmiech don Juana miał moc rozpraszającą złowieszcze chmury losu. Nagle poczułem się podbudowany. Obaj roześmialiśmy się. Poklepał mnie po głowie.

– Wiesz, ze wszystkich rzeczy na ziemi, ty jesteś moją ostatnią kartą – powiedział nagle, patrząc mi prosto w oczy.

– Co?

– Ty jesteś moją kartą atutową w walce z tą czarownicą.

Nie zrozumiałem, o co mu chodzi, wyjaśnił więc, że kobieta mnie nie zna. Jeśli więc wykonam jego polecenia, to moje szansę na “przebicie jej" są więcej niż duże.

– Co rozumiesz przez “przebicie jej"?

– Nie możesz jej zabić, ale musisz ją przebić jak balon. Jeśli to zrobisz, zostawi mnie w spokoju. Teraz o tym nie myśl. Powiem ci, co masz robić, kiedy nadejdzie odpowiedni czas.

Minęło kilka miesięcy. Zapomniałem o całym wydarzeniu i dlatego któregoś dnia, gdy przyjechałem do domu don Juana, zostałem całkowicie zaskoczony. Don Juan przybiegł do mnie i nie pozwolił mi wysiąść z samochodu.

– Musisz natychmiast odjechać – wyszeptał w przerażającym pośpiechu. – Słuchaj uważnie. Kup albo zdobądź w jakiś sposób dubeltówkę. Nie przynoś mi własnej broni, rozumiesz? Zdobądź jakąkolwiek strzelbę, tylko nie twoją, i zaraz mija tutaj przynieś.

– Po co ci dubeltówka?

– Idź już!

Wróciłem z dubeltówką. Nie miałem dość pieniędzy, żeby kupić strzelbę, ale jeden z moich przyjaciół dał mi swoją starą broń. Don Juan nawet na nią nie spojrzał. Wyjaśnił ze śmiechem, że potraktował mnie tak obcesowo, ponieważ kos siedział na dachu, a on nie chciał, żeby mnie zobaczył.

– Kiedy odkryłem, że kos siedzi na dachu, przyszło mi do głowy, że mógłbyś przynieść strzelbę i przebić go nią – powiedział stanowczo don Juan. – Nie chcę, żeby ci się coś stało, zasugerowałem więc, żebyś kupił strzelbę albo zdobył ją w inny sposób. Widzisz, po wykonaniu zadania, będziesz musiał zniszczyć broń.

– O jakim zadaniu mówisz?

– Musisz spróbować przebić kobietę, strzelając z dubeltówki.

Kazał mi oczyścić strzelbę świeżymi liśćmi i łodygami rośliny o specyficznym zapachu. Sam oczyścił dwa naboje i załadował. Powiedział, że mam się schować przed domem i czekać, aż czarny ptak wyląduje na dachu.

Potem miałem dokładnie wycelować i wypalić z obu luf. Efekt zaskoczenia przebije kobietę bardziej niż same kule. Gdybym był wystarczająco mocny i zdeterminowany, zmusiłbym ją do pozostawienia don Juana w spokoju. Mój cel, tak samo jak determinacja w zamiarze przebicia kobiety musiały być bez zarzutu.

– Musisz krzyknąć w chwili oddawania strzału – powiedział. – Musi to być mocny, przenikliwy krzyk.

Potem don Juan poukładał wiązki bambusa i drewna do palenia jakieś dziesięć stóp od ramady domu. Kazał mi oprzeć się o nie. Było mi dosyć wygodnie. Na pół-siedząc, z wygodnym podparciem pleców, miałem dobry widok na dach.

Don Juan powiedział, że dla czarownicy jest jeszcze za wcześnie na wychodzenie na zewnątrz. Mieliśmy czekać do zmierzchu, przygotowując wszystko co niezbędne. Potem don Juan miał udawać, że zamyka się w domu, żeby przyciągnąć czarownicę i sprowokować ją do kolejnego ataku. Powiedział mi, żebym się odprężył i znalazł sobie wygodną pozycję, z której będę mógł strzelać, nie poruszywszy się. Kilka razy polecił mi wycelować w dach. Doszedł do wniosku, że podnoszenie strzelby na wysokość ramienia i celowanie jest zbyt wolne i niezręczne. Potem zrobił podpórkę dla strzelby. Zaostrzonym żelaznym prętem wywiercił dwie głębokie dziury, wsadził w nie dwa rozwidlone patyki, a pomiędzy nimi przywiązał długi palik. Konstrukcja dawała mi podporę podczas strzelania i pozwalała utrzymywać strzelbę wycelowaną w dach.

Don Juan spojrzał na niebo i powiedział, że powinien już wejść do domu. Wstał i cicho wszedł do środka, udzielając mi ostatniego ostrzeżenia. Powiedział, że moje zadanie to nie żarty i muszę trafić ptaka pierwszym strzałem.

Kiedy don Juan odszedł, przez kilka minut zmierzchało się, po czym zrobiło się dosyć ciemno. Wyglądało to tak, jakby ciemność czekała, aż zostanę sam i nagle spowiła mnie. Usiłowałem skoncentrować wzrok na dachu, którego kontury odcinały się na tle nieba. Przez chwilę na horyzoncie widniało jeszcze trochę światła, tak że Unia dachu pozostawała ciągle widoczna, ale potem niebo stało się czarne i z trudem widziałem dom. Przez kilka godzin nie spuszczałem oczu z dachu, ale niczego nie zauważyłem. Widziałem jedynie kilka sów lecących na północ. Rozpiętość ich skrzydeł była dość duża, więc nie można ich było pomylić z kosami. W pewnej chwili wyraźnie zobaczyłem czarny kształt małego ptaka lądującego na dachu. Był to z całą pewnością ptak! Serce zaczęło mi mocno bić. Zadzwoniło mi w uszach. Wycelowałem w ciemność i nacisnąłem oba spusty. Rozległa się dosyć głośna eksplozja. Na ramieniu poczułem silne kopnięcie kolby. Równocześnie usłyszałem przeszywający, okropny ludzki wrzask, Był głośny, dziwny i najprawdopodobniej dobiegał z dachu. Przez chwilę czułem kompletny zamęt. Wtedy przypomniałem sobie, że don Juan kazał mi krzyknąć w chwili oddawania strzału, a ja o tym zapomniałem. Zastanowiłem się nad ponownym nabiciem pistoletu, kiedy don Juan otworzył drzwi i podbiegł do mnie. Trzymał lampę naftową. Wyglądał na zdenerwowanego.

– Myślę, że ją trafiłeś – powiedział. – Teraz musimy odnaleźć martwego ptaka.

Przyniósł drabinę. Polecił mi wejść na górę i popatrzeć na ramadę, ale niczego tam nie znalazłem. Don Juan wszedł na drabinę i sam rozglądał się przez chwilę, z równie negatywnym skutkiem.

– Może rozwaliłeś ptaka na strzępy – powiedział don Juan – a jeśli tak się stało, musimy znaleźć przynajmniej pióro.

Najpierw szukaliśmy dookoła ramady, a potem wokół domu. Do samego rana przy świetle lampy naftowej prowadziliśmy poszukiwania. Potem jeszcze raz sprawdziliśmy cały teren, na którym szukaliśmy w nocy. Około jedenastej don Juan odwołał poszukiwania. Usiadł przygnębiony, uśmiechnął się do mnie głupkowato i powiedział, że nie udało mi się powstrzymać jego wroga. Teraz, jeszcze bardziej niż przedtem, jego życie nie jest warte funta kłaków, ponieważ kobieta niewątpliwie została rozwścieczona i nie może doczekać się zemsty.

– Ty jednak jesteś bezpieczny – powiedział uspokajająco don Juan. – Ona cię nie zna.

Zamierzałem wrócić do domu. Idąc do samochodu, zapytałem don Juana, czy muszę zniszczyć

dubeltówkę. Powiedział, że skoro strzelba niczego nie zrobiła, powinna zostać zwrócona właścicielowi. W oczach don Juana zauważyłem głęboką rozpacz. Tak mnie to poruszyło, że byłem bliski płaczu.

– Co powinienem zrobić, żeby ci pomóc? – zapytałem.

– Nic nie możesz zrobić – powiedział don Juan.

Na chwilę zapadło milczenie. Chciałem natychmiast odjechać. Czułem przygniatającą boleść. Było mi nieswojo.

– Czy naprawdę chciałbyś mi pomóc? – zapytał don Juan dziecinnym tonem.

Zapewniłem go jeszcze raz, że w każdej chwili jestem do jego dyspozycji. Moje oddanie dla niego było tak głębokie, że zrobiłbym wszystko, żeby mu pomóc.

Don Juan uśmiechnął się i zapytał jeszcze raz, czy to, co mówię, jest prawdą. Z zapałem potwierdziłem wolę niesienia mu pomocy.

– Jeśli naprawdę chcesz to zrobić – powiedział – to może mam jeszcze jedną szansę.

Wyglądał na zachwyconego. Uśmiechał się szeroko i kilka razy zaklaskał rękami, jak robił zawsze, kiedy chciał wyrazić uczucie przyjemności. Zmiana w jego nastroju była tak wyraźna, że ogarnęła również mnie. Nagle poczułem, jak dręcząca mnie boleść zniknęła, a życie znowu stało się niewytłumaczalnie ekscytujące. Don Juan usiadł. Zrobiłem to samo. Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, po czym zaczął mi bardzo spokojnie i rzeczowo tłumaczyć, że jestem jedyną osobą, która w tej chwili może mu pomóc i dlatego zamierza poprosić mnie o zrobienie czegoś bardzo niebezpiecznego i bardzo wyjątkowego.

Na chwilę zamilkł, jakby czekając na moją reakcję. Znowu potwierdziłem szczerą chęć zrobienia dla niego wszystkiego, co tylko się da.

– Dam ci broń do przekłucia czarownicy – powiedział.

Wyjął z torby długi przedmiot i wręczył mi. Wziąłem go i przyjrzałem mu się. Prawie go upuściłem.

– To dzik – ciągnął don Juan. – Musisz ją tym przebić.

Przedmiot, który trzymałem, był wysuszoną przednią nogą dzika. Pokryta była paskudną skórą, a porastająca ją szczecina była odrażająca w dotyku. Kopyto pozostało nienaruszone, a jego dwie połówki rozdwajały się, jakby nogę rozciągano. Wyglądało to okropnie. Prawie mnie zemdliło. Don Juan szybko zabrał mi nogę.

– Musisz jej wbić dzika dokładnie w sam pępek – powiedział don Juan.

– Co? – zapytałem drżącym głosem.

– Musisz trzymać dzika w lewej ręce i pchnąć ją nim. Ona jest czarownicą, więc dzik wejdzie jej do brzucha i nikt na świecie – z wyjątkiem innego czarownika – nie będzie widział, że został tam wbity. To nie jest zwyczajna bitwa, ale porachunki czarowników. Niebezpieczeństwo polega na tym, że jeśli nie uda ci się jej przebić, ona może zabić cię na miejscu albo jej kompani i krewni zastrzelą cię albo zasztyletują. Z drugiej zaś strony, możesz z tego wyjść bez najmniejszego szwanku. Jeśli ci się uda, będzie mieć piekielną zabawę z dzikiem w ciele i zostawi mnie w spokoju.

Znowu ogarnęła mnie udręka. Moje uczucia do don Juana były bardzo głębokie. Podziwiałem go. Do chwili, kiedy wyraził swoją przerażającą prośbę, nauczyłem się już uznawać jego sposób życia i wiedzę za najwyższe osiągnięcie. Jak można było pozwolić umrzeć takiemu człowiekowi? A równocześnie, jak można ryzykować czyjeś życie? Tak się pogrążyłem w rozmyślaniach, że dopóki don Juan nie poklepał mnie po ramieniu, nie zauważyłem, iż wstał i stoi przy mnie. Spojrzałem w górę. Uśmiechał się dobrotliwie.

– Kiedy poczujesz, że naprawdę chcesz mi pomóc, powinieneś wrócić – powiedział – ale nie wcześniej. Jeśli wrócisz, będę wiedzieć, co trzeba zrobić. Idź już! Jeśli nie wrócisz, też to zrozumiem.

Wstałem automatycznie, wsiadłem do samochodu i odjechałem.

Don Juan naprawdę uwolnił mnie z haczyka. Mogłem odjechać i nigdy nie wracać, ale myśl, że mogę swobodnie odjechać, jakoś nie przyniosła mi ulgi. Ujechałem jeszcze kawałek, po czym gwałtownie zawróciłem i zajechałem przed dom don Juana.

Ciągle siedział pod ramadą. Mój widok nie zaskoczył go.

– Usiądź – powiedział. – Chmury na zachodzie są piękne. Zaraz będzie ciemno. Siedź cicho i

pozwól, żeby zmrok cię wypełnił. Rób teraz, co chcesz, ale kiedy ci powiem, spójrz prosto na te lśniące chmury i poproś zmierzch, żeby udzielił ci mocy i spokoju.

Siedziałem twarzą do chmur na zachodzie przez kilka godzin. Don Juan wszedł do domu i został w środku. Wrócił, kiedy zaczęło się robić ciemno.

– Nadszedł zmierzch – powiedział. – Wstań! Nie zamykaj oczu, ale patrz prosto na chmury. Podnieś ramiona do góry, otwórz dłonie, rozpostrzyj palce i biegnij w miejscu.

Wykonałem jego instrukcje. Uniosłem ramiona nad głowę i zacząłem biec. Don Juan podszedł do mnie i skorygował moje ruchy. Położył nogę dzika na mojej lewej dłoni i polecił przytrzymać ją kciukiem. Potem opuścił moje ramiona na dół, tak że wskazywały na pomarańczowe i ciemnoszare chmury nad horyzontem, na zachodzie. Rozsunął mi palce jak wachlarz i powiedział, żebym ich nie zaciskał. Utrzymywanie rozpostartych palców było niesłychanie ważne, ponieważ gdybym je przysunął do siebie, nie prosiłbym zmroku o moc i spokój, ale groziłbym mu. Don Juan poprawił również mój bieg. Powiedział, że powinien być spokojny i jednostajny, tak jakbym naprawdę biegł ku zmrokowi z wyciągniętymi ramionami.

Tamtej nocy nie mogłem zasnąć. Jakby zmierzch, zamiast ukoić, budził we mnie szaleństwo.

– Ciągle w moim życiu jest tyle nie rozstrzygniętych rzeczy – powiedziałem. – Tyle spraw nie rozwiązanych.

Don Juan zachichotał łagodnie.

– W świecie nie ma niczego nie rozstrzygniętego – powiedział. – Nic nie jest skończone, a jednak nie ma niczego nie rozwiązanego. Idź spać.

Słowa don Juana w dziwny sposób uspokoiły mnie.

Następnego ranka, około dziesiątej, don Juan dał mi coś do zjedzenia, po czym wyruszyliśmy. Wyszeptał, że podejdziemy kobietę koło południa, a jeśli to będzie możliwe, przed południem. Powiedział, że najlepszą porą byłyby wczesne godziny poranne, ponieważ z rana czarownica jest zawsze słabsza albo mniej świadoma. W tych godzinach nie opuściłaby nigdy ochrony, jaką daje jej dom. Nie zadawałem żadnych pytań. Skierował mnie na szosę. W pewnym miejscu polecił mi zatrzymać się i zaparkować na poboczu. Powiedział, że tutaj będziemy czekać.

Spojrzałem na zegarek, była za pięć jedenasta. Kilka razy ziewnąłem. Naprawdę byłem śpiący. Mój umysł błądził bez celu.

Nagle don Juan wyprostował się i trącił mnie łokciem. Podskoczyłem na siedzeniu.

– Oto ona! – rzekł.

Zobaczyłem kobietę zmierzającą w kierunku szosy brzegiem uprawnego pola. Niosła koszyk zawieszony na prawym ramieniu. Dopiero wtedy zauważyłem, że stanęliśmy przy skrzyżowaniu. Dwie wąskie drogi biegły równolegle po obu stronach szosy, a jeszcze jedna, szersza i bardziej ruchliwa, krzyżowała się z nią pod kątem prostym. Z pewnością ludzie chodzący tą drogą musieli przechodzić przez szosę.

Kiedy kobieta była jeszcze na drodze, don Juan polecił mi wysiąść z samochodu.

– Zrób to teraz! – powiedział stanowczo.

Posłuchałem go. Kobieta była już prawie na szosie. Pobiegłem i dogoniłem ją. Byłem tak blisko, że czułem na twarzy jej ubranie. Wyciągnąłem racicę dzika spod koszuli i pchnąłem nią kobietę. Nie poczułem żadnego oporu, jaki powinien napotkać tępy przedmiot, który trzymałem w ręce. Zobaczyłem przed sobą ulotny cień, jak udrapowany materiał. Odwróciłem głowę w prawo i zobaczyłem ją stojącą pięćdziesiąt stóp ode mnie po przeciwnej stronie drogi. Była to młoda kobieta o ciemnej karnacji i mocnym, krępym ciele. Uśmiechała się do mnie. Miała białe, duże zęby i pogodny uśmiech. Jej oczy były półprzymknięte, jakby dla ochrony przed wiatrem. Ciągle trzymała koszyk przewieszony przez prawe ramię.

Przeżyłem chwilę niewiarygodnego zamętu. Obróciłem się, żeby spojrzeć na don Juana. Wykonywał szaleńcze gesty, żeby mnie przywołać. Pobiegłem do niego. Za mną pędziło trzech czy czterech mężczyzn. Wsiadłem do samochodu i szybko odjechałem w przeciwnym kierunku.

Spróbowałem spytać don Juana, co się stało, ale nie mogłem mówić. Uszy pękały mi od ciśnienia. Czułem, że się duszę. Don Juan sprawiał wrażenie zadowolonego. Zaczął się śmiać, jakby moje niepowodzenie nie obchodziło go. Tak kurczowo ściskałem kierownicę rękami, że nie mogłem ich

ruszyć. Były przymarznięte. Ramiona zesztywniały mi tak samo jak i nogi. Ściśle biorąc, nie byłem w stanie ściągnąć nogi z pedału gazu.

Don Juan poklepał mnie po plecach i powiedział, żebym się odprężył. Powolutku ciśnienie w uszach zmniejszało się.

– Co się tam stało? – zapytałem w końcu.

Zachichotał jak dziecko, nie odpowiadając. Potem zapytał, czy zauważyłem, w jaki sposób kobieta zeszła z drogi. Wychwalał jej niewiarygodną prędkość. Don Juan zdawał się mówić od rzeczy, tak że naprawdę nie mogłem za nim nadążyć. Wychwalał kobietę! Powiedział, że ma nieskazitelną moc i jest nieustępliwym przeciwnikiem.

Zapytałem don Juana, czy nie dotknęła go moja porażka. Zmiana w jego nastroju zaskoczyła mnie i rozzłościła. Wydawało się, że jest zadowolony.

Powiedział, żebym stanął. Zaparkowałem na poboczu. Położył mi rękę na ramieniu i spojrzał mi głęboko w oczy.

– To, co ci dzisiaj zrobiłem, to była sztuczka – powiedział bez ogródek. – Jest taka zasada, że człowiek wiedzy musi podstępem złapać swojego ucznia. Dzisiaj cię złapałem, sztuczką wprowadziłem cię w naukę.

Osłupiałem. Nie mogłem poukładać myśli. Don Juan wyjaśnił, że cała ta historia z kobietą to był podstęp. Ona nigdy mu nie zagrażała. Jego zaś zadaniem było zaaranżowanie spotkania z nią w specyficznych warunkach rozpaczy i mocy, których doświadczyłem, kiedy usiłowałem ją przebić. Pochwalił moją determinację i nazwał ją aktem mocy, który pokazał kobiecie, że jestem zdolny do wielkiego czynu. Don Juan powiedział, że chociaż nie jestem tego świadomy, to dałem niezły popis.

– Nigdy nie udałoby ci się jej dotknąć – powiedział – ale pokazałeś pazury. Wie, że się nie boisz. Wyzwałeś ją. Użyłem jej jako podstępu, ponieważ posiada wielką moc, jest nieugięta i nigdy nie zapomina. Mężczyźni są zazwyczaj zbyt zajęci, żeby być nieustępliwymi wrogami.

Poczułem wielki gniew. Powiedziałem mu, że nie powinno się bawić najgłębszymi uczuciami i lojalnością człowieka.

Don Juan śmiał się, aż mu łzy ciekły po policzkach, a ja nienawidziłem go w tej chwili. Miałem wielką ochotę walnąć go pięścią i odjechać, jednak w jego śmiechu był jakiś dziwny rytm, który mnie prawie paraliżował.

– Nie bądź taki zły – uspokajał mnie don Juan.

Potem powiedział, że jego działania nigdy nie były farsą, że dawno temu on również ryzykował życie, kiedy jego dobroczyńca zastosował wobec niego taką samą sztuczkę, jaką on zrobił teraz ze mną. Jego dobroczyńca był okrutnym człowiekiem, który nie myślał o nim tak, jak don Juan myśli o mnie. Potem dodał surowo, że kobieta sprawdzała na nim swoją siłę i że naprawdę próbowała go zabić.

– Teraz wie, że się z nią bawiłem – powiedział, śmiejąc się – i to ciebie będzie za to nienawidzić. Mnie nie może nic zrobić, ale odbije to sobie na tobie. Nie wie jeszcze, jaka jest twoja moc, będzie cię więc sprawdzać, krok po kroku. Teraz już nie masz wyboru. Musisz się uczyć dla własnej obrony albo staniesz się zdobyczą tej damy. Ona nie jest sztuczką.

Don Juan przypomniał mi, jak odleciała.

– Nie złość się – powiedział. – To nie był głupi kawał. Taka jest zasada.

W sposobie, w jaki kobieta uciekła przede mną, było coś, co mogło naprawdę doprowadzić do szaleństwa. Sam to widziałem. W mgnieniu oka przeskoczyła całą szerokość drogi. Z pewnością nie wiedziałem, jak się z tego wyplątać. Od tamtej chwili całą uwagę skupiłem na tym incydencie. Krok po kroku zdobywałem dowody na to, że ona naprawdę mnie śledzi. W rezultacie pod naciskiem irracjonalnego strachu musiałem poniechać nauki u don Juana.

Wróciłem do domu don Juana kilka godzin później, wczesnym popołudniem. Najwidoczniej na mnie czekał. Jak tylko wysiadłem z samochodu, podszedł do mnie i z zaciekawieniem mi się przyjrzał, obchodząc kilka razy dookoła.

– Skąd ta nerwowość? – zapytał, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć.

Wyjaśniłem, że coś przestraszyło mnie tego ranka i zacząłem odczuwać, jak coś grasuje w pobliżu mnie, tak samo jak w przeszłości. Don Juan usiadł i pogrążył się w myślach. Jego twarz była

niezwykle poważna. Zdawał się zmęczony. Usiadłem przy nim i poukładałem notatki.

Po długiej przerwie jego twarz rozjaśniła się i uśmiechnął się.

– To, co czułeś dziś rano, to był duch wodnej jamy – powiedział. – Mówiłem ci, że musisz być przygotowany na nieoczekiwane spotkania z tymi siłami. Myślałem, że zrozumiałeś.

– Zrozumiałem.

– No to skąd ten strach? Nie potrafiłem odpowiedzieć.

– Ten duch jest na twoim tropie – rzekł. – Już cię złapał w wodzie. Zapewniam cię, że znowu cię dopadnie i najprawdopodobniej wtedy nie będziesz na to przygotowany, więc to spotkanie stanie się twoim końcem.

Słowa don Juana bardzo mnie zainteresowały. Miałem jednak dziwne uczucie. Byłem przejęty, ale nie bałem się. Cokolwiek się ze mną działo, nie mogło przywołać starego uczucia panicznego strachu.

– Co powinienem zrobić? – zapytałem.

– Zbyt łatwo zapominasz – powiedział. – Ścieżka wiedzy jest wymuszona. Żeby się uczyć, potrzeba nam bodźców. Na ścieżce wiedzy zawsze z czymś walczymy, czegoś unikamy, jesteśmy na coś przygotowani. To coś jest zawsze niewytłumaczalne, większe i potężniejsze od nas. Te niezrozumiałe siły przyjdą do ciebie. Teraz jest to duch wodnej jamy, później będzie to twój własny sprzymierzeniec. Nie możesz więc nic zrobić, tylko przygotować się do walki. Kilka lat temu bodźców dostarczyła ci la Catalina, ale ona była tylko czarownicą i była to tylko sztuczka dla początkujących.

Świat naprawdę jest pełen przerażających rzeczy, a my jesteśmy bezbronnymi istotami otoczonymi przez niewytłumaczalne i nieugięte siły. Przeciętny człowiek w swojej głupocie wierzy, że te siły można wyjaśnić i zmienić. Tak naprawdę nie wie, jak to zrobić, ale spodziewa się, że wcześniej czy później postępowanie ludzkości wyjaśni je albo zmieni. Z drugiej zaś strony, czarownik nie myśli o tłumaczeniu czy zmienianiu czegokolwiek, a zamiast tego uczy się używania tych sił poprzez ukierunkowywanie samego siebie i dostosowywanie się do nich. Na tym polega cała jego sztuczka. Kiedy odkryjesz sztuczki magii, nie znajdziesz w nich nic specjalnego. Czarownik ma się tylko nieco lepiej od przeciętnego człowieka. Magia wcale nie pomaga mu żyć lepiej. Właściwie powinienem powiedzieć, że mu w tym przeszkadza. Czyni jego życie niewygodnym i niebezpiecznym. Otwierając się na wiedzę, czarownik staje się bardziej podatny na zranienie niż przeciętny człowiek. Z jednej strony, jego współbracia nienawidzą i boją się go i będą walczyć, żeby pozbawić go życia. Z drugiej strony, niewytłumaczalne i nieugięte siły, które otaczają każdego z nas, ponieważ żyjemy, dla czarownika są źródłem jeszcze większego zagrożenia. Rana zadana przez zwykłego człowieka jest naprawdę bolesna, ale jest niczym w porównaniu z dotknięciem sprzymierzeńca. Czarownik, otwierając się na wiedzę, staje się łatwą ofiarą takich sił i ma tylko jeden środek, żeby utrzymać się w równowadze – swoją wolę. Musi więc czuć się i zachowywać jak wojownik. Powtórzę to jeszcze raz: tylko wojownik może przetrwać na ścieżce wiedzy. Tym, co pomaga czarownikowi w prowadzeniu lepszego życia, jest siła wojownika.

Moim obowiązkiem jest nauczenie cię widzenia. Nie dlatego, że ja tak chcę, ale dlatego, że zostałeś wybrany. Wskazał mi cię Mescalito. Jednakże, zgodnie z moim osobistym pragnieniem, jestem zobowiązany nauczyć cię odczuwać i żyć jak wojownik. Osobiście wierzę, że bycie wojownikiem jest bardziej przydatne niż wszystko inne. Dlatego też usiłuję pokazać ci te siły, tak jak postrzega je czarownik, ponieważ jedynie pod ich przerażającym wpływem można stać się wojownikiem. Gdybyś nauczył się widzieć, nie będąc wojownikiem, uległbyś słabości. Dałoby ci to fałszywą łagodność, chęć odosobnienia się. Twoje ciało zniszczyłoby się, ponieważ stałbyś się obojętny. Zrobienie z ciebie wojownika, żebyś się nie rozsypał, to mój osobisty obowiązek.

Słyszałem, jak w kółko powtarzasz, że zawsze jesteś przygotowany na śmierć. Nie sądzę, żeby to było konieczne. Uważam to za bezsensowne folgowanie sobie. Słyszałem też, jak mówisz, że twoi rodzice zranili twojego ducha. Myślę, że duch człowieka jest czymś, co bardzo łatwo zranić, chociaż wcale nie tym, co ty uważasz za raniące. Wierzę, że rodzice naprawdę cię zranili, ponieważ nauczyli cię folgować sobie, sprawili, że stałeś się słaby i zawzięty.

Duch wojownika nie służy folgowaniu sobie i narzekaniu, nie używa się go też do wygrywania czy przegrywania. Duch wojownika służy tylko do walki, a każda walka wojownika jest jego ostatnią bitwą na ziemi. Dlatego sam wynik walki znaczy dla wojownika bardzo mało. W swojej ostatniej walce na ziemi wojownik pozwala, aby jego duch odpłynął wolny i czysty. A kiedy to wojownik prowadzi bitwę, wiedząc, że jego wola jest nieskazitelna, śmieje się i śmieje.

Skończyłem pisać i spojrzałem do góry. Don Juan wpatrywał się we mnie. Pokręcił głową i uśmiechnął się.

– Ty naprawdę wszystko zapisujesz? – zapytał z niedowierzaniem. – Genaro mówi, że przy tobie nigdy nie może zachować powagi, bo zawsze piszesz. Ma rację. Jak można przy tobie zachować powagę, skoro zawsze piszesz?

Zachichotał, a ja usiłowałem się bronić.

– To nie ma znaczenia – powiedział – jeśli kiedyś nauczysz się widzieć. Chyba będziesz to musiał zrobić na swój własny, dziwaczny sposób.

Wstał i spojrzał w niebo. Dochodziło południe. Powiedział, że ciągle jest czas na wyruszenie na polowanie do pewnego miejsca w górach.

– Na co będziemy polować? – zapytałem.

– Na szczególne zwierzę, jelenia, dzika albo nawet na pumę.

Zamilkł na chwilę, po czym dodał:

– Nawet na orła.

Wstałem i poszedłem za nim do samochodu. Powiedział, że tym razem jedziemy tylko obserwować i dowiedzieć się, na jakie zwierzę musimy zapolować. Już miał wsiadać do samochodu, kiedy coś sobie przypomniał. Uśmiechnął się i stwierdził, że musimy odłożyć podróż, aż nauczę się czegoś, bez czego polowanie byłoby niemożliwe.

Wróciliśmy i usiedliśmy pod ramadą. Było kilka rzeczy, o które chciałem zapytać, ale don Juan nie dał mi nic powiedzieć. Sam zaczął mówić:

– Doszliśmy do ostatniego punktu dotyczącego wojownika, który musisz poznać – powiedział. – Wojownik wybiera rzeczy, które tworzą jego świat. Czy wiesz, co było z tobą nie tak tamtego dnia, kiedy zobaczyłeś sprzymierzeńca i musiałem cię myć dwa razy?

– Nie.

– Straciłeś swoje tarcze.

– Jakie tarcze? O czym ty mówisz?

– Powiedziałem, że wojownik wybiera rzeczy, które tworzą jego świat. Robi to rozmyślnie, ponieważ każda rzecz, którą wybiera, stanowi tarczę ochraniającą go przed atakami sił, jakie stara się ujarzmić. Wojownik użyłby tarczy, na przykład do obrony przed sprzymierzeńcem.

Przeciętny człowiek, którego te niewytłumaczalne siły otaczają w takim samym stopniu, nie zdaje sobie sprawy z ich istnienia, ponieważ ma inne rodzaje chroniących go osłon.

Przerwał i popatrzył na mnie pytającym wzrokiem. Nie zrozumiałem, o co mu chodzi.

– Czym są te tarcze? – nalegałem.

– Tym, co ludzie robią – powtórzył.

– A co oni robią?

– Rozejrzyj się dookoła. Ludzie są zajęci tym, co robią. To są ich tarcze. Kiedy czarownik spotyka się z niewytłumaczalnymi i nieugiętymi siłami, o których mówimy, otwiera się jego szczelina, czyniąc go jeszcze bardziej podatnym na śmierć niż zazwyczaj. Mówiłem ci, że nasze życie uchodzi przez tę szczelinę, dlatego jeśli jest się wojownikiem, ona pozostaje otwarta, trzeba mieć wolę gotową do jej wypełnienia. Jeśli się nie jest wojownikiem, jak ty, wtedy nie ma innego wyjścia, jak tylko użyć czynności dnia codziennego do odciągnięcia umysłu od strachu wywołanego spotkaniem. W taki sposób zamyka się szczelinę. W dniu, w którym spotkałeś strażnika, zezłościłeś się na mnie. Rozzłościłem cię, ponieważ zatrzymałem twój samochód, no i było ci zimno, kiedy zanurzyłem cię w wodzie. Ponieważ miałeś na sobie ubranie, zrobiło ci się jeszcze zimniej. Złość i zimno pomogły ci zamknąć szczelinę, więc miałeś ochronę. Na tym etapie życia jednak nie możesz już dłużej używać tamtych tarcz z takim powodzeniem, jak przeciętny człowiek. Wiesz o tych siłach zbyt dużo i teraz jesteś w końcu bliski odczuwania i zachowywania się jak wojownik. Twoje stare tarcze nie dają już zabezpieczenia.

– Co mam robić?

– Zachowuj się jak wojownik i sam wybieraj rzeczy swojego świata. Nie możesz już dłużej otaczać

się rzeczami na łapu capu. Mówię ci to jak najbardziej poważnie. Teraz, po raz pierwszy, twój stary sposób życia przestał być dla ciebie bezpieczny.

– Co masz na myśli, mówiąc o wybieraniu rzeczy w moim świecie?

– Wojownik spotyka się z niewytłumaczalnymi i nieugiętymi siłami, ponieważ rozmyślnie ich szuka. Dlatego jest zawsze przygotowany na ich spotkanie. Ty zaś nigdy nie jesteś na to przygotowany. W istocie, jeśli te siły przyjdą do ciebie, wezmą cię przez zaskoczenie. Walka otworzy twoją szczelinę, a życie nieuchronnie przez nią ucieknie. Pierwszą rzeczą, jaką musisz zrobić, to przygotować się na to. Myśl o tym, że w każdej chwili sprzymierzeniec może wyskoczyć przed tobą i że musisz być gotowy na to spotkanie. Spotkanie ze sprzymierzeńcem to nie przyjęcie ani niedzielny piknik, a wojownik jest odpowiedzialny za ochronę swojego życia. Kiedy któraś z tych sił dotknie cię i otworzy twoją szczelinę, musisz świadomie walczyć, żeby samemu ją zamknąć. W tym celu powinieneś wybrać pewną liczbę rzeczy, które przyniosą ci wielki spokój i dadzą przyjemność. Rzeczy, jakich możesz celowo użyć do odciągnięcia myśli od strachu, zamknięcia szczeliny i powrotu do zwartej formy.

– O jakie rzeczy ci chodzi?

– Kilka lat temu mówiłem ci, że w codziennym życiu wojownik wybiera sercem swoją ścieżką. Jest to konsekwentny wybór ścieżki sercem, który odróżnia wojownika od zwykłego człowieka. Kiedy wojownik stanowi ze swoją ścieżką jedno, kiedy podążając nią, doświadcza wielkiego spokoju i przyjemności, to wie, że jego ścieżka ma serce. Rzeczy, które wojownik wybiera na tarcze, pochodzą ze ścieżki serca.

– Lecz powiedziałeś, że nie jestem wojownikiem, jakże więc mogę wybrać ścieżkę serca?

– To jest dla ciebie punkt zwrotny. Powiedzmy, że przedtem właściwie nie musiałeś żyć jak wojownik. Teraz jest inaczej, teraz musisz otoczyć się przedmiotami ścieżki serca, a resztę odrzucić, w przeciwnym razie zginiesz przy następnym spotkaniu. Mogę ci jeszcze powiedzieć, że już więcej nie musisz prosić o spotkanie. Teraz sprzymierzeniec może przyjść do ciebie, kiedy będziesz spał albo rozmawiał z przyjacielem, albo pisał.

– Przez lata szczerze próbowałem żyć zgodnie z twoimi naukami – powiedziałem. – Jak widać, nie szło mi zbyt dobrze. Jakże więc teraz może mi pójść lepiej?

– Za dużo myślisz i mówisz. Musisz przestać do siebie mówić.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Za dużo do siebie mówisz. Nie jesteś pod tym względem wyjątkiem. Każdy z nas to robi. Prowadzimy wewnętrzną rozmowę. Pomyśl o tym. Kiedy tylko zostajesz sam, co robisz?

– Rozmawiam ze sobą.

– A o czym ze sobą rozmawiasz?

– Nie wiem, chyba o wszystkim.

– Powiem ci, o czym ze sobą rozmawiamy. Rozmawiamy o naszym świecie. Tak naprawdę, utrzymujemy nasz świat przy pomocy wewnętrznej rozmowy.

– W jaki sposób to robimy?

– Ilekroć przestajemy ze sobą rozmawiać, świat zawsze jest taki, jaki być powinien. Odnawiamy go, rozpalamy w nim życie, podtrzymujemy go naszą wewnętrzną rozmową. To zresztą nie wszystko. Rozmawiając ze sobą, wybieramy również swoje ścieżki. Dlatego wciąż od nowa dokonujemy tych samych wyborów, aż do dnia śmierci, ponieważ w kółko, aż do śmierci, powtarzamy tą samą wewnętrzną rozmowę. Wojownik jest tego świadomy i stara się przestać prowadzić swoją rozmowę. Jest to ostatnia rzecz, którą musisz wiedzieć, jeśli chcesz żyć jak wojownik.

– W jaki sposób mogę przestać ze sobą rozmawiać?

– Przede wszystkim musisz użyć uszu do odciążenia oczu. Od chwili narodzin do oceniania świata używamy oczu. Rozmawiamy z innymi i ze sobą głównie o tym, co widzimy. Wojownik jest tego świadomy i słucha świata. Słucha jego dźwięków.

Odłożyłem notatki. Don Juan roześmiał się i powiedział, że nie chciał zmuszać mnie do robienia tego na siłę. Słuchanie dźwięków świata musi się odbywać harmonijnie i z wielką cierpliwością.

– Wojownik jest świadomy, że świat zmieni się, kiedy tylko przestanie ze sobą rozmawiać – powiedział – i musi być przygotowany na ten gigantyczny wstrząs.

– Co masz na myśli, don Juanie?

– Świat jest taki a taki albo inny tylko dlatego, że mówimy sobie, że tak właśnie jest. Jeśli przestaniemy sobie powtarzać, że świat jest taki to a taki, to przestanie być taki a taki. Nie sądzę, żebyś w tej chwili był gotowy na ten wstrząs, dlatego musisz zacząć powoli rozpuszczać świat.

– Naprawdę cię nie rozumiem!

– Twój problem polega na tym, że mylisz świat z tym, co robią ludzie. I znowu nie jesteś w tym wyjątkiem. Każdy z nas to robi. To, co ludzie robią, stanowi osłonę przed siłami, które nas otaczają. To, co robimy jako ludzie, daje nam poczucie komfortu i sprawia, że czujemy się bezpieczni. To, co ludzie robią, jest w istocie bardzo ważne, ale jedynie jako tarcza. Nie potrafimy nauczyć się, że rzeczy, które robimy jako ludzie, są tylko tarczami i pozwalamy im, aby dominowały i uwieńczały nasze życie. Mógłbym nawet powiedzieć, że dla ludzkości to, co robią ludzie, jest lepsze i ważniejsze niż sam świat.

– Co ty nazywasz światem?

– Świat jest tym wszystkim, co jest tutaj – powiedział i mocno tupnął nogą w ziemię. – Życie, śmierć, ludzie, sprzymierzeńcy i wszystko, co nas otacza. Świat jest niezrozumiały. Nigdy go nie zrozumiemy. Nigdy nie odkryjemy jego sekretów. Dlatego musimy widzieć go takim, jakim jest, po prostu traktować go jak tajemnicę!

Przeciętny człowiek jednak nie robi tego. Dla niego świat nigdy nie jest tajemnicą. Kiedy dobiega do starości, jest przekonany, że nie ma już po co żyć. Stary człowiek nie zgłębił świata. Zgłębił jedynie to, co robią ludzie. I tkwiąc w swoim głupim zamęcie, wierzy, że świat nie ma już przed nim tajemnic. Jaką ohydną cenę płacimy za nasze tarcze!

Wojownik jest świadomy tego zamętu i uczy się traktować rzeczy właściwie. To, co robią ludzie, w żadnym wypadku nie może stać się ważniejsze od świata. Dlatego wojownik uważa świat za nie kończącą się tajemnicę, a to, co robią ludzie, za nie kończący się kaprys.

15

Zacząłem ćwiczyć słuchanie “dźwięków świata" i wytrwałem przy tym przez dwa miesiące, tak jak polecił mi don Juan. Na początku słuchanie zamiast patrzenia sprawiało mi bardzo dużo trudności, ale jeszcze bardziej uciążliwe było nierozmawianie ze sobą. Pod koniec dwumiesięcznego treningu umiałem przerwać na krótko wewnętrzny dialog, potrafiłem też zwracać uwagę na dźwięki.

10 listopada 1969 roku, o godzinie dziewiątej, zajechałem pod dom don Juana.

– Powinniśmy od razu wyruszyć na tę wyprawę – powiedział don Juan, kiedy tylko przyjechałem.

Odpoczywałem przez godzinę, po czym pojechaliśmy w kierunku niskich gór na wschodzie. Zostawiliśmy samochód pod opieką jednego z przyjaciół don Juana, mieszkającego w tamtej okolicy, i ruszyliśmy w góry. Don Juan zapakował mi do plecaka trochę krakersów i słodkich bułeczek. Jedzenia było dość na dzień albo i dwa. Zapytałem go, czy nie będziemy potrzebować więcej. Zaprzeczył ruchem głowy.

Szliśmy przez cały ranek. Niosłem menażkę z wodą, z której zresztą sam większość wypiłem. Don Juan pił tylko dwa razy. Kiedy woda skończyła się, zapewnił mnie, że mogę pić ze strumieni, które napotykaliśmy na drodze. Śmiał się z mojej niechęci. Wkrótce pragnienie skłoniło mnie do porzucenia obaw.

Wczesnym popołudniem zatrzymaliśmy się w małej dolinie u stóp wzgórz porośniętych bujną zielenią. Za wzgórzami, na wschodzie, na tle zachmurzonego nieba rysowały się sylwetki wysokich gór.

– Możesz myśleć i pisać o tym, o czym mówimy albo o tym, co widzimy, ale ani słowa o tym, gdzie jesteśmy – powiedział.

Przez chwilę odpoczywaliśmy, po czym don Juan wyciągnął zza koszuli pakunek. Rozwinął go i pokazał mi swoją fajkę. Napełnił ją mieszanką, zapałką zapalił małą suchą gałązkę, zapaloną gałązkę umieścił w fajce i kazał mi palić. Trudno było rozpalić fajkę bez węgielka. Musieliśmy trzymać płonące gałązki tak długo, aż mieszanka zapaliła się.

Kiedy skończyłem palić, don Juan powiedział, że jesteśmy tutaj po to, żebym mógł odkryć, na jaką zwierzynę powinienem zapolować. Kilkakrotnie dobitnie powtórzył, że najważniejszą częścią mojego zadania jest znalezienie dziur. Podkreślił słowo “dziura" i powiedział, że w dziurach czarownik może znaleźć różnorakie wiadomości i wskazówki.

Chciałem zapytać, o jakie dziury mu chodzi. Don Juan domyślił się mojego pytania i powiedział, że dziury te są niemożliwe do opisania, ponieważ znajdują się w sferze widzenia. Powtórzył kilka razy, że powinienem skupić całą uwagę na wsłuchiwaniu się w dźwięki i postarać się z całych sił znaleźć dziury między dźwiękami. Powiedział, że cztery razy zagra na pułapce na duchy. Miałem użyć jej niesamowitych dźwięków jako przewodnika prowadzącego mnie do sprzymierzeńca, który mnie zaprosił. Ten zaś przekaże mi wiadomości, których potrzebowałem. Don Juan kazał mi być przez cały czas bardzo czujnym, ponieważ nie wiedział, w jaki sposób objawi się sprzymierzeniec.

Słuchałem uważnie. Siedziałem oparty plecami o skaliste zbocze wzgórza. Byłem trochę zdrętwiały. Don Juan przestrzegł mnie przed zamykaniem oczu. Zacząłem słuchać. Rozróżniałem pogwizdywania ptaków, wiatr szeleszczący w liściach, bzyczenie owadów. Kiedy zwracałem uwagę na każdy z tych dźwięków z osobna, mogłem wyszczególnić cztery różne rodzaje ptasich pogwizdywań. Rozróżniałem, czy wiatr wieje powoli czy szybko. Słyszałem również różne szelesty trzech rodzajów liści. Bzyczenie owadów działało oszałamiająco. Było ich tak wiele, że nie mogłem ich ani policzyć, ani właściwie odróżnić.

Jak nigdy dotąd, pogrążyłem się w dziwnym świecie dźwięków. Zacząłem osuwać się na prawo. Don Juan wykonał ruch, żeby mnie zatrzymać, ale sam się zorientowałem, zanim zdążył cokolwiek zrobić. Wstałem, po czym znowu usiadłem prosto. Don Juan przesunął mnie i usadowił w szczelinie skalnej ściany. Spod moich nóg usunął małe kamienie, a tył głowy oparł o skałę.

Rozkazującym tonem polecił mi patrzeć na góry znajdujące się na północnym wschodzie. Skupiłem spojrzenie na odległym punkcie, ale on poprawił mnie i powiedział, że nie powinienem się wpatrywać, ale patrzeć, obejmować wzrokiem wzgórza naprzeciw mnie razem z porastającą je roślinnością. W

kółko powtarzał, że powinienem skupić całą uwagę na słuchu.

Dźwięki ponownie stały się wyraźniejsze. Wyglądało na to, że nie ja chciałem ich słuchać, raczej to one zmuszały mnie, żebym się na nich koncentrował. Wiatr szeleścił liśćmi. Najpierw przeleciał wysoko nad drzewami, po czym wpadł do doliny, w której siedzieliśmy. Zniżając swój lot, dotykał liści. Najpierw poruszył wysokie drzewa, które wydały dziwny dźwięk. Odebrałem go jako bogaty, szorstki i bujny. Potem wiatr uderzył w krzewy, a ich liście zabrzmiały jak tłum małych stworów. Ich dźwięk był całkiem melodyjny, bardzo wciągający i pełen wymagań. Mógł być zdolny do pochłonięcia wszystkiego. Nie spodobał mi się. Poczułem się zakłopotany, ponieważ przyszło mi do głowy, że jestem jak szelest krzaków – zrzędliwy i wymagający. Dźwięk wydawał się tak podobny do mnie, że go prawie nienawidziłem. Potem usłyszałem, jak wiatr toczy się po ziemi. Nie szeleścił, ale raczej świstał, prawie dzwonił albo bzyczał płasko. Słuchając dźwięków wydawanych przez wiatr, zdałem sobie sprawę, że wszystkie trzy ich rodzaje brzmiały naraz. Zastanawiałem się, w jaki sposób udaje mi się odróżnić każdy z osobna, kiedy znowu dotarło do mnie świergotanie ptaków i bzyczenie owadów. W jednej chwili słyszałem tylko dźwięki wiatru, a w następnej w moim polu świadomości pojawił się gigantyczny napływ dźwięków. Logicznie rzecz ujmując, wszystkie dźwięki musiały być emitowane nieprzerwanie, przez cały czas, kiedy ja słyszałem tylko wiatr. Nie mogłem zliczyć wszystkich ptasich treli ani bzyczenia owadów, byłem jednak przekonany, że słyszę każdy dźwięk z osobna, w chwili, kiedy on powstaje. Razem tworzyły one przedziwny porządek. Nie mogę określić tego żadnym innym słowem, jak tylko “porządek". Porządek posiadał wzór, tj. wszystkie dźwięki występowały w określonej kolejności.

Potem usłyszałem dziwne, długotrwałe zawodzenie. Zadrżałem. Wszystkie inne dźwięki zamilkły na chwilę. Dolina zamarła, a zawodzenie odbijało się echem aż po jej krańce, po czym dźwięki znowu się odezwały. Natychmiast podchwyciłem ich wzór. Po chwili wytężonego wsłuchiwania się pomyślałem, że rozumiem zalecenie don Juana, dotyczące obserwowania dziur pomiędzy dźwiękami. Wzór hałasów miał przerwy między dźwiękami! Na przykład konkretne ptasie głosy były zsynchronizowane, a pomiędzy nimi występowały przerwy, to samo dotyczyło wszystkich dźwięków, które odbierałem. Szelest liści działał jak klej łączący dźwięki w jednostajne bzyczenie. Istotnym faktem było to, że zsynchronizowane dźwięki stanowiły jednostkę w całości wzoru. Dlatego, kiedy zwracałem uwagę na przerwy czy pauzy między dźwiękami, stawały się one dziurami w strukturze.

Jeszcze raz usłyszałem przeszywające zawodzenie pułapki na duchy don Juana. Nie wstrząsnęło to mną, ale dźwięki znowu urwały się na chwilę. Przerwę tą odebrałem jako dziurę, bardzo wielką dziurę. Dokładnie wtedy przestawiłem uwagę ze słyszenia na patrzenie. Spoglądałem na kilka niskich wzgórz porośniętych bujną, zieloną roślinnością. Ich sylwetki układały się w taki sposób, że z miejsca, z którego patrzyłem, na zboczu jednego z nich zdawała się widnieć dziura. Była to przestrzeń pomiędzy dwoma wzgórzami, za którymi widziałem głęboką, ciemnoszarą barwę odległych gór. Przez chwilę nie wiedziałem, co to jest. Wyglądało tak, jakby dziura, na którą patrzyłem, była dziurą w dźwiękach. Wkrótce hałasy zaczęły się od nowa, ale wizualny obraz wielkiej dziury pozostał. Zaraz potem stałem się jeszcze bardziej świadomy wzoru dźwięków, ich porządku i ułożenia przerw. Mój umysł potrafił rozróżnić wielką ilość pojedynczych dźwięków. W rzeczywistości mogłem śledzić wszystkie dźwięki, a każda przerwa między nimi była wyraźną dziurą. W pewnym momencie przerwy skrystalizowały się w moim umyśle i utworzyły rodzaj trwałej sieci, strukturę, której ani nie widziałem, ani nie słyszałem, ale odczuwałem jak jakąś nieznaną część siebie.

Don Juan jeszcze raz zagrał na strunie. Tak jak przedtem, dźwięki zamarły, tworząc wielką dziurę w strukturze dźwięku. Tym razem jednak ta wielka przerwa zmieszała się z dziurą we wzgórzach, na którą patrzyłem, obie nałożyły się na siebie. Wrażenie postrzegania dwóch dziur trwało tak długo, że mogłem widzieć – słyszeć ich kontury i to, jak do siebie pasują. Potem dźwięki odezwały się znowu, a struktura ich przerw stała się niewiarygodna, prawie widzialna. Zacząłem widzieć, jak dźwięki tworzą wzory, a potem te wszystkie wzory nałożyły się na otoczenie, w taki sarn sposób, jak nakładające się na siebie dwie dziury. To nie było ani patrzenie, ani słuchanie, do jakiego przywykłem. Robiłem coś zupełnie innego, na co składały się cechy obu tych czynności. Z jakiegoś powodu moja uwaga pozostawała skupiona na wielkiej dziurze we wzgórzach. Czułem, że ją słyszę i równocześnie patrzę na nią. Czaił się w niej jakiś urok. Zdominowała moje pole widzenia, a każdy pojedynczy wzór dźwięków, który współgrał z otoczeniem, pozostawał zawieszony na tej dziurze.

Jeszcze raz usłyszałem niesamowite zawodzenie pułapki na duchy don Juana. Wszystkie inne dźwięki ustały. Dwie duże dziury jakby zapaliły się, a potem patrzyłem na zaorane pole. Sprzymierzeniec stał na nim tak, jak widziałem go poprzednim razem. Światło całej sceny stało się bardzo przejrzyste. Widziałem go tak wyraźnie, jakby znajdował się pięćdziesiąt jardów ode mnie. Jego twarz nie była widoczna, zakrywał ją kapelusz. Potem zaczął iść w moim kierunku. Idąc, powoli

podnosił głowę. Prawie zobaczyłem jego twarz i to mnie przeraziło. Wiedziałem, że natychmiast muszę go zatrzymać. Poczułem w ciele dziwną falę i przypływ mocy. Chciałem odwrócić głowę, żeby przerwać wizję, ale nie mogłem tego zrobić. W tym decydującym momencie przyszła mi do głowy myśl. Zrozumiałem, co miał na myśli don Juan, kiedy mówił, że elementy ścieżki serca stanowią tarcze. W moim życiu było coś, co chciałem robić, coś bardzo pochłaniającego i intrygującego, coś, co napełniało mnie wielkim spokojem i radością. Wiedziałem, że sprzymierzeniec nie może mnie pokonać. Odwróciłem głowę bez trudu, zanim zdążyłem dostrzec całą jego twarz.

Zacząłem słyszeć pozostałe dźwięki, które nagle stały się głośne i przeraźliwe, jakby naprawdę były na mnie złe. Zatraciły swoje wzory i zmieniły się w bezkształtne zbiorowisko ostrych, bolesnych pisków. Uszy zaczęły mi pękać od ich ciśnienia. Poczułem, że moja głowa zaraz eksploduje. Wstałem i przykryłem uszy dłońmi.

Don Juan pomógł mi podejść do bardzo małego strumyczka, polecił zdjąć ubranie i wturlał mnie do wody. Ułożył mnie w prawie suchym korycie strumienia, po czym nabrał wody w kapelusz i polał mnie.

Ciśnienie w uszach obniżyło się bardzo szybko, a umycie mnie zajęło jedynie kilka minut. Don Juan popatrzył na mnie, pokiwał głową z zadowoleniem i powiedział, że utwardziłem się błyskawicznie.

Ubrałem się, a don Juan zabrał mnie z powrotem do miejsca, w którym siedziałem. Byłem pełen wigoru i pogodny. Miałem przejrzysty umysł.

Don Juan chciał poznać wszystkie szczegóły mojej wizji. Powiedział, że dziury w dźwiękach pozwalają czarownikom dowiedzieć się szczególnych rzeczy. Sprzymierzeniec czarownika może ujawniać poprzez dziury w dźwiękach skomplikowane sprawy. Odmówił dokładniejszego określenia dziur i odrzucił moje pytania mówiąc, że ponieważ nie mam sprzymierzeńca, takie informacje tylko by mi zaszkodziły.

– Dla czarownika wszystko ma znaczenie – powiedział. – Dźwięki mają dziury tak samo, jak wszystko dookoła. Normalnie człowiek nie dysponuje szybkością potrzebną do wyłapania dziur, dlatego przechodzi przez życie bez ochrony. Robaki, ptaki, drzewa – one wszystkie mogą nam powiedzieć niewiarygodne rzeczy, jeśli tylko będziemy wystarczająco szybcy, żeby pochwycić ich przesłanie. Dymek może nam dać prędkość potrzebną do jego uchwycenia. Musimy być wszakże w dobrych układach ze wszystkimi istotami żyjącymi w świecie. Właśnie dlatego powinniśmy rozmawiać z roślinami, które mamy zamiar zabić i przepraszać je za zranienie. To samo dotyczy zwierząt, na które zamierzamy polować. Powinniśmy brać tylko tyle, ile potrzeba nam do zaspokojenia potrzeb, w przeciwnym razie rośliny, zwierzęta i robaki, które zabiliśmy, zwrócą się przeciwko nam, sprowadzając na nas choroby i nieszczęścia. Wojownik jest tego świadomy, stara się je uspokoić, więc kiedy spogląda przez dziury, drzewa, ptaki i robaki udzielają mu wiarygodnych informacji.

Ale to wszystko nie jest teraz ważne. Ważne jest, że widziałeś sprzymierzeńca. To twoja zwierzyna! Mówiłem ci, że na coś zapolujemy. Myślałem, że będzie to zwierzę. Doszedłem do wniosku, że zobaczysz zwierzę, na które będziemy musieli zapolować. Ja sam zobaczyłem dzika. Moja pułapka na duchy to dzik.

– Chcesz powiedzieć, że twoja pułapka na duchy jest zrobiona z dzika?

– Nie! Nic w życiu czarownika nie jest zrobione z czegoś innego. Jeśli coś jest w ogóle czymś, to właśnie tą rzeczą. Gdybyś znał dziki, wiedziałbyś, że moja pułapka na duchy jest jednym z nich.

– Dlaczego przyjechaliśmy tu polować?

– Sprzymierzeniec pokazał ci pułapkę na duchy, którą wyjął z torby. Jeśli masz zamiar go wzywać, będzie ci taka potrzebna.

– Co to jest pułapka na duchy?

– To włókno. Mogę nią przywoływać sprzymierzeńców albo mojego sprzymierzeńca, albo wzywać duchy wodnych jam, duchy rzek, duchy gór. Moja pułapka jest dzikiem i krzyczy jak dzik. Dwa razy używałem jej przy tobie, aby wezwać ducha wodnej jamy, żeby ci pomógł. Duch przyszedł do ciebie tak samo, jak przyszedł dzisiaj sprzymierzeniec. Nie widziałeś go jednak, bo nie miałeś odpowiedniej prędkości. Jednak tamtego dnia, kiedy zabrałem cię do kanionu z wodą i położyłem na skale, wiedziałeś, że duch jest prawie na tobie, ale nie widziałeś go. Te duchy są pomocnikami. Trudno z nimi postępować i w pewnym sensie są niebezpieczne. Żeby je utrzymywać w posłuszeństwie, trzeba mieć nieskazitelną wolę.

– Jak one wyglądają?

– Dla każdego człowieka inaczej, tak samo jak sprzymierzeńcy. Dla ciebie sprzymierzeniec będzie najwidoczniej wyglądał jak człowiek, którego kiedyś znałeś, albo jak człowiek, którego będziesz miał poznać. Takie już masz skłonności. Lubisz tajemnice i sekrety. Ja nie jestem taki jak ty, dlatego dla mnie sprzymierzeniec jest czymś bardzo konkretnym.

Duchy wodnych jam występują w specyficznych miejscach. Tego, którego wezwałem, żeby ci pomógł, znam osobiście. Pomagał mi wiele razy. Mieszka w tamtym kanionie. Kiedy zawołałem go, żeby ci pomógł, nie byłeś silny, więc duch potraktował cię ostro. Nie miał takiego zamiaru – bo one nie wykazują czegoś takiego – ale po prostu leżałeś tam bardzo słaby, słabszy niż się spodziewałem. Później duch prawie zwabił cię w pułapkę śmierci. W wodzie, w kanale nawadniającym, fosforyzowałeś. Duch cię zaskoczył, a ty prawie uległeś. Jeśli duch zrobi to choć raz, zawsze wraca po swoją zdobycz. Jestem pewien, że wróci po ciebie. Niestety potrzebujesz wody, żeby się utwardzać po zażyciu dymku, co stawia cię w wyjątkowo niekorzystnej sytuacji. Jeśli nie będziesz używać wody, pewnie umrzesz, ale jeśli będziesz jej używać, zabierze cię duch.

– Czy mogę używać wody w innym miejscu?

– To nic nie da. Duch wodnej jamy z okolicy mojego domu może iść za tobą wszędzie, chyba że postarasz się o pułapkę na duchy. Dlatego właśnie pokazał ci ją sprzymierzeniec. Powiedział ci, że jej potrzebujesz. Owinął ją sobie dookoła lewej ręki i przyszedł do ciebie, wskazując na kanion z wodą. Dzisiaj znowu chciał ci pokazać pułapkę na duchy, tak jak przy pierwszym spotkaniu. Mądrze zrobiłeś, że go zatrzymałeś. Sprzymierzeniec poruszał się zbyt szybko jak na twoje siły, a bezpośrednie zderzenie z nim zraniłoby cię.

– Jak mam teraz zdobyć pułapkę na duchy?

– Najwidoczniej sam sprzymierzeniec ci ją da.

– W jaki sposób?

– Nie wiem. Będziesz musiał do niego iść. Już ci powiedział, gdzie masz jej szukać.

– Gdzie?

– Tam wysoko, na wzgórzach, gdzie zobaczyłeś dziurę.

– Czy mam szukać samego sprzymierzeńca?

– Nie. Ale on już cię zaprasza. Dymek otworzył ci drogę do niego. Później spotkasz się z nim twarzą w twarz, ale to stanie się dopiero wtedy, kiedy go bardzo dobrze poznasz.

16

Przybyliśmy do tej samej doliny późnym popołudniem 15 grudnia 1969 roku. Kiedy przedzieraliśmy się przez krzewy, don Juan kilkakrotnie wspomniał, że w zadaniu, którego się podjąłem, niesłychanie ważne są kierunki i punkty orientacyjne.

– Natychmiast po wejściu na szczyt wzgórza musisz ustalić właściwy kierunek – powiedział don Juan. – Jak tylko znajdziesz się na szczycie, stań twarzą w tym kierunku. – Wskazał na południowy wschód. – To jest twój dobry kierunek i zawsze powinieneś stawać twarzą do niego, szczególnie gdy masz kłopoty. Pamiętaj o tym.

Zatrzymaliśmy się u podnóża wzgórz, wśród których wypatrzyłem dziurę. Don Juan wskazał konkretne miejsce, gdzie miałem usiąść. Sam usiadł przy mnie i bardzo cichym głosem udzielał mi szczegółowych instrukcji. Powiedział, że jak tylko dotrę na szczyt wzgórza, powinienem wyciągnąć przed siebie prawe ramię, opuścić dłoń na dół i rozłożyć palce jak wachlarz. Nie dotyczyło to kciuka, który miał być przyciśnięty do dłoni. Następnie miałem obrócić głowę na północ i zgiąć ramię na poziomie piersi, wskazując ręką również na północ. Potem powinienem tańczyć, stawiając lewą nogę za prawą i uderzając w ziemię czubkami palców lewej nogi. Powiedział, że kiedy poczuję ciepło idące w górę lewej nogi, mam powoli przesunąć ramię z północy na południe, a potem znowu na północ.

– Musisz usiąść w tym miejscu, nad którym dłonią poczujesz ciepło, kiedy będziesz przesuwał rękę. Jest to też kierunek, w który musisz patrzeć – powiedział. – Jeśli miejsce to znajdzie się na wschodzie albo jeśli będzie w tamtym kierunku – jeszcze raz wskazał na północny wschód – możesz spodziewać się wspaniałych rezultatów. Jeśli natomiast miejsce, nad którym twoja dłoń rozgrzeje się, będzie znajdować się na północy, dostaniesz tęgie lanie, ale będziesz mógł obrócić wszystko na swoją korzyść. Jeśli odkryjesz miejsce na południu, czeka cię ciężka walka.

Na początku będziesz musiał przesuwać ręką do czterech razy, ale kiedy zaznajomisz się z tym ruchem, jedno przesunięcie wystarczy ci, aby poznać, czy twoja ręka rozgrzewa się, czy też nie.

Kiedy już odkryjesz miejsce, nad którym twoja ręka rozgrzewa się, usiądź tam. To twój pierwszy krok. Jeśli znajdziesz się twarzą na południe albo na północ, będziesz musiał zdecydować, czy czujesz się na tyle silny, żeby zostać. Jeśli zaczniesz wątpić w siebie, wstań i odejdź. Gdybyś nie miał do siebie zaufania, pozostanie tam byłoby bezsensowne. Jeśli zdecydujesz się zostać, w odległości około pięciu stóp od tego miejsca oczyść teren wystarczająco duży do rozpalenia ogniska. Ognisko musi znajdować się na Unii kierunku, w którym patrzysz. Miejsce, gdzie rozpalisz ognisko, będzie twoim drugim punktem. Potem pozbieraj wszystkie gałązki, jakie znajdziesz pomiędzy tymi dwoma punktami i rozpal ogień. Usiądź w pierwszym punkcie i patrz w ogień. Wcześniej czy później pojawi się duch i zobaczysz go.

Jeśli twoja ręka nie rozgrzeje się po wykonaniu czterech przesunięć, przesuń ramię powoli z północy na południe, potem obróć się i przesuń je na zachód. Jeśli ręka stanie się ciepła nad jakimś punktem w kierunku zachodnim, rzuć wszystko i uciekaj. Zbiegnij ze wzgórza na płaski teren i niezależnie od tego, co będziesz za sobą słyszał czy czuł, nie odwracaj się. Kiedy tylko dobiegniesz do płaskiego terenu, bez względu na to, jak będziesz przerażony, nie biegnij dalej, lecz połóż się na ziemi. Zdejmij kurtkę, zwiń ją na pępku i skul się, przyciągając kolana do brzucha. Musisz również zakryć oczy rękami, a ramiona trzymać przyciśnięte do ud. W takiej pozycji powinieneś wytrzymać do rana. Jeśli wykonasz te proste polecenia, nic złego ci się nie stanie.

Gdyby ci się nie udało dobiec do płaskiego terenu na czas, padnij na ziemię tam, gdzie stoisz. Przeżyjesz ciężkie chwile. Będziesz nękany, ale jeśli wytrzymasz w spokoju, nie poruszając się ani nie patrząc, wyjdziesz z tego bez jednego zadraśnięcia.

Jeśli zaś twoja ręka wcale się nie rozgrzeje podczas przesuwania na zachód, jeszcze raz stań twarzą na wschód i biegnij prosto przed siebie, aż do utraty tchu. Zatrzymaj się wtedy i powtórz te same ruchy. Musisz tak długo biec na wschód, aż twoja ręka rozgrzeje się.

Po udzieleniu tych instrukcji don Juan kazał mi powtarzać je tak długo, aż nauczyłem się ich na pamięć. Potem długo siedzieliśmy w milczeniu. Kilka razy próbowałem rozpocząć rozmowę, ale za każdym razem uciszał mnie stanowczym gestem.

Robiło się ciemno, kiedy don Juan wstał i bez słowa zaczął się wspinać na wzgórze. Poszedłem za

nim. Na szczycie wzgórza wykonałem wszystkie ruchy, które mi zalecił. Stał przy mnie w niewielkiej odległości i obserwował uważnie. Byłem bardzo dokładny i rozmyślnie powolny. Starałem się wyczuć każdą zmianę temperatury, ale nie mogłem stwierdzić, czy moja dłoń rozgrzewa się, czy nie. Zrobiło się już dosyć ciemno, ale ciągle jeszcze mogłem biec na wschód, nie wpadając na krzaki. Zatrzymałem się, kiedy zabrakło mi oddechu, niezbyt daleko od miejsca, z którego wyruszyłem. Byłem bardzo zmęczony i napięty. Bolały mnie przedramiona i łydki.

Ponownie powtórzyłem wszystkie wymagane gesty i znowu bez rezultatu. Biegłem w ciemności jeszcze dwa razy i nagle, kiedy przesuwałem ramieniem po raz trzeci, ręka rozgrzała mi się nad punktem na wschodzie. Zmiana temperatury była tak zdecydowana, że przeraziłem się. Usiadłem i zaczekałem na don Juana. Powiedziałem mu, że wykryłem zmianę temperatury w ręce. Kazał mi kontynuować. Pozbierałem wszystkie suche gałązki, jakie tylko mogłem znaleźć i rozpaliłem ogień. Don Juan usiadł po mojej prawej stronie, w odległości kilku stóp.

Ogień rysował dziwne, tańczące sylwetki. Od czasu do czasu płomienie opalizowały. Błękitniały, po czym przechodziły w świetlistą biel. Tłumaczyłem sobie tę niezwykłą grę kolorów jakimiś specjalnymi właściwościami chemicznymi suchych patyków i gałęzi, które nazbierałem. Inną niezwykłą cechą ogniska były iskry. Kiedy dokładałem nowych gałęzi, wystrzeliwały niewiarygodnie wielkie iskiery. Pomyślałem sobie, że wyglądają jak piłki tenisowe wybuchające w powietrzu.

Wpatrywałem się w ogień, jak mi się zdawało, zgodnie z zaleceniami don Juana i zakręciło mi się w głowie. Don Juan podał mi swoją tykwę z wodą i dal znak, żebym się napił. Woda przyniosła mi ulgę i napełniła cudownym uczuciem świeżości.

Pochylił się nade mną i wyszeptał, że nie powinienem wpatrywać się w płomienie, a jedynie patrzeć w kierunku ognia. Po prawie godzinnej obserwacji byłem zmarznięty i mokry. W pewnej chwili, kiedy miałem pochylić się i podnieść gałązkę, coś jakby ćma albo plamka na mojej siatkówce prześlizgnęło się z prawej strony na lewą, pomiędzy mną a ogniem. Natychmiast odskoczyłem. Spojrzałem na don Juana, a on ruchem brody kazał mi wrócić do obserwowania płomieni. Chwilę później ten sam cień przesunął się w przeciwnym kierunku.

Don Juan wstał pośpiesznie i zaczął zasypywać pyłem płonące gałązki, aż zupełnie stłumił płomienie. Zgasił ognisko z niewiarygodną prędkością. Zanim zdążyłem się ruszyć, żeby mu pomóc, już skończył. Przydeptał ziemię na dymiących gałązkach, po czym prawie powlókł mnie na dół i wyprowadził z doliny. Szedł bardzo szybko, nie odwracając głowy i nie pozwolił mi mówić.

Kiedy kilka godzin później wsiedliśmy do samochodu, zapytałem go, czym było to, co widziałem. Stanowczo zaprzeczył ruchem głowy. Jechaliśmy w milczeniu.

Gdy wczesnym rankiem dojechaliśmy do domu, od razu wszedł do środka, a kiedy chciałem coś powiedzieć, znowu mnie uciszył.

Don Juan siedział na zewnątrz, za domem. Zdawał się czekać, aż się obudzę, ponieważ zaczął mówić, jak tylko wyszedłem z domu. Powiedział, że cień, który widziałem poprzedniej nocy był duchem, siłą należącą do tego konkretnego miejsca, gdzie ją widziałem. Określił tę konkretną istotę jako bezużyteczną.

– On istnieje tylko tam – powiedział. – Nie posiada żadnych sekretów mocy, więc nie było sensu zostawać tam dłużej. Widziałbyś tylko szybki, przesuwający się cień, chodzący tam i z powrotem przez całą noc. Istnieją jednak także inne rodzaje istot, które mogą przekazać ci sekrety mocy, jeśli będziesz miał tyle szczęścia, że je znajdziesz.

Potem zjedliśmy małe śniadanie i dłuższy czas nie rozmawialiśmy. Po jedzeniu usiedliśmy przed domem.

– Są trzy rodzaje istot – powiedział don Juan nagle. – Te, które nie mogą ci niczego dać, ponieważ nie mają niczego do dania, te, co cię mogą jedynie przestraszyć i takie, które posiadają dary. Ta, którą widziałeś ostatniej nocy, należała do spokojnych. Nie ma nic do ofiarowania, pozostaje jedynie cieniem. Jednakże w większości przypadków ze spokojnymi związany jest inny rodzaj istot. Są to złośliwe duchy posiadające tylko jedną cechę: wzbudzają lęk. Zawsze krążą wokół miejsc, gdzie przebywają te spokojne. Dlatego właśnie zdecydowałem się uciec stamtąd tak szybko. Złośliwe duchy podążają za ludźmi do ich domostw i sprawiają, że ich życie staje się nie do zniesienia. Znam takich, którzy z ich powodu musieli wyprowadzić się z domu. Zawsze znajdą się tacy, którzy wierzą, że mogą wiele dostać od tego rodzaju istot, ale sam fakt przebywania ducha w pobliżu domu jeszcze niczego nie oznacza. Wtedy zwykle próbują zwabić go albo chodzić za nim dookoła domu, mając nadzieję, że duch wyjawi im sekrety. Lecz jedyną rzeczą, jaką można od niego dostać, jest przerażające

doświadczenie. Znam ludzi, którzy wystawiali warty, by obserwować taką złośliwą istotę, która przyszła za nimi do domu. Obserwowali ducha miesiącami. W końcu ktoś z zewnątrz musiał wkroczyć i wywlec ich z domów. Byli słabi i wycieńczeni. Tak więc jedynym mądrym podejściem do tego rodzaju złośliwych istot jest zapomnieć o nich i pozostawić je w spokoju.

Zapytałem go, w jaki sposób ludzie zwabiają ducha. Powiedział, że najpierw starają się odkryć, gdzie najprawdopodobniej pojawi się duch, a potem kładą na jego drodze broń w nadziei, że duch jej dotknie, ponieważ duchy znane są z zamiłowania do broni. Don Juan powiedział, że każda rzecz, każde narzędzie dotknięte przez ducha staje się przedmiotem mocy. Wiadomo jednak, że złośliwe duchy nigdy niczego nie dotykają, wytwarzają jedynie złudzenie hałasu.

Następnie zapytałem don Juana, w jaki sposób istoty te straszą ludzi. Odparł, że najczęściej robią to, pojawiając się jako ciemny cień człowieka, który włóczy się po domu, wydając przerażający stukot albo naśladując głosy. Mogą też pojawiać się w formie posępnego cienia, nagle wynurzającego się z ciemnego kąta.

Don Juan powiedział, że trzeci rodzaj duchów to prawdziwi sprzymierzeńcy, dawcy sekretów. Ten specjalny rodzaj zamieszkuje miejsca samotnie, opuszczone, prawie niedostępne. Człowiek, który chce znaleźć którąś z tych istot, musi udać się w samotną daleką podróż. W odległym i bezludnym miejscu musi samodzielnie wykonać niezbędne czynności. Powinien usiąść przy ogniu, a kiedy zobaczy cień, natychmiast odejść. Jeśli jednak znajdą na inne okoliczności, takie jak silny wiatr gaszący jego ognisko i uniemożliwiający mu zapalenie go podczas czterech kolejnych prób albo jeśli na pobliskim drzewie złamie się gałąź, musi pozostać. Gałąź musi naprawdę się złamać, a człowiek powinien się upewnić, że nie jest to jedynie odgłos pękającego drzewa.

Innymi rzeczami, na które trzeba uważać, są toczące się do ogniska skały albo kamienie wrzucane do niego, lub też utrzymujący się ciągle hałas. Wtedy trzeba iść w kierunku tych dziwnych zjawisk tak długo, aż duch sam się objawi.

Istnieje wiele sposobów, jakich używa taka istota, aby sprawdzić wojownika. Może nagle pojawić się przed nim w najstraszniejszej postaci, albo chwycić go od tyłu i trzymać godzinami unieruchomionego. Może również przewrócić na niego drzewo. Don Juan powiedział, że są to naprawdę niebezpieczne siły, które choć nie są w stanie własnoręcznie zabić człowieka, mogą go przestraszyć na śmierć, powalić spadającymi przedmiotami lub też pojawić się przed nim tak nagle, że się potknie, straci grunt pod nogami i spadnie w przepaść.

Powiedział, że jeśli kiedykolwiek spotkam jedną z tych istot w niesprzyjających warunkach, nigdy nie powinienem próbować z nią walczyć, ponieważ mnie zabije. Porwie moją duszę. Powinienem rzucić się na ziemię i wytrzymać tak do rana.

– Kiedy człowiek staje twarzą w twarz ze sprzymierzeńcem, dawcą sekretów, musi zebrać całą odwagę i pochwycić go, zanim on zdąży go złapać albo dopaść go, zanim on to zrobi. Pogoń powinna być bezlitosna, a po niej następuje walka. Człowiek musi powalić ducha na ziemię i trzymać go tak długo, aż ten przekaże mu moc.

Zapytałem go, czy siły te mają jakieś ciało, czy można je naprawdę dotknąć. Powiedziałem, że samo pojęcie “ducha" oznacza dla mnie coś eterycznego.

– Nie nazywaj ich duchami – odparł. – Nazywaj ich sprzymierzeńcami lub niewytłumaczalnymi siłami.

Przez chwilę nic nie mówił, po czym położył się na plecach i oparł głowę na złożonym ramieniu. Nadal chciałem dowiedzieć się, czy te istoty mają jakieś ciało.

– Masz cholerną rację, mają ciało – powiedział po kolejnej chwili milczenia. – Kiedy się z nimi walczy, są cielesne, ale to trwa tylko chwilę. Te istoty bazują na ludzkim strachu. Dlatego jeśli człowiek, który walczy zjedna z nich jest wojownikiem, istota traci swoją prężność bardzo szybko, a człowiek staje się silniejszy. W zasadzie można wchłonąć prężność ducha.

– Co to za prężność? – zapytałem.

– Moc. Kiedy się ich dotyka, wibrują, jakby były gotowe do rozerwania cię na strzępy. Lecz to tylko popis. Naprężenie maleje, kiedy człowiek utrzymuje uścisk.

– A co dzieje się, kiedy tracą prężność? Czy stają się jak powietrze?

– Nie, po prostu flaczeją. Wciąż jednak mają ciało, ale nie przypomina ono niczego, czego człowiek kiedykolwiek dotykał.

Później, wieczorem, powiedziałem don Juanowi, że może to, co widziałem poprzedniej nocy, było jedynie ćmą. Roześmiał się i cierpliwie wytłumaczył, że ćmy latają tam i z powrotem tylko wokół żarówek, które nie mogą opalić ich skrzydeł. Ogień zaś spaliłby je przy pierwszym podejściu. Zauważył również, że cień zakrył cały ogień. Kiedy o tym wspomniał, przypomniałem sobie, cień był naprawdę bardzo duży, bo na chwilę przesłonił widok ogniska. Stało się to jednak tak szybko, że nie zwróciłem na to uwagi we wcześniejszej analizie wydarzenia.

Potem don Juan zwrócił mi uwagę, że iskry były bardzo duże i leciały w moją lewą stronę. Sam też to zauważyłem. Zasugerowałem, że może wiatr wiał w tym kierunku. Don Juan jednak stwierdził, że wtedy wiatr w ogóle nie wiał. Miał rację. Przypominając sobie tę sytuację, uświadomiłem sobie, że noc była bezwietrzna.

Inną rzeczą, którą zupełnie przeoczyłem, był zielonkawy blask płomieni, który zauważyłem, gdy don Juan dał mi znak, żebym patrzył na ognisko, po tym jak cień po raz pierwszy przeszedł przez moje pole widzenia. Don Juan przypomniał mi o tym. Zaprotestował przeciwko nazywaniu zjawiska cieniem. Powiedział, że było to okrągłe i bardziej przypominało bańkę.

Dwa dni później, 17 grudnia 1969 roku, don Juan powiedział niedbale, że znam wszystkie szczegóły i niezbędne techniki, by samemu iść w góry i zdobyć przedmiot mocy, pułapkę na duchy. Podkreślił, że powinienem iść sam i zapewnił mnie, że jego obecność tylko by mi przeszkodziła.

Byłem już gotowy do wyjścia, kiedy zmienił zdanie.

– Nie jesteś wystarczająco silny – powiedział. – Pójdę z tobą do podnóża wzgórz.

Kiedy dotarliśmy do małej doliny, gdzie widziałem sprzymierzeńca, don Juan z daleka obejrzał formację krajobrazu, którą nazwałem dziurą we wzgórzach i powiedział, że musimy iść dalej na południe, do bardziej odległego pasma gór. Mieszkanie sprzymierzeńca znajdowało się w najdalszym z punktów, jakie mogliśmy dostrzec przez dziurę.

Spojrzałem na tę formację, ale zobaczyłem jedynie niebieskawą masę odległego pasma gór. Don Juan zaprowadził mnie jednak na północny wschód. Po kilkugodzinnym marszu dotarliśmy do miejsca, które nazwał “sięgającym wystarczająco głęboko" do mieszkania sprzymierzeńca.

Kiedy zatrzymaliśmy się, było późne popołudnie. Usiedliśmy na skałach. Byłem zmęczony i głodny. W ciągu dnia zjadłem jedynie kilka placków kukurydzianych i wypiłem trochę wody. Nagle don Juan wstał, popatrzył w niebo i rozkazującym tonem polecił mi wyruszyć

w najlepszym dla mnie kierunku. Kazał mi również zapamiętać miejsce, w którym się znajdowaliśmy, tak żebym mógł do niego wrócić po skończeniu zadania. Uspokajającym tonem powiedział, że będzie na mnie czekał, nawet gdyby to miało trwać wiecznie.

Zapytałem nieco przestraszony, czy uważa, że zdobycie pułapki na duchy długo potrwa.

– Któż to może wiedzieć? – odpowiedział, uśmiechając się tajemniczo.

Poszedłem na południowy wschód, odwracając się kilka razy, żeby spojrzeć na don Juana. Bardzo powoli szedł w przeciwnym kierunku. Wszedłem na wierzchołek bardzo szerokiego wzgórza i jeszcze raz spojrzałem na don Juana. Znajdował się dobre dwieście jardów ode mnie. Nie odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć. Zbiegłem ze wzgórza do małego zagłębienia w kształcie niecki i nagle znalazłem się sam. Usiadłem na chwilę i zacząłem się zastanawiać, co ja tu robię. Czułem się absurdalnie, szukając pułapki na duchy. Pobiegłem z powrotem na wzgórze, żeby mieć lepszy widok na don Juana, ale nigdzie nie mogłem go dostrzec. Zbiegłem na dół w kierunku miejsca, gdzie go ostatnio widziałem. Chciałem odwołać tę całą wyprawę i wracać do domu. Czułem się głupio i byłem zmęczony.

– Don Juanie! – krzyczałem.

Nie było go nigdzie w zasięgu wzroku. Znowu pobiegłem na szczyt drugiego wzgórza, ale stamtąd również nie mogłem go dostrzec. Przebiegłem spory kawałek w jego poszukiwaniu, ale zniknął. Po śladach wróciłem do miejsca, w którym mnie zostawił. Byłem absolutnie pewny, że zastanę go tam siedzącego i śmiejącego się z mojej niekonsekwencji.

– W co ja się, do cholery, wplątałem? – powiedziałem głośno.

Wtedy uświadomiłem sobie, że nie ma sposobu, by powstrzymać to, co zacząłem. Naprawdę nie wiedziałem, jak mam wrócić do samochodu. Don Juan kilka razy zmieniał kierunek, a ogólne rozeznanie czterech głównych kierunków nie wystarczało. Bałem się zgubić w górach. Usiadłem i po raz pierwszy w życiu miałem dziwne uczucie, że nigdy więcej nie wrócę do punktu, z którego wyruszyłem. Don Juan mówił, że zawsze upieram się przy rozpoczynaniu wszystkiego od punktu,

który nazywam początkiem, podczas gdy w rzeczywistości początek nie istnieje. Tam, pośród gór, zrozumiałem, o co mu chodzi. Poczułem, jakbym ja sam zawsze stanowił punkt wyjścia, jakby nigdy nie było don Juana. Kiedy go szukałem, stał się tym, czym naprawdę był – ulotnym obrazem, który zniknął za wzgórzem.

Usłyszałem szelest liści. Ogarnął mnie dziwny zapach. Poczułem wiatr, cisnący mi się w uszy jak nieśmiałe bzyczenie. Słońce właśnie dochodziło do chmur nad horyzontem, które wyglądały jak mocno nasycona pomarańczową barwą wstęga, kiedy nagle zniknęło za ciężką pokrywą niższych chmur. Chwilę później wyszło znowu, jak karmazynowa kula unosząca się we mgle. Walczyło krótko, żeby wejść w skrawek błękitu nieba, ale chmury nie dały mu czasu, a potem pomarańczowa wstęga i ciemne sylwetki gór połknęły je.

Położyłem się na plecach. Świat wokół był spokojny, pogodny i równocześnie tak obcy. Poczułem się przytłoczony. Nie chciałem płakać, ale łzy same pociekły mi po policzkach.

Leżałem tak przez kilka godzin. Nie mogłem się już prawie podnieść. Skały pode mną były twarde, a w miejscu, na którym się położyłem, w przeciwieństwie do obfitej zieleni otaczających krzaków, prawie nie było roślin. Patrzyłem na rząd wysokich drzew na wschodnich wzgórzach.

W końcu zrobiło się dosyć ciemno. Poczułem się lepiej, stałem się prawie szczęśliwy. Półmrok był dla mnie znacznie bardziej ożywczy i dawał więcej ochrony niż ostre światło dnia.

Wstałem, wspiąłem się na szczyt małego wzgórza i zacząłem powtarzać gesty, których nauczył mnie don Juan. Siedem razy biegłem na wschód, aż w końcu poczułem w ręce zmianę temperatury. Rozpaliłem ognisko i zgodnie z zaleceniem don Juana uważnie obserwowałem wszystkie szczegóły. Minęło kilka godzin. Zacząłem odczuwać zimno i zmęczenie. Zebrałem sporą stertę suchych gałązek. Dołożyłem do ognia i usiadłem bliżej niego. Czuwanie było tak męczące i pełne napięcia, że wyczerpało mnie. Zacząłem się kiwać. Dwa razy zasnąłem, budząc się dopiero, kiedy głowa opadała mi na bok. Byłem tak śpiący, że nie mogłem już dłużej obserwować ognia. Napiłem się wody i nawet spryskałem sobie twarz, żeby się rozbudzić. Udało mi się pokonać senność tylko na krótką chwilę. Nie wiadomo czemu stałem się przygnębiony i drażliwy. Poczułem, że siedzenie w tym miejscu jest wyjątkowo głupie, co napełniło mnie uczuciem irracjonalnej frustracji i przygnębienia. Byłem zmęczony, głodny, śpiący i absurdalnie zły na siebie. W końcu zrezygnowałem z walki z sennością. Dołożyłem do ogniska mnóstwo gałązek i położyłem się spać. Byłem jak najdalszy od pogoni za sprzymierzeńcem i pułapką na duchy, która wydała mi się w tym momencie najbardziej niedorzecznym przedsięwzięciem. Byłem tak śpiący, że nie mogłem nawet myśleć ani rozmawiać ze sobą. Zasnąłem.

Obudził mnie nagle głośny trzask. Wyglądało na to, że hałas, czymkolwiek był, dochodził z miejsca tuż nad moim lewym uchem, ponieważ leżałem na prawym boku. Usiadłem, całkowicie przebudzony. Dzwoniło mi w lewym uchu, które przygłuchło na skutek bliskości i siły dźwięku.

Sądząc po ilości suchych gałązek, które ciągle płonęły, spałem jedynie chwilę. Nie usłyszałem żadnych innych hałasów, ale nie położyłem się już spać i dołożyłem do ognia.

Przyszło mi do głowy, że tym, co mnie obudziło, mógł być wystrzał z pistoletu. Może ktoś obserwował mnie i próbował do mnie strzelać. Ta myśl zaczęła mnie dręczyć, wywołując lawinę zracjonalizowanych lęków. Uznałem, że teren ten musi do kogoś należeć, a jeśli tak, to z pewnością wzięto mnie za złodzieja i usiłowano zabić. Albo też ktoś chciał mnie zabić i obrabować, nie wiedząc, że nie mam niczego przy sobie. Przeżyłem chwilę niesłychanego strachu o własne bezpieczeństwo. W ramionach i szyi czułem napięcie. Poruszyłem głową z góry na dół i kości szyi zatrzeszczały. Ciągle patrzyłem w ogień, ale nie widziałem w nim niczego niezwykłego, nie słyszałem też żadnych hałasów.

Po chwili nieco się odprężyłem i pomyślałem sobie, że za tym wszystkim może się kryć don Juan. Szybko przekonałem się do tej myśli, nawet mnie rozbawiła. Znów zalała mnie lawina zracjonalizowanych wniosków, tym razem jednak pozytywnych. Pomyślałem, że don Juan musiał podejrzewać, że zmienię zdanie co do pozostania w górach albo może widział, jak za nim biegnę i schował się w ukrytej jaskini albo za krzakiem. Potem szedł za mną, a zauważywszy, że usnąłem, obudził mnie, łamiąc gałąź tuż przy moim uchu. Dołożyłem do ognia i ostrożnie, ukradkiem zacząłem się rozglądać, usiłując wypatrzeć go, choć wiedziałem, że jeśli się schował, to nie będę w stanie go znaleźć.

Wszystko było ciche i spokojne: świerszcze, wiatr szumiący w drzewach, które porastały zbocza otaczających mnie gór, trzaskanie palących się gałązek. Dookoła fruwały iskierki, ale były to jedynie zwykłe iskierki.

Nagle usłyszałem głośny hałas pękającej na pół gałęzi. Dźwięk dobiegał z lewej strony.

Wstrzymałem oddech, słuchając w największym skupieniu. Chwilę później usłyszałem po prawej stronie kolejną pękającą gałąź.

Potem dosłyszałem słaby daleki odgłos pękających gałęzi, jakby ktoś na nie nadeptywał i zgniatał je.

Dźwięk był bogaty i pełny, miał w sobie coś namiętnego. Zdawał się zbliżać do miejsca, w którym się znajdowałem. Reagowałem z opóźnieniem, nie wiedząc, czy mam słuchać, czy wstać. Zastanawiałem się, co robić, kiedy dźwięk pękających gałęzi rozległ się nagle wszędzie dookoła. Ogarnął mnie tak szybko, że ledwie zdążyłem zerwać się na nogi i zgasić ogień.

W ciemności zacząłem zbiegać w dół. Kiedy przedzierałem się przez zarośla, przyszło mi głowy, że tam nie ma żadnego płaskiego terenu. Biegłem dalej, starając się ochronić oczy przed krzakami. Znajdowałem się w połowie drogi do podnóża góry, kiedy poczułem za sobą coś, co prawie mnie dotykało. Nie była to gałąź. Przeczucie mówiło mi, że mnie dogania. Kiedy zdałem sobie z tego sprawę, zamarłem. Zdjąłem kurtkę, zwinąłem ją na brzuchu, skuliłem się i przykucnąłem, oczy zakryłem rękami, tak jak przykazał mi don Juan. Trwałem w tej pozycji przez chwilę, po czym uświadomiłem sobie, że dookoła zaległa śmiertelna cisza. Nie było słychać żadnych dźwięków. Przeraziłem się. Poczułem, jak moim żołądkiem zaczęły wstrząsać skurcze. Potem usłyszałem kolejne trzaśniecie. Zdawało się pochodzić z daleka, zabrzmiało jednak bardzo wyraźne. Trzasnęło jeszcze raz, teraz już dużo bliżej. Nastąpiła cisza i potem coś wybuchnęło tuż nad moją głową. Gwałtowność dźwięku sprawiła, że mimowolnie podskoczyłem i niemal przewróciłem się na bok. Był to z całą pewnością dźwięk pękającej gałęzi. Trzasnęło tak blisko, że prawie usłyszałem szelest liści na łamanej gałęzi.

Potem nastąpił zalew wybuchających trzasków. Wszędzie dookoła z wielką siłą łamano gałęzie. Wtedy zareagowałem na całe to zjawisko zupełnie absurdalnie. Zamiast przerazić się, zacząłem się śmiać. Byłem autentycznie przekonany, że odkryłem przyczynę całego zdarzenia. Uznałem to wszystko za kolejną sztuczkę don Juana. Seria logicznych wniosków utwierdziła mnie w tym przekonaniu. Poczułem dumę. Byłem pewien, że uda mi się przyłapać tego starego lisa, don Juana, na nowej sztuczce. Znajdował się gdzieś w pobliżu, łamał gałęzie i wiedział, że nie ośmielę się spojrzeć w górę. Był bezpieczny i mógł robić, co tylko chciał. Musiał jednak być sam, ponieważ przebywałem z nim cały czas przez kilka dni i nie miał czasu ani sposobności, żeby zaangażować współpracowników. Jeśli się ukrywał, tak jak myślałem, ukrywał się sam. Logicznie rzecz biorąc, mógł wytworzyć ograniczoną liczbę trzasków. Gdyby był sam, hałasy musiałyby następować w linearnej, czasowej kolejności, to znaczy jeden naraz, a najwyżej dwa lub trzy. Oprócz tego, różnorodność hałasów byłaby ograniczona możliwościami jednego człowieka. Kiedy tak tkwiłem nieruchomo przycupnięty, byłem absolutnie pewien, że całe to doświadczenie jest grą, a jedynym sposobem wyjścia z niej zwycięsko może być tylko emocjonalne wyłączenie się z niej. Spodobało mi się to. Złapałem się na tym, że chichoczę na myśl, iż mogę przewidzieć kolejny ruch przeciwnika. Spróbowałem sobie wyobrazić, co bym zrobił w następnej kolejności, gdybym był don Juanem.

Z tych umysłowych ćwiczeń wyrwał mnie gwałtownie odgłos siorbania. Słuchałem uważnie. Dźwięk powtórzył się. Nie mogłem ustalić, co to jest. Brzmiało jak odgłos zwierzęcia siorbiącego wodę. Powtórzyło się jeszcze raz, bardzo blisko. Był to bardzo denerwujący dźwięk, przypominający mlaskanie, jak mlaszczą nastolatki z wielką szczęką, żujące gumę. Zastanawiałem się, w jaki sposób don Juan mógł wytworzyć taki odgłos, kiedy dźwięk powtórzył się raz jeszcze, tym razem po prawej stronie. Najpierw usłyszałem jeden, a potem całą serię mlaszcząco-ciamkających dźwięków, jakby ktoś chodził po błocie. Był to irytujący, prawie zmysłowy, dźwięk stóp brodzących w głębokim błocie. Odgłosy ustały na chwilę, po czym pojawiły się znowu, tym razem bardziej po lewej stronie, bardzo blisko, jakieś dziesięć stóp ode mnie. Teraz brzmiały tak, jakby jakaś ciężka osoba stąpała po błocie w butach z cholewami. Podziwiałem bogactwo dźwięku. Nie mogłem sobie wyobrazić żadnego prymitywnego urządzenia, jakie sam mógłbym użyć do wywołania takiego dźwięku. Usłyszałem następną serię człapiących, mlaskających odgłosów za sobą, a potem zabrzmiały wszystkie naraz, ze wszystkich stron. Zdawało mi się, że wszędzie dookoła ktoś chodzi, biega i stąpa po błocie.

Zaświtała mi w głowie logiczna wątpliwość. Gdyby to wszystko robił don Juan, musiałby biegać w kółko z niewiarygodną prędkością. Szybkość następowania po sobie dźwięków czyniła tę alternatywę niemożliwą. Pomyślałem, że don Juan musi jednak mieć wspólników. Chciałem pogrążyć się w spekulacjach na temat, kim mogli być jego towarzysze, ale intensywność hałasów skupiła całą moją uwagę. Nie mogłem jasno myśleć, ale nie bałem się. Byłem może nieco oszołomiony dziwną właściwością dźwięków. Mlaskanie wibrowało. W rzeczywiści, te dziwne wibracje zdawały się być skierowane na mój żołądek albo raczej to ja odbierałem je dolną częścią brzucha.

Uświadomienie sobie tego w jednej chwili pozbawiło mnie obiektywizmu i rezerwy. Dźwięki atakowały mój żołądek! Przyszło mi do głowy pytanie: “A jeśli to nie jest don Juan?" Wpadłem w panikę. Napiąłem mięśnie brzucha i z całych sił przycisnąłem uda do zwiniętej kurtki.

Ilość i prędkość pojawiania się dźwięków wzrastały, jakby dźwięki wiedziały, że straciłem pewność siebie. Ich wibracje stały się tak intensywne, że chciało mi się wymiotować. Walczyłem z nudnościami. Wziąłem głęboki oddech i zacząłem śpiewać swoje pieśni pejotlu. Zwymiotowałem, a mlaskające dźwięki natychmiast ucichły. Nałożył się na nie głos świerszczy, wiatru i odległe staccato szczekania kojotów. Nagła przerwa pozwoliła mi odpocząć i zbadać swoje położenie. Jeszcze przed chwilą byłem w wyśmienitym nastroju, pewny siebie i podchodziłem z dystansem do sytuacji. Najwidoczniej nie udało mi się jej ocenić właściwie. Nawet gdyby don Juan miał wspólników, byłoby rzeczą technicznie niemożliwą, żeby wytworzyli dźwięki oddziaływujące na mój brzuch. Wyprodukowanie dźwięków o takiej intensywności wymagałoby urządzeń przekraczających ich możliwości, a nawet wyobraźnię. Najwidoczniej zjawisko, którego doświadczałem, nie miało nic wspólnego z grą, a teoria “kolejnej sztuczki don Juana" była jedynie moim prymitywnym wytłumaczeniem.

Męczyły mnie skurcze i przytłaczająca potrzeba przewrócenia się na wznak i wyciągnięcia nóg. Zdecydowałem przesunąć się na prawo, żeby odsunąć twarz od miejsca, gdzie zwymiotowałem. Kiedy tylko zacząłem się czołgać, tuż nad uchem usłyszałem bardzo łagodny pisk. Zastygłem w miejscu. Pisk powtórzył się po drugiej stronie głowy. Był to pojedynczy dźwięk. Pomyślałem, że przypomina skrzypienie drzwi. Czekałem, ale nie usłyszałem nic więcej, więc postanowiłem znowu się ruszyć. Kiedy tylko zacząłem przesuwać głowę na prawo, prawie zostałem zmuszony do zerwania się na równe nogi. Natychmiast zalała mnie powódź pisków. Czasami piski przypominały skrzypienie drzwi, a czasami piski szczurów albo morskich świnek. Nie były ani głośne, ani intensywne, ale bardzo łagodne i podstępne. Wywołały u mnie męczące torsje. Dźwięki ustały tak samo, jak się zaczęły, znikając powoli, aż w końcu słyszałem tylko jeden albo dwa jednocześnie.

Potem posłyszałem coś jak uderzenia skrzydeł wielkiego ptaka przelatującego nad zaroślami. Zdawał się latać w kółko nad moją głową. Miękkie piski znowu zaczęły narastać, jak również machanie skrzydłami. Nad głową miałem chyba stado gigantycznych ptaków machających miękkimi skrzydłami. Oba dźwięki zmieszały się, tworząc ogarniającą mnie falę. Poczułem, że unoszę się zawieszony na wielkiej, poruszającej się fali. Piski i uderzenia były tak równomierne, że czułem je na całym ciele. Zdawało mi się, że od góry ciągną bijące skrzydła stada ptaków, a piski szczurzej armii popychają od spodu i zewsząd dookoła.

Nie miałem wątpliwości, że swoją nieudolnością i głupotą ściągnąłem na siebie coś strasznego. Zacisnąłem zęby, wziąłem kilka głębokich oddechów i zaśpiewałem pieśń pejotlu.

Hałasy trwały bardzo długo, a ja opierałem się im z całych sił. Kiedy ustały, pojawiła się znowu przerywana cisza, taka, do jakiej byłem przyzwyczajony, to znaczy dochodziły do mnie tylko naturalne głosy owadów i wiatru. Okres ciszy stał się dla mnie jeszcze bardziej bolesny niż hałasy. Zacząłem myśleć i oceniać swoją pozycję, a moje rozważania wpędziły mnie w panikę. Wiedziałem, że jestem zgubiony. Nie miałem ani wiedzy, ani wytrzymałości, żeby obronić się przed tym, co mnie atakowało. Całkowicie bezbronny, kuliłem się nad swoimi własnymi wymiocinami. Pomyślałem, że nadszedł mój koniec i zacząłem płakać. Chciałem pomyśleć o swoim życiu, ale nie wiedziałem od czego zacząć. Nic z tego, co w życiu zrobiłem, nie było warte w ostateczności zapamiętania, więc nie miałem o czym myśleć. Było to olśniewające odkrycie. Zmieniłem się od czasu, kiedy ostatnim razem byłem podobnie przerażony. Tym razem byłem bardziej pusty. Miałem mniej osobistych uczuć.

Zapytałem sam siebie, co zrobiłby wojownik w takiej sytuacji i doszedłem do kilku wniosków. W okolicy pępka znajdowało się coś niezwykle ważnego. W dźwiękach było coś nieziemskiego, celowały w mój żołądek. Myśl, że don Juan igra sobie ze mną, uznałem za całkowicie niedorzeczną.

Mięśnie brzucha nadal miałem bardzo napięte, chociaż nie miałem już skurczów. Nadal śpiewałem i od dychałem głęboko, aż poczułem łagodzące ciepło rozlewające się po całym ciele. Stało się dla mnie jasne, że jeśli mam przeżyć, muszę postępować zgodnie z naukami don Juana. Powtórzyłem sobie w myśli jego instrukcje. Pamiętałem położenie konkretnego miejsca, w którym słońce zniknęło za górami, w odniesieniu do wzgórza, gdzie byłem i do miejsca, w którym przycupnąłem. Zastanowiłem się i kiedy uznałem, że właściwie określiłem główne kierunki, zacząłem zmieniać pozycję, tak aby głowa wskazywała nowy, “lepszy" kierunek – południowy wschód. Zacząłem powoli przesuwać stopy na lewo, cal po calu, aż w końcu znalazły się pod łydkami, a następnie dosuwać resztę ciała do stóp, ale zaledwie zacząłem czołgać się w bok, poczułem dziwne klepnięcie. Było to prawdziwe fizyczne wrażenie, że coś z tyłu dotyka mojej nagiej szyi. Stało się to tak szybko, że mimowolnie krzyknąłem i znowu zastygłem w miejscu. Zacisnąłem mięśnie brzucha, zacząłem

głęboko oddychać i śpiewać pieśni pejotlu. Sekundę później znowu poczułem to samo leciutkie klepnięcie na szyi. Skuliłem się ze strachu. Miałem odkrytą szyję i nie mogłem nic zrobić, żeby się obronić. Znowu zostałem poklepany. Mojej szyi dotykał bardzo miękki, prawie jedwabisty przedmiot, jakby futrzana łapka gigantycznego królika. Dotknął mnie znowu, a potem zaczął wędrować po szyi tam i z powrotem, aż się popłakałem. Wyglądało to, jakby stado milczących, delikatnych, nic nie ważących kangurów skakało po mojej szyi. Słyszałem miękkie stąpnięcia ich łapek, kiedy przechodziły po mnie delikatnie. Bynajmniej nie było to bolesne uczucie, jednak doprowadzało do szaleństwa. Wiedziałem, że jeśli nie zajmę się czymś, to oszaleję, wstanę i pobiegnę. Więc powoli zacząłem umieszczać ciało w nowej pozycji. Próby przesunięcia się zwiększały częstotliwość poklepywań w szyję. W końcu wpadłem w taki szał, że jednym nagłym ruchem ustawiłem się w nowej pozycji. Nie miałem pojęcia, jaki będzie wynik tego manewru. Zrobiłem to dla obrony przed szaleństwem, utratą zmysłów.

Ledwie zmieniłem pozycję, klepanie w szyję ustało. Po długiej, męczącej ciszy usłyszałem odległe łamanie gałęzi. Hałasy nie dochodziły już z bliska. Jakby wycofały się na inną pozycję, z dala ode mnie. Odgłos łamanych gałęzi zmieszał się po chwili z szumem poruszanych wiatrem liści, jakby uderzał silny wiatr we wzgórze. Wszystkie krzewy dookoła zdawały się trząść, jednak wiatru nie było. Szum i pękające gałęzie sprawiały wrażenie, jakby całe wzgórze płonęło. Moje ciało było sztywne jak skała. Pociłem się obficie. Robiło mi się coraz cieplej. Przez chwilę byłem absolutnie przekonany, że wzgórze się pali. Nie zerwałem się na nogi i nie pobiegłem, ponieważ byłem tak zdrętwiały, że niemal sparaliżowany, nie mogłem nawet otworzyć oczu. Wszystko, czego wtedy pragnąłem, to wstać i uciec od ognia. Żołądkiem wstrząsały okropne skurcze, które zaczęły przeszkadzać mi w oddychaniu. Skoncentrowałem się na próbach oddychania. Po długiej walce znowu mogłem wziąć głęboki oddech, zauważyłem także, że szelest ustał. Od czasu do czasu rozlegały się tylko jakieś trzaski. Odgłos pękających gałęzi oddalał się coraz bardziej, był coraz rzadszy, aż w końcu zupełnie ustał.

Udało mi się otworzyć oczy. Popatrzyłem spod pół-przymkniętych powiek na ziemię pode mną. Zrobił się już dzień. Zaczekałem jeszcze chwilę, nie poruszając się, po czym zacząłem się przeciągać. Przewróciłem się na plecy. Słońce znajdowało się nad górami na wschodzie.

Rozprostowanie nóg i zwleczenie się na dół zajęło mi kilka godzin. Ruszyłem w kierunku oddalonego o milę miejsca, gdzie zostawił mnie don Juan. Późnym rankiem dotarłem ledwie na skraj jakiegoś lasu, jeszcze około ćwierć mili od celu.

Za nic w świecie nie mogłem iść dalej. Przypomniałem sobie o pumach i spróbowałem wdrapać się na drzewo, ale ręce nie mogły unieść mojego ciężaru. Oparłem się o skałę i postanowiłem tutaj umrzeć. Byłem przekonany, że stanę się przekąską pum albo innych drapieżców. Nie miałem nawet siły rzucić kamieniem. Nie byłem ani głodny, ani spragniony. Koło południa znalazłem mały strumyk, wypiłem mnóstwo wody, ale woda nie przywróciła mi sił. Kiedy tak siedziałem tam pogrążony w całkowitej beznadziei, czułem się raczej przybity niż przerażony. Byłem tak zmęczony, że nie dbałem już o to, co się ze mną stanie. Zasnąłem.

Obudziłem się, kiedy coś mną potrząsnęło. Don Juan pochylał się nade mną. Pomógł mi usiąść, dał mi wody i kleiku. Roześmiał się i powiedział, że marnie wyglądam. Chciałem mu opowiedzieć, co się stało, ale uciszył mnie i stwierdził, że nie trafiłem do celu, bo miejsce, w którym miałem się z nim spotkać, jest oddalone o jakieś sto jardów. Potem prawie zniósł mnie ze wzgórza. Powiedział, że zabiera mnie nad duży strumień, gdzie mnie umyje. Po drodze zatkał mi uszy liśćmi, które trzymał w torbie, po czym zakrył mi oczy, kładąc na każdym po jednym liściu i zawiązując je kawałkiem materiału. Kazał mi zdjąć ubranie i trzymać ręce na uszach dla pewności, że niczego nie usłyszę.

Don Juan natarł mi całe ciało liśćmi, a następnie zanurzył mnie w rzece. Czułem, że jest to duża rzeka. Była głęboka. Stopami nie mogłem sięgnąć dna. Don Juan trzymał mnie za prawy łokieć. Z początku nie czułem zimna wody, ale wkrótce zacząłem się trząść, a potem zimno stało się nie do wytrzymania. Don Juan wyciągnął mnie z wody i wytarł jakimiś liśćmi o dziwnym zapachu. Ubrałem się, a on mnie poprowadził. Szliśmy dość długo, aż w końcu zdjął mi liście z uszu i z oczu. Zapytał, czy mam dość siły, żeby wracać do samochodu. Dziwne, ale czułem się bardzo silny. Aby to udowodnić, wbiegłem nawet na strome wzgórze.

Po drodze do samochodu trzymałem się bardzo blisko don Juana. Ciągle się potykałem, a on się śmiał. Zauważyłem, że jego śmiech jest szczególnie wzmacniający, przez co stał się podstawą mojego powrotu do dobrej formy. Im więcej się śmiał, tym lepiej się czułem.

Następnego dnia opowiedziałem don Juanowi, co się wydarzyło od chwili, kiedy mnie zostawił. Słuchając mojego opowiadania, cały czas się śmiał. Szczególnie rozbawiło go, kiedy mu

powiedziałem, że posądzałem go o zmajstrowanie kolejnej sztuczki.

– Zawsze uważasz, że ktoś cię oszukuje – powiedział. – Za bardzo sobie ufasz. Zachowujesz się, jakbyś znał wszystkie odpowiedzi. Niczego nie wiesz, mój mały przyjacielu, niczego.

Po raz pierwszy don Juan nazwał mnie swoim małym przyjacielem. Zaskoczył mnie. Zauważył to i uśmiechnął się. W jego głosie było wiele ciepła, a to mnie zasmuciło. Powiedziałem mu, że byłem nieuważny i niekompetentny, ponieważ takie mam skłonności i że nigdy nie zrozumiem jego świata. Byłem bardzo wzruszony. Don Juan zapewnił mnie, że dobrze mi poszło.

Zapytałem go o znaczenie mojego doświadczenia.

– Nie ma żadnego znaczenia – odrzekł. – To samo mogło się przytrafić każdemu, a szczególnie komuś, kto już ma otwartą szczelinę. To całkiem zwyczajna rzecz. Każdy wojownik, który udał się na poszukiwanie sprzymierzeńców, opowie ci o ich wyczynach. To, co zrobili tobie, było bardzo łagodne. Jednak masz otwartą szczelinę i dlatego jesteś taki nerwowy. Nie można stać się wojownikiem z dnia na dzień. Teraz musisz jechać do domu i nie wracaj, dopóki nie wyzdrowiejesz, a twoja szczelina nie zamknie się.

17

Nie wracałem do Meksyku przez kilka miesięcy. Wykorzystałem ten czas na uporządkowanie notatek. Po raz pierwszy od dziesięciu lat, kiedy to zostałem uczniem don Juana, jego nauki zaczęły mieć dla mnie sens. Czułem, że długie okresy, kiedy musiałem się trzymać z dala od niego, wpłynęły na mnie bardzo korzystnie. Dały mi okazję do zrobienia przeglądu tego, co odkryłem i uporządkowania wszystkiego intelektualnie, zgodnie z moim wykształceniem i zainteresowaniami. Jednak to, co wydarzyło się podczas mojej ostatniej wizyty, pokazało mi, jak złudny był mój optymizm dotyczący zrozumienia wiedzy don Juana.

Ostatnia wzmianka w notatkach pochodzi z 16 października 1970 roku. Wydarzenia, które wtedy miały miejsce, rozpoczynają okres przejściowy. Nie tylko zamykają cykl instrukcji, ale również otwierają nowy okres, który był tak odmienny od tego, co zrobiłem do tej pory, że czuję, iż jest to miejsce, w którym powinienem zakończyć mój reportaż.

Zbliżając się do domu don Juana, zobaczyłem go siedzącego na zwykłym miejscu, pod ramadą, przed drzwiami. Zaparkowałem w cieniu drzewa, wyciągnąłem z samochodu walizkę i torbę z zakupami, podszedłem do niego i głośno pozdrowiłem. Wtedy zauważyłem, że nie był sam. Za stertą drewna na opał siedział drugi mężczyzna. Obaj patrzyli na mnie. Don Juan pomachał do mnie, a drugi mężczyzna zrobił to samo. Sądząc po jego stroju, nie był Indianinem, ale Meksykaninem z południowego Zachodu. Miał na sobie levisy, beżową koszulę, teksański kapelusz kowbojski i kowbojskie buty.

Powiedziałem coś do don Juana, po czym spojrzałem na mężczyznę. Uśmiechał się do mnie. Przyglądałem mu się przez chwilę.

– Oto jest nasz mały Carlos – powiedział mężczyzna do don Juana – i już ze mną nie rozmawia. Nie mów mi, że się na mnie gniewa!

Zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć, obaj wybuchnęli śmiechem. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że dziwnym mężczyzną jest don Genaro.

– Nie poznałeś mnie, prawda? – zapytał don Genaro, ciągle się śmiejąc.

Musiałem przyznać, że zmyliło mnie jego ubranie.

– Co robisz w tej części świata, don Genaro? – zapytałem.

– Przyjechał cieszyć się gorącym wiatrem – powiedział don Juan. – Czyż nie tak?

– Ależ tak – odpowiedział don Genaro. – Nie masz pojęcia, jak może działać gorący wiatr na takie stare ciało jak moje.

Usiadłem między nimi.

– Jak działa na twoje stare ciało? – zapytałem.

– Gorący wiatr opowiada mojemu ciału niezwykłe rzeczy – rzekł.

Odwrócił się do don Juana, jego oczy błyszczały.

– Czyż nie?

Don Juan pokiwał głową potakująco.

Powiedziałem im, że okres gorących wiatrów od Santa Any jest dla mnie najgorszą porą roku i dziwi mnie, że don Genaro przyjechał szukać gorącego wiatru, podczas gdy ja przed nim uciekam.

– Carlos nie znosi gorąca – powiedział don Juan do don Genaro. – Kiedy robi się gorąco, staje się jak dziecko i dusi się.

– Co dusi?

– Dusi... się.

[W oryg. ang. suffocates (dusi się – 1.os., l.p., cz.ter.) i suffer (cierpieć, znosić) + cates (delikatesy, smakołyki) wymawia się tak samo. Jest to prawdopodobnie subtelny humor tego fragmentu rozmowy: "Suffwhat?". "Suffo... cates."; przyp. red.]

– Mój Boże! – powiedział don Genaro, symulując troskę i wykonując niewiarygodnie śmieszny gest rozpaczy.

Następnie don Juan wyjaśnił mu, że nie było mnie przez kilka miesięcy z powodu niefortunnego wypadku ze sprzymierzeńcami.

– Więc w końcu spotkałeś sprzymierzeńca! – rzekł don Genaro.

– Myślę, że tak – powiedziałem ostrożnie.

Obaj roześmiali się głośno. Don Genaro poklepał mnie po plecach dwa czy trzy razy. Były to łagodne klepnięcia, które odebrałem jako przyjacielski gest zainteresowania. Patrząc na mnie, oparł rękę na moim ramieniu, a ja poczułem spokojne zadowolenie, które trwało bardzo krótko, ponieważ w następnej chwili don Genaro zrobił coś zupełnie niewytłumaczalnego. Nagle poczułem, że umieścił na moich plecach ciężar głazu. Czułem, że zwiększa ciężar ręki spoczywającej na moim prawym ramieniu. W końcu przygniótł mnie tak, że uderzyłem głową o ziemię.

– Musimy pomóc małemu Carlosowi – powiedział don Genaro i rzucił don Juanowi konspiracyjne spojrzenie.

Znowu usiadłem prosto i odwróciłem się do don Juana, ale on patrzył w bok. Przez chwilę wahałem się zaniepokojony tym, że don Juan zachowuje się, jakby stał z boku i nie miał ze mną nic wspólnego. Don Genaro śmiał się, czekając na moją reakcję.

Poprosiłem go, żeby jeszcze raz położył mi rękę na ramieniu, ale nie chciał tego zrobić. Nalegałem, aby przynajmniej powiedział, co mi zrobił. Zachichotał. Jeszcze raz odwróciłem się do don Juana i powiedziałem mu, że ciężar ręki don Genaro prawie mnie zgniótł.

– Nic o tym nie wiem – powiedział don Juan komicznie oficjalnym tonem. – Nie położył ręki na moim ramieniu.

Na to obaj wybuchnęli śmiechem.

– Co mi zrobiłeś, don Genaro? – zapytałem.

– Po prostu położyłem ci rękę na ramieniu – powiedział niewinnie.

– Zrób to jeszcze raz – powiedziałem.

Odmówił. Wtedy wtrącił się don Juan prosząc, żebym opisał don Genaro to, czego doświadczyłem podczas swojego ostatniego zadania. Myślałem, że chce, żebym szczegółowo opisał to, co się ze mną działo, ale im poważniejsza stawała się moja opowieść, tym bardziej oni się śmiali. Dwa czy trzy razy przerywałem, ale oni nalegali, żebym kontynuował.

– Sprzymierzeniec przyjdzie do ciebie niezależnie od tego, co czujesz – powiedział don Juan, kiedy zakończyłem relację. – To znaczy, nie musisz nic robić, żeby go zwabić. Możesz sobie siedzieć, kręcąc młynka palcami albo myśląc o kobietach, aż nagle poczujesz klepnięcie na ramieniu, odwrócisz się i zobaczysz, jak sprzymierzeniec stoi przy tobie.

– Co mam zrobić, jeśli stanie się coś takiego? – zapytałem.

– Hej! Hej! Poczekaj chwilę! – powiedział don Genaro. – To nie jest dobre pytanie. Nie powinieneś pytać, co masz zrobić. Oczywiście, nic nie możesz zrobić. Powinieneś spytać, co może zrobić wojownik?

Odwrócił się do mnie, mrugając oczami. Głowę lekko przechylił na prawo i wydął usta.

Spojrzałem na don Juana, szukając odpowiedzi na pytanie, czy ta sytuacja jest żartem, ale jego twarz była poważna.

– W porządku! – powiedziałem. – Co może zrobić wojownik?

Don Genaro mrugnął oczami i cmoknął wargami, jakby szukał właściwego słowa. Wpatrywał się we mnie, trzymając się za podbródek.

– Wojownik robi w gacie – powiedział z powagą Indianina.

Don Juan zakrył twarz, a don Genaro klepnął ręką ziemię, rycząc ze śmiechu.

– Strach jest czymś, czego nie można pokonać – powiedział don Juan, kiedy śmiech ucichł. – Gdyby wojownik znalazł się w takiej krytycznej sytuacji, po prostu bez zastanowienia odwróciłby się plecami do sprzymierzeńca. Wojownikowi nie wolno sobie folgować, dlatego nie może umrzeć ze strachu. Wojownik pozwala się zbliżyć sprzymierzeńcowi tylko wtedy, kiedy jest w dobrej formie i

przygotowany. Gdy ma wystarczająco dużo siły, żeby wziąć się za bary ze sprzymierzeńcem, otwiera szczelinę, pochyla się, chwyta sprzymierzeńca, przytrzymuje go i wpatruje się w niego dokładnie tak długo, jak długo musi, potem odwraca wzrok, uwalnia sprzymierzeńca! pozwala mu odejść. Wojownik, mój mały przyjacielu, jest mistrzem w każdych okolicznościach.

– Co się dzieje, gdy wpatrujesz się w sprzymierzeńca zbyt długo? – zapytałem.

Don Genaro popatrzył na mnie i wykonał zabawną minę wpatrywania się.

– Któż to wie? – powiedział don Juan. – Może Genaro opowie ci, co mu się przydarzyło.

– Może – powiedział don Genaro i zachichotał.

– Czy mógłbyś mi o tym opowiedzieć?

Don Genaro wstał, przeciągnął się w ramionach, aż zatrzeszczały kości. Otworzył oczy tak szeroko, że stały się całkiem okrągłe. Wyglądał jak szaleniec.

– Genaro zaraz sprawi, że pustynia zadrży – powiedział i poszedł w krzaki chaparralu.

– Genaro postanowił ci pomóc – powiedział don Juan poufnym tonem. – Zrobił to samo u siebie w domu i prawie widziałeś.

Pomyślałem, że chodzi mu o to, co wydarzyło się przy wodospadzie, ale on mówił o nieziemskich grzmotach, które słyszałem w domu don Genaro.

– A tak przy okazji, co to było? – zapytałem. – Śmialiśmy się z tego, ale nigdy mi nie wyjaśniłeś, co to było.

– Nigdy nie pytałeś.

– Owszem, pytałem.

– Nie. Pytałeś o wszystko, z wyjątkiem tego.

Don Juan popatrzył na mnie oskarżającym wzrokiem.

– To była sztuka don Genara – powiedział. – Tylko Genaro potrafi to robić. Wtedy prawie widziałeś.

Powiedziałem mu, że nigdy mi nie przyszło do głowy kojarzenie widzenia z dziwnymi hałasami, które wtedy słyszałem.

– A dlaczego nie? – zapytał beznamiętnie.

– Dla mnie widzenie oznacza oczy – powiedziałem. Przez chwilę przyglądał mi się badawczo, jakby coś ze mną było nie w porządku.

– Nigdy nie powiedziałem, że widzenie jest kwestią samych oczu – powiedział i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Jak on to robi? – nalegałem.

– Już ci powiedział, jak to robi – uciął ostro don Juan.

Dokładnie w tym momencie usłyszałem niezwykły grzmot.

Podskoczyłem, a don Juan roześmiał się. Grzmot przypominał odgłos spadającej lawiny. Przypominał mi ścieżkę dźwiękową z filmu, na którym całe zbocze górskie wali się w dolinę. Słuchając go, doszedłem do śmiesznego wniosku, że inwentarz moich wrażeń słuchowych niewątpliwie pochodzi z filmów.

Don Juan trzymał się za boki, jakby rozbolały go ze śmiechu. Grzmot wstrząsnął ziemią w miejscu, gdzie stałem. Wyraźnie słyszałem tąpnięcie czegoś, co zdawało się być wielką, toczącą się skałą. Usłyszałem serię miażdżących uderzeń, sprawiających wrażenie, że skała toczy się nieubłaganie w moim kierunku. Przeżyłem chwilę ogromnego zamętu. Moje mięśnie były napięte, całe ciało gotowe do ucieczki.

Spojrzałem na don Juana. Wpatrywał się we mnie. A potem dotarł do moich uszu najbardziej przerażający grzmot, jaki kiedykolwiek w życiu słyszałem. Jakby jakaś gigantyczna skała wylądowała tuż za domem. Wszystko zadrżało, a wtedy doznałem czegoś wyjątkowo dziwnego. Przez chwilę naprawdę widziałem za domem skałę wielkości góry. Nie wyglądało to tak, jakby jakiś obraz został nałożony na dom, na który patrzyłem. Nie był to również widok samej skały. Wydawało mi się, jakby hałas stwarzał obraz toczącej się, olbrzymiej skały. Naprawdę “widziałem" ten hałas. Niewytłumaczalny charakter mojego doznania wpędził mnie w głęboką rozpacz i chaos. Nigdy w życiu

nie przyszłoby mi do głowy, że moje zmysły są w stanie postrzegać w taki sposób. Opanował mnie całkiem racjonalny strach i postanowiłem ratować życie ucieczką. Don Juan przytrzymał mnie za ramię i stanowczo zabronił uciekać i odwracać się. Miałem patrzeć w kierunku, w którym poszedł don Genaro.

Następnie usłyszałem serię huków, przypominających dźwięk spadających na siebie skał, układających się w stos, po czym znowu wszystko ucichło. Kilka minut później don Genaro wrócił i usiadł. Zapytał mnie, czy “widziałem". Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Odwróciłem się do don Juana po pomoc. Wpatrywał się we mnie.

– Chyba tak – stwierdził i zachichotał.

Chciałem powiedzieć, że nie wiem, o czym mówią. Poczułem się niesłychanie sfrustrowany. Miałem fizyczne wrażenie gniewu i wielkiego skrępowania.

– Myślę, że powinniśmy go zostawić tutaj samego, żeby sobie posiedział – powiedział don Juan. Wstali i przeszli obok mnie.

– Carlos folguje sobie, pogrążając się w zamęcie – powiedział bardzo głośno don Juan.

Siedziałem sam przez kilka godzin. Miałem czas na sporządzenie notatek i na rozważenie absurdalności mojego doświadczenia. Myśląc o tym, zrozumiałem, że sytuacja stała się farsą od chwili, gdy zobaczyłem don Genaro siedzącego pod ramadą. Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej byłem przekonany, że don Juan zrzekł się kontroli na rzecz don Genaro. Myśl ta napełniła mnie przerażeniem.

Don Juan i don Genaro wrócili o zmroku. Usiedli przy mnie po obu stronach. Don Genaro przysunął się bliżej, prawie się o mnie oparł. Jego cienkie i delikatne ramię dotykało mnie lekko, a ja miałem to samo wrażenie co wtedy, kiedy mnie poklepywał. Miażdżący ciężar przygniótł mnie. Opadłem na don Juana, który pomógł mi usiąść prosto i spytał żartobliwie, czy mam zamiar przespać się na jego kolanach.

Don Genaro był zachwycony. Jego oczy świeciły. Chciało mi się płakać. Czułem się jak zwierzę, które zapędzono do zagrody.

– Czy ja cię przerażam, mały Carlosie? – zapytał naprawdę przejęty don Genaro. – Wyglądasz jak dziki koń.

– Opowiedz mu jakąś historię – powiedział don Juan. – To jedyna rzecz, która go uspokaja.

Odsunęli się i usiedli naprzeciw mnie. Obaj przypatrywali mi się z zaciekawieniem. W półmroku ich oczy szkliły się jak ogromne, ciemne jeziora. Wyglądały przerażająco, wcale nie były podobne do ludzkich. Wpatrywaliśmy się w siebie przez chwilę, po czym odwróciłem wzrok. Zauważyłem, że nie boję się ich, a jedynie ich oczy przerażają mnie do tego stopnia, że zaczynam się trząść. Czułem bardzo nieprzyjemny zamęt.

Po chwili milczenia don Juan przypomniał don Genaro, żeby opowiedział mi, co mu się przydarzyło, kiedy chciał wypatrzeć swojego sprzymierzeńca. Don Genaro siedział w odległości kilku stóp, zwrócony do mnie twarzą. Nic nie powiedział. Spojrzałem na niego. Jego oczy były cztery albo pięć razy większe od oczu zwykłego człowieka. Błyszczały i w nieodparty sposób przyciągały. To, co zdawało się być światłem jego oczu, spowijało wszystko dookoła nich. Ciało don Genaro skurczyło się i wyglądało teraz bardziej jak kocie. Spostrzegałem ruch jego kociego ciała i przeraziłem się. Zupełnie mechanicznie, jakbym to robił przez całe życie, przybrałem postawę walki i zacząłem rytmicznie uderzać w łydkę. Kiedy uświadomiłem sobie, co robię, poczułem zakłopotanie i spojrzałem na don Juana. Wpatrywał się we mnie tak, jak zwykle. Jego oczy były dobre i kojące. Roześmiał się głośno. Don Genaro zamruczał, wstał i wszedł do domu.

Don Juan wyjaśnił mi, że don Genaro jest bardzo stanowczy, nie lubi marnować czasu i tylko droczył się ze mną oczami. Powiedział, że jak zwykle wiem więcej, niż się spodziewam. Stwierdził, że o zmierzchu każda osoba uprawiająca magię jest okropnie niebezpieczna, a tacy czarownicy jak don Genaro potrafią o tej porze dokonywać cudów.

Przez kilka minut siedzieliśmy w milczeniu. Poczułem się lepiej. Rozmowa z don Juanem rozluźniła mnie i odbudowała moje zaufanie. Potem don Juan powiedział, że zje coś, a później pójdziemy na spacer, żeby don Genaro mógł mi pokazać technikę ukrywania się.

Poprosiłem go, żeby wyjaśnił, co ma na myśli, mówiąc o technice ukrywania się. Powiedział, że skończył z tłumaczeniem mi wszystkiego, ponieważ skłania mnie to jedynie do folgowania sobie.

Weszliśmy do domu. Don Genaro zapalił już lampę naftową. Siedział, przeżuwając jedzenie.

Po jedzeniu poszliśmy we trójkę w gęsty, pustynny chaparral. Don Juan szedł tuż przy mnie, a don Genaro kilka jardów przed nami.

Noc była jasna, na niebie wisiały ciężkie chmury, ale światło księżyca sprawiało, że okolica była dobrze widoczna. W pewnej chwili don Juan zatrzymał się. Powiedział, żebym szedł dalej za don Genaro. Zawahałem się. Popchnął mnie łagodnie i zapewnił, że wszystko w porządku. Powiedział, że zawsze powinienem być gotowy i ufać swojej własnej sile.

Poszedłem za don Genaro i przez następne dwie godziny usiłowałem go dogonić, ale bez względu na to, jak bardzo się starałem, nie udawało mi się z nim zrównać. Sylwetka don Genaro cały czas znajdowała się przede mną. Od czasu do czasu znikała, jakby don Genaro uskakiwał w bok od szlaku tylko po to, by zaraz znów ukazać się w tym samym miejscu. Z mojego punktu widzenia był to dziwny i bezsensowny spacer w ciemnościach. Szedłem za nim, ponieważ nie wiedziałem, jak wrócić do domu. Nie mogłem zrozumieć, co robi. Myślałem, że prowadzi mnie do jakiegoś tajemnego miejsca chaparralu, aby pokazać mi technikę, o której mówił don Juan. Jednak w pewnej chwili doznałem dziwnego wrażenia, że don Genaro jest za mną. Odwróciłem się i wtedy mignęła mi przed oczami sylwetka osoby znajdującej się w jakiejś odległości za mną. Wrażenie było piorunujące. Usiłowałem wypatrzeć coś w ciemnościach i wydawało mi się, że dostrzegam sylwetkę mężczyzny stojącego może piętnaście jardów ode mnie. Postać prawie stapiała się z krzewami, jakby chciała się ukryć. Przez chwilę wpatrywałem się w skupieniu. Udało mi się zatrzymać sylwetkę mężczyzny w polu widzenia, chociaż próbował schować się za ciemnymi krzewami. Przyszła mi wtedy do głowy całkiem logiczna myśl. Pomyślałem sobie, że tym człowiekiem musi być don Juan, który przez cały czas szedł za nami. W chwili gdy utwierdziłem się w tym przekonaniu, zdałem sobie również sprawę, że nie mogę już wypatrzeć jego sylwetki. Przed sobą miałem jedynie jednolitą masę pustynnego chaparralu.

Podszedłem do miejsca, w którym widziałem człowieka, ale nikogo nie znalazłem. Don Genaro również nie było w zasięgu wzroku, a ponieważ nie znałem drogi, usiadłem, żeby zaczekać. Pół godziny później przyszli don Juan i don Genaro. Zawołali mnie głośno po imieniu. Wstałem i dołączyłem do nich.

Szliśmy do domu w zupełnej ciszy. Byłem zadowolony z tego chwilowego milczenia, ponieważ czułem się całkowicie zdezorientowany. Ściśle rzecz biorąc, poczułem, że nie znam samego siebie. Don Genaro robił ze mną coś, co nie pozwalało mi formułować myśli w sposób, do jakiego się przyzwyczaiłem. Dotarło to do mnie, kiedy usiadłem na ścieżce. Gdy siadałem, automatycznie spojrzałem na zegarek, po czym mój umysł wyłączył się. Siedziałem jednak w stanie uważności, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczyłem. Był to stan bez myśli, porównywalny może ze stanem nie przejmowania się niczym. W tym czasie świat zdawał się znajdować w dziwnej równowadze. Nie było niczego, co mógłbym do niego dodać, ani też nic, co mógłbym mu ująć.

Kiedy dotarliśmy do domu, don Genaro rozwinął słomianą matę i poszedł spać. Czułem się zobowiązany do zrelacjonowania moich przeżyć z tego dnia don Juanowi, ale on nie pozwolił mi mówić.

18 października 1970

– Myślę, że zrozumiałem, co próbował zrobić don Genaro tamtej nocy – powiedziałem do don Juana.

Powiedziałem to, żeby go wciągnąć do rozmowy. Jego nieustanna odmowa rozmawiania denerwowała mnie.

Don Juan uśmiechnął się i powoli pokiwał głową, jakby zgadzał się z tym, co powiedziałem. Uznałbym jego gest za potwierdzenie, gdyby nie dziwny błysk w jego oczach. Jakby jego oczy się ze mnie śmiały.

– Nie jesteś przekonany, że zrozumiałem, prawda? – poczułem się zmuszony zapytać.

– Myślę, że zrozumiałeś... na pewno. Zrozumiałeś, że przez cały czas Genaro był za tobą. Lecz tu nie chodzi o zrozumienie.

Stwierdzenie, że przez cały czas don Genaro znajdował za mną, zaszokowało mnie. Błagałem go o wyjaśnienie.

– Twój umysł jest nastawiony na szukanie tylko jednej strony tej sprawy – powiedział.

Sięgnął po suchą gałązkę i poruszył nią w powietrzu. Nie rysował w powietrzu ani nie robił żadnych

znaków. Przypominało to raczej ruchy, jakie wykonywał przy usuwaniu śmieci ze sterty nasion. Jego gesty wyglądały jak delikatne szturchanie albo drapanie powietrza gałązką.

Odwrócił się i spojrzał na mnie. Machinalnie wzruszyłem ramionami w geście zakłopotania. Przysunął się bliżej i powtórzył te same ruchy, rysując osiem punktów na ziemi. Zakreślił pierwszy punkt.

– Jesteś tutaj – powiedział. – My wszyscy jesteśmy tu. To jest uczucie, a posuwamy się stąd dotąd.

Zakreślił drugi punkt, który narysował dokładnie nad pierwszym. Potem przesuwał gałązkę tam i z powrotem pomiędzy tymi dwoma punktami, żeby pokazać, że panuje między nimi duży ruch.

– Jest jednak jeszcze sześć punktów, które człowiek może opanować – powiedział. – Większość ludzi nie ma o nich pojęcia.

Umieścił gałązkę między punktem pierwszym a drugim i postukał nią w ziemię.

– Poruszanie się między tymi dwoma punktami nazywasz zrozumieniem. Robiłeś to przez całe życie. Jeśli mówisz, że rozumiesz moją wiedzę, to nie zrobiłeś nic nowego.

Następnie połączył liniami kilka z ośmiu punktów. Wyszła z tego długa, trapezoidalna figura, mająca osiem centrów i nieregularnie promieniująca.

– Każdy z tych pozostałych sześciu punktów jest światem, tak jak uczucie i rozumienie są dwoma światami dla ciebie – powiedział.

– Dlaczego osiem punktów? Dlaczego nie nieskończona ilość, jak w okręgu? – zapytałem.

Narysowałem na ziemi okrąg. Don Juan uśmiechnął się.

– Z tego, co ja wiem, jest tylko osiem punktów, które człowiek potrafi opanować. Może ludzie mogą wyjść poza to. Mówię: opanować, nie zrozumieć, dotarło to do ciebie?

Ton jego głosu był tak zabawny, że roześmiałem się. Naśladował, a raczej przedrzeźniał mój wymóg precyzyjnego używania słów.

– Twój problem polega na tym, że chcesz wszystko zrozumieć, a to nie jest możliwe. Kiedy upierasz się przy rozumieniu, nie uwzględniasz całości swojego ludzkiego wymiaru. Blokująca cię przeszkoda pozostaje nienaruszona. Dlatego właśnie przez te wszystkie lata prawie nic nie zrobiłeś. Otrząsnąłeś się z uśpienia, to prawda, ale to można było osiągnąć też w innych warunkach.

Po chwili przerwy don Juan polecił mi wstać. Mieliśmy iść do kanionu z wodą. Kiedy zbliżaliśmy się do samochodu, zza domu wyszedł don Genaro i dołączył do nas. Przejechaliśmy część drogi samochodem, a potem weszliśmy do głębokiego wąwozu. Don Juan wybrał w cieniu wielkiego drzewa miejsce na odpoczynek.

– Wspomniałeś kiedyś – zaczął don Juan – że jeden z twoich przyjaciół, kiedy obaj patrzyliście na liść spadający z samego czubka jawora, powiedział, że ten sam liść nigdy, w całej wieczności, nie spadnie jeszcze raz z tego samego jawora, pamiętasz?

Przypomniałem sobie, że rzeczywiście opowiadałem mu o tym wydarzeniu.

– Jesteśmy u stóp wielkiego drzewa – ciągnął – i teraz, kiedy spojrzymy na to drugie drzewo przed nami, może zobaczymy liść spadający z samego wierzchołka.

Dał znak, żebym spojrzał. Po drugiej stronie wąwozu stało wielkie drzewo. Miało suche i żółtawe liście. Don Juan ruchem głowy polecił mi przyglądać się drzewu. Po kilkuminutowym oczekiwaniu spostrzegłem, że oderwał się z czubka liść i zaczął opadać na ziemię. Trzy razy obijał się o liście i gałęzie, zanim wylądował na grubej ściółce.

– Widziałeś go?

– Tak.

– Pewnie powiesz, że ten sam liść nigdy więcej nie spadnie z tego samego drzewa, prawda?

– Prawda.

– Według twojego rozumienia, to jest prawda, ale tylko według twojego rozumienia. Popatrz jeszcze raz.

Machinalnie spojrzałem w górę i zobaczyłem spadający liść. Rzeczywiście, uderzał o te same liście i gałęzie, co pierwszy. To było tak, jakbym patrzył na błyskawiczną "powtórkę" w telewizji. Śledziłem faliste opadanie liścia, aż dotknął ziemi. Wstałem, żeby sprawdzić, czy leżą dwa liście, ale gruba

ściółka dokoła drzewa nie pozwoliła mi dostrzec, gdzie dokładnie upadł liść.

Don Juan roześmiał się i kazał mi usiąść.

– Popatrz – powiedział, wskazując głową na szczyt drzewa. – Oto znowu leci ten sam liść.

Jeszcze raz zobaczyłem liść opadający dokładnie tak samo, jak dwa poprzednie.

Kiedy opadł, wiedziałem, że don Juan zaraz poleci mi popatrzeć na czubek drzewa, ale zanim to zrobił, sam spojrzałem w górę. Liść znowu spadał. Wtedy zdałem sobie sprawę, że widziałem opadanie tylko pierwszego liścia albo raczej było tak, że za pierwszym razem widziałem liść od chwili, kiedy odczepił się od gałęzi. W pozostałych trzech przypadkach, kiedy podnosiłem głowę do góry, liść już spadał.

Powiedziałem to don Juanowi i poprosiłem, żeby wyjaśnił, co robi.

– Nie rozumiem, jak to robisz, że widzę powtórzenie tego, co już wcześniej widziałem. Co ze mną zrobiłeś, don Juanie?

Roześmiał się, ale nie odpowiedział, choć nalegałem, żeby powiedział mi, jak to się dzieje, że mogę w kółko oglądać ten sam spadający liść. Stwierdziłem, że zgodnie z moim rozumem, jest to niemożliwe.

Don Juan powiedział, że jego rozum mówi mu również to samo, a jednak przecież widziałem, jak ten sam liść ciągle spada. Potem zwrócił się do don Genaro:

– Czyż nie tak? – zapytał.

Don Genaro nie odpowiedział. Jego oczy były utkwione we mnie.

– To jest niemożliwe! – powiedziałem.

– Jesteś przykuty! – wykrzyknął don Juan. – Jesteś przykuty do swojego rozumu.

Wyjaśnił, że liść spadał w kółko z tego samego drzewa po to, żebym przestał próbować zrozumieć. Poufnym tonem powiedział mi, że wszystko przydarza mi się jak na życzenie, a jednak moja mania zawsze w końcu mnie zaślepia.

– Tu nie ma niczego do zrozumienia. Rozumienie to tylko bardzo drobna kwestia, zupełnie maleńka – powiedział.

W tym momencie don Genaro wstał. Rzucił szybkie spojrzenie na don Juana. Ich oczy spotkały się, po czym don Juan popatrzył na ziemię przed sobą. Don Genaro stanął naprzeciw mnie. Zaczął obydwoma ramionami równocześnie kołysać w tył i w przód.

– Patrz, mały Carlosie, patrz – powiedział. – Patrz! Patrz!

Wydał z siebie niewiarygodnie ostry, świszczący dźwięk. Był to odgłos czegoś prującego się. Dokładnie w chwili, w której zabrzmiał dźwięk, odczułem próżnię w dolnej części brzucha. Było to bardzo męczące uczucie spadania, nie bolesne, ale raczej nieprzyjemne i wyczerpujące. Trwało kilka sekund, po czym ustało, zostawiając po sobie dziwne swędzenie w kolanach. W tym czasie byłem świadkiem innego niewiarygodnego zjawiska. Zobaczyłem don Genaro na szczycie jakiejś góry, oddalonej może o dziesięć mil. Wrażenie to utrzymywało się tylko kilka sekund. Wydarzyło się tak szybko, że naprawdę nie zdążyłem mu się przyjrzeć. Nie mogę sobie przypomnieć, czy widziałem postać naturalnej wielkości, stojącą na szczycie gór, czy też zmniejszony obraz don Genaro. Nie pamiętam nawet, czy był to don Genaro. Wówczas nie miałem najmniejszych wątpliwości, że widzę go stojącego na szczycie gór, lecz w chwili, w której pomyślałem, że nie mógłbym dostrzec człowieka oddalonego o dziesięć mil, obraz zniknął.

Odwróciłem się, szukając don Genaro, ale nie zobaczyłem go.

Popadłem w zakłopotanie, które było równie niesamowite jak wszystko, co mi się przydarzyło. Z powodu wysiłku mój umysł odmówił posłuszeństwa. Byłem całkowicie zdezorientowany.

Don Juan wstał i polecił mi zakryć rękoma dolną część brzucha oraz przykucnąć i przycisnąć mocno nogi do ciała. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, po czym don Juan powiedział, że naprawdę zamierza przestać mi wszystko tłumaczyć, ponieważ czarownikiem można zostać tylko przez działanie. Poradził mi, żebym natychmiast odjechał, inaczej don Genaro zabije mnie, usiłując mi pomóc.

– Zmień kierunek – rzekł – a zerwiesz swe kajdany.

Powiedział, że ani w jego, ani w don Genaro poczynaniach nie ma niczego do rozumienia. Czarownicy są w stanie dokonywać niezwykłych wyczynów.

– Genaro i ja działamy stąd – powiedział i wskazał na jedno z centrów promieniowania na swoim wykresie. – I nie jest to centrum rozumienia, a ty wiesz, co to jest.

Chciałem powiedzieć, że naprawdę nie wiem, o czym mówi, ale nie dał mi na to czasu. Wstał i dał mi znak, żebym za nim poszedł. Szedł bardzo szybko. Natychmiast zacząłem sapać i pocić się, usiłując za nim nadążyć.

Kiedy wsiadaliśmy do samochodu, rozejrzałem się dookoła, szukając don Genaro.

– Gdzie on jest? – zapytałem.

– Wiesz, gdzie jest – warknął na mnie don Juan.

Zanim odjechałem, usiadłem z don Juanem, jak zawsze. Czułem wszechogarniającą potrzebę poproszenia go o wyjaśnienia. Jak mówi don Juan, wyjaśnienia naprawdę są moim ulubionym rodzajem folgowania sobie.

– Gdzie jest don Genaro? – zapytałem ostrożnie.

– Wiesz, gdzie jest – powiedział. – Ale za każdym razem przegrywasz, ponieważ musisz zrozumieć. Na przykład tamtej nocy wiedziałeś, że przez cały czas Genaro był za tobą, nawet odwróciłeś się i zobaczyłeś go.

– Nie – zaprotestowałem. – Nie wiedziałem tego.

Mówiłem prawdę. Mój umysł odmawiał uznania tego rodzaju bodźców za prawdziwe, a jednak, po piętnastoletnim okresie pobierania nauk u don Juana, mój umysł nie mógł już dłużej podtrzymywać starych, zwyczajnych kryteriów tego, co jest rzeczywiste. Jednakże wszystkie rozmyślania o naturze rzeczywistości, jakie do tej pory podjąłem, były jedynie intelektualnymi manipulacjami. Dowodem tego był fakt, że pod wpływem postępowania don Juana i don Genaro mój umysł znalazł się w impasie.

Don Juan popatrzył na mnie, a w jego oczach widniał taki smutek, że zacząłem płakać. Łzy lały się obficie. Po raz pierwszy w życiu czułem, że przeszkadza mi ciężar rozumu. Ogarnął mnie ból nie do opisania. Mimowolnie zacząłem jęczeć i objąłem go. Poczęstował mnie szybkim uderzeniem kostkami pięści w czubek głowy. Odczułem je jak falę idącą w dół kręgosłupa. Uspokoiłem się.

– Za bardzo sobie folgujesz – powiedział łagodnie.

EPILOG

Don Juan powoli obszedł mnie dookoła. Zdawał się zastanawiać, czy coś mi powiedzieć, czy też nie. Dwa razy zatrzymywał się, ale zaraz zmieniał zdanie.

– Wrócisz czy nie wrócisz, to absolutnie bez znaczenia – powiedział w końcu. – Niemniej jednak odczuwasz już potrzebę życia jak wojownik. Zawsze to wiedziałeś, a teraz jesteś po prostu w sytuacji, w której musisz posłużyć się tym, co przedtem lekceważyłeś. Lecz musiałeś walczyć o tę wiedzę. Nie dostałeś jej tak po prostu, gotowej. Musiałeś ją z siebie wycisnąć. Mimo to jednak jesteś świetlistą istotą i nieuchronnie czeka cię śmierć, jak wszystkich. Powiedziałem ci kiedyś, że w świetlistym jaju nie ma nic, co trzeba by zmienić.

Przez chwilę milczał. Wiedziałem, że na mnie patrzy, ale unikałem jego wzroku.

– Tak naprawdę, to nic się w tobie nie zmieniło – rzekł.